

JOE ABERCROMBIE

PÓŁ WOJNY

„Wartka opowieść
o zdradzie i zemście,
która wciągnęła mnie
od pierwszej strony
i nie puściła do końca”.

George R.R. Martin



JOE ABERCROMBIE

PÓŁ WOJNY

Przełożyła Agnieszka Jacewicz



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

Wyjścia wszystkie, zanim się wejdzie,
Trzeba obejrzeć,
Trzeba zbadać,
Bo nie wiadomo, gdzie wrogowie
Siedzą w świetlicy

Edda poetycka, Háv ðamal, Pieśń Najwyższego
w przekładzie Apolonii Załuskiej-Stromberg

I

SŁOWA JAK ORĘŻ



UPADEK



Klęska. – Król Fynn smętnie patrzył w puchar. Skara ogarnęła wzrokiem pustą salę. Trudno było zaprzeczyć. Poprzedniego lata żądni krwi wojownicy niemal poderwali dach przechwałkami, pieśniami o chwale i obietnicami, że zwyciężą hałastrę Najwyższego Króla.

Tyle że, jak to często bywa, okazali się mocni w gębie, ale nie na polu walki. Po kilku niechlubnych i beczynnych miesiącach zaczęli chyłkiem umykać, aż w końcu została zaledwie garstka nieszczęśników, którzy zebrali się teraz wokół wielkiego paleniska. Ogień syczał i przygasał, podobnie jak fortuna Throvenlandu. Dawniej kolumnową salę zwaną Lasem wypełniał tłum wojów, teraz roily się tu jedynie cienie. I rozczarowania.

Klęska. Przegrali, choć nie doszło do ani jednej bitwy.

Matka Kyre jak zwykle patrzyła na to inaczej.

– Zawarliśmy porozumienie, najjaśniejszy panie – sprostowała, bez przekonania skubiąc mięso, jak stara klacz belę siana.

– Porozumienie? – Skara z furią dźgnęła nietknięte jedzenie. – Mój ojciec zginął, broniąc twierdzy Baila, a teraz ty bez walki oddałaś klucz do niej Babce Wexen. Pozwoliłaś armii Najwyższego Króla przepawić się przez nasze ziemie. Według ciebie to nie klęska?

Matka Kyre spojrziała na Skarę ze spokojem, który zawsze irytował dziewczynę.

– Twój martwy dziad pod świeżo usypanym kurhanem, kobiety z Yaletoftu oplakujące śmierć synów, ta sala zamieniona w popiół, a ty, księżniczko, w niewolniczej obręczy przykuta do tronu Najwyższego Króla. Tak według mnie wyglądałaby klęska. Dlatego mówię o p o r o z u m i e n i u .

Odarty z dumy król Fynn wyglądał jak pozbawiony masztu żagiel. Skara dotąd uważała, że dziad jest niepokonany jak sam Ojciec Ziemi. Nie mogła znieść jego widoku w takim stanie. A może nie mogła się pogodzić z tym, jak dziecinna była jej wiara w niego.

Fynn wychylił trunek do dna, beknął i cisnął pozłacany puchar sługom, aby ponownie go napełnili.

– A ty co powiesz, Siny Jennerze?

– W towarzystwie królów staram się mówić jak najmniej.

Siny Jenner był przewrotnym starym wygą, bardziej korsarzem niż kupcem. Ogorzała twarz o grubo ciosanych rysach przypominała ciemne i popękane oblicze wiekowej figury dziobowej. Gdyby decyzja należała do Skary, nigdy nie przyjęłaby kogoś takiego w swoim porcie, a co dopiero przy stole.

Matka Kyre jak zwykle patrzyła na sprawę inaczej.

– Kapitan jest jak król, tyle że władą okrętem, a nie królestwem. Twoje doświadczenie może się przydać księżniczce Skarze.

Co za zniewaga.

– Miałabym brać lekcje polityki od pirata – burknęła dziewczyna pod nosem. – I to od takiego, który nie może się pochwalić sukcesami.

– Nie mamroc, proszę. Ile godzin poświęciłam na uczenie cię, jak powinna przemawiać księżniczka? Przyszła królowa. – Matka Kyre wysunęła podbródek. Echo jej głosu odbiło się od stropu, choć mówiła bez wysiłku. – Jeśli uważasz, że twoje opinie warte są wysłuchania, wygłaszaj je z dumą, aby dotarły w każdy zakamarek komnaty. Wypełnij salę swoimi nadziejami i pragnieniami. Natchnij nimi obecnych! Jeżeli natomiast wstydzisz się swoich myśli, lepiej zachowaj milczenie. Uśmiech nic nie kosztuje. Mów dalej, Jennerze.

– Hm... – Siny Jenner przesunął palcami po nielicznych siwych kosmykach, które jeszcze trzymały się opalonej skóry na jego głowie. Najwyraźniej nie wiedziały, czym jest grzebień. – Babka Wexen zdołała stłumić bunt na Nizinach.

– Zapewne zrobił to za nią ten pies, Yilling, który nie czci żadnego boga prócz Śmierci. – Dziad Skary złapał za puchar, zanim niewolnik skończył go napełniać, i trunek rozlał się po stole. – Podobno wzdłuż całej drogi do Skeken rozstawił szubienice z wisielcami.

– Najwyższy Król patrzy teraz na północ – powiedział Siny Jenner. – Chce zmusić Uthila i Grom-gil-Gorma do posłuchu, a Throvenland...

– Jest po drodze – dokończyła Matka Kyre. – Nie garb się, Skaro, księżniczce nie wypada.

Skara gniewnie zmarszczyła brwi, ale ramiona podsunęła nieco w górę oparcia krzesła, aby jej postawa bardziej przypominała sztywną, napinającą kark i potwornie nienaturalną pozycję, jaką aprobowała minister. „Siedź tak, jakbyś miała przystawiony nóż do gardła”, powtarzała często Matka Kyre. „Rola księżniczki nie polega na szukaniu wygod”.

– Jestem człowiekiem, który przywykł do wolności, i nie pałam miłością do Babki Wexen, jej Jednobóstwa, podatków ani zasad. – Siny Jenner żałośnie potarł krzywą szczękę. – Lecz gdy Matka Wód smaga morze sztormem, kapitan robi to, co musi, aby ocalić jak najwięcej. Wolność nie ma żadnej wartości dla trupa. A duma jest warta niewiele nawet dla żywego.

– Mądre słowa. – Matka Kyre pogroziła Skarze palcem. – Pokonani mogą następnego dnia odnieść zwycięstwo. Martwi nie zwyciężą już nigdy.

– Czasem trudno odróżnić mądrość od tchórzostwa – burknęła Skara.

Minister zacisnęła zęby.

– Przysięgam, że uczyłam cię lepszych manier. Nie godzi się obrażać gości. O szlachetności człowieka nie świadczy szacunek, jaki okazują mu wysoko urodzeni, lecz poważanie, jakim darzy on osoby niższego stanu. Słowa są jak oręż. Trzeba się nimi posługiwać z należytą ostrożnością.

Jenner machnięciem ręki dał do zrozumienia, że nie czuje się urażony.

– Księżniczka Skara ma rację. Znałem wielu odważniejszych ode mnie. – Uśmiechnął się ze smutkiem, odsłaniając rząd krzywych zębów z licznymi lukami. – I widziałem, jak jeden po drugim trafiają do piachu.

– Odwaga i długie życie rzadko idą w parze – oznajmił król, ponownie opróżniając puchar.

– Podobnie jak królowie i piwo – wtrąciła Skara.

– Tylko ono mi zostało, wnuczko. Moi wojownicy zrejterowali. Sojusznicy mnie opuścili. Przy pięknej pogodzie złożyli przysięgi, które rosły mocne w blasku Matki Słońca, lecz gdy zebrały się chmury, szybko zwiędły.

Nikt nie robił z tego tajemnicy. Każdego dnia Skara niecierpliwie wyglądała okrętów Żelaznego Króla Uthila, władcy Gettlandu, i wojowników, których miał tu przywieść słynny Grom-gil-Gorm, władca Vansterlandu. Na drzewach liście wystrzeliły z pąków, potem długo rzucały na ziemię plamiaste cienie, aż w końcu zbrązowiły i opadły. Nikt się nie zjawił.

– Lojalność jest cechą powszechną u psów, lecz rzadką u ludzi – zauważyła Matka Kyre. – Plan, który opiera się na lojalności, jest gorszy niż żaden.

– Co więc nam zostaje? – spytała Skara. – Plan, który opiera się na tchórzostwie?

Jakże staro wyglądał jej dziad, kiedy spojrzał na nią zmętniałym wzrokiem i poczuła od niego zapach piwa. Stary i zmęczony.

– Nigdy nie brakowało ci odwagi, Skaro. Masz jej więcej ode mnie. Nikt nie wątpi, że w twoich żyłach płynie krew Baila.

– W twoich także, królu! Nieraz powtarzałeś, że wojnę jedynie w połowie można zwyciężyć orężem. Druga połowa rozgrywa się tu. – Skara przycisnęła palec do skroni tak mocno, że poczuła ból.

– Zawsze byłaś zmyślna, Skaro. Zmyślniejsza niż ja. Bogów mam za świadków, że potrafisz namówić ptaki, aby sfrunęły z nieba, kiedy ci na tym zależy. Rozegraj więc tę połowę wojny. Daj dowód niezwykłej przebiegłości. Powiedz, jak przepędzić armię Najwyższego Króla i ocalić nasze ziemie i lud przed mieczem Yillinga. Jak uniknąć hańby, jaką jest zgoda na warunki Babki Wexen?

Skara spojrzała pod nogi na pokrytą słomą podłogę. Jej twarz płonęła.

– Chciałabym, ale nie potrafię. – Miała dopiero siedemnaście zim i nawet krew Baila nie mogła jej pomóc. Do głowy nie przychodziły jej żadne bohaterские rozwiązania. – Tak mi przykro, dziadku.

– Mnie również, moje dziecko. – Król Fynn ponownie opadł na oparcie i kazał dolać sobie piwa. – Mnie również.

– Skaro.

Czyjś głos wyrwał ją z niespokojnych snów prosto w ciemność. W nikłym blasku migoczącej świecy twarz Matki Kyre wyglądała jak oblicze ducha.

– Skaro, wstawaj.

Zaspana, niezdarnie zsunęła z siebie przykrycie ze skór. Z zewnątrz dobiegały dziwne odgłosy. Krzyki i śmiechy.

Przetarła oczy.

– Co się dzieje?

– Musisz iść z Sinym Jennerem.

Dopiero teraz dostrzegła kupca, którego sylwetka majaczyła w drzwiach jej sypialni. Czarna postać, sterzące kosmyki włosów i wzrok wlepiony w podłogę.

– Jak to?

Matka Kyre pociągnęła ją za rękę.

– Musicie n a t y c h m i a s t stąd iść.

Skara zawsze się buntowała. Teraz też zamierzała się sprzeciwić, ale zobaczyła minę minister i bez słowa wypełniła polecenie. Nigdy wcześniej nie widziała, aby Matka Kyre się bała.

Hałasy dobiegające z zewnątrz już nie przypominały śmiechu. Bardziej płacz. Groźne krzyki.

– Co się dzieje? – zdołała wychrypieć.

– Popeliłam straszny błąd. – Matka Kyre strzeliła wzrokiem w stronę drzwi, a potem znowu spojrzała na podopieczną. – Zaufałam Babce Wexen. – Zdjęła złotą bransoletę z ramienia Skary. Tę samą, którą Bail Budowniczy wkładał, gdy ruszał do boju. W blasku płomienia świecy rubin zalśnił czarno niczym świeżo przelana krew. – To dla ciebie. – Wyciągnęła klejnot do Siniego Jennera. – Jeśli przysięgniesz, że Skara bezpieczna dotrze do Thorlby.

Na twarzy korsarza malowało się skrępowanie, gdy brał bransoletę.

– Przysięgam. Na słońce i księżyc.

Matka Kyre boleśnie ścisnęła dłonie Skary.

– Cokolwiek się stanie, musisz przeżyć. To teraz twój obowiązek. Musisz przeżyć i odzyskać tron. Walczyć w obronie Throvenlandu. Bronić swojego ludu... gdy zabraknie innych.

Strach tak mocno ścisnął gardło Skary, że głos ledwie się przez nie przeciskał.

– Walczyć? Ale...

– Uczylaś cię jak. Próbowałam. Twoim orężem są słowa. – Minister otarła łzy z twarzy podopiecznej. Skara dopiero teraz poczuła, że płacze. – Twój dziad się nie mylił. Jesteś odważna i mądra. A teraz musisz być także silna. Twoje dzieciństwo się skończyło. Zawsze pamiętaj, że w twoich żyłach płynie krew Baila. Idźcie już.

Skara bosy ruszyła przez ciemność w ślad za Sinym Jennerem, dygocząc w nocnej koszuli. Nauki Matki Kyre tak głęboko zapadły jej w pamięć, że choć bała się o swoje życie, nie mogła przestać myśleć, że jest nieodpowiednio ubrana. Blask płomieni wpadał do środka przez wąskie okna i rzucał ostre cienie na zasłaną słomą podłogę. Usłyszała krzyki przerażenia. Szczekanie psa gwałtownie umilkło. Rozległ się łomot, jak gdyby gdzieś niedaleko ścinano drzewo.

Jak gdyby topory rąbały bramę.

Zakradli się do gościnnej komnaty. Przed kilkoma miesiącami wojownicy spali

w niej jeden przy drugim. Teraz leżał tu jedynie wytarty koc Siniego Jennera.

– Co się dzieje? – wyszeptła Skara. Jej głos zabrzmiał tak piskliwie, że z trudem go rozpoznała.

– Yilling i jego kompani przybyli wyrównać rachunki w imieniu Babki Wexen. Yaletoft stoi w ogniu. Przykro mi, księżniczko.

Skara drgnęła, gdy założył jej coś na szyję. Obrozę ze skręconego srebrnego drutu. Taką samą, jaką nosiła dziewczyna z plemienia Inglingów, która co rano upinała jej włosy. Cienki łańcuch szczęknął cicho.

– Jestem niewolnicą? – spytała szeptem, gdy Jenner oplótł drugi koniec łańcucha wokół swojego przegubu.

– Musi tak wyglądać.

Skara drgnęła, gdy z zewnątrz dobiegł potworny huk i szcęk metalu. Jenner przycisnął ją do ściany i zdmuchnął świecę. Wtopili się w ciemność. Zobaczyła, że dobył nóż. Ojciec Księżyc odbił się w ostrzu.

Wycie rozległo się tuż za drzwiami, przeciągłe i potworne. Bardziej przypominało ryk zwierząt niż ludzki głos. Skara zacisnęła powieki, poczuła pod nimi piekące łyzy i zaczęła się modlić. Jąkając się, mamrotała bezsensowne prośby. Do wszystkich bogów i do żadnego.

Nietrudno o odwagę, gdy Ostatnie Wrota mającą w oddali i na ich progu stoją inni. Skara pierwszy raz poczuła chłodny oddech Śmierci na karku. Miała wrażenie, że zmroził całą jej odwagę. Z taką swobodą i beztroską mówiła poprzedniego wieczoru o tchórzostwie. Dopiero teraz pojęła, czym ono jest.

Jeszcze jeden przeciągły wrzask, a po nim cisza, która wydawała się gorsza niż wcześniejsze hałasy. Poczuła lekkie pociągnięcie i nieświeży oddech Jennera na policzku.

– Musimy ruszać.

– Boję się – wyszeptła.

– Ja również. Ale jeśli odważnie wyjdziemy im naprzeciw, być może uda nam się wywinąć gładką mowę. Bo jak znajdą nas ukrytych...

„Staw czoło lękom, jeśli chcesz je pokonać”, często mawiał jej dziadek. „Kryj się przed nimi, a one pokonają ciebie”.

Drzwi zatrzeszczały, gdy Jenner je uchylił, i Skara niechętnie ruszyła za nim. Kolana drżały jej tak bardzo, że niemal uderzały jedno o drugie.

Bosa stopa poślizgnęła się na czymś mokrym. Obok drzwi siedział trup. Wokół

niego słoma poczerniała od krwi.

Borid, tak miał na imię. Był wojownikiem ojca Skary. Sadzał ją sobie na ramionach, kiedy była mała, żeby mogła dosięgnąć brzoskwiń w sadzie pod murami twierdzy Baila.

Piekące oczy mimowolnie skierowały się w stronę głosów. Przemknęły nad połamanymi drzewcami broni i rozłupanymi tarczami. Nad trupami skulonymi albo rozciągniętymi na podłodze między rzeźbionymi filarami, od których salę jej dziada zwano Lasem.

Wokół migotliwych płomieni paleniska majaczyły sylwetki. Bohaterowie pieśni. Ich kolczugi, ostrza i koło-monety lśniły barwami ognia. Długie cienie sięgały aż ku niej.

Pośrodku stała Matka Kyre, a obok niej dziad Skary w pospiesznie wciągniętej, źle dopasowanej kolczudzie i z rozczochranymi siwymi włosami. Smukły wojownik, o miękkich rysach twarzy beztroskiej jak u dziecka, uśmiechał się obojętnie do dwojga jeńców. Otaczał go krąg wolnej przestrzeni, której naruszyć nie śmieli nawet pozostali zabójcy.

Yilling Wspaniały. Ten, który nie czcił żadnego boga prócz Śmierci.

Echo jego słów rozchodziło się po wielkiej sali.

– Liczyłem, że będę miał okazję osobiście złożyć wyrazy uszanowania księżniczce Skarze.

– Wybrała się z wizytą do swojej kuzynki, królowej Laithlin – powiedziała Matka Kyre. Głos, który codziennie spokojnie pouczał, poprawiał i upominał Skarę, teraz drżał nieznaną nutą strachu. – Tam jej nie dopadniesz.

– Och, nawet tam dotrzemy – oznajmił olbrzymi wojownik z karkiem grubym jak u byka.

– I to już niedługo, Matko Kyre – dorzucił inny, z długą włócznią i zawieszonym u pasa rogiem.

– Król Uthil przybędzie nam z pomocą – stwierdziła minister. – Spali wasze okręty i potopi was w morzu.

– Jakże zdoła to zrobić, skoro moja flota jest bezpieczna za mocnymi łańcuchami w porcie twierdzy Baila? – zdziwił się Yilling. – Tymi, do których sama dałaś nam klucz.

– Grom-gil-Gorm też się zjawi. – Głos Kyre był teraz ledwie szeptem.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. – Yilling delikatnie odgarnął jej włosy za ramiona. – Ale dla ciebie będzie już za późno. – Dobył miecza, który zamiast głowicy

miał wielki diament uwieczony w złotych szponach. Gładka jak lustro stał błysnęła w mroku. Skara przez dłuższą chwilę miała przed oczami białą smugę.

– Śmierć czeka wszystkich. – Król Fynn wciągnął nosem powietrze i dumnie się wyprostował. Wyglądał teraz niemal tak jak za dawnych lat. Rozejrzał się po sali i między kolumnami dostrzegł Skarę. Miała wrażenie, że leciutko się uśmiechnęła. Potem osunął się na kolana. – Dziś zabijesz króla – oznajmił.

– Królowie czy wieśniacy. Przed obliczem Śmierci wszyscy jesteśmy równi.

Yilling dźgnął dziada Skary nad obojczykiem. Głównia błyskawicznie weszła w ciało aż po rękojeść i tak samo szybko się cofnęła, szybka i śmiercionośna niczym błyskawica. Król Fynn zdołał dobrać z siebie jedynie suchy skrzek, zanim padł twarzą w palenisko. Zginął w mgnieniu oka. Skara stała jak skamieniała. Nie była w stanie zaczerpnąć tchu. Nie była w stanie myśleć.

Matka Kyre spojrzała na zamordowanego króla.

– Babka Wexen dała mi słowo – wyjąkała.

Kap, kap, krew skapywała ze sztychu miecza Yillinga.

– Słowa wiążą jedynie słabych.

Obrócił się wokół własnej osi z wdziękiem tancerza. Lśniący stał rozpruła cienie. Bluznęła ciemna krew i głowa Matki Kyre potoczyła się po podłodze, a jej ciało upadło, jak gdyby nie podtrzymał go szkielet.

Skara zdusiła jęk. To musiał być jakiś senny koszmar. Majaki wywołane gorączką. Miała ochotę się położyć. Jej powieki zadrżały, a mięśnie zwiotczały, ale Siny Jenner boleśnie mocno zacisnął dłoń wokół jej ramienia.

– Jesteś niewolnicą – wysyczał, potrząsając nią sztywno. – Masz milczeć. Rozumiesz? Milczeć.

Próbowała zapanować nad jęklwym oddechem, gdy usłyszała zbliżające się ciche kroki. Gdzieś w oddali ktoś zaczął wyć i nie milkł.

– Proszę, proszę – rozległ się aksamitny głos Yillinga. – Ci dwoje są tu chyba obcy.

– Nie, panie. Zwą mnie Sinyym Jennerem. – Skara nie miała pojęcia, jak mógł mówić tak przyjaźnie i spokojnie. Gdyby ona otworzyła teraz usta, dobyłby się z nich jedynie mokry szloch. – Jestem kupcem z licencją Najwyższego Króla. Niedawno przemierzyłem szlak Boskiej Rzeki. Płynęliśmy do Skeken, ale sztorm zepchnął nas z kursu.

– Król Fynn uważał cię zapewne za wielkiego przyjaciela, skoro ugościł cię

w swojej siedzibie.

– Mądry kupiec jest przyjacielem wszystkich, panie.

– Poczisz się, Siny Jennerze.

– Bo budzisz we mnie straszny lęk.

– Rzeczywiście jesteś mądry.

Obca dłoń delikatnie dotknęła podbródka Skary i uniosła jej głowę. Spojrzała w oblicze człowieka, który chwilę wcześniej zamordował dwoje najbliższych jej ludzi. Jego obojętny uśmiech znaczyły cętki ich krwi. Był tak blisko, że mogła policzyć blade piegi na jego nosie.

Yilling wydał pełne wargi i gwizdnął przeciągle.

– I handlujesz przednim towarem. – Przesunął dłonią po jej włosach, owinął pasmo wokół swoich długich palców i odsunął je z twarzy dziewczyny. Opuszka jego kciuka otarła się delikatnie o jej policzek.

M u s i s z ż y ć . M u s i s z o d z y s k a ć t r o nZdusiła strach. Zdławiła nienawiść. Nadała twarzy obojętny wyraz. Oblicze niewolnicy, które nie zdradza żadnych uczuć.

– Może mi ją sprzedasz, kupcze? – spytał Yilling. – Zapłacę ci na przykład twoim życiem.

– Bardzo chętnie, panie – usłyszała odpowiedź Siniego Jennera. Wiedziała, że Matka Kyre postąpiła nierozważnie, ufając temu człowiekowi. Zaczepnęła tchu, aby go przekląć, lecz jego sękaty palce mocniej wpiły się w jej ramię. – Lecz to niemożliwe.

– Wiem z doświadczenia, a jest ono spore i wyjątkowo krwawe... – Yilling podniósł czerwony miecz i dotknął nim policzka, tak jak dziecko, które przytula ulubioną lalkę. Diamentowa głowica błysnęła ogniem iskier czerwieni, oranżu i żółci. – ... że jedno ostrze potrafi przeciąć sznur wielu „niemożliwości”.

Grdyka na szczeciniastej szyi Jennera drgnęła, gdy przełknął ślinę.

– Nie mogę jej sprzedać. Nie należy do mnie. Jest darem księcia Varoslafa z Kalyivu dla Najwyższego Króla.

– Ach tak. – Yilling powoli opuścił miecz, zostawiając długą czerwoną smugę na swoim policzku. – Słyszałem, że Varosław jest władcą, którego mądry człowiek się lęka.

– Nie słynie z poczucia humoru i wielkoduszności, to prawda.

– W miarę jak rośnie potęga władcy, jego wielkoduszność się kurczy. – Yilling zmarszczył brwi, przyglądając się szlakowi czerwonych śladów, które zostawił

między filarami. Między trupami. – Najwyższy Król jest pod tym względem podobny. Nieroztropna byłaby kradzież daru.

– Przez całą drogę z Kalyivu powstrzymuje mnie właśnie ta myśl – przyznał Jenner.

Yilling pstryknął palcami tak głośno, jakby strzelił z bata, a oczy zalśniły mu młodzieńczym entuzjazmem.

– Mam pomysł! Niech zadecyduje rzut monetą. Jeśli wypadnie rewers, zabierzesz tę ślicznotkę do Skeken, żeby myła nogi Najwyższemu Królowi. Jeśli awers, zabiję cię i znajdę dla niej lepsze zajęcie. – Płasnął Jennera w ramię. – Co ty na to, mój nowy przyjacielu?

– Podejrzewam, że Babce Wexen się to nie spodoba.

– Jej nic się nie podoba. – Yilling uśmiechnął się szeroko. Na gładkiej skórze wokół jego oczu pojawiły się przyjazne zmarszczki. – Jestem skłonny ugiąć się przed wolą jednej jedynej pani. Nie Babki Wexen, nie Matki Wód ani nawet nie Matki Wojny. – Podrzucił monetę wysoko, niemal pod strop Lasu. Złoto błysnęło. – Tylko Śmierci.

Pochwycił krążek.

– Król czy wieśniak, wysoko czy nisko urodzony, silny czy słaby, mądry czy głupi. Śmierć czeka każdego. – Otworzył dłoń, pośrodku której lśniła moneta.

– He. – Siny Jenner spojrział na nią, wysoko unosząc brwi. – Na mnie jeszcze trochę poczeka.

W pośpiechu przemykali wśród ruin Yaletoftu. Płonące źdźbła słomy unosił gorący wiatr. Noc wrzała kipiełą krzyków, błagań i jęków. Skara szła ze spuszczoneym wzrokiem, jak na niewolnicę przystało. Już nikt jej nie pouczał, żeby się nie garbiła. Strach topniał, wypierany przez poczucie winy.

Wskoczyli na pokład łodzi Jennera i natychmiast odbili od kei. Załoga mamrotała modlitwy do Ojca Pokoju, dziękując mu, że uniknęli rzezi. Wiosła trzeszczały w miarowym rytmie. Powoli minęli cumujące w porcie okręty i wreszcie wypłynęli na pełne morze. Skara skuliła się między ładunkami. Poczucie winy powoli rozplýwało się w żalu, kiedy patrzyła, jak płomienie trawią przepiękną siedzibę króla Fynna, a wraz z nią jej dawne życie księżniczki. Pięknie rzeźbiony wiązar jeszcze przez jakiś czas odznaczał się czernią na tle ognia, a potem runął, syjąc wkoło wirującymi iskrami.

Ogień, który trawił wszystko, co dotychczas znała, stopniowo malał, aż w końcu Yaletoft stał się niewielką plamką pożogi na mrocznym horyzoncie. Żagiel załopotał, gdy Jenner nakazał zawrócić na północ, w stronę Gettlandu. Skara długo patrzyła za rufę, w przeszłość. Łzy powoli wysychały na jej policzkach, a żal tężał w zimne i twarde żelazo gniewu.

– Jeszcze zobaczę wolny Throvenland – wyszeptała, zaciskając pięści. – Każę odbudować siedzibę mojego dziada, a na trupie Yillinga Wspaniałego będą ucztować wrony.

– Na razie skupmy się na tym, żeby zachować cię przy życiu, księżniczko. – Jenner zdjął z jej szyi obręcz niewolnicy, a potem otulił peleryną jej drżące ramiona.

Spojrzała na niego, ostrożnie rozcierając ślady, które zostawił na jej skórze srebrny drut.

– Źle cię oceniłam, Siny Jennerze.

– Twoja ocena na pewno jest trafna. Dopuszczałem się o wiele gorszych rzeczy, niż sobie wyobrażasz.

– Dlaczego więc ryzykowałeś życie, żeby mnie ocalić?

Przez chwilę się zastanawiał, drapiąc się po brodzie, a w końcu wzruszył ramionami.

– Bo wczorajszego dnia nie da się odmienić. Tylko jutro. – Wcisnął coś w jej dłoń. Rubin w bransolecie Baila zaślnił w blasku księżycy. – To chyba należy do ciebie.

NIE BĘDZIE POKOJU



Kiedy oni się zjawia?

Ojciec Yarvi siedział zgarbiony pod drzewem, ze skrzyżowanymi nogami i starą księgą na kolanach. Niewtajemniczonemu mogło się wydawać, że śpi. Jedynie jego źrenice drgały pod półprzymkniętymi powiekami, śledząc litery.

– Jestem ministrem, Kollu – mruknął. – Nie jasnowidzem.

Koll ze zmarszczonym czołem spojrział na ofiary. Bezgłowe ptaki, puste dzbany po piwie i wiązki kości na sznurkach. Pies, krowa i cztery owce zawieszono do góry nogami na konarach, w których wryto runy. Muchy przy poderżniętych gardłach.

Był tam również człowiek. Niewolnik – sądząc po śladach otarć na szyi – z pierścieniem run nakreślonych krzywo na plecach. Dłońmi niemal dosięgał przesiąkniętej krwią ziemi. Jakaś bogata kobieta pragnąca dziecka złożyła go w ofierze Temu, dzięki któremu nasiono kiełkuje.

Koll nie lubił takich świętych miejsc. Sprawiały, że czuł się stale obserwowany. Wprawdzie uważał się za uczciwego człowieka, ale każdy ma jakieś sekrety. Każdy wątpi.

– Co to za księga? – spytał.

– Traktat o elfich artefaktach napisany dwieście lat temu przez Siostrę Slodd z Reerskoftu.

– Więcej zakazanych tajemnic?

– Jeszcze z czasów, kiedy Ministerstwu zależało na gromadzeniu wiedzy, a nie na jej ukrywaniu.

– Kontrolować możemy jedynie to, co jest nam znane – wyszeptał Koll.

– Wiedza jest jak władza. W niewłaściwych rękach może się okazać niebezpieczna. Najważniejszy jest cel, w jakim się ją wykorzystuje. – Ojciec Yarvi poślinił koślawy palec przykurczonej lewej dłoni i odwrócił kartkę.

Koll z pochmurną miną zapatrzył się w nieruchomy las.

– Po co przyszliśmy tu tak wcześnie?

- Bitwę zwykle zwycięża ta ze stron, która pierwsza przybywa na miejsce.
- Sądziłem, że mamy rozmawiać o pokoju.
- Negocjowanie pokoju jest placem boju ministra.

Koll westchnął tak, że zafurczały mu wargi. Przysiadł na pieńku na skraju polany, w bezpiecznej odległości od ofiar, po czym wyjął kozik i klocek jesionowego drewna. Wcześniej zdążył nadać mu z grubsza kształt figurki Tej, która uderza w kowadło, z uniesionym młotem. Zamierzał podarować ją Rinie, kiedy wróci do Thorlby... jeśli wróci, a nie zawisnie na jednym z drzew wokół polany. Jego wargi ponownie zafurczały.

– Bogowie obdarzyli cię wieloma talentami – powiedział cicho Ojciec Yarvi, nie odrywając oczu od książki. – Masz zręczne ręce i bystry umysł. Piękną szopę jasnych włosów i poczucie humoru, choć jesteś nieco zbyt skory do śmiechu. Ale czy naprawdę chcesz zostać wielkim ministrem i trwać u boku królów?

Koll przełknął ślinę.

– Wiesz, że tak, Ojczy Yarvi. Ponad wszystko.

– W takim razie musisz się jeszcze wiele nauczyć. Przede wszystkim cierpliwości. Postaraj się skupić ten swój owadzi mózdzek, a pewnego dnia będziesz mógł zmieniać świat. Tego pragnęła dla ciebie matka.

Koll szarpnął rzemień na szyi i poczuł, jak zawieszzone na nim odważniki uderzają jeden o drugi pod koszulą. Dawniej należały do jego matki, Safrity, która jako ochmistrzyni czuwała nad sprawiedliwym wazaniem i mierzeniem. Wciąż pamiętał jej słowa: „Nie trać odwagi, Kollu. Staraj się być jak najlepszym człowiekiem”.

– Na bogów, ależ mi jej brakuje – wyszeptał.

– Mnie również. A teraz weź się w garść i uważaj na to, co robię.

Koll puścił odważniki.

– Nie odrywam od ciebie oczu, Ojczy Yarvi.

– Zamknij je. – Minister odłożył książkę, wstał i otrzepał tył peleryny z suchych liści. – I słuchaj.

Kroki. Ktoś szedł ku nim przez las. Koll schował figurkę, a nóż wsunął w rękaw ostrzem w kierunku dłoni. Właściwe słowa rozwiązują większość problemów, lecz z doświadczenia wiedział, że ostra stal pomaga uporać się z resztą.

Spomiędzy drzew wyszła kobieta w czarnym stroju ministra. Miała ogniście rude włosy podgolone po bokach. Resztę zaczesywała na siodło do góry, nadając fryzurze kształt rybiej płetwy. Wokół uszu widniały tatuaże run. Surowe rysy twarzy stawały

się jeszcze ostrzejsze, gdy napinała mięśnie szczęk, żując korę drzewa snów, która barwiła jej wargi fioletem.

– Wcześniej przybyłaś, Matko Adwyn.

– Nie tak wcześniej jak ty, Ojczy Yarvi.

– Matka Gundring zawsze powtarzała, że temu, kto przychodzi na miejsce spotkania jako drugi, brakuje ogłady.

– W takim razie mam nadzieję, że mi wybacysz.

– To zależy od wieści, jakie przynosisz od Babki Wexen.

Matka Adwyn dumnie wysunęła podbródek.

– Twój pan, król Uthil, oraz jego sojusznik, Grom-gil-Gorm, nie dotrzymali przysięgi złożonej Najwyższemu Królowi. Odtrącili dłoń, którą wyciągnął do nich w geście przyjaźni, i dobyli przeciwko niemu broni.

– Jego przyjazna dłoń ogromnie nam ciążyła – przyznał Yarvi. – Mijają dwa lata, odkąd wymknęliśmy się spod jej brzemia i zaczęliśmy swobodniej oddychać. Dwa lata. W tym czasie Najwyższy Król nie zajął żadnego miasta, nie zwyciężył w żadnej bitwie...

– A w jakich bitwach walczyli Uthil i Gorm? Oczywiście nie licząc tych, które codziennie toczą między sobą. – Adwyn kącikiem ust wypluła sok, a Koll niespokojnie szarpnął luźną nitkę przy rękawie. O mało nie trafiła. – Mieliście szczęście, bo uwagę Najwyższego Króla zaprzętała rebelia na Nizinach. Podobno przyczyniłeś się do jej wszczęcia, Ojczy Yarvi.

Minister Gettlandu zamrugał niewinnie.

– Jak miałbym z odległości setek mil nakłonić ludzi do buntu? Uważasz mnie za czarownika?

– Niektórzy twierdzą, że nim jesteś, lecz teraz nie pomogą ci ani czary, ani szczęście, ani nawet wyjątkowa przebiegłość. Rebelia została zdławiona. Yilling Wspaniały pojedynkował się z trzema synami Hokona i kolejno ich pokonał. W fechtunku nie ma sobie równych.

Ojciec Yarvi przyjrzał się paznokciowi palca zdeformowanej dłoni, jak gdyby sprawdzał, czy dobrze wygląda.

– Król Uthil może się z tym nie zgodzić. Zapewne pokonałby owych trzech braci naraz.

Matka Adwyn puściła przechwałki mimo uszu.

– Yilling Wspaniały jest człowiekiem, jakiego dotąd nie znano. Wyznacza nowe

ścieżki. Przeniewierców dosięgnął jego miecz, a jego Kompani spalili siedziby zdrajców wraz z ich rodzinami.

– Spalili rodziny. – Koll przełknął ślinę. – To dopiero postęp.

– Być może nie wiecie jeszcze, co Yilling zrobił potem.

– Słyszałem, że niezły z niego tancerz – odezwał się Koll. – Czyżby puścił się w tany?

– A i owszem. Przez cieśninę do Yaletoftu, aby złożyć wizytę wiarołomnemu królowi Fynnowi.

Zapadła cisza. Powiew wiatru zaszeleścił liśćmi, skrzypnął sznurami ofiar i sprawił, że Kolla przeniknął dreszcz zgrozy. Matka Adwyn, żując korę, uśmiechnęła się między kolejnymi młasińcami.

– Cóż, twój błazen nie umie znaleźć w tych słowach powodu do drwiny. Yaletoft zmienił się w ruinę, z siedziby króla Fynna zostały jedynie zgliszcza, a jego wojownicy rozpierzchli się na cztery wiatry.

Yarvi leciuteńko zmarszczył czoło.

– A co z królem?

– Jest już po drugiej stronie Ostatnich Wrót razem ze swoją minister. Ich los został przesądzony w chwili, gdy podstępem nakłoniłeś ich do tego nieszczęsnego przymierza.

– Zatem na polu bitwy wciąż nie obowiązują żadne zasady – wyszeptał Ojciec Yarvi. – Zaiste nowe ścieżki.

– Yilling sieje spustoszenie w całym Throvenlandzie, przygotowując drogę dla armii Najwyższego Króla, która liczy więcej wojowników, niż jest ziaren piasku na brzegu. To najwspanialsza armia od czasów, gdy elfy wypowiedziały wojnę Bóstwu. Jeszcze przed przesileniem letnim stanie u bram Thorlby.

– Przyszłość to kraina spowita mgłą, Matko Adwyn. Na wszystkich mogą tam czekać niespodzianki.

– Nie trzeba być prorokiem, żeby wiedzieć, co się wydarzy. – Minister wydobyła zwój spod peleryny i rozpostarła go przed sobą. Papier pokrywały szeregi gęsto zapisanych run. – Babka Wexen obwoła ciebie i królową Laithlin czarownikami i zdrajcami. Ministerstwo ogłosi, że papierowe pieniądze są magią elfów, a każdy, kto ich używa, stanie się wyjętym spod prawa banitą. – Koll drgnął, gdy zza drzew dobiegł trzask łamanej gałązki. – Zostaniesz odcięty od świata. To samo spotka Uthila, Gorma i wszystkich, którzy ich poprą.

Na polanę zaczęli wychodzić mężczyźni. Mieli kwadratowe klamry przy pelerynach i podłużne tarcze wojowników z Yutmarku. Koll naliczył sześciu, a za sobą słyszał jeszcze co najmniej dwóch. Nie obejrzał się, choć kosztowało go to sporo wysiłku.

– Nagie miecze? – zdziwił się Ojciec Yarvi. – W świętym miejscu Ojca Pokoju?

– My się modlimy do Jednobóstwa – warknął dowódca przybyszów, wojownik w grawerowanym złotem hełmie. – Dla nas to ziemia jak każda inna.

Koll przyjrzał się ostrym rysom twarzy i wycelowanej w niego broni. Spoconą dłoń zacisnął wokół rękojeści ukrytego noża.

– No to mamy ambaras – wychrypiał.

Matka Adwyn upuściła zwój na ziemię.

– Mimo waszych spisków i zdrad Babka Wexen chce wam zaproponować pokój. – Cętki cieni przesunęły się po jej twarzy, gdy spojrzała w niebo. – Jednobóstwo jest prawdziwie miłosierne.

Ojciec Yarvi prychnął. Koll nie mógł uwierzyć, jak nieustraszony się wydawał.

– Domyślam się, że to miłosierdzie ma swoją cenę.

– Nad całym Morzem Drzazg posągi Wielkich Bogów muszą zostać zniszczone, a ludzie mają czcić Jednobóstwo – oznajmiła Adwyn. – Każdy Vanster i Gett raz w roku zapłaci dziesięcinę Ministerstwu. Król Uthil i król Gorm złożą miecze u stóp Najwyższego Króla w Skeken, błagając o wybaczenie, i na nowo przysięgną mu wierność.

– Poprzednie przysięgi nic nie dały.

– Dlatego ty, Matka Scaer oraz księżę Druin będziecie zakładnikami.

– Hmm... – Ojciec Yarvi wykręconym palcem postukał się w podbródek. – To wspaniała propozycja, ale latem w Skeken bywa za gorąco.

Strzała śmignęła Kollowi przed twarzą. Tak blisko, że poczuł powiew na policzku. Bezgłośnie wbiła się w ramię dowódcy nad krawędzią jego tarczy.

Spomiędzy drzew pomknęły kolejne. Jeden z mężczyzn krzyknął. Inny złapał za sterczący z twarzy promień. Koll błyskawicznie doskoczył do Ojca Yarwiego i pociągnął go za gruby pień świętego drzewa. Kątem oka dojrzał wojownika, który rzucił się ku nim z uniesionym mieczem. Drogę zastąpił mu Dosduvoi, rosły jak dąb, i jednym ciosem wielkiego topora ściał przeciwnika z nóg, podrywając z ziemi suche liście.

Nagle cienie ożyły, dżgając, siekąc i objając się o rozkołysane ofiary. Po kilku

krwawych chwilach ludzie Matki Adwyn dołączyli do króla Fynna po drugiej stronie Ostatnich Wrót. Ich dowódca klęczał, rżąc. Z kolczugi sterczało mu sześć strzał. Podparł się mieczem i próbował wstać, ale czerwona siła witalna uciekała z niego szybko.

Fror wyszedł na polaną. Ciężki topór dzierzył w jednej ręce, a drugą ostrożnie odpiął hełm przeciwnika. Taką piękną rzecz można było sprzedać za niezłą sumkę.

– Pożałujecie tego – wystękał dowódca. Na wargach miał krew. Siwe włosy oblepiały mu spocone czoło.

Fror powoli pokiwał głową.

– Ja już żałuję – powiedział i powalił przeciwnika uderzeniem w ciemię.

– Możesz już mnie puścić. – Ojciec Yarvi poklepał Kolla po boku.

Chłopak dopiero teraz zdał sobie sprawę, że zasłania ministra własnym ciałem, tak jak matka dziecko podczas burzy.

– Nie mogłeś mnie uprzedzić, jaki jest plan? – Chłopak wyprostował się powoli.

– Człowiek nie wyda tego, o czym nie wie.

– Nie masz do mnie zaufania? Nie wierzysz, że potrafię dobrze udawać?

– Zaufanie jest jak szkło. – Rulf przełożył przez ramię ogromny łuk z poroża. Wyciągnął do Yarwiego szeroką łapę i pomógł mu wstać. – Piękne, ale tylko głupiec oparłby na nim większy ciężar.

Zaprawieni w boju wojownicy Gettlandu i Vansterlandu otaczali polaną ze wszystkich stron. Pośrodku stała samotna Matka Adwyn. Koll prawie jej żałował, choć wiedział, że ani jemu, ani jej to nie pomoże.

– Mój podstęp okazał się lepszy od twojego – stwierdził Yarvi. – Twoja mistrzyni po raz drugi podjęła próbę usunięcia mnie z tego świata, lecz mimo to wciąż tu jestem.

– Słyszysz ze swojej podstępnej natury, pająku. – Matka Adwyn splunęła mu pod nogi fioletowym sokiem. – Już ci nie przeszkadza, że to święta ziemia Ojca Pokoju?

Yarvi wzruszył ramionami.

– Ojciec Pokój jest wyrozumiałym bogiem, ale roztropnie byłoby powiesić cię na drzewie i na wszelki wypadek podciąć ci gardło tak jak każdej ofierze.

– Więc na co czekasz? – syknęła.

– Litość ma większą moc od zemsty. Wracaj do Babki Wexen. Podziękuj jej za wieści, które mi przekazałaś. Bardzo się nam przydadzą. – Wskazał na zabitych, którym już obwiązywano stopy, aby zawiesić ich na świętych konarach. – Podziękuj

jej także za wspaniałe ofiary złożone Wielkim Bogom. Nasi boscy patroni na pewno je docenią. – Minister Gettlandu niespodziewanie przysunął się do Matki Adwyn i wściekle wykrzywił wargi. Maską rudowłosej wysłanniczki opadła i Koll zobaczył na jej twarzy strach. – Ale przekaz pierwszej wśród ministrów, że szczam na jej propozycję! Poprzysiągłem pomścić morderców mojego ojca. Na słońce i księżyc. Powiedz Babce Wexen, że dopóki oboje żyjemy, nie będzie pokoju.

NIGDY DOŚĆ OKRUTNY



Zabiję cię, półhysa suko! – warknął Raith, prychając śliną.

Rakki złapał go za lewą rękę, Soryorn za prawą i wspólnymi siłami zdołali go odciągnąć. Na szczęście mieli w tym sporą wprawę.

Zadra Bathu się nie poruszyła. Jedynie po ogolonej stronie głowy drgnęły mięśnie, gdy zacisnęła szczęki.

– Wszyscy powinniśmy ochłonąć. – Jej mąż, Brand, podniósł otwarte dłonie jak pasterz, który próbuje uspokoić stado. – Przecież jesteśmy sojusznikami. – Wielki chłop, silny jak byk, a nie miał w sobie ani krzty agresji. – Lepiej... lepiej stać w pełnym blasku.

Raith natychmiast pokazał, co o tym sądzi. Wywinąwszy się bratu, splunął Brandowi w twarz. Niestety chybił, ale jego intencje były jasne.

Zadra zacisnęła wargi.

– Coś mi się widzi, że tego psa trzeba ukatrupić.

Każdy ma jakiś czuły punkt. Jej słowa rozdrażniły Raitha. Znieruchomiał, przekrzywił głowę i pokazał zęby w leniwym uśmiechu, po czym strzelił oczami w stronę Branda.

– Może lepiej zabiję tego tchórzliwego żonkosia, co?

Zawsze umiał wszczynać bójkę i całkiem nieźle radził sobie z ich kończeniem, ale nic nie mogło go przygotować na błyskawiczny atak Zadry.

– Już nie żyjesz, mlecznowłosa draniu!

Szarpnął się do tyłu, pociągając za sobą brata i Soryorna. Mało brakowało, a szokowani wylądowaliby na nabrzeżu. Trzeba było aż trzech Gettów, żeby ją odciągnąć – zgorzkniałego starego fechtmistrza Hunnana, łysego sternika Rulfa i Branda, który oplótl szję żony oszpeconym szramami przedramieniem. Żaden z nich nie był ułomkiem i wytężali wszystkie siły, ale i tak jej pięść zdołała ze sporym impetem dosięgnąć głowy Raitha.

– Pokój! – warknął Brand, z wysiłkiem przytrzymując Zadzę, która nie

przestawała się miotać. – Pokój, na litość bogów!

Nikt jednak nie był w pokojowym nastroju. Wkoło zabrzmiały warkliwe obelgi. Gettów i Vansterów. Raith widział, jak bieleją kłykcie palców zaciskanych na rękojeściach mieczy. Rozpoznał charakterystyczny świst, gdy Soryorn wysunął nóż z pochwy. W powietrzu czuł zapach agresji – o wiele gorszej niż się spodziewał. Ale tak to już bywa z przemocą. Rzadko trzyma się ścieżki, jaką jej wyznaczamy. Inaczej nie byłaby to przemoc.

Wyszczyrzył zęby – ni to w grymasie, ni to w uśmiechu. W jego piersi ożył ogień. Gorący oddech palił mu gardło, napięte mięśnie drgały.

W mokrych od deszczu dokach Thorlby szykowała się walka godna pieśni, lecz zanim do niej doszło, Grom-gil-Gorm przepchnął się przez rozwścieczony tłum, niczym potężny byk przez stado beczących kozłów.

– Dość! – zagrział. – Cóż to za żalosne zwady kogucików?

Wrzawa ucichła. Raith odepchnął brata i uśmiechnął się drapieźnie. Zadra tymczasem uwolniła się od męża, miotając obelgi. Branda czekała zapewne niezbyt przyjemna noc, ale Raith czuł, że wszystko potoczyło się tak, jak chciał. Był tu po to, żeby walczyć – wszystko jedno z kim.

Ponurzy Gettowie rozstąpili się, żeby przepuścić króla Uthila, który jak zwykle tulił do siebie nagi miecz. Raith oczywiście go nienawidził. Każdy porządny Vanster powinien nienawidzić króla Gettlandu. Musiał jednak przyznać, że Uthil wygląda na męża godnego największego podziwu – twardego jak żelazna sztaba i równie nieugiętego. Słynął z wielu zwycięstw i niewielu słów. Błysk szaleństwa w jego zapadniętych oczach świadczył o tym, że tam, gdzie u ludzi była dana im przez bogów litość, u władcy Gettów została jedynie zimna pustka.

– Sprawiasz mi zawód, Zadro Bathu – oznajmił głosem przypominającym zgrzyt młyńskiego kamienia. – Więcej się po tobie spodziewałem.

– Kajam się, najjaśniejszy panie – burknęła, wzrokiem sztyletując najpierw Raitha, a potem Branda, który skrzywił się, jak gdyby takie spojrzenie żony nie było dla niego niczym nowym.

– Ja wprawdzie nie spodziewałem się więcej... – Grom-gil-Gorm wpił się wzrokiem w Raitha i uniósł czarne brwi – ...ale miałem nadzieję.

– Mamy dać się obrażać, najjaśniejszy panie? – warknął Raith.

– Drobne obelgi trzeba puścić płazem, jeśli zależy nam na utrzymaniu przymierza – rozległ się suchy głos Matki Scaer.

– A nasze przymierze jest jak okręt podczas sztormu – zawtórował jej Ojciec

Yarvi, z tym swoim miodowym uśmiechem, który sprawiał, że Raith miał chęć walnąć go bykiem. – Jeśli pójdzie na dno z powodu błahych sprzeczek, wszyscy potoniemy.

Raith warknął groźnie. Nienawidził ministrów i ich obłudnych gadek o Ojcu Pokoju i wybieraniu większego dobra. Uważał, że nie ma problemu, którego nie dałoby się rozwiązać, przebijając go na wylot pięścią.

– Vanster nigdy nie puszcza obelgi płazem. – Gorm zatknął kciuki za pas między nożami. – Ale dopadło mnie nagłe pragnienie, a skoro jesteśmy tu gośćmi... – Wyprostował się dumnie. Głowice pokonanych wrogów zakołysały się na łańcuchu, gdy wypiął szeroką pierś. – Ja, Grom-gil-Gorm, Łamacz Mieczy i Twórca Sierot, król Vansterlandu i ulubiony syn Matki Wojny... wjadę do miasta jako drugi.

Wśród jego wojowników rozległy się pomruki niezadowolenia. Zmarnowali ponad godzinę na kłótnię o to, kto powinien jechać na czele. Tę walkę przegrali. Ich władca zgodził się na mniej honorowe miejsce, a zatem im również przypadał mniejszy prestiż – a przecież byli tacy drażliwi na punkcie honoru.

– Mądra decyzja. – Król Uthil przymrużył oczy. – Lecz nie spodziewaj się za nią żadnych nagród.

– Wilk nie potrzebuje niczego od owcy – odparł Grom, łypiąc na niego groźnie.

Wojowie króla Uthila dumnym krokiem minęli Vansterów, prezentując pozłacane klamry peleryn, rękojeści mieczy i koło-monety na przegubach, wyniesieni na nowe wyżyny bezpodstawnej arogancji. Raith wyszczerzył zęby i splunął im pod nogi.

– Rzeczywiście pies – zadrwił Hunnan.

Raith pewnie skoczyłby na starego drania i rozbił mu czaszkę o kamienne nabrzeże, ale Rakki przytrzymał go mocno.

– Spokój, bracie. Zachowaj spokój – zamruczał mu prosto do ucha.

– Siny Jenner! A to dopiero niespodzianka!

Raith zmarszczył czoło, gdy jakiś stary żeglarz z obliczem zamarynowanym morską wodą odciągnął Ojca Yarvię na bok.

– Mam nadzieję, że miła. – Jenner ścisnęła dłoń Rulfa, jakby byli starymi kompanami od wiosła.

– To zależy – powiedział minister. – Przybywasz po złoto królowej Laithlin?

– Chętnie przyjmę każde, jakie mi zaproponują. – Jenner rozejrzał się wkoło z miną, jak gdyby zamierzał pokazać im jakiś tajemny skarb. – Moja wizyta ma jednak inny powód.

– Lepszy niż złoto? – zdziwił się Rulf, szczerząc zęby w uśmiechu. – Zmieniłeś się.

– O wiele lepszy. – Jenner wypchnął przed siebie kogoś, kto wcześniej krył się za jego plecami.

Raith poczuł się tak, jakby ktoś przebił mu czaszkę na wylot. Zupełnie przeszła mu ochota do walki.

Dziewczyna była drobna i szczupła. Całkiem ginęła pod mokrą od deszczu peleryną. Jej splątane włosy przypominały chmurę ciemnych loków, które kołysały się i drżały poruszane słoną bryzą. Cerę miała bladą, wokół nosa spierzchniętą i zaczerwienioną. Wyraźnie zaznaczone kości policzkowe wydawały się tak drobne, że nawet surowe słowo mogłoby je skruszyć.

Patrzyła prosto na Raitha wielkimi ciemnozielonymi oczami, które barwą przypominały kolor morza podczas sztormu. Nie uśmiechała się i nic nie mówiła. Wydawała się smutna, poważna i spowita tajemnicą. Chłopaka przeszedł dziwny dreszcz. Nawet uderzenie obuchem w głowę nie ogłuszyłoby go tak jak jedno spojrzenie na tę dziewczynę.

Ojciec Yarvi zastygł z niemądrze rozdziawionymi ustami, ale po chwili głośno je zamknął.

– Rulfie, zaprowadź Sinego Jennera i jego gościa do królowej Laithlin. Natychmiast.

Rakki utkwiał w bracie zdumiony wzrok.

– Przed chwilą gotów byłeś mordować, byle nikogo przed siebie nie wpuścić, a teraz w ogóle nie chcesz iść? – spytał, a Raith dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że ludzie Gorma ruszają w ślad za Gettami, napuszeni najbardziej jak się dało, aby zatrzeć fakt, że ustąpili pierwszeństwa.

– Kim była ta dziewczyna? – wychrypiał nieprzytomnie, jak wyrwany ze snu amator piwa.

– Od kiedy interesujesz się dziewczynami?

– Odkąd ją zobaczyłem. – Ogarnął wzrokiem tłum, pragnąc udowodnić sobie i bratu, że nie była jedynie wytworem jego wyobraźni, ale zniknęła.

– Musiała to być niezła ślicznotka, skoro zapomniałeś o kłótni.

– Nigdy nie widziałem piękniejszej.

– Wybacz, bracie, ale jeśli chodzi o kobiety, niewiele widziałeś. Jesteś przecież wojownikiem. – Rakki z uśmiechem dźwignął wielką, czarną tarczę Grom-gil-Gorma.

– To ja jestem ekspertem w sprawach miłości.

– O czym wciąż mi przypominasz. – Raith oparł ciężki miecz króla na ramieniu i zamierzał ruszyć za bratem, ale powstrzymała go ogromna dłoń władcy.

– Rozczarowałeś mnie, chłopcze. – Łamacz Mieczy przyciągnął go do siebie. – Wkoło nie brak wrogów, ale obawiam się, że w Tarczy królowej Laithlin masz teraz najgorszego.

Raith się nachmurzył.

– Nie boję się jej, najjaśniejszy panie.

Gorm uderzył go w twarz. Dla władcy Vansterów było to zwykłe plaśnięcie, lecz Raith miał wrażenie, jakby dostał wiosłem. Zachwiał się, ale król go przytrzymał i szarpnął jeszcze bliżej.

– Nie drażni mnie, że chciałeś upuścić jej krwi, lecz że ci się to nie udało. – Uderzył giermka z drugiej strony i Raith poczuł w ustach słonawy smak. – Niepotrzebny mi pies, który tylko ujada. Chcę takiego, który wie, jak używać zębów. Chcę zabójcy. – Trzasnął Raitha po raz trzeci i chłopakowi zakręciło się w głowie. – Obawiam się, że jeszcze zostało w tobie ziarno litości. Zmiażdż je, zanim ono cię zniszczy. – Na odchodne Gorm podrapał Raitha po głowie. Jak ojciec syna. Lub może jak myśliwy ogara. – Znasz moje zdanie. Dla mnie nigdy nie będziesz dość okrutny.

BEZPIECZNA



Grzebień z wygładzonej kości wieloryba z cichym szmerem rozczesywał włosy Skary.

Drewniany mieczyk księcia Druina stukał, pukał i skrobał o stojący w kącie kufer.

Głos królowej Laithlin brzmiał monotonnym trajkotem. Jak gdyby przeczuwała, że jeśli zapadnie cisza, Skara zacznie krzyczeć i nie będzie mogła przestać.

– Na południe od miasta znajduje się obóz wojowników mojego męża. Widać go z tego okna.

– Dlaczego nie przybyli nam na pomoc? – Skara zapatrzyła się tępo na wielkie skupisko namiotów. Miała chęć wyć, lecz z jej ust, jak zawsze, popłynęły właściwe słowa. – Na pewno jest ich wielu.

– Dwa i pół tysiąca lojalnych Gettów przybyło na wezwanie z najodleglejszych zakątków kraju.

Skara poczuła, jak silne palce królowej Laithlin obracają jej głowę delikatnie, ale stanowczo. Książę Druin z piskliwym okrzykiem bojowym zaatakował gobelin. Grzebień znowu zaczął ze szmerem czesać włosy, jak gdyby odpowiednia fryzura mogła rozwiązać wszystkie problemy.

– Z okna po przeciwnej stronie, od północy, widać obóz Grom-gil-Gorma. – Na tle ciemniejących wzgórz pojawiały się punkciki ogni niczym gwiazdy na całunie nieba. – Dwa tysiące Vansterów pod murami Thorlby. Nie sądziłam, że zobaczę tu tyłu.

– Na pewno nie z mieczami w pochwach – rzuciła Zadra Bathu z głębi komnaty z bezwzględnością wojownika, który rzuca toporem.

– Widziałam kłótnię w porcie... – wymamrotała Skara.

– Obawiam się, że to nie ostatnia. – Laithlin cmoknęła i rozdzieliła mocniej splecione kosmyki. Włosy Skary zawsze były niesforne, ale królowa Gettlandu nie należała do kobiet, które poddają się przy pierwszym upartym kołtunie. – Jutro

odbędzie się wielka narada. Czeka nas pięć godzin dysput. Jeżeli je przetrwamy i nikt nie zginie, uznam to za zwycięstwo godne pieśni. Gotowe.

Laithlin obróciła głowę Skary w stronę lustra.

Milczące niewolnice królowej wcześniej wykąpały i wyszorowały dziewczynę. Jej brudną koszulę nocną zamieniły na suknię z zielonego jedwabiu, przywiezioną z dalekiej podróży do Pierwszego z Miast i zrecznie dopasowaną do jej drobnej figury. Rąbek był haftowany złotymi nićmi. Skara nigdy nie widziała piękniejszej, a na dworze króla Fynna miała naprawdę piękne stroje – całe mnóstwo rzeczy tak starannie dobranych przez Matkę Kyre, że czasami miała wrażenie, jakby to one ją nosiły.

Znajdowała się teraz za grubymi murami. Otaczali ją silni wojownicy, niewolnicy i przepych. Powinna czuć ulgę. Tymczasem tak jak u biegacza, który na chwilę przysiadł, aby odpocząć, a potem nie jest w stanie dźwignąć się z ziemi, wygody sprawiły, że czuła się oszołomiona, słaba i potwornie obolała – poobijana na duszy i ciele, jak gdyby była jednym wielkim sińcem. Niemal żałowała, że nie jest z powrotem na pokładzie *Czarnego Psa*, nie dygocze, nie gapi się na deszcz i trzy razy na godzinę nie pełźnie na podrapanych kolanach do burty, żeby zwymiotować.

– To należało do mojej matki, siostry króla Fynna. – Laithlin delikatnie włożyła kolczyk w płatek ucha Skary.

Na złotych łańcuszkach, cienkich niczym pajęczne nici, kołysały się czerwone klejnoty, niemal dosięgając ramienia dziewczyny.

– Piękny – wychrypiała. Z całych sił próbowała nad sobą zapanować, aby nie bluznąć wymiocinami na lustro. Ledwie rozpoznawała siebie w odbiciu znękanej, kruchej dziewczyny o zaczerwienionych oczach. Wyglądała jak duch. Może wcale nie udało jej się uciec z Yaletoftu. Może wciąż tam tkwiła jako niewolnica Yillinga i już na zawsze miała nią pozostać.

Zobaczyła, jak w głębi komnaty Zadra Bathu kuca obok księcia, układa jego rączkę na rękojeści drewnianego miecza i szeptem go poucza, jak powinien brać zamach. Słynna wojowniczką uśmiechnęła się, gdy malec plasnął ją w łydkę, i zmierzwiła jasną czuprynę Druina. Na jej policzku zmarszczyła się blizna w kształcie gwiazdy.

– Zdolny chłopczyk!

Skara wciąż miała przed oczami miecz Yillinga i diament główicy połyskujący w półmroku Lasu. W lustrze zobaczyła, jak pierś bladej dziewczyny unosi się gwałtowniej i zaczynają jej drżeć ręce.

– Skaro. – Laithlin ujęła ją mocno za ramiona i utkwiała w niej twarde, ostre spojrzenie szaroniebieskich oczu, ścigając ją z powrotem do rzeczywistości. – Możesz mi powiedzieć, co się stało?

– Mój dziad czekał na wsparcie sojuszników. – Słowa popłynęły szeptem monotonnym jak bzyczenie pszczoły. – Na wojska Uthila i Gorma. Ale nikt się nie zjawiał...

– Mów dalej.

– Król w końcu stracił nadzieję i Matka Kyre nakłoniła go do zawarcia pokoju. Posłała gołębia. Orzeł Babki Wexen przyniósł obietnicę, że wszystko zostanie wybaczone, jeśli poddamy twierdzę Baila, roześlemy wojowników Throvenlandu do domów i zagwarantujemy, że armia Najwyższego Króla będzie mogła swobodnie się przeprawić przez nasze ziemie.

– Niestety, Babka Wexen nikomu nie wybacza – powiedziała Laithlin.

– Wysłała do Yaletoftu Yillinga Wspaniałego, żeby wyrównać rachunki. – Skara przełknęła kwaśną ślinę. Chuda szyja bladej dziewczyny w lustrze drgnęła. Twarzyzkę księcia Druina marszczyła determinacja wojownika. Uparcie siekł Zadrę swoim mieczykiem-zabawką, a ona odbijała drewnianą broń palcami. Jego piskliwe okrzyki przypominały Skarze przeraźliwe wrzaski bólu i wściekłości. Brzmiały coraz bliżej. Coraz bliżej. – Yilling ściał głowę Matce Kyre. Mojego dziada przeszył mieczem i król upadł prosto w palenisko.

Oczy królowej Laithlin zrobiły się okrągłe.

– Widziałas to?

Snop iskier, blask ognia odbijający się w zębach uśmiechniętych wojowników, gęsta krew skapująca ze sztychu miecza Yillinga. Skara małymi porcjami wciągnęła powietrze i przytaknęła.

– Wymknęłam się jako niewolnica Sinego Jennera. Ale wcześniej Yilling rzucił monetą, żeby zdecydować, czy jego też ma zabić... a ta moneta...

Wciąż widziała, jak wiruje w półmroku, błyskając barwami płomieni.

– Bogowie czuwali nad tobą tamtej nocy – wyszeptała Laithlin.

– Dlaczego więc pozwolili zabić moich bliskich? – Skara miała ochotę wyć, ale dziewczyna w lustrze zdobyła się jedynie na mdły uśmiech i cicho zmówiła modlitwę, dziękując Tej, która zatrzymuje rzucone kości.

– Przywiedli cię tutaj, kuzynko. – Królowa mocno zacisnęła dłonie na ramionach Skary. – Tu jesteś bezpieczna.

Z niezniszczalnej jak skała siedziby króla Throvenlandu, w której spędziła całe dzieciństwo, zostały zgliszczona. Wielka sala zbudowana przed dwustu laty zmieniła się w ruinę. Throvenland przestał istnieć, zniknął jak dym na wietrze. Już nigdzie nie mogła poczuć się bezpieczna.

Zdała sobie sprawę, że mimowolnie pociera policzek. Wciąż czuła na nim dotyk chłodnych palców Yillinga.

– Wszyscy jesteście dla mnie tacy życzliwi – wychrypiała i powstrzymała piołunowe czknięcie. Wrażliwy żołądek często jej dokuczał, ale odkąd zesza z pokładu *Czarnego Psa*, miała wrażenie, że jej wnętrzności są równie splątane jak myśli.

– Jesteś moją krewną, a rodzina jest najważniejsza. – Królowa jeszcze raz kojąco ścisnęła ramiona Skary. – Muszę teraz porozmawiać z mężem i synem... to znaczy Ojcem Yarvim.

– Jeśli wolno mi zapytać... czy Siny Jenner wciąż tu jest?

Władczyni nawet nie próbowała kryć niezadowolenia.

– Ten człowiek jest niewiele lepszy od zwykłego pirata...

– Mogłabyś kazać przysłać go do mnie? Bardzo proszę.

Laithlin sprawiała wrażenie twardej i ostrej jak krzemień, ale w głosie Skary brzmiała desperacka nuta.

– Oczywiście. Zadro, księżniczka tyle przeszła. Nie zostawiaj jej samej. Chodź, Druinie.

Książę, który sięgał Skarze ledwie do połowy uda, spojrzał na nią z powagą.

– Pa, pa – zawołał, upuścił drewniany miecz na podłogę i pobiegł za matką.

Skara spojrzała na Zadrę Bathu. Musiała mocno unieść głowę, bo wojowniczką była od niej dużo wyższa. I na pewno nie potrzebowała grzebienia. Po jednej stronie miała krótką, ciemną szczecinę, a po drugiej strąki, warkoczyki i zbite kołtuny spięte niemalą fortuną w złotych i srebrnych pierścieniach.

Kobieta, która podobno sama stanęła do walki przeciwko siedmiu mężczyznom i zwyciężyła. Elf-bransoleta, którą otrzymała w nagrodę, lśniła wściekłą żółcią na jej nadgarstku. Od jedwabi wołała ostrza, a zamiast klejnotów zdobiły ją blizny. Wszelkie konwenanse miażdżyła buciorami i nikogo za to nie przepraszała – nigdy. Pędzej wyważyłaby drzwi głową, niż zapukała.

– Jestem więźniem? – Skara chciała, aby zabrzmiało to jak wyzwanie, ale zamiast tego pisnęła jak mysz.

Zadra miała nieodgadniony wyraz twarzy.

– Jesteś księżniczką, księżniczko.

– Z doświadczenia wiem, że jedno od drugiego niewiele się różni.

– Zgaduję, że nigdy nie byłaś więźniem.

Nuta pogardy? Nic dziwnego. Gardło Skary zacisnęło się tak mocno, że ledwie dobywała z niego głos.

– Pewnie myślisz, że jestem delikatną, słabą i rozpieszczoną idiotką.

Zadra ze świstem wciągnęła powietrze.

– Prawdę mówiąc, myślałam o tym... co sama czułam, kiedy zobaczyłam ciało mojego ojca. – Jej mina nie zdradzała łagodności, ale głos owszem. – I co bym czuła, gdybym była świadkiem jego śmierci. Gdyby zamordowano go na moich oczach, a ja nie mogłabym nic zrobić.

Skara otworzyła usta, ale nie umiała znaleźć słów. Współczucie innych dławilo ją bardziej niż jakiegokolwiek szyderstwa.

– Wiem, jakie to uczucie, kiedy trzeba robić odważną minę – przyznała Zadra. – Niewielu zna je lepiej. – Skara miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej głowa. – Pewnie na twoim miejscu... wyplakałabym całe morze.

Z piersi księżniczki wyrwał się idiotyczny szloch. Mocno zacisnęła powieki, ale i tak zapiekły i nie zatrzymały łez. Jej żebra zafalowały gwałtownie. Oddech świszczął i gulgotał w piersi. Stała, luźno zwieszając ręce. Cała twarz ją paliła od gwałtownego płaczu. Jakaś drobna jej cząstka podpowiadała, że takie zachowanie nie przystoi księżniczce, ale reszta nie mogła przestać.

Usłyszała szybkie kroki. Zadra zagarnęła ją w objęcia jak dziecko i przytrzymała, tuląc mocno, tak jak dziadek tulił Skarę, kiedy razem patrzyli na płonący stos pogrzebowy jej ojca. Przyłgnęła do wojowniczkki, szlochając w jej koszulę i becząc półsłowa, których sama nie rozumiała.

Zadra nie ruszała się ani nic nie mówiła, tylko długo obejmowała Skarę. Dopóki dziewczyna nie przestała dygotać. Dopóki szlochanie nie zmieniło się w piski, a piski w nierówny oddech. Dopiero wtedy bardzo delikatnie ją odsunęła i wyciągnęła biały gałganek. Choć sama miała obślinioną koszulę, wytarła małeńką plamkę z sukni Skary, a potem podała gałganek dziewczynie.

– Używam go do czyszczenia broni, ale myślę, że twoja twarz jest o wiele cenniejsza. Może nawet bardziej niebezpieczna.

– Przepraszam – wyszeptęła Skara.

– Nie ma za co. – Zadra trąciła palcami złoty klucz, który nosiła na szyi. – Ja co rano płacę jeszcze bardziej, kiedy się budzę i widzę, kogo poślubiłam.

Skara zaśmiała się i zaszlochała jednocześnie. Wielka bańka smarków wyszła jej nosem. Po raz pierwszy od tamtej strasznej nocy poczuła się niemal tak jak dawniej. Może jednak udało jej się uciec z Yaletoftu. Zaczęła wycierać twarz i usłyszała, że ktoś niepewnie stuka do drzwi.

– To ja, Jenner.

Przygarbiony wszedł do komnaty. Widok jego nieporządnego stroju dziwnie ją uspokoił. Był tym samym człowiekiem, nieważne, czy stał za sterem okrętu, czy w komnatach królowej. Przy nim poczuła się silniejsza. To był mężczyzna, jakiego potrzebowała.

– Pamiętasz mnie? – spytała Zadra.

– Taką jak ty trudno zapomnieć. – Jenner zerknął na klucz, który nosiła. – Gratulacje z okazji ślubu.

Prychnęła.

– Tylko nie gratuluj mojemu mężowi. Wciąż jeszcze jest w żałobie z tego powodu.

Jenner zwrócił się do Skary.

– Chciałaś mnie widzieć, księżniczko?

– Owszem. – Jeszcze raz pociągnęła nosem, a po chwili wyprostowała się jak świeca. – Jakie masz plany?

– Przyznaję, że nigdy nie zawracam sobie głowy planowaniem. Królowa Laithlin zaproponowała mi niezłą sumkę, żebym walczył za Gettland, ale... no cóż, wojna to zajęcie dla młodych. Może popłynę *Czarnym Psem* z powrotem na szlak Boskiej... – Zerknął na Skarę i skrzywił się. – Obiecałem Matce Kyre, że odstawię cię bezpiecznie do twojej krewnej...

– I dotrzymałeś obietnicy pomimo niebezpieczeństw. O więcej nie powinnam cię prosić.

Skrzywił się mocniej.

– Ale zamierzasz?

– Miałam nadzieję, że zostaniesz ze mną.

– Księżniczko... Jestem starym rozbójnikiem, który od dwóch dziesięcioleci jedynie wspomina lata swojej świetności, a i te nie były wspaniałe.

– Nie wątpię. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam, że wyglądasz

jak zniszczony galion.

Jenner podrapał się w szczeniastą szczękę.

– To chyba słuszna ocena.

– Raczej głupia. – Głos Skary się załamał, ale odchrząknęła i odetchnęła głęboko, żeby nad sobą zapanować. – Dopiero teraz to rozumiem. Zniszczony galion przetrwał najgorszą pogodę i bezpiecznie przywiódł okręt do portu. Uroda nie jest dla mnie ważna, jedynie lojalność.

Jenner skrzywił się jeszcze bardziej.

– Całe życie byłem wolny, księżniczko. Podziwiałem jedynie horyzont, a kłaniałem się wiatrowi...

– Czy horyzont ci za to podziękował? Wiatr cię wynagrodził?

– Przyznaję, że nieszczególnie.

– Ja to zrobię. – Ujęła jego sękatą dłoń w obie ręce. – Aby czuć się wolnym, człowiek potrzebuje celu.

Spojrzał na swoją rękę w jej dłoniach, a potem zerknął na Zadrę.

Tarcza królowej wzruszyła ramionami.

– Wojownik, który walczy tylko dla siebie, jest nie lepszy od zwykłego zbira.

– Pomyślnie wywiązałeś się z powierzonego ci zadania i wiem, że mogę ci zaufać.

– Słowa Skary sprawiły, że znowu skierował na nią spojrzenie i już się nie odwrócił.

– Zostań przy mnie. Proszę.

– O bogowie. – Zniszczona skóra wokół oczu Jennera zmarszczyła się w uśmiechu. – Jak mogę odmówić takiej prośbie?

– Nie odmawiaj. Powiedz, że mi pomożesz.

– Możesz na mnie liczyć, księżniczko. Przysięgam. Na słońce i księżyc. – Na moment umilkł. – W czym miałbym ci pomóc? – spytał wreszcie.

Skara powoli odetchnęła.

– Obiecałam, że jeszcze zobaczę wolny Throvenland i odbudowaną siedzibę mojego dziada, a trupa Yillinga rzucę wronom, pamiętasz?

Siny Jenner zmarszczył pobrużdżone czoło.

– Yilling ma za sobą całą potęgę Najwyższego Króla. Pięćdziesiąt tysięcy mieczy... tak słyszałem.

– Wojnę jedynie w połowie zwycięża się orężem. – Przycisnęła palce do skroni tak mocno, że poczuła ból. – Drugą połowę wygrywa się tym.

– Czy to znaczy... że masz jakiś plan?

– Coś wymyślę. – Skara puściła dłoń Jennera i spojrzała na Zadnę. – Żeglowałaś wraz z Ojcem Yarvim do Pierwszego z Miast, prawda?

Wojowniczką spojrzała z wysoka na księżniczkę, marszcząc krzywy od wielu złamań nos. Nie miała pewności, co się kryje za tym pytaniem.

– Prawda. Żeglowałam z Ojcem Yarvim.

– Stoczyłaś pojedynkę z Grom-gil-Gormem.

– To też prawda.

– I jesteś Tarczą królowej Laithlin.

– Wiesz, że tak.

– Czuwając przy niej, pewnie nieraz widzisz króla Uthila.

– Częściej niż inni.

Skara osuszyła rzęsy z ostatnich łez. Nie mogła sobie pozwolić na płacz. Musiała być odważna, przebiegła i silna, choćby nie wiem jak słaba i przerażona się czuła. Musiała walczyć o Throvenland – bo nie został już nikt inny – a słowa miały się stać jej orężem.

– Opowiedz mi o nich – poprosiła.

– Co chcesz wiedzieć?

„Wiedza to potęga”, powtarzała Matka Kyre, kiedy Skara narzekała, że bez końca musi się czegoś uczyć.

– Wszystko.

ZA DWÓCH



Raith poderwał się wściekły, gdy przez sen poczuł na sobie czyjeś łapy. Chwycił drania za gardło i rąbnął nim o ścianę. Warcząc, błyskawicznie dobył noża.

– Na bogów, Raith! To tylko ja!

Dopiero teraz w świetle pochodni, która płonęła w głębi korytarza, zobaczył, że przyciska do muru własnego brata, gotów podciąć mu gardło.

Serce waliło mu jak oszalałe. Dobłą chwilę trwało, zanim sobie przypomniał, że jest w cytadeli w Thorlby. Zaplątany we własny koc tkwił pod drzwiami komnaty Grom-gil-Gorma. Dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować.

– Nie budź mnie tak – burknął, z wysiłkiem rozwierając palce lewej dłoni. One zawsze bolały go najbardziej zaraz po przebudzeniu.

– Jak mam cię nie budzić? – wyszeptał Rakki. – Swoimi krzykami poderwałbyś ze snu całe Thorlby. Znowu coś ci się śniło?

– Nie – mruknął Raith. Usiadł, plecami opierając się o ścianę, i podrapał się w skroń. – Może. – Pamiętał ogień. Słupy dymu wznoszące się do nieba i smród pożogi. Szalony blask w oczach wojowników, w ślepiach psów. Szalony blask na twarzy tamtej kobiety. Jej przeraźliwy głos, gdy wołała swoje dzieci.

Rakki wyciągnął do niego bukłak i Raith niemal wyrwał go z rąk brata. Przepłukał usta poranione i spuchnięte od ciosów Gorma – nic nowego. Potem wylał trochę wody na dłoń i przetarł twarz. Cały był zlany zimnym potem.

– Nie podoba mi się to, bracie. Martwię się o ciebie.

– Ty się martwisz o mnie? – Miecz Gorma upadł chyba podczas ich krótkiej szarpaniny. Raith podniósł go i przycisnął do piersi. Gdyby król zobaczył, że giermek pozwala, aby broń leżała na zimnej podłodze, znowu by go obił albo ukarał jeszcze surowiej. – To ci odmiana.

– Nieprawda. Już od jakiegoś czasu niepokoję się o ciebie. – Rakki z lękiem zerknął na drzwi królewskiej komnaty, ściszył głos i z przejściem nachylił się ku

bratu. – Moglibyśmy uciec. Znaleźlibyśmy jakąś łódź, która zabrałaby nas na szlak Boskiej i Zakazanej. Sam ciągle o tym mówisz. A raczej mówiłeś.

Raith skinął głową w stronę komnaty.

– Myślisz, że puściłby nas tak po prostu? Że Matka Scaer z uśmiechem pomachałaby nam na pożegnanie? – prychnął. – A podobno z nas dwóch to ty jesteś mądrzejszy. To piękne marzenie, ale nie możemy się wycofać. Zapomniałeś już, jak było dawniej? Pamiętasz głód i zimno, i strach?

– A teraz się nie boisz? – Głos Rakkiego zabrzmiał tak lękliwie, że Raith zakipiał złością, która usunęła resztki koszmaru z jego myśli. Kiedy trzeba, gniew pomaga rozwiązać większość problemów.

– Nie, nie boję się! – warknął, potrząsając mieczem Gorma tak gwałtownie, że brat aż się cofnął. – Jestem wojownikiem i w tej wojnie okryję się chwałą. Zdobędę dość koło-monet, żebyśmy już nigdy nie musieli głodować. Tu jest moje miejsce. Wywalczyłem je sobie, sam przyznaj.

– Rzeczywiście, wywalczyłeś.

– Obaj służyliśmy królowi! – Raith próbował obudzić w sobie dumę, którą dawniej czuł. – Najwspanialszemu wojownikowi nad całym Morzem Drzazg. Człowiekowi, którego nikt nie pokonał ani w pojedynku, ani w bitwie. Lubisz się modlić, więc podziękuj Matce Wojnie, że jesteśmy po zwycięskiej stronie!

Rakki oparł się plecami o noszącą liczne ślady walk tarczę Gorma, która stała pod przeciwległą ścianą korytarza, i spojrzął na brata. Jego szeroko otwarte oczy zalśniły w świetle pochodni. Dziwne, że tak podobne twarze miały zupełnie inny wyraz. Czasami miał wrażenie, że są jak dwie rzeźby na jednym okręcie, lecz po przeciwnych stronach.

– Szykuje się jatka – wyszeptał. – Gorsza niż zwykle.

– Pewnie masz rację. – Raith znowu ułożył się na podłodze plecami do brata. Przycisnął do siebie miecz Gorma i naciągnął koc aż na ramię. – Przecież jest wojna, nie?

– Nie lubię zabijania.

– Mogę zabijać za dwóch. – Raith chciał powiedzieć to od niechcienia, ale nie do końca mu się udało.

Przez chwilę milczeli.

– Właśnie to mnie przeraża – przyznał w końcu Rakki.

ZRĘCZNE RĘCE



Koll wysypał wióry z ostatniej wyciętej runy i z uśmiechem zdmuchnął drzewny pył. Wreszcie skończył pochwę i był ogromnie dumny z rezultatu.

Zawsze uwielbiał rzeźbić. Drewno nie miało przed nim tajemnic, nie kłamało, a raz wycięty wzór nie znikał. Nie tak jak dzieło ministra – nic tylko dym i domysły. Przekonał się, że słowa są narzędziem, które wymaga większej zręczności niż dłuto, a ludzie bywają bardziej zmienni niż Matka Wód.

Na plecach poczuł miły dreszcz, gdy Rina sięgnęła mu nad ramieniem i palcem prześledziła linię jednej z run.

– Co to znaczy?

– To pięć imion Matki Wojny.

– Piękna robota. – Dłonią przesunęła po ciemnym drewnie, zatrzymując się na chwilę przy rzeźbionych postaciach, zwierzętach i drzewach, które płynnie się ze sobą łączyły. – Masz zręczne ręce, Kollu. Najzręczniejsze.

Nasunęła wykuty przez siebie trzewik na pochwę. Stał miała kształt głowy węża i pasowała tak idealnie jak klucz do zamka.

– Popatrz tylko, jakie piękne rzeczy potrafimy razem robić. – Jej poczerwiałe od żelaza palce splotły się z jego brązowymi od drewna. – Stworzone dla siebie, nie sądzisz? Mój miecz, twoja pochwa. – Poczul, jak jej druga dłoń przesuwa się w górę jego uda, i leciutko zadrżał. – I na odwrót...

– Rino...

– Jasne, wiem, raczej sztylet niż miecz.

W jej głosie usłyszał śmiech. Jej oddech połaskotał go w szyję. Uwielbiał, kiedy się śmiała.

– Rino, nie mogę. Brand jest dla mnie jak brat...

– To z nim nie chodź do łóżka. I po problemie.

– Jestem uczniem Ojca Yarwiego.

– Z nim też nie sypiaj. – Wargami musnęła jego kark, aż poczuł mrowienie na

plecach.

– Ocalił życie mojej matce. I mi też. Zwrócił nam wolność.

Jej usta znajdowały się teraz tuż przy jego uchu, a szept wydał się tak głośny, że Koll skulił ramiona. Ciężarki na jego piersi zderzyły się ze sobą.

– Skoro zwrócił ci wolność, dlaczego nie możesz sam podejmować decyzji?

– Jestem jego dłużnikiem, Rino. – Czuł, jak z każdym oddechem jej piersi przyciskają się do jego pleców. Palce mocno zamknęła wokół jego dłoni. Była silna. Tak silna jak on. Może nawet silniejsza. Musiał zamknąć oczy, żeby skupić myśli. – Kiedy skończy się wojna, zdam egzamin na ministra, złożę przysięgę i stanę się Bratem Kollem. Nie będę miał rodziny, nie będę miał żony... och.

Jej ręka wsunęła się między jego nogi.

– To się dopiero stanie, a co powstrzymuje cię teraz?

– Nic. – Obrócił się do niej, palce wolnej dłoni wsunął w jej krótkie włosy i przygarnął ją do siebie. Jednocześnie śmiali się i całowali. Chciwie, pośpiesznie, nieuważnie. Wpadli na ławę i strącili torbę z narzędziami, które z brzękiem rozsypały się po podłodze.

Zawsze tym się kończyło, kiedy tu przychodził. Dlatego przychodził.

Gibka jak łośoś, wywinęła mu się nagle, dopadła do stołu, chwyciła osełkę i pochyliła się nad mieczem, jak gdyby od rana tylko tym była zajęta.

Koll zamrugał nieprzytomnie.

– Co się...

Drzwi otworzyły się z hałasem i do środka wszedł Brand. Koll poczuł się jak rozbitek porzucony pośrodku izby z wielkim namiotem w spodniach.

– Hej! Co tu robisz? – zdziwił się Brand.

– Przyszedłem dokończyć robotę – wychrypiał Koll z czerwoną twarzą, szybko odwrócił się do ławy i dłonią zmiotł wióry na podłogę.

– Pokaż. – Brand objął go ramieniem.

O bogowie, ależ miał wielką łapę, ciężką i umięśnioną, ze szlakiem blizn, które zostawiła w skórze lina. Sam jeden utrzymał na barkach ciężar całej łodzi, która jak nic zmiażdżyłaby Kolla. Chłopak z niemałą trudnością przełknął ślinę, zastanawiając się, jakie to uczucie dostać taką łapą. Tym by się skończyło, gdyby Brand się dowiedział, co wyrabiają tu z jego siostrą.

On jednak odsunął z twarzy niesforny kosmyk i uśmiechnął się szeroko.

– Wspaniała robota. Masz wielki dar, Kollu. Od tych samych bogów, którzy

pobłogosławili moją siostrę.

– Nie przeczę, że... hojnie ją obdarowali. – Koll nieznacznie zmienił pozycję, żeby spodnie ułożyły się wygodniej.

Rina wywinęła wargi i zrobiła szaloną minę za plecami brata.

Na bogów, Brand o niczym nie miał pojęcia. Był silny, lojalny i łagodny niczym koń pociągowy, ale w braku spostrzegawczości wyznaczał nowe horyzonty. Pewnie nie zostałby mężem Zadry Bathu, gdyby nie nauczył się przymykać oczu na wiele spraw.

– Jak tam Zadra? – zagadnął Koll, aby skierować rozmowę na inny temat.

Brand przez chwilę się wahał, jak gdyby rozwiązywał łamigłówkę, która wymagała znacznego wytężenia umysłu.

– Jak to Zadra. Ale wiedziałem, jaka jest, kiedy się z nią żeniłem. – Posłał Kollowi ten swój bezradny uśmiech. – Innej bym nie chciał.

– Niełatwo być z taką osobą.

– Powiem ci, jak trochę ze sobą pobędziemy. Połowę czasu spędza przy królowej. Poza tym ćwicz więcej niż kiedyś, więc zwykle zastaję ją śpiącą albo gotową do kłótni. – Westchnął i podrapał się w tył głowy. – No, ale o tym też wiedziałem, kiedy się z nią żeniłem.

– Niełatwo być z taką osobą – powtórzył Koll.

– Ha. – Brand zapatrzył się przed siebie, jak weteran, który nie potrafi się doszukać żadnego sensu w koszmarach, jakich był świadkiem. – Ona umie uwarzyć spór nawet z zupełnie niewinnych składników. No, ale to, co ma jakąś wartość, nie przychodzi łatwo. Kocham ją mimo wszystko. Kocham ją właśnie dlatego. Po prostu ją kocham. – Na jego twarzy znowu pojawił się ten sam bezradny uśmiech. – Każdy dzień niesie nowe przygody, ot co.

Rozległo się donośne pukanie. Brand otrząsnął się z zamyślenia i podszedł do drzwi. Rina posłała Kollowi całusa, on udał, że go chwyta i przyciska do serca, a wtedy ona udała, że rzyga na stół. Uwielbiał, kiedy to robiła.

– Cieszę się, że cię widzę, Brandzie.

Koll się zdziwił, widząc swojego nauczyciela w kuźni Riny.

– Ja również, Ojczy Yarvi.

Ludzi, którzy wspólnie odbyli długą podróż, łączy wyjątkowa więź, dlatego, choć Brand i Yarvi nie mogli bardziej się od siebie różnić, padli sobie w objęcia i minister serdecznie poklepał przykurczoną dłońią szerokie plecy kowala.

– Jak idzie kucie interesów? – zwrócił się do Riny.

– Mężczyźni zawsze potrzebują dobrych mieczy, Ojczy Yarvi – odparła. – A jak tam sprawy w świecie słów?

– Dobre słowa też są ludziom potrzebne. – Uśmiech ministra zastąpiła surowa mina, z jaką zawsze zwracał się do Kolla. – Miałem przeczucie, że cię tu zastanę. Już minęło południe.

– Naprawdę? – Koll zaczął ściągać fartuch, ale zaplątał się w troki. Na szczęście szybko się od nich uwolnił, po czym otrzepał dłonie z drzewnego pyłu.

– Zwykle to uczeń przychodzi do mistrza. – Koniec laski z elf-metalu zadzwonił o kamienną podłogę, gdy minister podszedł bliżej. – Chyba wciąż jesteś moim uczniem?

– Oczywiście, Ojczy Yarvi. – Koll z miną winowajcy unikał wzroku Riny.

Yarvi zmrużył oczy i zerknął najpierw na jedno, a potem na drugie. Nic nie mogło umknąć jego uwagi. Niewielu było ludzi bystrzejszych od niego.

– Mam nadzieję, że nakarmiłeś gołębie.

– Posprzątałem też klatki, posortowałem świeże zioła, przeczytałem kolejne dwadzieścia stron historii Gettlandu spisanej przez Matkę Gundring i nauczyłem się pięćdziesięciu słów w mowie Kalyivu. – Dawniej niekończące się pytania Kolla irytowały jego matkę, ale odkąd zaczął się uczyć na ministra, poznawał tyle odpowiedzi, że czasem pękała mu od nich głowa.

– Ignorancja jest pożywką dla strachu, Kollu. Jedyne wiedza jest w stanie go zdusić. Jak tam twoje postępy w studiowaniu ruchu gwiazd? Skopiowałaś mapy, które ci dałem?

Koll złapał się za głowę.

– O bogowie, tak mi przykro, Ojczy Yarvi. Zajmę się tym jeszcze dziś.

– Dziś nie. Za godzinę rozpocznie się wielka narada, a przed nią musisz jeszcze rozładować skrzynie.

Koll zerknął z nadzieją na Branda.

– Nie jestem zbyt dobry w dźwiganiu ciężarów...

– To słoje. Trzeba je rozpakować bardzo ostrożnie. Przysłała je cesarzowa Vialina. Przebyły długi szlak Boskiej i Zakazanej.

– Czyli że przysłała je Sumaela – stwierdził Brand.

– Tak. Przysłała je Sumaela. – Na wspomnienie jej imienia minister uśmiechnął się do siebie. – To broń, której użyjemy przeciwko Najwyższemu Królowi... – Urwał

i podszedł do Kolla, odgradzając go od Riny. Łaskę oparł w zgięciu łokcia lewej ręki, a zdrową dłonią podniósł pochwę i obrócił ją do światła, przyglądając się rzeźbionym wzorom. – Matka Wojna – przeczytał szeptem. – Patronka wron. Ta, której pióra są jak miecze. Ta, która zabiera poległych. Ta, która otwartą dłoń zamienia w pięść. Ty to wyrzeźbiłeś?

– A jest inny, który by to potrafił? – spytała Rina. – Pochwa jest tak samo ważna jak ostrze. Dobry miecz rzadko jest dobywany. To właśnie ją oglądać będą ludzie.

– Kiedy złożysz przysięgę ministra, Kollu, snycerka straci wspaniały talent. – Yarvi westchnął ciężko. – No, ale dłutem nie da się odmienić świata.

– Trochę się da – stwierdziła Rina, splatając ręce na piersi i spoglądając na ministra. – I to na lepsze.

– Jego matka prosiła, abym pomógł mu stać się jak najlepszym człowiekiem.

Koll gwałtownie pokręcił głową za plecami swojego nauczyciela, ale Rina nie zamierzała ustąpić.

– Niektórym podoba się taki, jaki jest – oznajmiła.

– Tego pragniesz, Kollu? Chcesz jedynie rzeźbić w drewnie? – Ojciec Yarvi odrzucił pochwę na ławę i położył zwiędłą dłoń na ramieniu ucznia. – A może wolałbyś stać u boku królów i wyznaczać bieg historii?

Koll spojrział najpierw na niego, a potem na Rinę, mrugając niepewnie. O bogowie, nikomu nie chciał sprawić zawodu, ale co miał zrobić? Ojciec Yarvi zwrócił mu wolność. Jaki syn niewolnika nie chciałby towarzyszyć monarchom, czując, że jest bezpieczny, szanowany i potężny?

– Wyznaczać bieg historii – wymamrotał, z poczuciem winy spuszczać wzrok. – Chyba...

NOWI PRZYJACIELE



Raith potwornie się nudził.

Wojny powinny się rozstrzygać na placu boju. A wojna przeciwko Najwyższemu Królowi oznaczała, że szykuje się bój, o jakim marzy każdy mężczyzna. Tymczasem zaczynało do niego docierać, że im większa wojna, tym więcej gadania. Gadania i czekania, i siedzenia na tyłku.

Najznakomitsze osobistości zajęły miejsca przy trzech długich stołach ustawionych w podkowę. O pozycji każdego z obecnych świadczył ustawiony przed nim puchar. Vansterowie zasiedli po jednej stronie, Gettowie po drugiej, a pośrodku został tuzin krzeseł dla Throvenów. Pustych, bo żaden się nie stawił. Raith żałował, że nie wziął z nich przykładu.

Ojciec Yarvi jak zwykle smęcił.

– Przed siedmioma dniami spotkałem się z wysłanniczką Babki Wexen.

– Powinnam przy tym być! – warknęła Matka Scaer.

– Bardzo bym tego chciał, lecz nie mieliśmy czasu cię powiadomić. – Yarvi podniósł zdrową dłoń, jak gdyby chciał dać wszystkim do zrozumienia, że nie znajdują uczciwszego od niego. – Niewiele jednak straciłaś. Matka Adwyn próbowała mnie zabić.

– Już ją lubię – szepnęła Raith do brata, a Rakki zdusił chichot.

Raith prędzej poszedłby do alkowy ze skorpionem, niż zamienił dziesięć słów z tym draniem o jednym kułaku. Rakki przezywał ministra pajakiem – bo rzeczywiście był chudy, podstępny i jadowity. Tyle że pająki polują jedynie na muchy, a Ojciec Yarvi zastawiał sieci na ludzi i trudno było przewidzieć, kto w nie wpadnie.

Nieco lepsze wrażenie robił uczeń ministra – patykowaty chłopak z czupryną jak u stracha na wróble i nierówno sypiącym się zarostem, który nie miał żadnej konkretnej barwy. Wydawał się niecierpliwym, ruchliwym i dziwnie rozedrgany. Wiecznie się uśmiechał, jakby był przyjacielem wszystkich, ale Raitha nie mógł

nabrać. Furia we wzroku, ból, nienawiść – w to potrafił uwierzyć. Uśmiech mógł maskować wszystko.

Raith zadarł głowę, puszczając szmer głosów mimo uszu, i zagapił się na wspaniałą kopułę Sali Bogów. Wyglądała okazale, ale według niego takie budowle nadawały się jedynie do tego, żeby puścić je z dymem. Posągi Wielkich Bogów spoglądały na niego potępiająco z góry, więc szyderczo wyszczerzył zęby. Bogowie też mu nie imponowali. Nawet do Matki Wojny modlił się rzadko i bez przekonania.

– Babka Wexen ogłosiła nas czarownikami i zdrajcami. Wydała dekret, który nakazuje usunąć nas z tego świata. – Ojciec Yarvi rzucił na stół zwój pergaminu, a Raith stęknął z niechęcią. Zwoje były mu jeszcze mniej potrzebne niż bogowie i budowle. – Zamierza nas zmiażdżyć.

– Nie zaproponowała pokoju? – zdziwiła się królowa Laithlin.

Minister zerknął na swojego ucznia i pokręcił głową.

– Nie.

Królowa westchnęła gorzko.

– Miałam nadzieję, że zaoferuje coś, co da nam pole do negocjacji. Z przelewu krwi nie da się czerpać wielkich zysków.

– Zależy, czyja jest ta krew i jak zostanie przelana. – Gorm obrzucił ponurym spojrzeniem puste krzesła. – Jak długo mamy czekać, aż król Fynn podzieli się z nami swoją mądrością?

– I tysiąc lat nie wystarczy – oznajmił Yarvi. – Fynn nie żyje.

Gdy echo jego słów umilkło, w wielkiej Sali Bogów zapadła cisza. Nawet Raith nadstawił uszu.

– Matka Kyre oddała klucz do twierdzy Baila w zamian za obietnicę pokoju, ale Babka Wexen ją zdradziła. Posłała do Yaletoftu Yillinga, aby wyrównał rachunki, zabił króla Fynna i spalił miasto.

– Zatem nie możemy liczyć na wsparcie Throvenlandu. – Siostra Owd, uczennica Matki Scaer, skrzywiła pulchną twarz, jak gdyby miała lada moment wybuchnąć płaczem.

Za to Raith uśmiechnął się od ucha do ucha. Może wreszcie zacznie się coś dziać.

– Ocalała tylko jedna osoba. – Królowa Laithlin pstryknęła palcami i drzwi do Sali Bogów otwarto na oścież. – Wnuczka króla Fynna, księżniczka Skara.

Na tle wejścia pojawiły się dwie ciemne sylwetki. Ich długie cienie padły na wypolerowaną posadzkę. Siny Jenner wyglądał tak samo nieporządnie jak w porcie.

Jego towarzyszka przygotowała się staranniej.

Miała na sobie suknię z pięknego zielonego materiału, który połyskiwał w świetle pochodni. Szła dumnie wyprostowana. Światło podkreślało jej wystające obojczyki. Kolczyk spływał klejnotami wzdłuż smukłej szyi, a na szczupłym ramieniu lśnił krwiste czerwony kamień osadzony w złotej bransolecie. Ciemne włosy, które wcześniej przypominały strzępiastą chmurę, wypomadowano, zapleciono i upięto w lśniący kok.

Bogowie, ależ się zmieniła. Mimo to Raith od razu ją rozpoznał.

– To ona – wyszeptał. – Dziewczyna, którą widziałem w porcie.

Rakki nachylił się ku niemu.

– Kocham cię, bracie, ale to dla ciebie za wysokie progi.

– Chciałabym podziękować... – Wydawała się blada i krucha jak skorupka jajka, lecz jej głos zabrzmiał czysto i donośnie, gdy podniosła ogromne zielone oczy ku posągom. – ...bogom za to, że uratowali mnie z rąk Yillinga Wspaniałego, a moim gospodarzom za to, że udzielili mi schronienia, gdy zostałam sama. Jestem wdzięczna mojej kuzynce, królowej Laithlin, której mądrość i spryt są powszechnie znane, ale dopiero teraz odkryłam, jak jest życzliwa i miłosierna. Dziękuję także Żelaznemu Królowi Uthilowi, który nad całym Morzem Drzazg słynie z żelaznej determinacji i żelaznej sprawiedliwości.

Król Uthil nieznacznie uniósł szare brwi, co było wyrazem wyjątkowego zadowolenia na jego zniszczonym obliczu.

– Jesteś tu mile widziana, księżniczko.

Skara z wdziękiem ukloniła się Vansterom.

– Grom-gil-Gormie, władco Vansterlandu, Łamaczu Mieczy, wielkim honorem jest dla mnie stanąć w twoim długim cieniu. Mogłabym bez końca przytaczać opowieści o twojej wielkiej sile i sprzyjającym ci orężu, jakie docierały do Yaletoftu, lecz twój łańcuch świadczy o nich najdobitniej.

– Ja również tak uważałem. – Gorm przesunął palcami po głowicach mieczy pokonanych wrogów, których sznur czterokrotnie oplatał gruby pień jego szyi. – Dopóki nie usłyszałem twoich pochwał, księżniczko. Teraz nie jestem już tego pewien.

Zwykłe słowa. Ale nawet Raith, który prawil komplementy nie lepiej od psa, zauważył, że każde pochlebstwo pasowało do próżności odbiorcy jak klucz do zamka. Atmosfera w Sali Bogów od razu się poprawiła. Do sojuszu dodano już za dużo dziegciu, tymczasem Skara częstowała obecnych miodem i wszyscy chętnie go

spijali.

– Zebrali się tu dziś wspaniali królowie – mówiła – mądra królowa, wojownicy godni pieśni i przebiegłi ministrowie. – Gdy przycisnęła szczupłą dłoń do brzucha, Raith odniósł wrażenie, że jej ręka drży. Szybko jednak przytrzymała ją drugą. – Jestem młoda i nie mam prawa zasiadać między wami, lecz prócz mnie nie został nikt, kto mógłby przemawiać w imieniu Throvenlandu. Nie robię tego dla siebie, lecz dla mojego ludu, który jest bezradny wobec wojowników Najwyższego Króla. Dlatego proszę was, abyście pozwolili mi zająć miejsce mojego dziada.

Na pewno niemałe znaczenie miał fakt, że nie opowiedziała się po żadnej stronie. Oraz to, że była młoda i pełna pokory, a w dodatku nie miała przyjaciół. Może zrobił na nich wrażenie jej melodyjny głos, bo gdy mówiła, stało się coś magicznego. Chwilę wcześniej nikt nie mógłby się przebić przez wrzawę, nawet gdyby niósł słowa na ostrzu włóczni. Teraz sala pełna najeżonych bohaterów trwała w głębokiej ciszy.

Wreszcie przerwał ją król Uthil. Jego głos zabrzmiał chropawo jak krakanie wrony po pieśni słowika.

– Postąpilibyśmy karczemnie, odmawiając tak wdzięcznie przedstawionej prośbie.

Monarchowie po raz pierwszy byli zgodni.

– To my powinniśmy cię prosić, abys zechciała zająć należne ci miejsce, księżniczko Skaro – oznajmił Gorm.

Następczyni tronu Throvenlandu skierowała się w stronę krzesła z wysokim oparciem, przeznaczonego dla króla Fynna. Raith powiódł za nią wzrokiem. Poruszała się tak płynnie, że gdyby niosła na głowie dzban piwa, nie uroniłaby ani kropli. Siny Jenner nieco zepsuł wrażenie, gdy plasnął na siedzisko obok niej, jak gdyby było ławą wioślarza.

Gorm łypnął ponuro na starego korsarza.

– Nie wypada, aby księżniczka miała tak skromną świtę.

– Nie przeczę. – Siny Jenner błysnął dziurawym uśmiechem. – Zapewniam, że nie był to mój pomysł.

– Każdemu władcy powinien towarzyszyć minister – oznajmiła Matka Scaer. – Aby pomagać w wyborze mniejszego zła.

– I większego dobra. – Siedzący przy przeciwległym stole Yarvi zmierzył ją wzrokiem.

– Jak najbardziej. Moja uczennica, Siostra Owd, doskonale zna języki oraz prawa

obowiązujące nad Morzem Drzazg, a poza tym jest zmyślną uzdrowicielką.

Raith ledwie powstrzymał się od śmiechu. Siostra Owd spojrzała na swoją mistrzynię i zamrugła półprzymtomnie. Sprawiała wrażenie równie zmyślniej jak rzepa.

– To jedno – wtrącił Gorm – lecz księżniczka oprócz porad potrzebuje również ochrony.

Głos Laithlin był jak lód.

– Moją kuzynkę chronią moi wojownicy.

– A kto ochroni ją przed nimi? Proponuję ci, Skaro, mojego mieczowego. – Ciężka łapa Gorma spadła na ramię Raitha. Chłopak poczuł się tak, jakby tuż obok niego strzeliła błyskawica. Śmiech zamarł mu w gardle. – Jest też moim cześnikiem. Za każdym razem, gdy biorę od niego puchar, moje życie jest w jego rękach, a piję często. Raith będzie spał pod twoimi drzwiami, księżniczko, i strzegł cię jak najwierniejszy pies.

– Wolałabym, aby przed jej komnatą było gniazdo żmij – warknęła Zadra Bathu.

Raithowi też nie podobał się ten pomysł. Wprawdzie chętnie patrzyłby na Skarę całymi dniami, ale perspektywa utraty miejsca, które sobie wywalczył, i zostania jej osobistym niewolnikiem nie wydawała mu się zachęcająca.

– Najjaśniejszy panie... – syknął.

Wkoło odzywały się głosy pełne oburzenia. Całe lata Raith i jego brat razem służyli królowi. Świadomość, że władca pozbywa się go tak beztrzesko, była jak pchnięcie noża. Poza tym kto miał teraz czuwać nad Rakkim? To Raith był tym silnym, obaj zdawali sobie z tego sprawę.

Dłoń Gorma zacisnęła się mocniej na ramieniu chłopaka.

– Ona jest kuzynką Laithlin – wyszeptał władca Vansterów. – Prawie Gettką. Nie spuszczaaj z niej oka.

– Ale moim zadaniem jest walczyć u twojego boku, a nie bawić się w niańkę jakiejś...

Silne palce wpiły się w jego ramię z taką siłą, że Raith niemal krzyknął.

– Nie zmuszaj mnie, abym powtarzał prośbę.

– Przyjaciele! Proszę! – zawołała Skara. – Mamy dość wrogów! Nie kłóćmy się między sobą. Będę ogromnie wdzięczna za twoje porady, Siostrzo Owd. I za ochronę Raitha.

Chłopak rozejrzał się po sali. Miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą. Jego

władca obwieścił swoją wolę. Raith miał do powiedzenia tyle, co ogar podczas łowów.

Nogi jego krzesła zaszurały o posadzkę, gdy wstał i sztywno zsunął wielki miecz Gorma z ramienia. Przez trzy lata czyścił go, ostrzył, nosił i trzymał przy sobie nawet podczas snu. Bez jego ciężaru czuł, że się garbi. Miał chęć cisnąć oręż na podłogę, ale nie był w stanie tego zrobić. Potulnie oparł broń o krzesło, poklepał zdumionego brata po ramieniu i w jednej chwili z królewskiego mieczowego stał się lokajem księżniczki.

Jego kroki rozbrzmiewały echem pośród pełnej dezaprobaty ciszy. W końcu jak odrętwiała plasnął na krzesło obok swojej nowej pani. Czuł się pokonany, choć nie miał szans stanąć do walki.

– Może wróćmy wreszcie do tematu wojny – zgrzytnął król Uthil i debata rozgorzała na nowo.

Skara nawet nie spojrzała na nowego sługę. Niby po co miałyby to robić? Pochodzili z różnych światów. Sprawiała wrażenie idealnej jak artefakt, który wyszedł spod rąk elfów. W towarzystwie takich znakomitości wydawała się pewna siebie i spokojna jak górski staw pod gwiazdami.

To była dziewczyna – a raczej kobieta – która nie znała strachu.

KREW BAILA



Skara bała się niemal tak samo jak wtedy, gdy stała twarzą w twarz z Yillingiem. Przez całą noc nie zmrużyła oka. Bez końca rozważała, co powinna powiedzieć i jak. Przypominała sobie nauki Matki Kyre i postępowanie dziada. W ciemnościach szeptem modliła się do Tej, która wypowiedziała pierwsze słowo.

Na śniadanie nie zjadła ani okruszyny, bo z nerwów żołądek podchodził jej do gardła. Miała wrażenie, że wszystko i tak zaraz wyleciałoby drugą stroną. Zastanawiała się, co by było, gdyby wśród tak znakomitych osobistości puściła siarczystego bąka.

Zaciskała na poręczach pobielające palce, jak gdyby jej krzesło unosiły fale wzburzonego morza. Z półmrocznej głębi Sali Bogów dryfowały ku niej gniewne twarze, lecz nie była w stanie ich studiować, tak jak uczyła ją Matka Kyre. Powinna w nich czytać, odkrywać wątpliwości, nadzieje i tajemnice, szukać czegoś, co mogłaby wykorzystać.

Zamknęła oczy. W myślach raz po raz powtarzała słowa dziada: „Nigdy nie brakowało ci odwagi, Skaro. Odwagi. Odwagi”.

Młody Vanster, Raith, nie dodawał jej otuchy. Owszem, robił wrażenie. Jak topór przystawiony do gardła. Jego blada twarz wyglądała jak wykuta w srebrze, w uchu widniał wyraźny karb, krótkie włosy, oszpecone bliznami brwi, a nawet rzęsy miał białe, a czoło marszczyło się gniewnie, jak gdyby wyżęto z niego wszelkie uczucia i zostawiono jedynie pogardę.

Pochodzili z zupełnie różnych światów. Chłopak wyglądał okrutnie i dziko jak groźny brytan. Pośród niebezpiecznych wojów wydawał się spokojny i wyniosły niczym wilk na czele watahy. Pewnie czułby się swobodnie w Kompanach Yillinga Wspaniałego. Skara przełknęła kwaśną ślinę, starając się nie myśleć o tym, że siedzi obok niej.

– Śmierć czeka wszystkich. – Zgrzytliwy głos króla Uthila dotarł do niej z pogłosem, jak gdyby monarcha stał nad studnią, w której Skara tonęła. – Mądry

wojownik przemawia mieczem. Celuje w serce. Naciera z zaskoczenia i krzyżuje plany wroga. Najlepszą odpowiedzią jest stal. Zawsze. Musimy zaatakować.

Jak należało się spodziewać, po stronie Uthila rozległ się szmer aprobaty. Tymczasem zgromadzeni za Gormem mruknęli z pogardą, co również nie było zaskoczeniem.

– Mądry wojownik nie gna bez zastanowienia prosto w objęcia Śmierci. Nie zapomina o zasłonie. – Gorm czule pogładził wielką czarną tarczę, którą trzymał brat bliźniak Raitha. – Zwabia wroga na swoją ziemię, a potem go miażdży.

– Co zyskujesz, przedkładając tarczę nad miecz? – prychnął Uthil. – Tutaj, w tej sali, rzuciłem ci wyzwanie, a ty czmychnąłeś niczym zbity pies.

Siostra Owd wysunęła się naprzód. Jej twarz kojarzyła się Skarze z brzoskwiniami, które dawniej rosły pod murami twierdzy Baila: miękka, okrągła, z rumieńcami i delikatnym puszkciem.

– Dostojni królowie, spory nam nie pomogą...

Grom-gil-Gorm zagłuszył ją niczym grzmot pieśń ptaka.

– Gdy ostatnio Gettowie i Vansterowie spotkali się na placu boju, twojego słynnego miecza tam zabrakło, Żelazny Królu. Posłałeś kobietę, aby walczyła w twoim imieniu. Pokonałem ją, lecz pozwoliłem jej żyć...

– Możemy jeszcze raz się zmierzyć, ty wielki balasie – warknęła Zadra Bathu.

Skara zauważyła, że Raith zacisnął na poręczy krzesła dłoń, wielką i bladą, ze szramami kreślącymi zygzaki w poprzek grubych palców. Dłoń, której naturalnym kształtem była pięść. Skara ujęła go za nadgarstek i pierwsza wstała z miejsca.

– Musimy dążyć do porozumienia! – zawołała, ale zabrzmiało to jak krzyk rozpacz. Przełknęła ślinę, gdy poczuła na sobie wrogie spojrzenia. Miała wrażenie, że celuje w nią szereg ostrych włóczni. – Najmądrzejszy z wojowników używa i tarczy, i miecza we właściwym czasie.

Trudno było odeprzec taki argument, ale obecni znaleźli sposób.

– Jedynie dowódcy flot powinni decydować o strategii – oznajmił król Uthil, nieugięty jak brzozowy drąg.

– Ty wspomagasz nasz sojusz zaledwie jedną załogą – dodał król Gorm, bawiąc się łańcuchem.

– Za to dobrą – wtrącił Jenner. – Ale nie przeczę, że jest tylko jedna.

Siostra Owd podjęła jeszcze jedną próbę.

– Zasady określone przez Ashenleer u zarania dziejów przyznają głos każdej

stronie sojuszu, niezależnie od... niezależnie... – Słowa uwięzły jej w gardle, a ich echo umarło powoli w wielkiej Sali Bogów, gdy dziewczyna pochwyciła wyjątkowo lodowate spojrzenie dawnej mistrzyni, Matki Scaer.

Skara z trudem panowała nad głosem.

– Mielibyśmy więcej okrętów, gdyby żył mój dziad.

– Ale nie żyje. – Uthil nie zamierzał się silić na delikatność.

– Poza tym zdradził nas, idąc na układ z Babką Wexen. – Gorm rzucił pochmurne spojrzenie rywalowi.

– Nie zostawiliście mu wyboru – warknęła Skara. Jej wybuch zaskoczył wszystkich, a najbardziej ją samą. – Sojusznicy mieli przybyć mu z pomocą, ale spierali się o to, kto ma gdzie siedzieć, podczas gdy on konał w samotności!

Jeśli słowa rzeczywiście były orężem, te trafiły w cel. Wykorzystała milczenie, jakie zapadło na sali, pochyliła się lekko nad stołem i mocno oparła zaciśnięte pięści – choć drobne – o blat, tak jak dawniej robił to jej dziad.

– Yilling Wspaniały pustoszy i pali Throvenland! Dławi wszelki opór i przygotowuje drogę dla wielkiej armii Najwyższego Króla. Wierzy, że jest niezwyciężony! – Zaczekała, aż zuchwałość Yillinga ukłuje wrażliwą dumę zgromadzonych wojowników, po czym dodała ciszej: – Lecz flotę musiał zostawić.

Uthil spojrział na nią szparkami szarych oczu.

– Okręt wojownika jest jego najpewniejszą bronią, rezerwą i szansą ucieczki.

– Jego domem i sercem. – Gorm powoli przeczesał palcami brodę. – Gdzie są teraz okręty Yillinga?

Skara oblizwała usta.

– W porcie twierdzy Baila.

– Ha! – Na wytatuowanym przegubie Matki Scaer zabrzczały elf-bransolety, gdy plasnęła dłonią w stół, jak gdyby to o wszystkim przesądzało. – Bezpieczne za grubymi łańcuchami.

– Twierdzę zbudowały elfy – odezwał się Ojciec Yarvi. – Jest nie do zdobycia.

– Nieprawda! – Głos Skary odbił się echem od kopuły niczym trzask bata. – Urodziłam się tam i znam jej słabe punkty.

Uthil drgnął z irytacji, lecz Laithlin delikatnie położyła dłoń na jego zaciśniętej pięści.

– Pozwól jej mówić – szepnęła, nachylając się ku niemu.

Król spojrział na żonę i na moment jego spojrzenie złągodniało.

Skara zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest człowiekiem z żelaza, czy może z krwi i kości, tak jak inni, tyle że tkwi w żelaznej klatce swojego imienia.

– Mów, księżniczko. – Władca Gettów obrócił rękę, ścisnął dłoń Laithlin i odchylił się na oparcie krzesła.

Skara wyciągnęła szyję, aby jej słowa dotarły w najdalsze zakamarki sali. Chciała wypełnić ją całą swoimi nadziejami i pragnieniami, aby każdy z obecnych poczuł to co ona. Tak uczyła ją Matka Kyre.

– Elf-murów nie da się przebić, ale miejscami popękały podczas rozbicia Bóstwa. Luki załatali ludzie. Matka Wód nieustannie podgryza ich fundamenty. Aby je umocnić, mój dziad nakazał wznieść dwie wielkie przypory w narożniku od południowego zachodu. Są ogromne i jedna niemal dotyka skalnej ściany klifu. Zwinny wojownik mógłby się tamtędy wspiąć na mury i wpuścić do środka pozostałych.

– Chyba raczej zwinny szaleniec – mruknął Gorm.

– Nawet jeżeli kilku dotrze na samą górę, Yilling jest znakomitym strategiem wojennym. Nie popełniłby błędu, zostawiając bramę bez straży...

– Jest jeszcze inne wejście, tunel i ukryta furta. Przechodzić przez nie trzeba pojedynczo, ale tamtędy reszta wojowników mogłaby się dostać do środka. – W głosie Skary brzmiała desperacja. Bardzo pragnęła przekonać zgromadzonych. Na szczęście Siny Jenner okazał się znakomitym dyplomatą, choć na takiego nie wyglądał.

– Nie jestem wielkim uczonym – przyznał – ale znam Morze Drzazg i wiem, że Przyładek Baila jest bramą do niego, a twierdza kluczem. Stamtąd można sprawować kontrolę nad cieśninami Skeken. Dlatego Babce Wexen tak zależało na fortecy. Dopóki znajduje się w łapach Yillinga, może on uderzyć wszędzie, jeśli jednak zdołamy ją odbić... – Weteran puścił oko do Skary.

– Odniesiemy zwycięstwo godne pieśni – zawołała – i sam Najwyższy Król poczuje się zagrożony.

Po sali przebiegł szmer. Mężczyźni wazyli ryzyko. Skara obudziła w nich ciekawość. Niestety obaj monarchowie zachowywali się jak uparte woły, trudno było zaprząć ich do jednego jarzma.

– A jeżeli flotę już przeniesiono gdzie indziej? – zgrzytnął Uthil. – Albo zawodzi cię pamięć co do słabych miejsc fortecy Baila? A może Yilling również o nich wie i pilnie ich strzeże?

– Wtedy Śmierć czeka nas wszystkich, Żelazny Królu. – Skara nie mogła

zwyciężyć potulnością, zwłaszcza takich przeciwników. – Słyszałam, jak mówiłeś, że powinniśmy celować w samo serce. Sercem Yillinga jest jego największa duma. Jego flota.

– To ogromne ryzyko – mruknął Gorm. – Możemy napotkać niejedną przeszkodę...

– Aby zwyciężyć silniejszego przeciwnika, trzeba r y z y k o w a ć . – Skara uderzyła pięścią w stół. – Mówiłeś, że powinniśmy stanąć do walki na własnej ziemi, a czy znajdziemy lepsze miejsce niż najpotężniejsza forteca nad Morzem Drzazg?

– To nie moja ziemia – burknął Gorm.

– Ale moja! – Głos Skary ponownie się załamał, lecz zdołała nad nim zapanować. – Zapomnieliście o czymś! W moich żyłach płynie krew samego Baila!

Wyczuła, że zaczynają się wahać. Ich wzajemna nienawiść, lęk przed Najwyższym Królem, przeświadczenie, że muszą sprawiać wrażenie nieustraszonych, i żądza chwały balansowały na ostrzu miecza. Prawie ich przekonała, ale w każdej chwili mogli się wycofać na sporne pole od lat przez obu orane, a wtedy straciłaby szansę.

„Tam, gdzie zawodzi rozsądek, może poskutkuje szaleństwo”, powiedziała jej kiedyś Matka Kyre.

– Chcecie ją zobaczyć? – Skara wyrwała Raithowi sztylet zza pasa.

Próbował go jej odebrać, ale nie zdążył. Przytknęła lśniący sztych do nasady kciuka i rozcięła wewnątrz dłoni aż po mały palec.

Spodziewała się kilku szkarłatnych kropli, lecz Raith sumiennie ostrzył broń. Krew bluznęła na stół, opryskała pierś Siniego Jennera i okrąglą twarz Siostry Owd. Zabrział chór tłumionych jęków. Skara była najbardziej zdumiona ze wszystkich, ale teraz już się nie mogła wycofać. Musiała kontynuować tę szaloną szarżę.

– I co zrobicie? – Podniosła pięść ku obliczom Wielkich Bogów. Strużki krwi ściekały wzdłuż jej przedramienia i skapywały na blat. – Dumni wojownicy, czy dobędziecie mieczy i przelejecie swoją krew razem z moją? Oddacie się Matce Wojnie i zaufacie orężu? Czy też będziecie dalej kulili się w cieniu i dziobali nawzajem słowami?

Krzesło Grom-gil-Gorma przewróciło się, gdy gwałtownie wyprostował potężną sylwetkę. Wykrzywił się, napinając mięśnie zuchwy. Skara spodziewała się miażdżącego ataku jego furii. Dopiero gdy splunął czerwienią na stół, pojęła, że przygryzł język.

– Flota Vansterlandu wyruszy za pięć dni – zagrział Łamacz Mieczy. Krew wsiąkała mu w brodę.

Król Uthil wstał. Nagi miecz, który stale tulił w ramionach, wysunął z objęć i oparł przed sobą. Dłonią objął ostrze pod krzyżem i ścisnął tak, że zbieleły mu kłykcie. W zbroczu pojawiła się strużka krwi. Powoli spłynęła aż po sztych, a potem rozlała się lśniąca czerwienią wokół stali.

– Flota Gettlandu wyruszy za cztery – oznajmił.

Wojownicy po obu stronach gruchnęli pięściami w stoły, zadzwonili bronią i zaczęli wiwatować na widok krwi, choć nie oznaczała wygranej bitwy, a większość należała do siedemnastoletniej dziewczyny.

Skara odchyliła się na oparcie, bo nagle zakreśliła jej się w głowie. Ktoś wyjął z jej ręki nóż. Siostra Owd rozcięła swój rękaw i oddarła pas płótna, a potem ujęła dłoń Skary i zaczęła ją z wprawą bandażować.

– To musi wystarczyć, potem będę mogła zszyć ranę – powiedziała, ściągając brwi. – Więcej tak nie rób, księżniczko.

– Nie ma obaw... au! – O bogowie, dopiero teraz zaczęło ją boleć. – Tę lekcję dobrze zapamiętam.

– Za wcześnie na świętowanie zwycięstwa! – zawołał Ojciec Yarvi, uciszając zebranych. – Najpierw musimy zdecydować, kto wdrapie się na fortecę.

– Tam, gdzie potrzeba wyjątkowej siły i zręczności, mój chorąży Soryorn nie ma sobie równych. – Gorm wsunął palce pod wysadzaną granatami obręcz na szyi wysokiego Shenda. – W drodze z Vansterlandu trzykrotnie przebiegł po wiosłach tam i z powrotem, choć morze było wzburzone.

– Nie znajdziecie nikogo zwinniejszego i sprytniejszego od mojego ucznia, Kolla – zapewnił Ojciec Yarvi. – Zaświadczy o tym każdy, kto widział, jak chłopak wspina się na klify po jajka gniazdujących tam ptaków.

Obecni Gettowie pokiwali głowami. Tylko sam uczeń siedział nieruchomo, jak gdyby myśl o tym przyprawiała go o mdłości, podobnie jak Skarę.

– Może urządzimy zawody? – zaproponowała królowa Laithlin. – Aby sprawdzić, kto najlepiej się nadaje do tego zadania?

Skara uznała pomysł za wyjątkowo przebiegły – coś, co mogło zająć uwagę baranów, aby nie trykały się łbami między sobą, zanim ruszą na wojnę.

Siostra Owd delikatnie oparła o blat zabandażowaną dłoń księżniczki.

– Pradawne prawa i odwieczne zwyczaje nakazują, aby Throvenland również wystawił swojego zawodnika jako równorzędny partner sojuszu – powiedziała głośno. Tym razem nie spojrzała w lodowate oczy Matki Scaer, za to wyprostowała

się dumnie, zadowolona z siebie.

Skara nie była tym zachwycona. Nie miała silnych ani zwinnych ludzi, tylko Sinego Jennera.

Stary rozbójnik uniósł krzaczaste brwi, gdy na niego zerknęła.

– Nawet schody są dla mnie wyzwaniem – mruknął.

– Ja będę cię reprezentował – oznajmił Raith. Skara po raz pierwszy zobaczyła jego uśmiech. Wydawał się rozpalać jego chłodne oblicze. Błysk odwagi i szelmostwa w jego oczach sprawił, że wydał się jeszcze bardziej przystojny. – W końcu to lepsze niż ciągłe gadanie, nie?

SZANSE



Nie mieliśmy okazji porozmawiać – powiedział Siny Jenner.

– Kiepski ze mnie rozmówca – burknął Raith.

– Jesteś z tych, co wolą się bić?

Chłopak nie odpowiedział. Gdyby to zrobił, w ruch poszłyby pięści.

– Muszę mieć pewność, że księżniczka jest bezpieczna – wyjaśnił stary korsarz.

– Dlatego właśnie tu jestem. – Raith skinął głową ku drzwiom.

– Aha. – Oczy Jennera zwięziły się do szparek. – Ale czy z twojej strony nic jej nie grozi?

– A jeśli tak, to co? – Raith przysunął się do niego i wyszczerzył zęby. Miał minę, jakby zamierzał walnąć go głową. Musiał dowieść, że jest najokrutniejszym z drani. Ten, kto okazywał słabość, był z góry przegrany. – Jak mnie powstrzymasz, staruchu?

Siny Jenner się nie cofnął, tylko podniósł pobrużdżone dłonie.

– Powiem: „Hej! Hola, młokosie! Taki dziad jak ja miałyby walczyć z takim młodym bohaterem? Co to, to nie!”. I powolutku bym się wycofał.

– Właśnie – warknął Raith.

– Potem podskoczyłbym do swojej załogi i wybrał sześciu największych wioślarzy. Tych ze środka, co umieją porządnie ciągnąć, ale i cichuteńko się zakraść. Po zmroku dwóch z nich opatuliłoby cię ciepło twoim kocykiem. – Jenner lekko trącił wierzchem dłoni koc przewieszony przez ramię Raitha. – A czterech pozostałych przyniosłoby solidne kołki i tak długo tłukło nimi w pakunek, aż nie zostałyby w nim nic twardego. Miazgę kazałbym zanieść Grom-gil-Gormowi, najlepiej bez rozwijania, bo po co brudzić podłogę w komnatach księżniczki Skary. Łamaczowi Mieczy bym powiedział, że chłopak, którego nam pożyczył, okazał się zbyt drażliwy i nam się nie ułożyło. – Ogorzała twarz Jennera zmarszczyła się w uśmiechu jak stare buty. – Przyznaję jednak, że wolę nie powiększać listy moich żalów. Bogowie mi świadkami, że mam ich niemało. Chcę dać ci szansę, abyś mógł

dowieść, że można ci ufać.

Dobrze odpowiedział. Nie dało się zaprzeczyć. Sprytnie i z żelazną nutą w głosie. Raith wypadł na tępego oprycha, co mu się nie podobało. Wolał być zmyślnym oprychem. Odsunął się, dając Jennerowi nieco więcej miejsca, bo nagle poczuł dla niego ogromny szacunek.

– A jeżeli nie można mi ufać? – spytał.

– Przekonałem się, że wystarczy dać ludziom szansę na poprawę. Większość z niej korzysta.

Raith miał zgoła inne doświadczenia.

– Jesteś pewien, starcze?

– Obaj będziemy mieli okazję się przekonać, młokosie. Chcesz dodatkowy koc? Noce tu są zimne.

– Jakoś przetrwałem zimniejsze. – Raith chętnie wzięłby drugie okrycie, lecz musiał udawać, że nic go nie zmoże. Szczelniej otulił się tym, który miał, i usiadł. Jeszcze przez chwilę słyszał oddalające się szuranie butów starego pirata. Tęsknił za mieczem Gorma. Tęsknił za bratem. Ale zimne przeciągi, zimne kamienie i zimna cisza były takie same jak zawsze.

Zastanawiał się, czy sny również.

SPOSÓB NA ZWYCIĘSTWO



Kiedy uderzę w dzwon, rozpoczniecie wspinaczkę.

– Tak jest, najjaśniejsza pani – wychrypiał Koll. Niewiele osób na świecie podziwiał tak jak królową Laithlin i niemal wszystkie były tu teraz i patrzyły. Miał wrażenie, że połowa mieszkańców znad Morza Drzazg tłoczy się na dziedzińcu cytadeli w cieniu wielkiego cedru, ciśnie w oknach lub gapi z dachów i murów obronnych.

Król Uthil czekał na szczycie schodów przed Salą Bogów. Po jego prawicy stał Ojciec Yarvi podparty laską, a obok niego Rulf drapał się w króciutkie włosy nad uszami i spoglądał na Kolla z uśmiechem, który miał dodać chłopakowi otuchy. Po przeciwnej stronie, na platformie dokładnie tej samej wysokości co schody, ustawił się Grom-gil-Gorm. Złote zygzaki w jego kolczudze połyskiwały w blasku porannego słońca. Obok władcy Vansterów klęczał jego białowłosy tarczowy. Matka Scaer mocno mrużyła niebieskie oczy.

Rina też znalazła sobie miejsce – jak zawsze. Na szczycie dachu na lewo od Kolla. Kiedy spojrzał w jej kierunku, zaczęła machać jak szalona, obracając otwartą dłoń w geście, który miał przynieść mu szczęście. O bogowie, jakże żałował, że nie jest tam razem z nią. Albo w jej kuźni. A najlepiej u niej w łóżku. Odsunął od siebie tę myśl. Obok dziewczyny stał jej brat. Koll nie mógł liczyć, że Brand będzie wiecznie trwał w nieświadomości.

Królowa Laithlin podniosła szczupłą bladą rękę, wskazując wierzchołek cedru. Na najwyższej gałęzi coś połyskiwało.

– Zwycięzcą zostanie ten, kto przyniesie księżniczce Skarze jej bransoletę.

Koll otrząsnął się cały od palców stóp po cebulki włosów, aby pozbyć się napięcia. Zerknął na maszt, który tkwił w ziemi obok Zadry. Własnoręcznie wyrzeźbił go od podstaw po wierzchołek podczas długiej podróży do Pierwszego z Miast i z powrotem.

Bogowie, ależ był dumny z tego masztu. Z wyrzeźbionych scen i ze swojej roli

w historii, którą opowiadały. Dokonano wówczas wielu odważnych czynów. Teraz także potrzebował odwagi. Miał pewność, że da radę zwyciężyć. Nie wiedział tylko, czy tego chce. Inni uważali go za bystrego, mimo to zbyt często dawał się zapędzić w jakiś głupi róg.

– Bogowie mają dziwne poczucie humoru – westchnął, po swojemu furcząc wargami.

– Nie da się ukryć – przytaknął mu były podczaszy Gorma, Raith, ponuro łypiąc na tłum. – Kiedy w Vulsgardzie wchodziłem na pokład, nie sądziłem, że będę musiał łązić po drzewach. – Nachylił się bliżej, jak gdyby chciał się podzielić jakąś tajemnicą. Koll mimowolnie zrobił to samo. – Ani że będę niańczył jakąś chudą dziewczuchę.

Księżniczka Skara stała między wielkooką Siostrą Owd i niechlujnie ubranym Sinyem Jennerem. Wydawała się tak samo idealna i krucha jak porcelanowe figurki, na które Koll gapił się dawno temu w Pierwszym z Miast, zastanawiając się, jak zostały zrobione.

– Wyjątkowo urodziwi mają w życiu za łatwo – stwierdził. – Wszędzie korzystają z przywilejów.

– Wierz mi, nam, ślicznotkom, jest tak samo ciężko jak całej reszcie – odparł Raith.

Koll spojrział na niego.

– Nie jesteś aż takim draniem, za jakiego cię uważałem.

– Za słabo mnie znasz. Hej, patrz, tamten traktuje to chyba poważnie.

Shend Grom-gil-Gorma rozebrał się do pasa. Na szerokich plecach widniały wypalone blizny, które układały się we wzór drzewa o szerokiej koronie. Robił niezłe przedstawienie. Prężył smukłe mięśnie, rozciągał się, wykonywał skrepy tułowia i skłony.

Raith patrzył na to, drapiąc korb w płatku ucha.

– Myślałem, że mamy się wspinać, a nie tańczyć.

– Ja też. – Koll wyszczerzył zęby. – Może ktoś nas wprowadził w błąd.

– Mam na imię Raith. – Białowłosa przyjaźnie wyciągnął rękę.

Uczeń ministra uśmiechnął się w odpowiedzi.

– A ja Koll. – Ucisnął wyciągniętą dłoń, tak jak Raith się spodziewał, bo słabi zawsze chętnie przyjmują gesty przyjaźni silnych. Uśmiech Getta szybko zgasł, gdy

stwierdził, że nie może uwolnić ręki. – Co ro...

Królowa Laithlin uderzyła w dzwon.

Raith szarpnął chłopaka ku sobie i wałnął go czołem w twarz.

Potrafił się wspinać, ale zgadywał, że obaj przeciwnicy są w tym lepsi. Jeśli chciał zwyciężyć – a zawsze chciał – musiał zadbać o to, aby w zawodach liczyło się co innego. Walił bębem umiał jak nikt inny, o czym Koll właśnie się przekonał.

Na wszelki wypadek rąbnął go jeszcze trzy razy pięścią w żebra, tak że chłopak zgiął się wpół, charcząc i plując krwią z rozciętych ust. Na koniec chwycił Kolla za koszulę i cisnął go do góry nogami na stół, przy którym siedzieli Gettowie.

Za sobą usłyszał wrzawę. Tłum obrzucał go wyzwiskami, lecz jemu w uszach tętniła krew. Skupiał się tylko na drzewie. Wysoki Soryorn już podciągał się na najniższe konary. Wystarczyła najmniejsza przewaga, a Raith by go nie dogonił.

Wziął rozbieg, mocno odbił się od ziemi i złapał za najniższą gałąź. Zamachem wskoczył na wyższą, a z niej wdrapał się na kolejną. Gałązki trzaskały pod jego ciężarem. Przy następnym skoku wyciągnął się najdalej jak zdołał, złapał Soryorna za kostkę i szarpnął go w dół. Kikut odłamanej gałęzi zostawił szramę wzdłuż pokrytych bliznami pleców Shenda.

Soryorn wierzgnął i trafił Raitha w usta, ale chłopaka nigdy nie zniechęcał smak własnej krwi. Warknął i wciągnął się wyżej, nie zważając na smagające go pędy i na ból w lewej dłoni. Ponownie chwycił Soryorna za kostkę, potem za pas, a wreszcie za wysadzaną granatami obręcz na szyi.

– Co robisz? – warknął chorąży, próbując dźgnąć go łokciem.

– Wygrywam – syknął Raith, podciągając się na wyższe konary.

– Gorm chce, żebym to ja zwyciężył!

– Ja służę księżniczce Skarze, zapomniałeś?

Raith wałnął przeciwnika pięścią między nogi, tak że niewolnik wybałuszył oczy. Potem uderzył go w twarz i szarpnął mu głowę do tyłu. Gdy Shend próbował go chwycić, Raith z całej siły ugryzł go w dłoń i Soryorn poleciał w dół przez gęszcz gałęzi, krzycząc chrapliwie. Głową uderzył o jeden z konarów, drugi zgiął go wpół, a trzeci zahaczył tak, że Shend obrócił się parę razy wokół własnej osi, zanim uderzył o ziemię.

No cóż, jednego czekało zwycięstwo, drugiego upadek.

Raith wdrapał się do miejsca, gdzie korona zaczęła się przerzedzać. Z tej wysokości patrzył poza mury cytadeli. Matka Wód lśniła w oddali, a w porcie

Thorlby kołysał się las masztów. Słona bryza musnęła całusem jego spocone czoło.

Ściągnął bransoletę z najwyższej gałęzi i chciał wsunąć ją na rękę, lecz obręcz pasowała na wiotkie przedramię Skary i za nic nie chciała wejść na jego przegub. Schował ją więc w sakiewce u pasa i zaczął się zsuwać.

Silniejszy podmuch wiatru zakołysał całym drzewem. Konary skrzypnęły, muskając igłami Raitha, który przylgnął do pnia. Kątem oka dostrzegł jakiś błady błysk, ale gdy spojrział w dół, zobaczył jedynie Soryorna, który bezskutecznie próbował się wdrapać na najniższe gałęzie. Ucznia ministra nigdzie nie widział. Pewnie siedział gdzieś i płakał z powodu rozkwaszonej gęby. Może i umiał się wspinać, ale nie miał w sobie ducha walki, a żeby wejść na fortecę Baila, potrzebna była waleczność.

Raith puścił ostatnią gałąź i zeskoczył na ziemię.

– Ty mały draniu! – warknął Soryorn. Podczas upadku chyba zranił się w nogę, bo starał się na niej nie stawać, palcami stopy ledwie dotykając ziemi. Kurczowo przytrzymał się najniższego konaru.

Raith się roześmiał, doskoczył do Shenda, ramieniem pchnął go w żebra i przycisnął do pnia z taką siłą, że niewolnik ze świstem wypuścił z płuc całe powietrze.

– Ty wielki draniu – rzucił i zostawił jęczącego Soryorna na ziemi.

Chorąży był jego dobrym przyjacielem. Powinien wiedzieć, że nie może się tak odsłaniać.

– Księżniczko.

Skara obrzuciła Raitha spojrzeniem, w którym – miała nadzieję – kryło się rozczarowanie.

– Nie było to uczciwe zwycięstwo – stwierdziła.

Wzruszył ramionami, patrząc jej prosto w oczy.

– Uważasz, że Yilling Wspaniały nie śpi po nocach, rozmyślając o uczciwości?

Skara poczuła, że się rumieni. Chłopak zupełnie nie miał manier i nie okazywał jej najmniejszego szacunku. Matkę Kyre zapewne oburzyłoby takie zachowanie. Może właśnie dlatego Skarze zupełnie ono nie przeszkadzało. Nieprzyzwyczajona do takiej bezceremonialności, traktowała ją jak powiew świeżości, a nawet jak fascynującą odmianę.

– Uważasz, że powinnam posłać psa, aby dopadł innego psa? – spytała.

Raith zachichotał chrapliwie.

– Poślij mordercę, żeby zabił mordercę. – Chłopak sięgnął po sakiewkę i jego śmiech umilkł.

W tej samej chwili Koll swobodnym krokiem wyszedł zza cedru. Po drodze pomógł Soryornowi wstać. Miał rozciętą wargę i spuchnięty, zakrwawiony nos, ale się uśmiechał.

– Zgubiłeś coś, przyjacielu? – spytał, patrząc, jak Raith obmacuje ubranie. Wykonał smukłą dłonią teatralny gest i jak znikąd pojawiła się w niej bransoleta, którą niegdyś Bail Budowniczy zakładał, ruszając do boju. Uczeń ministra złożył jak najbardziej poprawny ukłon. – To chyba należy do ciebie, księżniczko.

Raith rozdziawił usta.

– Ty złodzieju...

Koll uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując zakrwawione zęby.

– Sądzisz, że Yilling Wspaniały nie śpi po nocach, rozmyślając o złodziejach?

Raith próbował wyrwać mu bransoletę, lecz Koll był za szybki. Podrzucił ją do góry.

– Przegrałeś – oznajmił i złapał ozdobę, zanim Raith zdążył zamknąć wokół niej palce. Potem zwinnie przerzucił ją z lewej ręki do prawej, a białowłosa giermek chwycił powietrze. – Ale nie trać poczucia humoru!

Skara zauważyła, że Raith zacisnął pięści, gdy Koll znowu podrzucił klejnot.

– Dość tego! – Wsunęła się między rywali, aby nie dopuścić do kolejnej bójki, i złapała ozdobę w powietrzu. – Ogłaszam zwycięstwo Gettlandu! – zawołała, po czym włożyła bransoletę na nadgarstek i przesunęła ją w górę przedramienia.

Gettowie zaczęli wiwatować. Vansterowie w milczeniu patrzyli, jak Soryorn, utykając, opuszcza plac, wsparty na ramieniu Matki Scaer. Co do niewielkiej świty Skary, Raith miał minę, jakby połknął topór, a Sinemu Jennerowi z oczu płynęły łzy, ale tylko dlatego, że nie mógł przestać się śmiać.

Zadra Bathu złożyła ręce wokół ust, aby przekrzyczeć tłum.

– Wspinaczki na maszt nie poszły na marne! – zawołała do Kolla.

– Człowiek więcej może się nauczyć z czubka masztu niż w komnatach ministra! – odrzyknął. Zachwycony aplauzem, zaczął posyłać całusy przyjaciołom.

Skara pochyliła się ku niemu.

– Zdajesz sobie sprawę, że nagrodą jest samotne wejście na mury warownej fortecy pełnej wrogów?

Uśmiech chłopaka zgasł, gdy ujęła go za nadgarstek i triumfalnie podniosła jego dziwnie zwiotczałą rękę.

PIERWSZY



Błyskawica wyłowiła z mroku stężale mury fortecy Baila – czarne zęby blanków na tle rozświetlonego nieba. Bogowie, ależ wydawały się odległe.

– Za późno, żeby powiedzieć, że nie podoba mi się ten plan?! – wrzasnął Koll, przekrzykując wycie wiatru, szum deszczu i łoskot Matki Wód o burty ich szalupy.

– Możesz mówić, co chcesz – ryknął do niego Rulf. Krople ściekały mu z mokrej łysiny. – Ale i tak musisz się tam wdrapać!

Podmuch wiatru prysnął pianą w twarze stękającej z wysiłku załogi. Huk gromu zabrzmiał tak głośno, że cały świat zadrżał, lecz Koll dygotał już tak, że bardziej się nie dało. Rozchybotana i szarpana przez fale łódź zbliżała się coraz bardziej do skalistego brzegu.

– Takie niebiosy nie zwiastują niczego dobrego! – zawołał.

– Podobnie jak takie morze! – odkrzyknął Dosduvoi, mocując się z wiosłem, jak gdyby próbował ujarzmić dzikiego konia. – Wkoło same złe znaki!

– Wszystkich nas czeka jakiś los, dobry lub zły! – Zadra zważyła w dłoni hak. – Liczy się jedynie to, jak stawiamy mu czoło.

– Racja – przytaknął jej Fror. Białko zniekształconego oka błysnęło w wymazanej smołą twarzy. – Ten, który przemawia gromami, jest po naszej stronie. Jego deszcz sprawi, że wrogowie będą trzymać łby pod dachem, a dzięki grzmotom nikt nie usłyszy, że się zbliżamy.

– O ile któraś błyskawica nie spali cię na popiół. – Zadra klepnęła Kolla w plecy z taką siłą, że niemal wyleciał za burtę.

Fundamenty murów fortecy były z elf-kamienia, ale w tej części popękały i zaczęły się kruszyć. Z wyłomów sterczały zardzewiałe pręty pokryte pąklami i wodorostami. Rulf pochylał się nisko, zaciskał zęby i mocno napierał na wiosło, obracając ich bokiem.

– Powoli! Uwaga! – Kolejna fala szarpnęła żołądek Kolla, pochwyciła szalupę

i pchnęła ją na ścianę. Drewno zgrzytnęło o kamień. Chłopak chwycił się burty, pewien, że za chwilę ich łupina pęknie i do środka wedrze się Matka Wód, która zawsze zachłannie wciąga ciepłe ciała w swoje chłodne objęcia. Na szczęście mocne deski wytrzymały, więc szeptem podziękował drzewu, z którego powstały.

Zadra cisnęła hak i za pierwszym razem trafiła między wiekowe żelazne pręty. Stopami zaparła się o wręgi i zgrzytając zębami, przyciągnęła łódź do muru.

Koll wreszcie ujrzał dwie przypory, o których wspomniała księżniczka Skara – wzniesione przez człowieka z grubo ciosanych skalnych bloków nieustannie nadgryzanych przez Matkę Wód, spomiędzy których wykruszało się spoiwo. Między nimi widniała mroczna szczelina, w której głębi błyskał mokry i śliski elf-kamień.

– Wyobraź sobie, że to tylko maszt! – ryknął Rulf.

– Maszty często mają wkoło wzburzone morze. – Ściągną Zadry uwypukliły się pod czarną od smoły skórą, gdy napięła mięśnie ramion, mocując się z liną.

– Ale na żadnym nie czekają na mnie wściekli wrogowie – mruknął Koll, zerkając na blanki.

– Na pewno nie chcesz smoły? – spytał Fror, wyciągając do chłopaka słoje. – Mogą cię zauważyć, jak będziesz się wspinał...

– Kiepski ze mnie wojownik. Jeśli mnie złapią, prędzej się wywinę mową niż bronią.

– Gotowy? – rzucił Rulf.

– Nie!

– To ruszaj niegotowy, zanim fale rozłupią łódź na trzaski!

Koll wspiął się na krawędź burty, jedną ręką przytrzymując się dziobu, a drugą pociągając za linę, którą owiązał się w poprzek tułowia i przełożył nad ramieniem. Resztę zostawił zwiniętą między skrzyniami. Nasiąknięta wodą, sporo ważyła. Wiedział, że podczas wspinaczki będzie mu ciężyła coraz bardziej. Szalupa przechyliła się mocno i ze zgrzytem otarła o fundament przypory. Wściekła kipiela między burtą i kamieniami plunęła fontanną wody. Jak nic przemoczyłaby Kolla na wskroś, gdyby wcześniej nie zrobiły tego deszcz i morze.

– Trzymajcie ją równo! – zawołał Rulf.

– Staramy się! – odrzuciła Dosduvoi. – Ale Matka Wód nie pozwala!

Ojciec Yarvi stale powtarzał, że mądrzy czekają na właściwy moment, ale nie pozwalają, aby im umknął. Kolejna fala uniosła łódź i Koll w duchu pomodlił się do swojego patrona, prosząc, aby Ojciec Pokój pozwolił mu przeżyć i jeszcze raz

zobaczyć Rinę, a potem odbił się od burty.

Bał się, że machając rękami i wyjąc, polecą prosto przez Ostatnie Wrota, ale wnęka między przyporami miała głębokość większą od wzrostu dorosłego mężczyzny, a odstęp między nimi był akurat taki, jaki powinien być. Przytrzymał się ich bez trudu i niemal poczuł rozczarowanie.

– Ha! – zawołał przez ramię, uszczęśliwiony tak nieoczekiwanym obrotem spraw.

– Nie ciesz się za wcześnie! – warknęła Zadra, wciąż mocując się z hakiem. – Ruszaj na górę!

Łatwo znajdował oparcie dla dłoni i stóp tam, gdzie wykruszyło się spoiwo. Początkowo szło mu szybko. Nawet nucił sobie pod nosem, marząc o pieśniach, jakie skaldowie będą układać o zwinnym Kollu, który wspiął się na mury niedostępnej fortecy Baila z gracją szybującej mewy. Oklaski, jakimi nagrodzono go na dziedzińcu cytadeli w Thorlby, obudziły w nim apetyt na więcej. Uwielbienie, podziw i sława nie wydawały mu się takie złe. Wcale a wcale.

Tyle że bogowie lubią sobie zakpić z człowieka, który czuje się szczęśliwy. Podpory zwęzły się ku górze tak jak maszt. Komin między nimi stawał się coraz płytszy. Wiatr i deszcz wdierały się do środka, spuszczać mu lodowate lanie. Już nie słyszał, jak nuci. Co gorsza, odstęp między nimi powiększał się stopniowo i chłopak sięgał coraz dalej, szukając oparcia dla rąk, aż w końcu nie mógł trzymać się obu przypór i zaczął się wspinać między jedną z nich a ścianą z elf-kamienia. Co jakiś czas musiał się zatrzymać, żeby odgarnąć mokre włosy z twarzy, wytrzeć podrapane dłonie i tchnąć odrobinę ciepła w zdrętwiałe palce.

Pokonanie ostatniego krótkiego odcinka pionowej, wzniesionej przez człowieka kamiennej przypory trwało najdłużej. Prześiąknięta deszczem lina ciągnęła za ramię, cięższa od zbroi wojownika. Podmuchy wiatru kołysały nią i szarpały. Czuł, że to najtrudniejsze zadanie w jego życiu. Już dawno przekroczył granice własnej wytrzymałości. Mięśnie drżały i szarpały boleśnie. Nawet zęby go bolały, ale wiedział, że jeśli zawróci, zejście będzie o wiele bardziej niebezpieczne niż dalsza wspinaczka.

Szukał podpór dla dłoni i stóp tak uważnie, jak cieśla okrętowy wybiera kil. Jeden błąd, a rozbiłby się o skały i ryby miałyby ucztę. Wytężał wzrok w świetle księżycy a błysków burzy. Wydrapywał brudny mech spomiędzy kamieni, które na tej wysokości kruszyły się jak stary ser. Starał się nie myśleć o odległości, jaka dzieli go od ziemi, ani o wściekłych wojownikach, którzy być może czekali na górze, ani...

Kamień rozpadł mu się pod palcami. Koll z przeciągłym jękiem osunął się i zawisł na jednej ręce. Wszystkie ścięgnię naprężonego ramienia paliły ogniem. Przez chwilę rozpaczliwie szarpał wiekowy bluszcz, zanim znalazł solidne oparcie dla drugiej dłoni.

Przywarł do ściany i przez moment patrzył, jak okruchy kamieni lecą w dół ku wyszczerbionym fragmentom elf-muru i szalupie targanej przez wściekłą morską kipieli.

Poczuł, jak ciężarki matki wciskają mu się w mostek. Przypomniał sobie, jak zagniewana zadzierała głowę ku wierchołkowi masztu, groziła palcem i krzyczała, żeby złąził, zanim skręci kark.

– Przecież nie mogę całe życie tkwić w miejscu, opatulony ciepłym kocem – wyszeptał do siebie, czując, jak mocno wali mu serce.

Gdy wreszcie dotarł do blanków i zobaczył sieczony deszczem pomost bojowy za nimi, szerszy od drogi i zupełnie pusty, poczuł niewyobrażalną ulgę. Ze stęknieniem przelazł nad zwieńczeniem murów, ciągnąc za sobą linę, a potem przewrócił się na plecy i przez chwilę leżał i sapał, próbując przywrócić krążenie w zdrętwiałych palcach.

– Ale przygoda – szepnęła, przekręcił się na kolana, a potem ostrożnie wyjrzał nad blankami twierdzy. – O bogowie...

Tu, na górze, łatwo można było uwierzyć, że to najpotężniejsza forteca na świecie – klucz do Morza Drzazg.

Siedem wielkich wież łączyły potężne mury. Sześć wzniosły elfy. Ich idealnie gładki kamień połyskiwał mokro. Siódma – przysadzista i brzydka – została zbudowana przez ludzi, aby załatać wyrwę powstałą podczas rozbicia Bóstwa. Pięć wyrastało z Ojca Ziemi na lewo od Kolla, ale na prawo od niego dwie strzelały w górę wprost z odmętów Matki Wód, a rozpięte między nimi łańcuchy odgradzały zatokę od morza, tnąc fale w poprzek.

– O bogowie – powtórzył szeptem Koll.

W porcie cisnęły się okręty, tak jak mówiła księżniczka Skara. Co najmniej pięćdziesiąt. Jedne małe, inne naprawdę ogromne. Flota Yillinga Wspaniałego kryła się w potężnych kamiennych objęciach forticy, bezpieczna niczym tulone przez matkę dziecię. Nagie maszty ledwie się kołysały, choć na zewnątrz Matka Wód kipiała z furii.

Długa pochylnia wiodła od kei w górę skalistego zbocza aż na wielki dziedziniec. Wokół niego wznosiły się budynki z kilkunastu różnych epok i stylów. Ich dachy

tworzyły omszały labirynt strzech, popękanych dachówek i lśniących od deszczu łupków. Zniszczone rzygacze pluły wodą na kamienne płyty. Niemal miasto tkwiło wciśnięte między potężne elf-mury. Zza setki okienic zamkniętych przed burzą sączył się blask ogni.

Koll zsunął z ramienia linę i oplótł nią zębaty występ blanku, przeklinając niezdarność zmarzniętych palców. Mocno zaciągnął mokre węzły i wreszcie pozwolił sobie na uśmiech.

– Powinny wytrzymać.

Tyle że bogowie lubią sobie zakpić z zadowolonego człowieka. Uśmiech zgasł, gdy chłopak się odwrócił.

Pomostem szedł ku niemu wojownik z włócznią w jednej ręce i migoczącą latarnią w drugiej. Brzegi ciężkiej od deszczu peleryny, która przykrywała jego przygarbione ramiona, łopotwały niespokojnie.

Instykt pchał Kolla do ucieczki, ale chłopak go stłumił i odwrócił się plecami do strażnika. Jedną nogę niedbale oparł o mur i zapatrzył się na morze, jak gdyby na całym świecie nie było miejsca, w którym czułby się lepiej. W myślach zmówił modlitwę do Tej, która przędzie kłamstwa. Często się do niej zwracał.

Kiedy usłyszał szuranie butów, odwrócił się z uśmiechem.

– Hej! Wieczór w sam raz na spacer po murach.

– Nie sądzę. – Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie, podnosząc lampę. – Czy ja cię znam?

Mówił jak ludzie z Yutmarku, więc Koll postanowił zaufać swojemu szczęściu.

– Nie, nie. Jestem z Inglingów.

Wystarczyło zaserwować człowiekowi dobre kłamstwo, a w zamian można się było czegoś dowiedzieć.

– Chłopak Lufty?

– Właśnie. Lufta kazał mi obejść mury.

– Serio?

Jak nie da się naprędce wymyślić porządnego kłamstwa, musi wystarczyć zwykła prawda.

– Aha. No bo tu są takie dwie przypory i Lufta ciągle się martwi, że ktoś może się między nimi wspiąć na samą górę.

– W taką noc?

Koll zachichotał.

– Wiem, wiem. Pomysł szalony jak czapka pełna żab, ale znasz Luftę...

– A co to? – Mężczyzna ponuro spojrział na linię.

– Co takiego? – Koll próbował zasłonić ją sobą. Skończyły mu się i kłamstwa, i prawdy. – O co ci chodzi?

– O to, ty... – Wojownik wybałuszył oczy, gdy czarna dłoń zasłoniła mu usta, a czarne ostrze dźgnęło go w szyję.

Obok niego pojawiła się twarz Zadry – ledwie smuga cienia w deszczu. Jedyne białka oczu odcinały się na tle wymazanej smołą skóry. Powoli oparła bezwładne ciało wojownika między zębami blanków.

– Co z nim zrobimy? – spytał szeptem Koll, chwytając lampę, zanim wypadła ze sztywniejącej ręki. – Nie możemy go tak tu...

Zadra ujęła wartownika za nogi i przerzuciła go przez mur. Koll z rozdziawioną gębą patrzył, jak trup bezwładnie leci w dół, uderza o występ u podnóży fortecy i wpada w spiętrzone fale.

– To zrobimy – powiedziała i w tej samej chwili zza jej pleców wyłonił się Fror, chwytając przytroczony do pleców topór i ściągając gałgan, którym owinął uczernione smołą ostrze, żeby nie hałasowało. – Do dzieła.

Koll z trudem przełknął ślinę i podążył za towarzyszami. Uwielbiał Zadkę, lecz przerażała go łatwość, z jaką zabijała ludzi.

Schody prowadzące na dziedziniec twierdzy były dokładnie tam, gdzie mówiła Skara. W zagłębieniach pośrodku stopni zebrały się kałuże. Koll znowu zaczął marzyć o żniwie chwały, jakie zbierze, gdy ich szalony plan się powiedzie. Z zamyślenia wyrwał go głos.

– Wracajmy do środka, Lufto! Diabelnie zacina deszczem!

– Dunverk kazał strzec małej furty – odpowiedział ktoś basem. – Przestańcie wreszcie marudzić, do cholery.

Koll ostrożnie wyjrzał poza krawędź stopni. W dole łopotąła płócienna osłona, spod której rozlewało się wkoło światło.

– Mała furta nie jest aż taką tajemnicą, jak nam się zdawało – wyszeptała Zadra prosto do jego ucha.

– Tajemnice mają to do siebie, że lubią wyłazić na wierzch jak robaki z jabłek – odparł również szeptem.

– Atak? – spytała cicho. To zawsze była jej pierwsza myśl.

– Zaalarmujemy całą fortecę. – Koll wołał torować ścieżkę Ojcu Pokojowi, jak

każdy dobry minister.

– Nie zamierzam złązić z powrotem tą samą drogą – mruknął Fror. – Tyle mogę wam obiecać.

– Daj mi swoją pelerynę – poprosił Koll. – Mam pomysł.

– Jesteś pewien, że to pora na pomysły? – syknęła Zadra.

Chłopak wzruszył ramionami i naciągnął kaptur, próbując jednocześnie rozluźnić zeszywniałe po wspinaczkę mięśnie.

– Nie mam wpływu na to, kiedy przychodzą mi do głowy.

Zostawił towarzyszy na schodach, a sam swobodnym krokiem zszedł na dół i ominął zniszczoną stajnię. Z przegniłej słomy na dachu kapłała woda.

Stąd widział już wszystkich – siedmiu wojowników kucających wokół ogniska. Wiatr wdzierał się pod łopoczącą osłonę i szarpał płomieniami. W ich blasku dojrzał w głębi ciężkie drzwi zamknięte na grubą sztabę. W drewnie widniały głęboko ryte znaki imienia Tej, która strzeże zamków. Westchnął mglistym obłokiem, zebrał się na odwagę i podszedł bliżej, raźnie machając ręką.

– Przekłęta pogoda! – Zanurkował pod zadaszenie, z którego ściekały strugi deszczu, odrzucił kaptur i odgarnął mokre włosy. – Nie przemókłbym bardziej, nawet gdybym poszedł popływać! – Mężczyźni obrzucili go ponurymi spojrzeniami, a on się uśmiechnął. – No, ale latem w Inglefold jest jeszcze gorzej, nie? – Plasnął w ramię jednego z wartowników. Dwóch innych zachichotało.

– Jesteś od nas? – spytał wielki woj, który siedział najbliżej ognia.

Srebrne bransolety i opryskliwy ton mówiły Kollowi, że to dowódca drużyny.

– Nie, nie. Jestem z Yutmarku. Dunverk mnie przysłał. Mam dla ciebie wiadomość, Lufto.

Olbrzym splunął, a Koll poczuł ulgę, że się nie pomylił.

– No to gadaj, zanim ogłuchnę ze starości. W mojej rodzinie to normalka.

Przyszła pora na ryzykowną grę.

– Dunverk słyszał, że Vansterowie i Gettowie planują atak. Podobno zamierzają odbić fortecę i spalić naszą flotę.

– Chcą szturmować taką warownię? – prychnął jeden z wojowników. – Chyba pogłupieli.

Koll powoli pokiwał głową.

– Też tak pomyślałem, kiedy usłyszałem, jaki mają plan, i nadal nie zmieniłem zdania.

– Skąd te wieści? Od szpiega? – spytał Lufta.

Koll zamrugał niepewnie. Tego się nie spodziewał.

– Aha, od szpiega. Jak go zwa...?

– Tylko Yilling wie. Może go spytasz, co?

– Nie będę zwracał mu głowy. Za bardzo go szanuję. Słyszałem, że wrogowie zamierzają zaatakować od głównego wjazdu.

– Głupcy! Oszaleli czy co? – Lufta z irytacją przesunął językiem po zębach. – Wy czterej, ze mną. Sprawdźmy, co się dzieje pod bramą. Wy dwaj zostajecie tutaj.

– Bez obaw, będę miał na wszystko baczenie! – zawołał Koll, gdy piątka wstała od ogniska. Jeden z wojowników podniósł nad głowę tarczę dla osłony przed deszczem. – Żaden Gett się przy mnie nie prześlizgnie!

Dwaj, którzy zostali na straży, wyglądali naprawdę żałośnie. Jeden był młody, ale jużłysiał plackami, a drugi miał na twarzy czerwone znamię, jakby ktoś ochlapał go winem. Piękny sztylet, którego srebrny krzyż skrzył się w blasku ognia, tkwił zatknięty za jego pas w najbardziej widocznym miejscu. Koll miał pewność, że nóż został zrabowany jakiemuś zamordowanemu Throvenowi.

Gdy tylko Lufta dostatecznie się oddalił, posiadacz sztyletu zaczął narzekać:

– Większość chłopaków Yillinga łupi Throvenland, a my musimy tu tkwić.

– To rzeczywiście wielka niesprawiedliwość. – Koll ściągnął pelerynę Frora i zaczął z przesadą strzepywać z niej krople deszczu. – No, ale jak już trzeba gdzieś siedzieć, nad całym Morzem Drzazg nie znajdziesz bezpieczniejszego miejsca.

– Hej! Uważaj! – Czerwonogęby był tak zajęty zasłanianiem się przed mokrą peleryną i przyskającą wodą, że Koll bez trudu zdołał wyciągnąć mu sztylet zza pasa. Zadziwiające, jakie rzeczy umykają człowiekowi, gdy coś go rozprasza.

– Och, proszę o wybaczenie, jaśniepanie! – Uczeń Ojca Yarwiego cofnął się i szturchnął plackowatego w zębra. – Nadęty kompan ci się trafił, nie ma co – stwierdził i zasłaniając rękę peleryną, wsunął mu za pas skradziony sztylet. – Chcecie zobaczyć sztuczkę? – spytał i zanim zdążyli odpowiedzieć, zaczął przesuwać między palcami miedzianą monetę to w jedną, to w drugą stronę. Obaj mężczyźni jak zaczarowani wpatrywali się w migający metal. – Miedź – mruczał pod nosem Koll – miedź, miedź, a teraz... srebro!

Obrócił dłoń, błyskawicznie chowając miedziaka. Między palcem i kciukiem wskazującym błysnęła srebrna moneta z wizerunkiem królowej Laithlin.

Plackowaty zmarszczył czoło i wyciągnął szyję.

– Jak to zrobiłeś?

– Ha! Zaraz wam pokażę, tylko najpierw pożycz mi na moment sztylet.

– Jaki sztylet?

– Jak to jaki? – Koll pokazał na jego pas. – Ten.

Czerwonogęby zerwał się na równe nogi.

– Skąd masz mój nóż?

– Co? – Plackowaty z otwartą gębą patrzył na swój pas. – Jak...

– Jednobóstwo krzywo patrzy na złodziei. – Koll podniósł obie dłonie na znak pobożności. – Wszyscy o tym wiedzą.

Czarna dłoń Zadry zasłoniła usta czerwonogębego, a jej czarny nóż dźgnął go w gardło. Niemal równocześnie głowa plackowatego kiwnęła się gwałtownie, gdy Fror zatopił w niej od tyłu topór. Wartownik zrobił zeza, wydukał coś, śliniąc się okropnie, i przewrócił się na bok.

– Do roboty – syknęła Zadra, powoli opuszczając na ziemię tego, którego zabiła – zanim tamci czterej pojmą, jaka z ciebie fałszywa gnida.

– Ależ oczywiście, czcigodna Tarczo. – Koll dźwignął drewnianą zaworę z wrytymi w niej runami i pchnął ciężką furkę.

ZABÓJCA



Pośród burzy błysnęła nika, jasna plamka i Raith poderwał się niczym upojony krwią ogar spuszczonej z uwięzi.

Puścił się pędem przez mokrą łąkę, w jednej ręce trzymając tarczę, a w drugiej zaciskając drzewce topora tuż pod ostrzem tak mocno, że bolały go kłykcie.

Miecze na pewno wyglądały ładniej, ale ładna broń – podobnie jak ładni ludzie – bywała kapryśna. Miecz wymagał subtelności, a gdy Raitha ogarniał bitewny szal, nie było o niej mowy. Kiedyś bił przeciwnika płazem po głowie tak długo, że ani z miecza, ani z głowy nic nie zostało. Topory nie były takie delikatne.

Błyskawica rozjaśniła niebo, wyławiając z mroku czarną bryłę fortecy Baila nad morzem i gnane wiatrem krople deszczu zastygłe na moment, zanim wszystko ponownie spowiła ciemność. Ten, który przemawia gromami, gniewał się na świat. Ryknął tak blisko, że serce Raitha zabiło mocniej.

Wciąż czuł w ustach słony smak kęsa ostatniego bochna pieczonego z mąki zmieszanej z krwią. Vansterowie wierzyli, że to zapewni im przychylność oręża, ale Raith uważał, że w walce furia przydaje się bardziej od szczęścia. Mocno zacisnął zęby na ciesielskim kołku. Kiedyś w ferworze niemal odgryzł sobie czubek języka i od tamtej pory zawsze blokował szczęki przed walką.

Nic nie może się równać z uczuciem, jakie towarzyszy człowiekowi, gdy rusza do boju. Gdy liczy wyłącznie na własny spryt, własną wolę, własną siłę. Gdy tańczy w progu Ostatnich Wrót. Gdy pluje Śmierci w twarz.

Raith gnał naprzód z takim zapałem, że Grom-gil-Gorm i Soryorn, a nawet jego brat Rakki zostali daleko za nim. Zmyte deszczem elf-mury i pojedyncze migotliwe światełko u ich podnóża zbliżały się szybko.

– Tędy!

Zobaczył, jak chłopak ojca Yarwiego wskazuje furtę ukrytą za załomem muru wieży. Cienie rozlały się we wklęsłościach jego gamoniowatej gęby, gdy podniósł

wyżej latarnię.

Raith wpadł przez wąskie wejście i pognął schodami w górę, objając się o ściany i przeskakując po trzy stopnie. Warkot jego oddechu odbijał się echem od murów, paliły go nogi, paliła pierś, paliły myśli. Gdy wypadł na górny dziedziniec, otoczyły go przekleństwa, wrzaski i szczęk metalu.

Ogarnięty amokiem zobaczył zwarte w boju ciała, błyski broni, krople śliny i drzazgi. Dostrzegł wykrzywioną, czarną od smoły twarz Zadry Bathu, minął ją w pędzie i pochylony rzucił się w wir walki.

Jego tarcza łupnęła w zęby przeciwnika z taką siłą, że mężczyzna upuścił miecz. Drugi cofnął się chwiejnie. Grot włóczni wycelowanej w Zadrę zakołysał się i chybił.

Raith ciął kogoś i usłyszał ochrypły, dziwnie metaliczny wrzask. Napał na tarczę, sycząc, prychając i zaciskając zęby na kołku. Okuta krawędź zgrzytnęła o czyjaś zbroję. Z dziką furią pchnął wojownika. Obca gęba znalazła się tak blisko, że mógłby ją pocałować, a zabarwiona krwią płwocina opryskała twarz Raitha. Chłopak ponownie napał na tarczę, a pod nią kopnął przeciwnika kolanem, tak że ten się zachwiał. Miecz Zadry z głuchym odgłosem wniknął głęboko w kark wroga i tam utkwiał. Wojowniczką puściła rękojeść i kopniakiem powaliła brojącego krwią przeciwnika.

Ktoś zaplątał się w zerwane płótno zadaszenia i runął na ziemię. Ktoś wrzasnął tuż przy uchu Raitha. Coś z brzękiem odbiło się od hełmu chłopaka i wokół zrobiło się okropnie jasno, tak jasno, że nic nie widział. Mimo to siekł na oślepną tarczę, warcząc i kaszłąc.

Jeden z przeciwników próbował się go ucześcić, ale Raith trzasnął go raz w głowę obuchem topora, a potem znowu, gdy mężczyzna padał. Przydepnął prawą rękę wroga, poślizgnął się i niemal runął na mokry od krwi i deszczu bruk.

Na moment stracił orientację. Nie wiedział, w którą stronę powinien się odwrócić. Miał wrażenie, że dziedziniec kiwa się i kołysze jak okręt podczas sztormu. Zobaczył, jak Rakki z białą czupryną ubrudzoną krwią dźga kogoś mieczem. Natychmiast przepchnął się do brata, zwał z nim tarcze i razem zaczęli siec, walić i rąbać. Mocne uderzenie zepchnęło go w bok. Zrobił kilka chwiejnych kroków przez ogień, butami wzbijając w górę iskry.

Błysnął metal i Raith instynktownie się cofnął. Zapiekła go twarz i coś skrobnęło o hełm, przekrzywiając go. Minął ostrze włóczni i próbował rąbnąć tarczą w wykrzywioną wściekle mordę, ale coś mu przeszkodziło. Dopiero po chwili pojął, że pękła. Dwie deski wisiały luźno na wygiętej obręczy.

– Giń, draniu! – warknął, ale słowa zabrzmiały jak mokry bełkot, bo wciąż zaciskał w zębach kołek. Myślał, że wali w czyjś hełm, a tymczasem uderzał w mur, ryjąc w kamieniach głębokie bruzdy. Całe ramię mrowiło od siły ciosów.

Ktoś go odciągnął. Zadra z czarną twarzą upstrzoną krwią. Pokazała na coś czerwonym nożem, a jej czerwone usta poruszyły się, jak gdyby coś mówiła, lecz Raith nic nie słyszał.

Potężny miecz rozpruł wilgotne powietrze i rozrąbał tarczę. Ten, który ją trzymał, uderzył o ścianę zalany krwią. Raith znał ten miecz. Nosił go przez trzy lata, nocami tulił do siebie jak kochankę i kamieniem oseeki wydobywał ze stali śpiewne dźwięki.

Grom-gil-Gorm wysunął się naprzód, wielki jak góra. Załśniły dziesiątki wysadzanych klejnotami głowic na długim łańcuchu. Tarcza była czarna jak noc, a miecz świecił jasno jak Ojciec Księżyc.

– Wasza śmierć jest blisko! – ryknął władca Vansterów z taką mocą, że forteca Baila zadrżała w posadach.

Odwaga bywa krucha. Gdy strach pochwyli choć jednego, rozprzestrzenia się szybciej niż zaraza, szybciej niż ogień. Wojownikom Najwyższego Króla było ciepło i przyjemnie za grubymi murami. Myśleli, że nocy nie zakłóci im nic prócz porywistego wiatru. Tymczasem z burzy wyłonił się sam Łamacz Mieczy w pełnym rynsztunku. Na jego widok obrońcy twierdzy zaczęli umykać w popłochu.

Zadra dosięgła jednego swoim czekaniem, Gorm złapał innego za kołnierz i wałnęła jego głową o mur. Raith wyszarpnął nóż zza pasa, wskoczył kolejnemu na plecy i zaczął dźgać bez opamiętania. Chciał dopaść jeszcze jednego, ale źle stąpnął i stracił równowagę. Zrobił jeszcze dwa chwiejne kroki, po czym odbił się od ściany i upadł.

Świat wokół stracił ostrość. Chłopak próbował stanąć na nogi, ale kolana nie chciały go słuchać, więc usiadł. Kołek wypadł mu spomiędzy zębów, bolały go szczęki, a w ustach miał smak drewna i metalu. Obok zadudniły czyjeś buty. Jakiś mężczyzna leżał na bruku i śmiał się z niego. Ktoś, biegnąc, zaczepił o leżącego i przetoczył go na bok. Trup. Śmiał się z niczego. Śmiał się ze wszystkiego.

Raith zacisnął powieki i po chwili otworzył oczy.

Soryorn dźgał rannych włócznią z takim spokojem, jakby wysiewał nasiona. Wojownicy wciąż nadbiegali od strony furty, dobywając broni i przeskakując nad zabitymi.

– Zawsze musisz pierwszy gnać do boju, co, bracie? – Rakki poluzował

mocowania i ściągnął Raithowi hełm, a potem lekko obrócił mu głowę, aby obejrzeć nową ranę. – Robisz, co możesz, żebyśmy to ja był tym ładniejszym, he?

– Przyda ci się każda pomoc. – Słowa dziwnie łaskotały obolały język Raitha. Odepchnął brata i z trudem wstał. Potrząsnął ręką, aby zrzucić z niej zniszczoną tarczę. Potrząsnął głową, aby się otrzeźwić.

Warownia była ogromna. Wokół dziedzińca pod strzelistymi elf-murami wyrósł patchwork strzech i krytych łupkiem dachów. Zewsząd docierały hałasy i krzyki. Gettowie i Vansterowie przeczesywali fortecę niczym tropiciele, wyciągali z zakamarków i kryjówek ludzi Najwyższego Króla, wspinali się po długiej pochylni od strony zatoki i gromadzili półkołem przed rzeźbionym wejściem. Towarzyszyli im król Gorm i król Uthil.

– Wykurzymy was stamtąd dymem, jeśli będzie trzeba! – zawołał Ojciec Yarvi w kierunku podwójnych drzwi. Ministrowie, niczym wrony, zawsze zjawiali się po wszystkim, aby grzebać w tym, co zostało. – Mogliście walczyć! Daliśmy wam szansę!

Ze środka dobiegł przytłumiony głos.

– Nie zdążyłem włożyć zbroi. Ma skomplikowane sprzączki.

– Te drobne nastęrczają trudności palcom rosłego mężczyzny – przyznał Gorm.

– Już się z nimi uporałem! – odparł ten sam głos. – Może są wśród was opiewani w pieśniach wojowie?

Ojciec Yarvi westchnął.

– Zadra Bathu, Żelazny Król Uthil i Grom-gil-Gorm, Łamacz Mieczy.

Zza drzwi dobiegł pomruk zadowolenia.

– Porażka z takimi sławami mniej boli. Czy ktoś z nich zgodzi się stanąć ze mną do walki?

Siedząca nieopodal na schodkach Zadra skrzywiła się, gdy Matka Scaer ścisnęła ranę na jej ramieniu, aby popłynęła z niej świeża krew.

– Mam dość walki jak na jedną noc – przyznała.

– Ja również. – Gorm oddał czarną tarczę Rakkiemu. – Niech płomienie pożrą tego marudnego głupca i jego zbroję z małymi sprzączkami.

Nogi Raitha poruszyły się bez udziału jego woli. Ręka sama się uniosła, a usta otworzyły.

– Ja chętnie...

Rakki chwycił go za rękę i szarpnął w dół.

- Nie, bracie.
- W życiu można być pewnym jedynie Śmierci. – Król Uthil wzruszył ramionami.
- Ja będę z tobą walczył!

– Ależ najjaśniejszy panie... – Ojciec Yarvi zrobił przerażoną minę.

Uthil uciszył go spojrzaniem lśniących oczu.

– Szybsi zagarnęli dziś chwałę dla siebie, teraz odbiorę to, co mi się należy.

– Doskonale! – oznajmił głos. – W takim razie wychodzę!

Raith usłyszał szcęk odsuwanej sztaby i drzwi otworzyły się na oścież. Półokrąg wojowników z łoskotem zwarł tarcze, szykując się na atak. Tymczasem na dziedziniec wyszedł jeden człowiek.

Był wielki, z zawijasami wytatuowanymi po jednej stronie grubego karku. Miał na sobie solidną kolczugę, grawerowane naramienniki i mnóstwo złotych obręczy na umięśnionych przedramionach. Raith mruknął z podziwem, bo obcy wyglądał na godnego przeciwnika. Olbrzym lekceważąco zatknął kciuki za pas ze złotą klamrą i na widok półpięścienia tarcz uśmiechnął się z pogardą bohatera, po czym parsknął nozdrzami szerokiego, spłaszczonego nosa w mżący deszcz.

– Król Uthil? Jesteś starszy, niż mówią pieśni.

– Powstały przed laty – zgrzytnął Żelazny Król. – Wtedy byłem młodszy.

Część zebranych się roześmiała, lecz nie obcy.

– Jestem Dunverk – warknął. – Zwiąż mnie także Bykiem. Wyznawca Jednobóstwa, lojalny sługa Najwyższego Króla i kompan Yillinga Wspaniałego.

– To dowodzi jedynie, że źle wybierasz i przyjaciół, i królów, i bogów – stwierdził Ojciec Yarvi.

Tym razem obecni zaśmiali się głośniejsze. Nawet Raith musiał przyznać, że ministrowi udał się żart.

Porażka zwykle dławi poczucie humoru. Oblicze Dunverka pozostało kamienne.

– Jeszcze się przekonamy, kiedy Yilling przywiedzie do was Śmierć, wiarołomcy.

– My się przekonamy. – Zadra szyderczo wyszczerzyła zęby, choć Matka Scaer właśnie wbijała igłę w jej ramię. – Bo ty będziesz martwy.

Dunverk powoli dobył miecza z wykutymi w zboczcu runami i złotą rękojeścią w kształcie głowy jelenia, którego poroże tworzyło jelec broni.

– Jeżeli zwyciężę, darujecie życie moim ludziom?

– Nie zwyciężysz. – Przy atletycznym Dunverku Uthil wydawał się drobny niczym stary ogonek, lecz nie okazywał strachu.

– Jesteś zbyt pewny siebie.

– Gdyby ponad setka moich martwych przeciwników mogła mówić, przyznałaby, że moja pewność siebie jest uzasadniona.

– Powinieneś wiedzieć, starcze, że stoczyłem wiele walk na całych Nizinach i nikt nie mógł się ze mną równać.

Drgnienie uśmiechu poruszyło pokrytą bliznami twarz Uthila.

– Powinieneś był tam zostać.

Dunverk zaatakował pierwszy. Mocnym zamachem poprowadził miecz wysoko, ale zwinny jak wiatr Uthil zrobił unik. Broń wciąż trzymał na ugiętym ramieniu. Dunverk pchnął potężnie. Król z pogardą się odsunął i opuścił własny miecz szyćchem do dołu.

– Byk? – zadrwiła Zadra. – Miota się zupełnie jak szalona krowa.

Dunverk z rykiem siekł najpierw z prawej, a potem z lewej strony. Pot wystąpił mu na czoło od machania ciężką głownią. Wojownicy za tarczami cofnęli się niepewnie, aby odwodząc miecz, przypadkiem nie posłał któregoś za próg Ostatnich Wrót. Żelazny Król Gettlandu zrobił unik przed pierwszym cięciem i zanurkował pod drugim, tak że ostrze Dunverka smagnęło jedynie jego siwe włosy. Stał błysnęła i siła ciosu ponownie pociągnęła wojownika w próżnię.

– Walcz ze mną! – ryknął Dunverk, ponownie odwracając się do króla.

– Już to zrobiłem – odparł Uthil. Skrajem peleryny wytarł ostrze swojego miecza i ponownie z czułością ułożył dłoń na ugiętej ręce.

Dunverk warknął wściekle i zrobił krok do przodu, lecz noga się pod nim ugięła. Osunął się na kolano. Z rany nad cholewą buta płynęła krew, rozlewając się po kamieniach bruku. Dopiero wtedy Raith pojął, że Uthil przeciął żyłę po wewnętrznej stronie nogi Dunverka.

Wśród wojowników rozszedł się pomruk podziwu, a były giermek Gorma mruknął najgłośniejsze.

– Sława Żelaznego Króla jest zasłużona – szeptem przyznał Rakki.

– Mam nadzieję, że Yilling lepiej włada bronią niż ty, Dunverku zwany Bykiem – oznajmił Uthil. – Taki starzec jak ja nawet się przy tobie nie zmachał.

Dunverk się uśmiechnął. Szklistymi oczami spojrzął przed siebie.

– Jeszcze zobaczycie, jak walczy Yilling Wspaniały – wyszeptał. Jego twarz stała się woskowoblada. – Zobaczycie... – Wojownik runął w powiększającą się kałużę własnej krwi.

Wszyscy byli zgodni, że spotkała go piękna śmierć.

MOJA ZIEMIA



Matka Słońce była ledwie smugą na wschodnim horyzoncie. Swoje dzieci-gwiazdy ukryła za zasłoną porannego nieba barwy żelaza. Forteca jawiła się przed nimi ponurą bryłą niczym kurhan na tle bezbarwnego świtu. W górze z nadzieją krążyły wrony.

– Przynajmniej przestało padać – szepnęła Skara, zsuwając kaptur.

– Ten, który przemawia gromami, zabrał swoje humory w głąb łądu – powiedziała królowa Laithlin. – Robi dużo zamieszania, ale złość szybko mu przechodzi. Tacy są chłopcy. – Monarchini połaskotała księcia Druina pod brodą. – Może teraz ja go wezmę?

– Nie. – Skara mocniej przytuliła malca. – Mogę go trzymać. – Małe rączki oplatające jej szyję dodawały jej siły. A bogowie wiedzieli, jak bardzo teraz jej potrzebowała.

Twierdza Baila, symbol zjednoczonego Throvenlandu, wyglądała inaczej niż w jej wspomnieniach. Z osady w cieniu fortecy, gdzie kiedyś tańczyła podczas letniego święta, zostały ruiny. Wiele domów spłonęło, inne stały puste. Pędy bluszczu dławili sad przy kruszącym się fragmencie murów wzniesionym przez człowieka. Zeszłoroczne owoce gniły pośród chwastów. Szeroki wjazd między dwiema strzelistymi wieżycami elfów dawniej zdobiły barwne proporce. Teraz na skrzypiącej linie kołysał się tam wisielec, dyndając bosymi nogami.

Pozbawiono go wspaniałych złotych bransolet, lśniącej kolczugi i połączanej broni, ale Skara od razu rozpoznała jego twarz.

– To jeden z Kompanów Yillinga. – Zadygotała pod futrem, które otulało jej ramiona. – Tych, którzy spalili Yaletoft.

– No proszę, a teraz wisi tutaj. – Laithlin pokiwała głową. – Widocznie modły do Śmierci nie są w stanie odroczyć spotkania z nią.

– Nic nie może go odroczyć – wyszeptła Skara. Być może powinna ucieszyć się z tej śmierci, opluć trupa i podziękować Matce Wojnie za to, że okruczeństwo Throvenlandu

został wyzwolony, lecz czuła jedynie echo grozy, jaka paraliżowała ją poprzednim razem, gdy widziała tego człowieka, i lęk, że już nigdy się od niej nie uwolni.

Ktoś ściął wielki dąb, który dawniej rósł na dziedzińcu fortecy. Budynki stłoczone pod pradawnymi elf-murami wydawały się nagie i brzydkie bez jego cienia. Wokół pniaka, na nierównym bruku, porozkładali się wojownicy. Większość już była pijana i upijała się jeszcze bardziej, porównując rany i łupy, czyszcząc broń i snując opowieści.

Nieopierzony skald próbował ułożyć pieśń, bez końca wykrzykując ten sam wers, podczas gdy inni podsuwali mu następne słowa, nagradzani huraganami śmiechu. Modłotkacz monotonnym głosem dziękował bogom za zwycięstwo. Gdzieś niedaleko ktoś wył z bólu.

Skara zmarszczyła nos.

– Co tak śmierdzi?

– Wszystko, co siedzi w człowieku – mruknęła Siostra Owd, przyglądając się dwóm niewolnikom, którzy właśnie ją minęli, ciągnąc coś za sobą.

Skara zadrżała, gdy uświadomiła sobie, że to trup, a potem jeszcze raz, gdy zobaczyła, że rzucają go na stos innych. Płatanina nagich, bladych kończyn umazanych krwią, bezwładnie otwarte nieme usta, niewidzące oczy. Góra mięsa, które poprzedniej nocy było ludźmi. Trzeba było lat, aby każdego wyniańczyć, nauczyć chodzić, mówić i walczyć. Skara mocniej przytuliła księcia Druina, próbując zasłonić mu oczy.

– Czy on powinien na to patrzeć? – spytała szeptem. Sama wolałaby tego nie oglądać.

– Kiedyś zostanie królem Gettlandu. To jego przeznaczenie. – Laithlin obojętnie przebiegła wzrokiem po zabitych, a Skara pomyślała, że jej kuzynka jest wyjątkowo onieśmiałą kobietą. – Powinien nauczyć się z tego cieszyć. Ty również. To także twoje zwycięstwo.

– Moje? – Skara niepewnie przełknęła ślinę.

– Wojownicy będą toczyli spory o to, kto miał najbardziej owłosioną pierś i najgłośniej ryczał. Bardowie będą śpiewali o lśniącej stali i przelanej krwi. Ale plan był twój. Twoja była wola. Twoje słowa pchnęły tych ludzi do walki.

S ł o w a s ą o r ę ż e m Tak mówiła Matka Kyre. Patrząc na ludzi, którzy zginęli na dziedzińcu fortecy Baila, Skara przypomniawszy sobie zabitych w siedzibie jej dziada, lecz zamiast zbrodni i zemsty widziała dwie zbrodnie. Miała wrażenie, że poczucie winy z powodu tej ostatniej nałożyło się na cierpienie, do jakiego

przyczyniła się ta pierwsza.

– Nie czuję, jakby to było zwycięstwo.

– Na własnej skórze doświadczyłaś klęski. Co wolisz?

Skara pamiętała, jak z rufy *Czarnego Psa* patrzyła na zapadający się dach siedziby dziada i strzelające w górę płomienie. Musiała przyznać rację kuzynce.

– Zaimponowałaś mi podczas narady – przyznała Laithlin.

– Naprawdę? A myślałam, że... będziesz na mnie zła.

– Bo mówiłaś w imieniu swoim i swojego ludu? Równie dobrze mogłabym mieć pretensje do śniegu o to, że pada. Skończyłaś już osiemnaście zim, prawda?

– Skończę w tym roku...

Laithlin powoli pokręciła głową.

– Siedemnaście. Masz wielki dar.

– Matka Kyre i mój dziad... odkąd pamiętam, próbowali mnie uczyć sprawowania władzy. Jak mówić i o czym. Jak przedstawiać argumenty, czytać w twarzach ludzi, wpływać na ich wybory... Zawsze uważałam, że jestem słabą uczennicą.

– Bardzo w to wątpię, choć wiem, że wojna potrafi wydobyć z nas siłę, o jaką się nie podejrzewaliśmy. Król Fynn i jego doradczynie dobrze cię przygotowali, lecz daru, jaki posiadasz, nie da się nauczyć. Naznaczyła cię Ta, która wypowiedziała pierwsze słowo. Masz w sobie niezwykle światło, które sprawia, że ludzie cię słuchają. – Królowa zmarszczyła czoło i spojrzała na Druina, który szeroko otwartymi oczami w milczeniu przypatrywał się śladom rzezi. – Mam przeczucie, że od tego daru może zależeć przyszłość mojego syna.

Skara zamrugała niepewnie.

– Moje zdolności przy twoich talentach są jak świeczka przy blasku Matki Słońca. Jesteś przecież Złotą Królową...

– Gettlandu. – Monarchini spojrzała na Skarę z błyskiem w oczach. – Bogowie mi świadkami, że próbowałam sterować tym sojuszem, najpierw doradzając pokój, a potem ponaglając do działania, lecz dla króla Uthila jestem żoną, a dla króla Gorma jestem wrogiem. – Odsunęła zabłąkane pasmo włosów z twarzy Skary. – Ty nie jesteś ani tym, ani tym. Los właśnie tobie powierzył zachowanie równowagi. Trzymasz szale naszego sojuszu.

Skara spojrzała na nią.

– Nie mam dość siły.

– W takim razie musisz ją w sobie znaleźć. – Laithlin wzięła księcia Druina

z objęć kuzynki. – Władza jest brzemieniem. Jesteś młoda, kuzynko, zdaję sobie z tego sprawę, lecz powinnaś się nauczyć dźwigać je tak, aby cię nie przygniotło.

Siostra Owd wyduła policzki, przez co jej pełna twarz stała się jeszcze okrągłjsza. Odprowadziła wzrokiem władczynię, za którą podążyła świta jej niewolników, służących i gwardzistów.

– Królowa Laithlin jest jak skarbnica słów pocieszenia.

– Bez nich jakoś dam sobie radę, Siostrze Owd. Potrzebuję za to rad.

Skarę zaskoczyło to, jak bardzo ucieszyła się na widok Raitha. Cokolwiek by mówić, stanowił trzecią część jej obecnej świty, i to tę najbardziej urodziwą. Razem z bratem siedział przy ogniu i z czegoś się śmiali. Poczuli dziwne ukłucie zazdrości, bo czuli się tak swobodnie w swoim towarzystwie. Wprawdzie niemal jednocześnie wyskoczyli z łona matki, ale bez trudu ich odróżniła. Raith był tym z pogardliwie wykrzywionymi ustami i świeżą raną na twarzy. Tym, który patrzył wyzywająco, nawet gdy napotykał spojrzenie Skary. Tym, od którego nie potrafiła oderwać wzroku. Tymczasem Rakki, gdy tylko ją zauważył, poderwał się z ziemi i uklonił z należytych szacunkiem.

– Zasłużyliście na odpoczynek – powiedziała, gestem prosząc go, aby na powrót usiadł. – Tutaj to ja nie jestem godna, aby przebywać pośród ludzi, którzy z taką wprawą upuszczają krwi.

– Ty również upuściłaś jej trochę podczas narady – zauważył Raith, zerkając na zabandażowaną dłoń Skary.

Odruchowo zakryła ją drugą ręką.

– Ale tylko własnej.

– To wymaga największej odwagi. – Raith się skrzywił, palcami badając długie drażnienie na porośniętej białą szczecinę szczęce.

Wcale go nie szpeciło. Przeciwnie, wyglądał jeszcze lepiej.

– Słyszałam, że dzielnie walczyłeś – powiedziała Skara.

– On zawsze dzielnie walczy, wasza wysokość. – Rakki wyszczerzył zęby i kułakiem rąbnął brata w ramię. – Pierwszy wdarł się przez furtę! Gdyby nie on, pewnie nadal siedzielibyśmy pod murami.

– Walka to żaden trud, jeśli się ją lubi. – Raith wzruszył ramionami.

– Mój dziad zawsze powtarzał, że dobrzy wojownicy zasługują na nagrodę z rąk tych, w których imieniu walczą. – Skara zsunęła z nadgarstka jedną ze srebrnych obręczy, które podarowała jej Laithlin, i wyciągnęła ją do chłopaka.

Obaj bracia wytrzeszczyli oczy. Bransoletę nieraz nakłuwano, aby sprawdzić czystość kruszcu, ale Skara i bez tego umiała rozpoznawać wartość takich rzeczy. Wcześniej zauważyła, że żaden z braci nie nosi koło-monet, i miała świadomość, że dla nich nie będzie to drobiazg. Raith przełknął ślinę i wyciągnął rękę po nagrodę, lecz księżniczka nie od razu ją puściła.

– Walczysz w moim imieniu, tak?

Poczuła niepokojące mrowienie, gdy ich oczy się spotkały. Niemal dotykali się palcami. Po chwili on kiwnął głową.

– Walczę w twoim imieniu.

Był bezczelny i nieokrzesany, ale z jakiegoś powodu zaczęła sobie wyobrażać, jak by się czuła, całując go. Siostra Owd chrząknęła znacząco. Skara spłonęła rumieńcem i puściła bransoletę.

Raith zacisnął ozdobę na przegubie. Miał tak gruby nadgarstek, że końce obręczy ledwie się stykały. Nagroda za dobrą służbę. A zarazem znak, komu służy.

– Powinienem odszukać cię po bitwie, ale...

– Prosiłam, abyś walczył w moim imieniu. – Skara odsunęła od siebie myśli o pocałunkach i nadała głosowi bardziej stalowe brzmienie. – A teraz chciałabym, abyś poszedł ze mną.

Raith uściskał brata, po czym wstał i ruszył za księżniczką. Na jego ręce połyskiwało srebro Skary. Wprawdzie nie był jej poddanym, ale zaczynał rozumieć, dlaczego królowe mają Tarcze. Nic tak nie dodaje pewności siebie jak sprawdzony zabójca u boku.

Wielka sala, w której Skara bawiła się jako dziecko, dawniej wydawała się jej nieprawdopodobnie okazała. Teraz widziała, że jest wąska i mroczna. Śmierdziało w niej zgnilizną, dach przeciekał, a na murach widniały ślady wilgoci. Trzy wstęgi światła pełnego drobinek kurzu padały na zimną posadzkę z okien wychodzących na szare fale Matki Wód. Jedną ścianę zajmował łuszczący się portret wojowniczej królowej Ashenleer. Na jej kolczudze zakwitł kwiat pleśni, a pełne uwielbienia oblicza setek gwardzistów zamieniły się w niewyraźne smugi – odzwierciedlenie nieszczęsnych losów Throvenlandu.

Tron Baila niezmiennie tkwił na podwyższeniu, rzeźbiony z jasnego dębowego drewna odpiłowanego z kilu okrętu. Wzory słojów były wyraźnie widoczne na powierzchni wypolerowanej przez lata używania. Niegdyś zasiadali na nim królowie. Aż do czasów, gdy pradziad dziada Skary uznał, że tron jest za wąski, aby pomieścić jego wydatne siedzenie w całości, a sala za ciasna dla jego wielkiej pychy. Kazał

wyrzeźbić dla siebie nowy tron w Yaletofcie, a nad nim wznieść nową, wspaniałą siedzibę, która miała zadziwić cały świat. Dwadzieścia osiem lat trwała budowa Lasu. Pradziad dziada zmarł, zanim ją ukończono, a jego syn zdążył się zestarzeć.

Tymczasem Yilling spalił wszystko w jedną noc.

– Coś mi się widzi, że to jeszcze nie koniec walki na dziś – burknął Raith.

Gorm i Uthil łypali na siebie wrogo ponad tronem Baila. Towarzyszili im zjeżeni ministrowie i wojownicy. Braterstwo, które zjednoczyło ich na czas bitwy, trwało nie dłużej niż życie ostatniego wspólnego wroga.

– Możemy losować – zgrzytnął król Uthil.

– Tobie przypadła satysfakcja z zabicia Dunverka – oznajmił Gorm. – Dlatego to ja powinienem zasiąść na tronie.

Ojciec Yarvi potarł skroń kłykciami przykurczonej ręki.

– Na litość bogów, przecież to zwykle siedzisko. Mój pomocnik może wyrzeźbić drugie.

– To nie jest zwykle siedzisko. – Skara zapanowała nad nerwami i weszła na podwyższenie. – Niegdyś zasiadał na nim Bail Budowniczy. – Król Uthil i jego minister patrzyli na nią ponuro z lewej strony, Gorm i jego minister z prawej. Od niej zależała równowaga. Nie miała wyboru. – Ile okrętów przejeśliśmy?

– Sześćdziesiąt sześć – poinformowała Matka Scaer. – W tym połączonego olbrzyma na sześćdziesiąt wiosł, który podobno należy do samego Yillinga.

– To był bardzo sprytny plan, wasza wysokość. – Ojciec Yarvi z uznaniem skłonił głowę.

– Ja jedynie zasiałam jego ziarno – odparła Skara, kłaniając się nisko obu monarchom. – To wasza odwaga pozwoliła zebrać plon.

– Matka Wojna była dziś po naszej stronie i sprzyjał nam oręż. – Gorm obracał w palcach jedną z głowic na łańcuchu. – Lecz forteca nie jest bezpieczna. Babka Wexen wie, jakie znaczenie ma to miejsce, tak strategiczne, jak i symboliczne.

– Jest jak cierń wbity w jej ciało – przyznał Uthil. – Już wkrótce spróbuje go wyciągnąć. Powinnaś wrócić do Thorlby z moją żoną, księżniczko. Tam będziesz bezpieczna.

– Darzę cię niezmiernym szacunkiem, królu Uthilu, lecz nie przyznam ci racji. Mój ojciec także pojmował, jak ważna jest ta forteca. Dlatego zginął, broniąc jej, i spoczął w kurhanie pod murami obok mojej matki. – Skara usadowiła się na tronie, i którym zasiadali jej przodkowie, wyprężona jak struna, tak jak uczyła ją Matka

Kyre. Żołądek podchodził jej do gardła, ale musiała być silna. Musiała objąć przywództwo. Tylko ona jeszcze żyła. – Tu jest Throvenland. To moja ojczyzna. Właśnie tu powinnam zostać.

Ojciec Yarvi posłał jej blady uśmiech.

– Ależ księżniczko...

– Teraz jestem królową.

Zapadła cisza. Po chwili Siostra Owd weszła po stopniach na podwyższenie.

– Królowa Skara się nie myli. Zasiada na tronie Baila jako jedyna żyjąca następczyni króla Fynna. Nie po raz pierwszy niezamężna kobieta obejmuje tron. – Jej głos zadrżał, gdy poczuła na sobie gniewne spojrzenie Matki Scaer, lecz nie umilkła. Ruchem głowy wskazała wyblakłe malowidło za sobą. – Królowa Ashenleer nie miała męża, kiedy odniosła zwycięstwo nad Inglingami.

– Czy to znaczy, że jest wśród nas kolejna Ashenleer? – spytała szyderczo Matka Scaer.

Siostra Owd stanęła po lewej stronie Skary na miejscu ministra i z determinacją splotła ręce na piersi.

– To się dopiero okaże.

– Dla Yillinga Wspaniałego nie ma znaczenia, czy jesteś księżniczką czy królową – zagrział Gorm, a Skara, słysząc to imię, poczuła, jak ogarnia ją dobrze znany strach. – On nie klęka przed żadną niewiastą, prócz Śmierci.

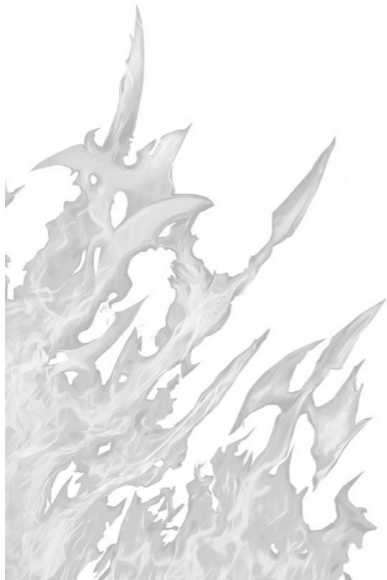
– Na pewno już tu zmierza – dodał Uthil. – I planuje zemstę.

S t a w c z o ł o l ę k o m , j e ś l i c h c e s z j e p o k o n a ć . K s i ę p r z e d n i m i , a o n e p o k o n a j ą c i e b i . Skara nie spieszyła się z odpowiedzią. Potrzebowała chwili na uspokojenie serca, które waliło jak oszalałe.

– Na to właśnie liczę – odparła w końcu.

II

JESTEŚMY MIECZEM



MŁODZIEŃCZA MIŁOŚĆ



Wsunęła palce w jego włosy i pociągnęła go ku sobie, tak że ich czoła się zetknęły. Na twarzy czuł ciepło jej przyspieszonego oddechu. Przez chwilę leżeli spleceni ze sobą. Futrzane okrycie skopali w nogi łóżka. Milczeli.

Koll nie wypowiedział ani słowa, odkąd pożegnał się z Zadrą w porcie i pomknął przez mroczne miasto niczym złodziej za obiecującą kiesą. Rina w milczeniu otworzyła mu drzwi i wciągnęła go do domu, w objęcia, do łóża.

Dawniej uwielbiał słowa, lecz odkąd został uczniem ministra, tonął w nich. Słowa prawdy i słowa fałszu. Słowa w wielu językach. Słowa właściwe i słowa złe, pisane, mówione i niewypowiedziane. Dlatego teraz wołał ciszę. Chciał na moment zapomnieć o tym, co zawdzięcza Ojcu Yarviemu, a co Rinie, bo nie widział sposobu, aby odwdzińczyć się obojgu. Jakichkolwiek słów by użył, czuł się jak kłamca.

Rina pogładziła szorstką dłonią jego policzek, jeszcze raz go pocałowała i wysunęła się z jego ramion. Uwielbiał patrzeć, jak się porusza – taka silna i pewna siebie. Smugi cieni przesunęły się po jej żebrach, gdy podniosła z podłogi jego koszulę. Uwielbiał, kiedy wkładała jego ubrania – bez pytania, bo nie musiała pytać. To sprawiało, że czuli się sobie jeszcze bliżsi. No i podobało mu się, że koszula sięga ledwie do połowy jej nagich pośladków.

Przykucnęła. Klucz do jej własnego domu zakołysał się na łańcuszku. Dorzuciła polano do ognia, iskry strzeliły w górę, a blask rozjaśnił jej twarz. Wciąż nie padło ani jedno słowo, lecz cisza musiała się kiedyś skończyć, tak jak wszystko.

– Wróciłeś – powiedziała.

– Tylko na jedną noc. – Koll delikatnie przesunął palcami wzdłuż grzbietu nosa. Jeszcze się nie zagoił po bolesnym spotkaniu z czołem Raitha. – Księżę Kalyivu przybył do Roystocku. Królowa Laithlin zamierza tam pożeglować, aby się z nim spotkać na audyencji, i potrzebuje ministra. Ojciec Yarvi jest zajęty ratowaniem kruchego sojuszu, więc...

– Wezwwała wszechpotężnego Kolla! Zmieniasz świat, tak jak chciałeś. – Rina

otuliła się jego koszulą. Płomienie odbijały się w kącikach jej oczu. – Będziesz ministrem Złotej Królowej, a nie zdałeś jeszcze egzaminu.

– Nie, ale... kiedyś będę musiał go zdać. I złożyć przysięgę Ministerstwu.

Ta świadomość spadła na nich jak odchody mewy. Jeśli Rina poczuła się zraniona, niczego po sobie nie pokazała. Nie miała tego w zwyczaju. Za to też ją uwielbiał.

– Jak było w twierdzy Baila?

– Jak w wielkiej fortecy z elf-kamienia na brzegu morza.

– Jesteś niemal tak zabawny, jak ci się wydaje. Co czułeś, kiedy się tam wspinałeś?

– Bohaterowie nigdy nie myślą o niebezpieczeństwie.

Uśmiechnęła się.

– Aha, czyli zaszcząłeś sobie gacie?

– Próbowałem, ale byłem tak przerażony, że mój pęcherz zwarł się jak pięść króla Uthila. Przez kilka dni nie dałem rady wycisnąć z niego ani kropli.

– To mi dopiero Koll-wojownik.

– Walkę wolałem zostawić innym. – Koll postukał się w głowę. – Połowę wojny wygrywa się tym. Tak mówi królowa Skara.

– Proszę, proszę, to już królowa Skara – parsknęła Rina. – Żaden chłop się nie oprze mądrości tej dziewczyny.

– Sądzę, że nie bez znaczenia są też... no, wiesz... – Koll machnął ręką. – Biżuteria i takie tam.

Rina uniosła brwi.

– Doprawdy? Tak sądzisz?

– Wygląda jak istota rodem z pieśni. – Wyprostował ręce nad głową i przeciągnął się tak, że aż cały zadrżał. – Ale podejrzewam, że silniejszy podmuch wiatru by ją przewrócił. Ja wolę krzepką kobietę, która mocno stąpa po ziemi.

– I to ma być według ciebie komplement? Krzepka? – Zwinęła język i splunęła w ogień. – Rzeczywiście mi odusty z ciebie minister.

Odważniki matki zakołysały się na rzemieniu, gdy Koll przekręcił się na bok i oparł na łokciu.

– To, co czyni kobietę piękną w moich oczach, nie ma nic wspólnego z jej pochodzeniem ani strojem, ale z tym, co ona potrafi. Podoba mi się kobieta o silnych dłoniach, która nie boi się potu, ciężkiej pracy ani w ogóle niczego. Podoba mi się

kobieta dumna, ambitna, z poczuciem humoru i ogromnym talentem. – Zwykle słowa, ale naprawdę tak myślał. No, prawie. – Dlatego żadna nie wydaje mi się taka piękna jak ty, Rino. A nie wspomniałem jeszcze o twoim tyłeczku, który nie ma sobie równych nad całym Morzem Drzazg.

Odwróciła się do ognia. Kąciki jej ust uniosły się lekko.

– Przyznaję, że to brzmi lepiej. Nawet jeśli to tylko słowa na wiatr.

Koll był z siebie bardzo zadowolony. Uwielbiał, gdy udawało mu się wywołać jej uśmiech.

– Mam nadzieję, że przynajmniej na słodko pachnącą bryzę.

– No, daleko jej do smrodu twoich wiatrów. Nos księcia Varoslafa również zamierzasz mamić pochlebstwami?

Ta uwaga stopiła jego samozadowolenie. Nikt nie robił tajemnicy z tego, że książę Kalyivu nie gustuje w dowcipnych ludziach. Podobali mu się za to obdarci ze skóry.

– Na pewno nie wspomnę nic o jego tyłku. Może w ogóle będę trzymał język za zębami i zostawię negocjacje królowej Laithlin. Milczący rzadko kogoś obrażają.

– Tobie na pewno by się to udało. Czego chce Varoslaf?

– Tego, co wszyscy władcy. Większej władzy. Przynajmniej tak uważa Zadra. Wyprawa do Roystocku nie jest jej na rękę. Wołałaby walczyć.

Rina wstała.

– Ona zawsze woli walczyć.

– Ostatnio jest w podłym nastroju. Nie chciałbym być dzisiaj na miejscu Branda.

– Jakoś sobie poradzi. – Rina ułożyła się obok niego na wąskim łóżku i tak jak on oparła na łokciu. Jego koszula zmarszczyła się na jej piersiach. – W końcu się Kochają.

Oczy dziewczyny, wpatrujące się w niego z tak bliska, budziły w nim niepokój. Czuł się osaczony. Uwięziony w pułapce promieniującego od niej ciepła.

– Może i tak. – Przewrócił się na plecy i wlepił wzrok w sufit, marszcząc czoło. Chciał dokonać wspaniałych rzeczy. Asystować królom. Jak miał zmieniać świat dławiony przez Rinę? – Miłość nie jest w stanie rozwiązać wszystkich problemów, nie sądzisz?

Odwróciła się i naciągnęła futrzane okrycie aż po pas.

– Na to wygląda.

Wielu mężczyzn wyruszyło z królem Uthilem, dlatego w porcie Thorlby pracowało więcej kobiet niż zwykle, porządkując sieci i segregując poranne połowy. Doków strzegli teraz nieliczni strażnicy – sami starcy oraz chłopcy w wieku Kolla, którzy nie przeszli jeszcze prób bojowych, no i dziewczyny szkolone przez Zadnę – ale poza tym nic nie wskazywało na to, że trwa wojna.

Poprzedniego wieczoru sześć wysłużonych okrętów przybyło do Thorlby po długiej żegludze szlakiem Boskiej Rzeki. Spalone słońcem załogi właśnie znosiły na brzeg jedwabie, wina i rozmaite południowe towary. Jednocześnie ludzie królowej Laithlin zaopatrywali jej cztery statki przed podróżą do Roystocku. Port rozbrzmiewał ich nawoływaniem, szczekaniem bezpańskiego psa, którego przepędzano od ryb, śmiechem dzieciaków bawiących się między wozami i krzykami żarłocznych mew, które leniwie zataczały kręgi po niebie, wypatrując rozsyanego ziarna.

Matka Słońce jasno świeciła na wschodzie. Koll osłonił dłonią oczy, spojrzął w kierunku Roystocku i nosem wciągnął potężną dawkę słonego powietrza.

– Pachnie sprzyjającą fortuną!

– I rybami. – Rina zmarszczyła nos. – Cztery statki? Dla jednej kobiety?

– I jej ministra! – Koll dumnie wypiął pierś i dźgnął w nią kciukiem. – Mężczyzna o takiej pozycji zasługuje na odpowiednią oprawę.

– Trzeba będzie połączyć dwie łodzie tylko po to, aby pomieściły jego rozdęty łeb.

– Aha! I humory porywczej Tarczy – mruknął, gdy ponad zgiełk wybiły się gniewne rozkazy Zadry. – O pozycji monarchini świadczą przywożone przez nią dary oraz świta. Królowa Laithlin pragnie zrobić na Varoslafie wyjątkowe wrażenie, dlatego zabiera mnóstwo podarunków i wspaniałych orszak.

Rina zerknęła na niego z ukosa.

– A jak o mnie świadczy to, że dotrzymuję ci towarzystwa?

Koll objął ją w pasie i uśmiechnął się, bo jego ręka doskonale tam pasowała.

– A tak, że jesteś kobietą o wyrafinowanym guście, nie wspominając o wyjątkowym szczęściu, a poza tym... O bogowie! – Dojrzał w tłumie Branda, który bez wysiłku niósł wielką skrzynię, jakby była pusta. Odruchowo schował się za rzędem zawieszonych na drągu lśniących ryb wielkości dzieci. W jednej wciąż jeszcze tliło się życie i szamotała się niemrawo. Koll miał wrażenie, że rybce oczy gapią się na niego z dezaprobatą.

Podobnie jak Rina, która oparła ręce na biodrach i utkwiała w nim spojrzenie.

– Taki z ciebie wielki zdobywca twierdzy Baila. – Pokazała mu język, wydając przy tym odgłos podobny do pierdnięcia.

– Silnych jest bez liku, a mądrych niewielu. Myślisz, że nas zauważył?

– Może wleziesz do rybiego brzucha, wtedy na pewno cię nie rozpozna.

– Jesteś niemal tak zabawna, jak ci się wydaje. – Palcem odsunął jedną z ryb na bok i wyrżał z za niej. – Lepiej już się pożegnajmy.

– Zawsze masz jakiś powód, żeby szybko się rozstać. Ach, ta młodzieńcza miłość. Wcale nie jest taka piękna jak w pieśniach. – Chwyciła go za kołnierz, lekko pociągnęła ku sobie i dała szybkiego całusa.

Zamarł z ułożonymi do pocałunku ustami i zamkniętymi oczami. Kiedy unióś powieki, rozczarowany zobaczył, jak Rina się oddala. Niespodziewanie poczuł wyrzuty sumienia i tęsknotę, która sprawiła, że ogarnęła go głupia desperacka chęć, aby wydłużyć pożegnanie.

– Do zobaczenia za tydzień albo dwa! – zawołał.

– Jeśli masz więcej szczęścia, niż na to zasługujesz! – odrzyknęła, nie oglądając się za siebie.

Koll beztrząsco zatknął kciuki za pas i wolnym krokiem ruszył przez tłum. Dyskretnie okrążył wyładowany wełną wóz. Od nabrzeża niósł się monotonna głos starego Brinyolfa, modłotkacza, recytującego błogosławieństwa na podróż.

Chłopak zdrętwiał, gdy poczuł, jak obejmuje go ciężka ręka.

– Chcę zamienić z tobą słowo. – Jak na takiego olbrzyma, Brand umiał się poruszać bezgłośnie, kiedy mu na tym zależało.

Koll w duchu zmówił krótką modlitwę o łaskę Tej, która osądza, choć wiedział, że nie zasłużył na litość.

– Ze mną? A o czym?

– O księciu Kalyivu.

– Aha! – Dlaczego akurat o człowieku, który słynął z tego, że żywcem obdziera ludzi ze skóry? – O nim.

– Varosław jest niebezpieczny i lepiej go nie drażnić – powiedział Brand. – Zadra ma zwyczaj irytować takich ludzi.

– To prawda. Do tego jest kobietą, z którą lepiej nie zadzierać.

Brand zmierzył go spojrzeniem.

– Dodaj jedno do drugiego, a skończy się rzezią, która przejdzie do historii.

Koll odchrząknął.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Pilnuj, żeby unikała awantur.

– Raczej nie jest kobietą, której łatwo pilnować, zwłaszcza podczas awantury.

– Sam dobrze o tym wiem, możesz mi wierzyć. Ale postaraj się trzymać ją z dala od kłopotów.

Sterowanie okrętem podczas burzy wydawało się Kollowi łatwiejszym zadaniem.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecał i wyduł policzki.

– Sam też się w nic nie wpakuj.

Koll wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wiem, że mam do tego dryg. – Niepewnie spojrzał na umięśnioną rękę Branda pokrytą szlakami blizn. Nie poruszyła się.

– Nie zaliczam się do najbystrzejszych w Thorlby, zdaję sobie z tego sprawę. Ale naprawdę uważasz, że jestem aż tak tępą?

Koll skrzywił się tak mocno, że zupełnie zamknął jedno oko. Drugim niepewnie zerknął na Branda.

– Tylko nie w nos. Jeszcze się nie zagoił po tym, jak rąbnął mnie tamten białowłosa drań.

– Nie zamierzam cię bić. Rina ma prawo sama o sobie decydować. Poza tym uważam, że dobrze zrobiła, wybierając ciebie.

– Naprawdę?

Brand spojrzał na niego spokojnie.

– Problem w tym, że masz złożyć przysięgę Ministerstwu i wyrzec się rodziny.

– Hm, no tak. Przysięga. – Powiedział to tak, jakby wcześniej niewiele o tym myślał, a tymczasem już znał jej treść na pamięć, zastanawiał się, jak ją wypowie, i marzył o tym, co zrobi później. Wyobrażał sobie wspaniałe czyny, jakich dokona, wybieranie większego dobra i mniejszego zła oraz szlachetnie urodzonych, kiwających głowami z podziwu nad jego mądrością...

– Tak. Przysięga – powtórzył Brand. – Mam wrażenie, że miotasz się między Riną a Ojcem Yarvim.

– Sam dobrze o tym wiem, możesz mi wierzyć – wymamrotał Koll. – Od jakiegoś czasu modłę się do Tego, który kieruje lotem strzały, aby wskazał mi właściwą ścieżkę.

– I co, jeszcze nie odpowiedział?

– Ojciec Yarvi uważa, że bogowie sprzyjają tym, którzy potrafią sami

rozwiązywać swoje problemy – oznajmił Koll weselszym tonem. – A ty mi nic nie podpowiesz?

– Jedyne to, co sam już wiesz.

– Aha.

– Musisz w końcu wybrać.

– Takie rozwiązanie nie bardzo mi się podoba.

– Jasne, ale jesteś już mężczyzną. Nie możesz czekać, że ktoś podejmie decyzję za ciebie.

– Jestem mężczyzną. – Koll przygarbił ramiona. – Kiedy to się stało?

– Niepostrzeżenie.

– Tyle że wciąż nie wiem, co znaczy być mężczyzną.

– Dla każdego z nas co innego. Bogowie wiedzą, że żaden ze mnie mędrzec, ale wiem jedno: życie to nie pogoń za ideałami. – Brand spojrzął na Zadnę, która właśnie wygrażała pięścią jednemu z wojowników królowej. – Śmierć czeka wszystkich. Nic nie trwa wiecznie. Trzeba jak najlepiej wykorzystać to, co człowiek napotyka po drodze. Jeśli mężczyzna nie umie się cieszyć z tego, co ma, to... no cóż, pewnie nie będzie umiał cieszyć się z tego, czego nie ma.

Koll zamrugął.

– Naprawdę nie jesteś mędrce?

– Po prostu bądź wobec niej szczerzy. Ona na to zasługuje.

– Wiem – mruknął Koll, z poczuciem winy przypatrując się deskom pod nogami.

– Na pewno postąpisz właściwie. A jeśli nie... – Brand przyciągnął go do siebie – ...to cię spiorę.

– Miła perspektywa – westchnął Koll.

– Zobaczmy się po waszym powrocie. – Brand odprawił go plaśnięciem w ramię.

– A tymczasem unikaj cieni i stój w pełnym blasku.

– Ty też.

Wskakując na pokład okrętu królowej, Koll pomyślał – zresztą nie po raz pierwszy – że wcale nie jest taki mądry, jak mu się wydaje. Przyrzekł sobie pamiętać o tym następnym razem, gdy zacznie podziwiać swój rozum.

Uśmiechnął się sam do siebie. Właśnie tak powiedziałaaby mu matka. Miał wrażenie, że słyszy jej głos. Zacisnął w dłoni stare odważniki, które nosił na szyi, zadarł głowę i spojrzął na czubek masztu. Przypomniawszy sobie, jak na niego krzyczała, gdy balansował na reii. Nienawidził, kiedy tak się z nim cackała. Teraz oddałby

wszystko, żeby wróciły tamte czasy.

Zobaczył, jak królowa Laithlin pochyla się nad synkiem. Następca tronu wydawał się maleńki w otoczeniu niewolników i sług. Nad jego bezpieczeństwem czuwało dwóch wielkich Inglingów w srebrnych obręczach niewolników.

Władczyni poprawiła klamerkę przy pelerynie Druina, przyglądała jego jasne włosy, pocałowała go w czoło, po czym odwróciła się w stronę okrętu. Jeden z niewolników padł przed nią na czworaki, aby po jego grzbiecie weszła na pokład.

– O nic nie musisz się martwić, najjaśniejsza pani – zawołał modłotkacz Brinyolf, kładąc dłoń na ramieniu Druina, a drugą unosząc w wymyślnym geście błogosławieństwa. – Oby Ta, która wyznacza kurs, bezpiecznie przywiodła was z powrotem do domu!

– Pa, pa! – zawołał księżę i zanim matka zdążyła pomachać mu na pożegnanie, umknął spod ręki Brinyolfa i ze śmiechem pobiegł w stronę miasta.

Opiekunowie pospieszyli za nim.

Laithlin opuściła rękę i mocno zacisnęła ją na krawędzi burty.

– Chciałabym zabrać go ze sobą, ale Varoslawowi ufam nie bardziej niż żmii. Jednego syna zabrał mi miecz zabójcy, drugiego Ministerstwo. Nie chcę stracić trzeciego.

– Księżę Druin jest tu bezpieczny, najjaśniejsza pani – zapewnił Koll, wyobrażając sobie, że to samo powiedziała by Ojciec Yarvi. – Walka toczy się daleko od Thorlby i miasto jest dobrze strzeżone. Jego murów jeszcze nikt nie sforsował, a cytadela jest nie do zdobycia.

– To samo mówiono o twierdzy Baila. Tymczasem ty się na nią wspiąłeś.

Koll pozwolił sobie na uśmiech.

– Całe szczęście, że nie ma wielu ludzi o takich talentach, królowo.

– I już przemawiasz z pokorą godną ministra – parsknęła Laithlin.

Zadra wchodziła na pokład jako ostatnia.

– Wracaj bezpiecznie – zawołał Brand, gdy go minęła, tupiąc głośno w dechy pirsu.

– Jasne – burknęła i przełożyła nogę nad burtą, po czym zamarała z jedną stopą na pokładzie, a drugą na nabrzeżu, gdy padł na nią cień królowej Laithlin.

– Młodzieńcza miłość jest skarbem, którego młodzi zupełnie nie potrafią docenić – oznajmiła monarchini w zamyśleniu, po czym spojrzała w stronę miasta, marszcząc czoło i splatając dłonie za plecami. – Moją rolą jest znać wartość wszystkiego,

dlatego uwierz mi, że w życiu nie będziesz miała nic cenniejszego. Zielone liście szybko zbrązowieją. – Obrzuciła swoją Tarczę surowym spojrzeniem. – Myślę, że stać cię na lepsze pożegnanie.

Zadra się wykrzywiła.

– Myślisz, że mnie na nie stać, najjaśniejsza pani, czy każesz mi to zrobić?

– Dla Tarczy każdy kaprys królowej jest rozkazem.

Zadra westchnęła ciężko, opuściła nogę i pomaszerowała z powrotem do Branda.

– Skoro królowa tak rozkazuje – wyszeptała i palcami odgarnęła niesforne kosmyki z jego twarzy. Potem objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Całowała go długo i chciwie, ściskając tak mocno, że wspiał się na palce. Aż załoga zaczęła wiwatować, rechotać i walić w wiosła.

– Nie sądziłem, że jesteś taką romantyczką, najjaśniejsza pani – szeptem powiedział Koll.

– Sama jestem tym zaskoczona – odparła Laithlin.

Zadra puściła męża i wytarła usta. Elf-bransoleta na jej przegubie lśniła złotym blaskiem. Pomimo hałasu, jaki robili wiosłarze, Koll usłyszał jej burkliwy głos:

– Kocham cię – rzekła. – I przepraszam. Za to, jaka jestem.

Brand w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko i opuszkami palców przesunął po gwiazdzistej bliźnie na jej policzku.

– Kocham cię właśnie taką. Wracaj bezpiecznie.

– Aha. – Zadra pięścią rąbnęła go w ramię, po czym zdecydowanym krokiem przemierzyła pirs i przeskoczyła przez burtę na pokład. – Tak lepiej? – spytała.

– Aż mi się zrobiło ciepło na sercu – odparła cicho Laithlin z cieniem uśmiechu na ustach. Po raz ostatni obejrzała się na cytadelę, po czym dała znak sternikowi. – Odbijamy.

KRÓLOWA NICZEGO



Weszli do sali. Może trzy tuziny. Chudzi jak żebracy, brudni jak złodzieje. Dwóch niosło miecze. Pozostali mieli siekiery, łuki myśliwych i rzeźnicze noże. Dziewczyna, w której kołtunach widniało pół żywoplotu, ścisnęła w rękę trzonek motyki z osadzonym na nim pionowo ostrzem starej kosy.

Raith wyduł policzki, tak że zapiekła go najświeższa rana.

– Oto nadchodzą bohaterowie.

– Jednym starsi wkładają miecze do rąk na placu ćwiczeń – szepnęła Siny Jenner prosto do jego ucha. – Są przygotowywani do walki od najmłodszych lat, tak jak ty. Inni chwytają za topór, gdy Matka Wojna rozpościera skrzydła. – Patrzył, jak obdarta kompania niezdarnie klęka półkolem przed podwyższeniem. – Wielkiej odwagi dowodzi każdy, kto staje do boju, choć nie taki los wybierał, nie tego go uczono i nie był na to gotowy.

– Nikt mi nie wkładał miecza do ręki, starcze – powiedział do niego Raith. – Sam wydierałem broń innym setki razy, łapiąc za ostry koniec. I nie martwi mnie brak odwagi, lecz umiejętności.

– Całe szczęście, że w odwodzie masz tysiąc doborowych wojowników, których możesz posłać do walki w drugiej kolejności.

Raith rzucił Jennerowi gniewne spojrzenie, ale nie umiał mu odpowiedzieć. To Rakki był od gadania.

– Matka Wojna nie nagradza ani odważnych, ani zaprawionych w boju. – Stary korsarz kiwnął głową w stronę żebraków. – A jedynie ludzi, którzy najlepiej umieją wykorzystać to, co jest im dane.

Skara miała do tego wyjątkowy dar. Uśmiechnęła się do swoich obszarpanych rekrutów z taką wdzięcznością, jak gdyby z odsieczą przybyli książę Kalyivu, Cesarzowa Południa i kilkunastu lordów z Catalii.

– Dziękuję wam ogromnie, moi przyjaciele. – Siedząc na tronie Baila, pochyliła się gorliwie do przodu. Choć była drobna, wcale nie wydawał się dla niej za duży. –

Moi rodacy.

Wyglądali na tak wdzięcznych, jak gdyby klęczeli przed samą Ashenleer. Ich przywódca, stary wojownik z twarzą porytą bruzdami jak rzeźniczy pień, chrząknął znacząco.

– Księżniczko Skaro...

– Królowo Skaro – sprostowała Siostra Owd, wydymając usta. Wyraźnie zaczynało jej się podobać, że wyszła z cienia Matki Scaer.

Raith przewrócił oczami, ale właściwie się jej nie dziwił. W cieniu Matki Scaer człowieka przenikał dotkliwy chłód.

– Wybacz, najjaśniejsza pani... – wymamrotał wojownik.

Skara tymczasem prawie nie rzucała cienia.

– To ja powinnam prosić cię o wybaczenie. Za to, że musieliście bronić się sami. I ja powinnam być wam wdzięczna, bo przybyliście walczyć w moim imieniu.

– Biłem się za twojego ojca – oznajmił mężczyzna łamiącym się głosem. – I twojego dziada. Za ciebie też będę walczył aż po śmierć. – Pozostali kiwnęli głowami na znak, że myślą tak samo.

No, ale walka na śmierć i życie nie ma nic wspólnego z rzucaniem się na zaostrzoną stal, zwłaszcza że jedynym metalem, jakim ci ludzie umieli się posługiwać, było wiadro do dojenia krów. Jeszcze niedawno białowłosi bracia kpiliby z tak naiwnej lojalności. Ale Rakkiego tu nie było, a Raith nie miał ochoty na kpiny.

Dotąd zawsze wiedział, co powinien robić, i przeważnie miało to związek z ostrzem osadzonym na drzewcu. W Vansterlandzie był to najlepszy sposób na załatwianie spraw. Skara wołała jednak własne sposoby, a on lubił się temu przyglądać. W ogóle lubił na nią patrzeć.

– Skąd pochodzicie? – spytała.

– Większość z Ockenby, najjaśniejsza pani, albo z okolicznych gospodarstw.

– Och, dobrze znam tamte strony! Pamiętam przepiękne dęby w...

– Yilling je spalił – prychnęła kobieta o rysach twarzy tak ostrych jak zatknięta za jej pas siekiera. – Wszystko spalił.

– Tak, ale odpłaciliśmy mu pięknym za nadobne. – Wojownik położył brudną dłoń na ramieniu chłopaka, który stał przy nim. – Puściliśmy z dymem część jego zapasów. I namiot, w którym byli jego ludzie.

– Ależ hycali – warknęła kobieta.

– Jednego dopadłem, jak poszedł szczać! – oznajmił chłopak, którego głos brzmiał raz cienko, a raz grubo. Gdy tylko to powiedział, poczerwieniał i wlepił wzrok w podłogę. – To jest, najjaśniejsza pani, chciałem...

– Wszyscy dzielnie się spisaliście. – Na szczupłych dłoniach Skary pokazały się ścięgna, gdy zacisnęła palce na poręczach tronu Baila. – Gdzie teraz jest Yilling?

– Zniknął – przyznał chłopak. – Rozłożył się obozem na brzegu w Harentofcie, ale którejs nocy się zwinęli.

– Kiedy? – chciał wiedzieć Siny Jenner.

– Dwanaście dni temu.

Stary korsarz z niezadowoleniem szarpnął kosmyki potarganej brody.

– Podejrzana sprawa.

– Przejęliśmy jego flotę – zauważył Raith.

– Najwyższemu Królowi nie brakuje okrętów. Yilling miał czas dotrzeć w dowolny zakątek Morza Drzazg.

– Jesteś jak wór frasunków, starcze – burknął Raith. – Wolałbyś, aby dalej palił tutejsze osady?

– Nie, wtedy też bym się martwił. Tak to już jest u człowieka na starość.

Skara gestem dała im znak, aby umilkli, i spojrzała na swoich rodaków.

– Powiniście się posilić i odpocząć. Jeżeli zechcecie dalej walczyć, nie brak nam oręża, które przejęliśmy od wojowników Najwyższego Króla. Mamy też flotę.

– Będziemy walczyć, najjaśniejsza pani – zapewnił starzec, a pozostali Throveni zrobili wojownicze miny, nawet ci, którzy wyglądali najjaźłośniej.

Nie można im było odmówić odwagi, ale gdy Siostra Owd zabrała przybyszów, aby ich nakarmiono, Raith wyobraził sobie, jak stają do boju z nieprzebraną armią Najwyższego Króla. Następny obraz nie był piękny.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Skara z jękiem opadła na oparcie i przycisnęła dłoń do brzucha. To ciągłe uśmiechanie się nie wychodziło jej na dobre.

– Mamy już sześć załóg, tak? – upewniła się.

– I wszystkie gotowe za ciebie zginąć, najjaśniejsza pani – powiedział Jenner.

Raith głośno wciągnął powietrze.

– Jeżeli zjawi się tu armia Najwyższego Króla, właśnie taki los czeka tych ludzi – stwierdził.

Jenner otworzył usta, lecz Skara ponownie podniosła rękę.

– On ma rację. Wprawdzie zasiadam na tronie, ale bez Gorma i Uthila, których

armie czekają pod murami twierdzy, jestem królową niczego. – Gdy wstała, klejnoty w długim kolczyku zalśniły. – Tymczasem ci dwaj, że nie wspomnę o wojownikach, którym brak zajęcia, już skaczą sobie do gardeł. Powinnam sprawdzić, czy poczynili jakieś postępy.

Raith nie był dobrej myśli. Za radą Jennera Skara zdołała nakłonić sojuszników, aby rozpoczęli przygotowania do obrony. Należało wyciąć drzewa, które rosły za blisko fortecy, wzmocnić fragment murów wzniesionych przez człowieka i wykopać rów. Nawet na to królowie zgodzili się dopiero po całym dniu dyskusji i wysiłków ministrów. Skara uniosła brzeg sukni i gestem dała Raithowi znak, że ma jej towarzyszyć.

Wciąż się jeżył, że musi słuchać rozkazów dziewczyny, i Jenner w końcu to dostrzegł. Chwycił chłopaka za rękę.

– Posłuchaj, młokosie, jesteś wojownikiem. Bogowie wiedzą, jak bardzo potrzebujemy teraz takich jak ty. Ale ten, kto wszędzie szuka okazji do bitki, może znaleźć o jedną za dużo.

Raith pogardliwie skrzywił usta.

– Wszystko, co mam, musiałem wywalczyć sobie pięściami.

– Aha. A co udało ci się zdobyć? – W słowach starca krył się cień racji. – Masz pilnować, żeby nic jej się nie stało, jasne?

Raith go odepchnął.

– Za dużo się martwisz, staruszk.

Na zewnątrz Skara stała w słońcu i kręciła głową, patrząc na sterczący z bruku wielki pniak.

– Pamiętam, jak rosło tu przepiękne drzewo. Według Siostry Owd to zły znak, że je ścięto.

– Niektórzy wszędzie widzą złe znaki. – Raith zdawał sobie sprawę, że powinien każde zdanie kończyć słowami „najjaśniejsza pani”, ale jakoś nie przechodziły mu przez gardło. W końcu nie był byle sługą.

– A ty?

– Zawsze miałem wrażenie, że bogowie zsyłają szczęście tym, którzy są najbardziej zawzięci i najmniej litościwi. W dzieciństwie widziałem mnóstwo dowodów na to.

– Gdzieś ty dorastał? Między wilkami?

Raith uniosł brwi.

– Można tak powiedzieć.

– Ile masz lat?

– Nie wiem dokładnie. – Widząc zdziwione spojrzenie Skary, wzruszył ramionami. – Wilki nie umieją liczyć.

Młoda królowa skierowała się do bramy. Jej niewolnica szła za nimi ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– W takim razie jak zostałeś mieczowym króla? – spytała Skara.

– Matka Scaer nas znalazła. Mnie i mojego brata.

– To znaczy, że masz u niej dług wdzięczności.

Raith przypomniał sobie surowy wzrok minister i jej surowe nauki. Skulił ramiona na wspomnienie licznych chłost.

– Ano chyba mam.

– I szczerze podziwiasz Łamacza Mieczy.

Pamiętał bicie, rozkazy i krwawą robotę na granicy.

– Jest najwspanialszym wojownikiem nad Morzem Drzazg.

Bystre oczy Skary spojrzały na niego z ukosa.

– Kazał ci mnie strzec czy szpiegować?

Zaskoczyła go. Prawdę mówiąc, odkąd odprawiono go, aby jej służył, miał wrażenie, że stąpa po niepewnym gruncie.

– Pewnie i jedno, i drugie. Ale lepszy ze mnie obrońca niż szpieg.

– Kłamać też nie potrafisz.

– Mój brat jest bystrzejszy.

– A zatem Łamacz Mieczy mi nie ufa?

– Matka Scaer często powtarza, że tylko wrogowie nie mogą nas zdradzić.

– Gadki ministrów – prychnęła Skara.

Dotarli właśnie do mrocznego przejścia między wieżami elfów.

– Nie da się ukryć. Ale ja widzę to inaczej. Mam cię strzec, więc jestem gotowy za ciebie zginąć. – Zamrugała, zaskoczona tym wyznaniem. Mięśnie jej szyi drgnęły, gdy przełknęła ślinę, a on pomyślał, że to coś pięknego. – A co do szpiegowania, jestem za tępy, żeby się poznać na twoich sprawach.

– Ach tak. – Przebiegła wzrokiem po jego twarzy. – Jesteś tylko ślicznym głupcem.

Rzadko się rumienił, ale w tej chwili poczuł, jak gorąca krew barwi mu policzki. Potrafił rzucić się na najeżoną ostrzami zaporę z tarcz, ale jedno spojrzenie tej

wiotkiej dziewczyny sprawiał, że cała jego odwaga topniała.

– Hm... Ocenianie urody zostawię tobie. Ale głupoty się nie wypę.

– Matka Kyre zawsze twierdziła, że tylko głupi zapewniają innych o swoim sprycie.

Tym razem to Raith prychnął.

– Gadki ministrów.

Śmiech Skary odbił się echem w półmroku. Jak na tak drobną kobietę, śmiała się donośnie. Gwałtownie i swobodnie, niczym stary wojownik, którego rozbawiły historie opowiadane nad kuflem. Raithowi to także wydało się wspaniałe.

– Aha – przytaknęła mu. – Gadki ministrów. Ale dlaczego Łamacz Mieczy wybrał właśnie ciebie?

Poczuł się jak kiepski pływak podstępem zwabiony na głęboką wodę.

– Jak to?

– Dlaczego powierzył prawdomównemu idiotcie zadanie dla sprytnego kłamcy?

Zmarszczył brwi. Na szczęście dotarli do wylotu przejścia i nie musiał odpowiadać.

Na zewnątrz pod bramami zebrał się spory tłum, lecz nikt nie pracował. Chyba że za robotę uznać gniewne spojrzenia i obrzucanie się nawzajem obelgami – a Raith zawsze tak uważał. Vansterowie przeciwko Gettom, jak zwykle. Ten schemat powtarzał się tak często, że nawet jemu zaczynał się nudzić. Rakki i Hunnan, stary Gett o twarzy jak obity tyłek, stali pośrodku, zjeżeni jak walczące kocury. Rakki trzymał kilof, a Hunnan łopatę. Wyglądało na to, że lada chwila ich użyją, ale bynajmniej nie do kopania.

– Hejże! – ryknął Raith i obaj gwałtownie obrócili głowy w jego stronę.

Błyskawicznie wsunął się między nich. Zauważył, że Hunnan zacisnęła szczęki i nieznacznie odwiódł łopatę. O bogowie, skąd ta paląca chęć, żeby walnąć go łbem, rąbnąć pięścią, chwycić mocno i ugryźć we wstrętą mordę? Groźnie wyszczerzył zęby. Wbrew instynktowi i odruchom, jakich nauczyło go ciężkie życie, tylko złapał za łopatę. Zanim stary Gett pojął, co się dzieje, Raith zeskoczył na dno rowu.

– Sądziłem, że jesteśmy sojusznikami – zawołał i zaczął kopać, zasypując Hunnana i Rakkiego gradami ziemi, tak że musieli się odsunąć. – Czy tylko ja nie boję się roboty? – Wprawdzie nie był mędrce, ale umiał rozpoznać to, co miał przed nosem, a od Skary się nauczył, że wojowników łatwiej do czegoś nakłonić, zawstydzając ich, niż podjudzając.

Miał rację. Rakki z kilofem zaraz po nim zeskoczył do rowu. Za jego przykładem poszło kilku Vansterów. Hunnan nie chciał być gorszy. Splunął w dłonie, wyrwał szufłę stojącemu obok i też zlął na dół, po czym z furią zabrał się do pracy. Wkrótce cały rów wypełnił się wojownikami, którzy na wyścigi starali się wydrzeć Ojcu Ziemi jak najwięcej piachu.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przerwałeś bójkę – mruknął Rakki.

Raith wyszczerzył zęby.

– Kilka przerwałem pięścią.

– Nie zapominaj, kim jesteś, bracie.

– Niczego nie zapominam – burknął Raith i odsunął się, aby Rakki mógł kilofem rozbić kępę upartych korzeni. Obejrzał się w kierunku bramy i zobaczył uśmiechniętą Skarę. Mimowolnie sam się uśmiechnął. – Ale każdego dnia budzimy się jako zupełnie nowi ludzie.

Rakki pokręcił głową.

– Ta dziewczyna trzyma cię na krótkiej smyczy.

– Może, ale znam gorsze smycze.

WŁADZA



Siostra Owd zajrzała do nocnika i zmarszczyła brwi.

– Wygląda obiecująco.

– Dlaczego akurat ten stolec wygląda bardziej obiecująco od innych? – zdziwiła się Skara.

– Szczęściarze, którym udają się takie obiecujące stolce, często o to pytają, najjaśniejsza pani. Krwawisz regularnie?

– Rozumiem, że tradycyjnie zdarza się to raz w miesiącu.

– Czyżby twoje łono zamierzało zerwać z tradycją?

Skara obrzuciła Siostrę Owd najbardziej lodowatym spojrzeniem, na jakie potrafiła się zdobyć.

– Moje łono zachowuje się tak, jak powinno. Możesz być spokojna. Nigdy nawet nie pocałowałam mężczyzny. Matka Kyre skrzętnie mnie pilnowała.

Owd chrząknęła dyskretnie.

– Wybacz mi, lecz jestem teraz odpowiedzialna za twoje zdrowie. Twoja krew jest dla Throvenlandu warta więcej niż złoto.

– W takim razie niech Throvenland się raduje! – wykrzyknęła Skara, wychodząc z kąpieli. – Krwawię regularnie!

Niewolnica królowej Laithlin delikatnie ją osuszyła, po czym wiązką witek spryskała jej ciało wonną wodą pobłogosławioną w imię Tego, dzięki któremu nasiono kiełkuje. Wprawdzie zaliczał się do mniej ważnych bogów, lecz dla dziewcząt z królewskich rodów był potężny.

Siostra Owd zmarszczyła czoło – minister Skary, bo chyba nią była, i jej doradczyni, choć bardziej przypominała surową nauczycielkę.

– Jesz do syta, najjaśniejsza pani?

– A co innego miałabym robić w porze posiłków? – Skara wołała nie wspominać, że gdy zdoła wmusić w siebie odrobinę jedzenia, bez przerwy czuje, że za chwilę wszystko zwróci. – Zawsze byłam drobna. – Pstryknęła palcami na niewolnicę i ta

natychmiast zjawiła się z peniuarem. – Poza tym nie lubię, kiedy się mnie ocenia jak niewolnicę na targu.

– A kto to lubi, najjaśniejsza pani? – Siostra Owd świadomie spuściła wzrok. – Niestety prywatność jest luksusem, na który władcy nie mogą sobie pozwolić. – Jej łagodność była, o dziwo, jeszcze bardziej irytująca od bezwzględnych metod Matki Kyre.

– Ty na pewno jesz za nas obie – burknęła Skara.

Siostra Owd skwitowała jej słowa uśmiechem. W okrągłej twarzy pojawiły się dołeczki.

– Zawsze byłam mocnej budowy, ale od mojego zdrowia nie zależy przyszłość narodu. I całe szczęście. – Kiwnęła na niewolnicę. – Podaj coś królowej. – Dziewczyna odrzuciła na plecy długi warkocz i podniosła tacę z porannymi smakołykami.

– Nie! – warknęła Skara. Sam zapach jedzenia wystarczył, aby poczuła ucisk w żołądku. Machnęła ręką, jakby zamierzała zrzucić wszystko na podłogę. – Zabierz to!

Niewolnica się skuliła, jak gdyby gniew był podniesionym batem. Młodą królową natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. Po chwili przypomniała sobie jednak, co Matka Kyre powiedziała po tym, jak król Fynn sprzedał nianię swojej wnuczki i Skara przez wiele dni płakała. **N i e w a r t o m a r n o w a ć u c z u n a n i e w o l n i k ó w.** Niecierpliwym gestem odprawiła dziewczynę, wyobrażając sobie, że tak właśnie postąpiłaby Laithlin. W końcu sama również była królową.

O bogowie. Była królową. Jej żołądek ponownie się ścisnął, poczuła przykre łaskotanie w gardle i zakasłała dziwnie, pół czkając i pół warcząc z irytacji. Zaciśnęła pięść, jak gdyby zamierzała uderzyć zbuntowane wnętrzości. Jak mogła narzucić swoją wolę monarchom, skoro nawet własny żołądek nie chciał jej słuchać?

– Sporo jeszcze trzeba przygotować przed dzisiejszą naradą – oznajmiła Siostra Owd, kierując się do drzwi. – Pozwolisz, że cię teraz opuszczę, najjaśniejsza pani?

– Im prędzej, tym lepiej.

Minister przystanęła. Jej ramiona wyraźnie się uniosły, gdy głęboko wciągnęła powietrze. Odwróciła się i stanowczo splotła przed sobą ręce.

– Do mnie możesz się zwracać tak, jak sobie zyczysz. – Owd wydawała się miękka jak brzoskwinia, lecz do Skary właśnie dotarło, że brzoskwinia ma w środku twardą pestkę, na której nieuważna osoba może połamać zęby. – Ale takie zachowanie

zupełnie nie przystoi królowej. Jeśli tak potraktujesz Uthila i Gorma, zaprzepaszysz wszystko, co udało ci się dotąd osiągnąć. Twoja pozycja nie jest na tyle mocna, abyś mogła sobie pozwolić na okazywanie takiej słabości.

Skara naprężyła wszystkie mięśnie, gotowa wybuchnąć gniewem, ale w porę uświadomiła sobie, że Owd ma rację. Dawniej złościła się tak na Matkę Kyre. Zachowywała się jak rozkapryszone dziecko. Pomyślała, że dziad, który nie skąpił nikomu bogactw ani pochwał, nie byłby zachwycony.

Zamknęła oczy i poczuła szczypiące łyzy pod powiekami. Zrobiła wdych i z westchnieniem wypuściła powietrze.

– Masz rację – przyznała. – Moje zachowanie było niegodne żebraczki, a co dopiero królowej. Wybacz mi.

Siostra Owd powoli rozplotła ręce.

– Królowa nigdy nie powinna prosić o wybaczenie, zwłaszcza swojej doradczyni.

– W takim razie pozwól sobie podziękować. Wiem, że nie znalazłaś się tutaj z wyboru, lecz jak dotąd wiernie mnie wspierałaś. Zawsze wiedziałam, że kiedyś zostanę królową, że będę przemawiała w wielkich salach i zawierała mądre umowy w imieniu moich poddanych... jednak nie wyobrażałam sobie, że stanie się to tak szybko. Tymczasem gra toczy się o wysoką stawkę, a ja nie mogę liczyć na pomoc dziada. – Skara otarła oczy wierzchem dłoni. – Matka Kyre starała się przygotować mnie do przejęcia władzy, ale... mam wrażenie, że na takie brzemie nikt nigdy nie jest gotowy.

Minister spojrzała na nią uważnie.

– Zważywszy na okoliczności, uważam, że dźwigasz je nad podziw godnie.

– Postaram się robić to jeszcze lepiej. – Skara uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Jeśli obiecasz mi, że sprowadzisz mnie na właściwą ścieżkę, kiedy popełnię jakiś błąd.

Siostra Owd uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– To będzie dla mnie zaszczyt, najjaśniejsza pani. Naprawdę – powiedziała, po czym ukloniła się sztywno i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Skara obejrzała się na niewolnicę i uświadomiła sobie, że nawet nie zna jej imienia.

– Ciebie także przepraszam – wyszeptała bez zastanowienia.

Dziewczyna zrobiła przerażoną minę. Skara dopiero po chwili domyśliła się dlaczego. Dopóki niewolnica jest dla swojej pani jak pożyteczna rzecz, nic jej nie

grozi. Kiedy jednak staje się osobą, może być faworyzowana, a nawet kochana – tak jak dawna piastunka Skary. Tyle że osoba bywa też obarczana winą, traktowana z zazdrością i nienawidzona.

Bezpieczniej być rzeczą.

Skara pstryknęła palcami.

– Podaj mi grzebień.

Ktoś załomotał do drzwi i po chwili dobiegł zza nich warczący głos Raitha.

– Jest tu Ojciec Yarvi. Chce z tobą pomówić.

– I to pilnie, królowo Skaro – odezwał się minister. – W sprawie, na której oboje możemy skorzystać.

Skara przytknęła dłoń do brzucha, na próżno próbując uciszyć wzbudzony żołądek. Ojciec Yarvi wydawał się życzliwy, lecz w oczach miał coś, co ją niepokoiło, tak jakby zawsze wiedział, co ona powie, i miał z góry przygotowaną odpowiedź.

– W moich żyłach płynie krew Baila – wyszeptła sama do siebie. – Krew Baila, krew Baila. – Zacisnęła zabandażowaną dłoń, aż zapiekła. – Niech wejdzie! – zawołała.

Nawet Matka Kyre nie zdołałaby się dopatrzeć uchybień w zachowaniu Ojca Yarwiego. Wszedł do komnaty z pochyloną na znak szacunku głową. Laskę z elf-metalu pełnego prześwitów i otworów trzymał w zdrowej dłoni. Przykurczoną rękę na wszelki wypadek schował za plecami, aby jej widok nie uraził królowej. Raith wsunął się do środka za nim, z niezmiennie zmarszczonym czołem i białymi włosami przypłaszczonymi po stronie, na której spał pod jej drzwiami. Oszepeczoną bliznami dłoń oparł na rękojeści topora.

Skara przestała już sobie wyobrażać pocałunki z nim, za to często myślała, co zrobiliby potem... Starła się na niego nie patrzeć, ale jej oczy same go odnajdywały. No cóż, marzenia nikomu nie szkodzą.

Minister Gettlandu ukłonił się z godnością.

– Najjaśniejsza pani, jestem zaszczycony, że zgodziłaś się mnie przyjąć.

– Na dziś zaplanowano naradę. Nie moglibyśmy porozmawiać później, kiedy będę już ubrana? – Szczelniej otuliła się peniuarem.

Dopiero teraz podniósł wzrok. Jego szaroniebieskie oczy wydawały się chłodne jak wiosenna mżawka.

– Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać. Złożyłem przysięgę ministra. Pod tym względem nie jestem mężczyzną – oznajmił i zerknął z ukosa na Raitha.

Pojęła aluzję. Raith bez wątplenia był mężczyzną pod każdym względem. Skara czuła, że przygląda się jej spod jasnych rzęs, zupełnie nie przejmując się konwenansami. Pewnie nie znał nawet tego słowa. Powinna natychmiast kazać mu wyjść.

– Obaj możecie zostać – oznajmiła. Jako władczyni czuła się silniejsza, gdy za Ojcem Yarvim stał Raith z toporem. Konwenanse były ogromnie ważne dla księżniczki, lecz dla królowej o wiele większe znaczenie miała władza. Poza tym skrycie się cieszyła, że Raith na nią patrzy. I że nie przejmuje się etykietą. – Słucham, o jaką pilną sprawę chodzi?

Nawet jeśli jej słowa zaskoczyły młodego ministra Gettlandu, uśmiechnięta maska jego twarzy nie drgnęła ani odrobinę.

– Bitwy najczęściej zwycięża ta strona, która pierwsza dociera na plac boju, najjaśniejsza pani – powiedział.

Skara skinęła na niewolnicę, która zbliżyła się z grzebieniem i pomadą. Chciała w ten sposób dać Ojcu Yarviemu do zrozumienia, że nie jest aż tak ważny, aby ze względu na niego przerywała poranną toaletę.

– Czyżbym to ja była wspomnianym placem boju?

– Jesteś cennym i arcyważnym sojusznikiem, którego wsparcia ogromnie potrzebuję.

– Tak jak potrzebowałeś mojego dziada, który zginął z rąk mordercy? – warknęła. Oj, za ostro, za ostro. To oznaka słabości. Świadomie usunęła tnącą nutę z głosu. – Matka Kyre uważała, że podstępem nakłoniłeś króla Fynna do zawarcia sojuszu.

– Powiedzmy, że uciekłem się do perswazji, najjaśniejsza pani.

Uniosła brwi i spojrzała na odbicie Yarwiego w lustrze.

– W takim razie spróbuj użyć jej także wobec mnie, jeśli zdołasz.

Jego laska kilkakrotnie zastukała cicho o posadzkę. Zbliżał się tak powoli i dyskretnie, że miała wrażenie, jakby w ogóle się nie ruszał.

– Wkrótce zjawi się tu armia Najwyższego Króla.

– Nie trzeba wielkiej przebiegłości, aby to przewidzieć, Ojczy Yarvi.

– Ja jednak wiem kiedy i gdzie. – Skara złapała niewolnicę za nadgarstek, zanim grzebień dotknął jej włosów, po czym odwróciła się i spojrzała na ministra szparkami oczu. – Za sześć nocy spróbuje przeprowadzić swoje wojska przez cieśninę z Yutmarku, w najwęższym jej punkcie, na zachód od Yaletoftu... a raczej zgłiszcz, jakie po nim zostały.

Na moment wstrzymała oddech. Pamiętała miasto w ogniu. Niebo gorejące łuną. Śwąd dymu i jej dawne życie zamienione w popiół. Minister wyraźnie pragnął rozniecić w niej iskrę strachu i gniewu. Osiągnął cel.

W jej głosie po raz pierwszy zabrzmiała nuta głębokiego smutku.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Taka już rola ministra. Na łądzie wróg ma nad naszym sojuszem liczebną przewagę. My za to posiadamy znakomitych żeglarzy i wspaniałe okręty, podczas gdy najlepsza część floty Najwyższego Króla tkwi uwięziona w porcie fortecy. Na morzu jesteśmy górą. Musimy zaatakować, gdy przeciwnik będzie próbował pokonać cieśniny.

– Ma tego dokonać moich sześć załóg? – Skara ponownie odwróciła się do lustra i dała znak niewolnicy, że może zacząć ją czesać.

Dziewczyna przełożyła srebrny łańcuch za ramię i bezgłośnie zbliżyła się z grzebieniem.

– Twoje sześć załóg, najjaśniejsza pani... – Yarvi przysunął się jeszcze bliżej. – I twój jeden głos.

– Rozumiem. – Prawdę mówiąc, od początku domyślała się celu jego wizyty. Jej królewski tytuł liczył się tyle co dym, sześć załóg wojowników miało wartość nie większą od zwykłych piratów, a granice jej ojczyzny znajdowały się tuż za murami twierdzy Baila. Wszystko, co miała, zostało pożyczone – niewolnica, obrońca, minister, lustro, a nawet suknie. Głos jednak należał do niej.

Ojciec Yarvi mówił przyjaznym szeptem, który sprawiał, że człowiek miał chęć znaleźć się jak najbliżej, aby zostać dopuszczonym do tajemnicy. Tymczasem Skara celowo siedziała wyprostowana i nie zdradzała swoich myśli, aby to on nachylił się ku niej.

– Matka Scaer jest przeciwna każdej propozycji, jaka wychodzi ode mnie. Obawiam się, że Grom-gil-Gorm będzie zbyt nieufny i nie wykorzysta nadarzającej się szansy, a druga może się nie trafić. Dlatego gdybyś to ty przedstawiła strategię...

– Ha – przerwała mu Skara. Pamiętała przestrogi Matki Kyre: *N i g d y n i e p o d e j m u j d e c y z j i w p o ś p i e c h u . N a w e t j e ś l i o d r a z n a s z o d p o w i e d ź , n i e s p i e s z s i ę , b o w t e n s p o s d e m o n s t r u j e s z s i ł ę .* Dlatego zwlekała. Niewolnica od królowej Laithlin ostrożnie wspięła się na stołek i wprawnymi palcami zaczęła zwijać i upinać włosy młodej królowej.

– Okoliczności ugruntowały twoją władzę, najjaśniejsza pani. – Ojciec Yarvi

znajdował się już bardzo blisko. Na jego szyi pod kołnierzem dostrzegła niewyraźne blizny. – Znakomicie się odnajdujesz w nowej roli. Jak młody sokół, który szybko uczy się latać. Czy mogę liczyć na twoją pomoc?

Przyjrzała się swojemu odbiciu. Na patrona pokoju, kimże była ta kobieta o przenikliwym spojrzeniu, surowa, wyniosła i twarda jak krzemień? Prawdziwa sokolica. Wydawało jej się niemożliwe, że to ta sama dziewczyna, której żołądek podchodzi do gardła z niepewności.

„Jeśli sprawiasz wrażenie silnej, jesteś siłką”
mawiała Matka Kyre.

Skara zaczekała, aż niewolnica założy jej kolczyk, a potem dumnie wyprostowała ramiona. Jej nozdrza rozszerzyły się lekko, gdy z determinacją wciągnęła powietrze. Zdawkowo skinęła głową.

– Tym razem możesz.

– Twoja mądrość dorównuje urodzie, najjaśniejsza pani. – Yarvi z uśmiechem złożył ukłon.

Raith zamknął drzwi za ministrem i odwrócił się do młodej królowej.

– Nie ufam temu draniowi.

Jego uwaga była tak niestosowna, że Skara mimowolnie parsknęła śmiechem. Nie znała nikogo innego, kto ukrywałby tyle co Ojciec Yarvi... i tak mało jak Raith. Szczerza, pokryta bliznami, ale ładna twarz chłopaka zdradzała każdą jego myśl.

– Dlaczego? – spytała. – Dlatego, że uważa mnie za mądrą i piękną?

Raith nie odrywał od niej oczu.

– Jeśli ktoś powie dwie prawdy, to nie znaczy, że wcale nie kłamie.

Ach, więc Raith także uważał ją za mądrą i piękną. Bardzo ją to cieszyło, ale wolała nic po sobie nie pokazać.

– Ojciec Yarvi umożliwi nam atak na Najwyższego Króla – powiedziała. – Nie chciałabym zaprzepaścić tej szansy.

– Ufasz mu?

– Nie trzeba ufać człowiekowi, aby go wykorzystać. W końcu mój obrońca dawniej napełniał puchar samego Grom-gil-Gorma.

Raith nachmurzył się jeszcze bardziej i odruchowo dotknął karbu w płątku ucha.

– Najlepiej nikomu nie ufać.

– Dobra rada. – Skara odszukała w lustrze odbicie jego oczu. – Możesz już odejść – powiedziała i pstryknęła palcami na niewolnicę, aby przyniosła jej ubranie.

ZDANIE ŚWIŃ



Minęły dwa lata, odkąd Koll widział Roystock. Miasto na bagnistej wyspie rozrosło się we wszystkie strony niczym nowotwór.

Drewnianymi mackami na chwiejnych podporach sięgało coraz dalej w morze. Budynki czepiały się krzywych pirsów niczym pąkle, a szałaszy wyrastały na dachach chat pod każdym kątem, tylko nie prosto. Pod nimi gnął las krzywych pali, a nad nimi setki kominów zasłaniały niebo całunem dymu. Niewielkie skupiska ruder, rozproszone jak rozprysnięte rzygi, chwytaly się każdego suchego garbu ziemi na moczarach u ujścia Boskiej Rzeki.

Nigdy dotąd Koll nie widział tyle ciesielskiego partactwa w jednym miejscu.

– Jest większe – stwierdził, marszcząc nos. – To chyba postęp.

Zadra zatkała nos.

– Smród też jest większy.

Mocna mieszanka wiekowego gnoju i słonawej woni zgnilizny z gryzącymi zapachami wędzarni ryb, farbiarni tkanin i garbarni sprawiała, że oddech wiązał Kollowi głęboko w krtani.

Królowa Laithlin nie należała do kobiet, którym fetor przeszkadza w interesach.

– Tutejsi wodzowie obrośli tłuszczem dzięki handlarzom, którzy spływają Boską Rzeką – stwierdziła. – Ich miasto spuchło tak jak oni.

– A Varosław zjawił się po swój kawałek mięsiwa. – Koll z nachmurzoną twarzą patrzył na zbliżające się nabrzeże. – I przywiódł ze sobą prawdziwą flotę.

Oczy Zadry przypominały szparki. Uważnie przyglądała się długim i smukłym łodziom księcia.

– Naliczyłam trzystaście.

– Widać nie chodzi wyłącznie o demonstrację siły – cicho powiedziała królowa. – Myślę, że księżę Kalyivu zamierza tu osiąść.

Na zewnątrz przegrzewała Matka Słońce, ale w sali panował chłód.

Książę Varosław siedział u szczytu długiego stołu, tak wypolerowanego, że widać w nim było drugiego, nieco rozmytego księcia Varoslafa. Koll uważał, że nawet jeden to za dużo.

Władca Kalyivu nie zaliczał się do rosłych mężczyzn, nie nosił broni i nie miał włosów, zarostu ani nawet brwi. Jego oblicze wolne było od gniewu, pogardy czy chmurnej groźby. Malowała się na nim jedynie kamienna obojętność, która budziła większy niepokój, niż gdyby wściekle się krzywił. Za księciem rozstawili się półkolem straszni wojownicy, przed którymi klęczało drugie półkole niewolników dzwoniących ciężkimi łańcuchami. Obok Varoslafa czuwała smukła jak włócznia służąca. W skraju chusty nad jej czołem lśniły złote kółka.

Dziewięciu wodzów Roystocku zajęło miejsca po jednej stronie stołu, między Varosławem a Laithlin, chełpiąc się najpiękniejszymi jedwabiami i najwspanialszymi klejnotami. Tyle że na ich twarzach malował się lęk. Niczym załoga pozbawionego steru okrętu, który dryfuje po skutych lodem wodach na Północy, mieli nadzieję, że nie zostaną zmiążdżeni przez dwie wielkie góry lodowe. Koll podejrzewał, że sama nadzieja im nie pomoże.

– Królowo Laithlin, Klejnocie Północy. – Głos Varoslafa brzmiał sucho i szepcząc jak szelest liści jesienią. – Czuję się wyróżniony przez bogów, gdyż pozwolili mi ponownie pławić się w blasku twojej osoby.

– Wielki książę. – Członkowie świty królowej Laithlin tłoczyli się za nią, z szacunkiem pochylając głowy. – Całe Morze Drzazg drży na wieść o twoim przybyciu. Gratuluję ci wspaniałego zwycięstwa nad Konioludami.

– Czy można mówić o zwycięstwie za każdym razem, gdy koń macha ogonem, aby przepędzić muchy? Natrętne owady zawsze wracają.

– Przywożę ci dary. – Dwie niewolnice Laithlin, bliźniacze siostry o warkoczach tak długich, że owijały je sobie wokół przedramion, wystąpiły naprzód, niosąc intarsjowane drewnem szkatuły, importowane za niewiarygodną sumę z dalekiej Catalii.

Książę powstrzymał je gestem dłoni i Koll dostrzegł w jego zgrubiałych palcach głęboką bruzdę od nieustannych ćwiczeń w strzelaniu z łuku.

– Ja również mam dary dla ciebie. Później przyjdzie na nie pora. Najpierw omówmy pewną ważną sprawę.

Złota Królowa uniosła złociste brwi.

– A mianowicie?

– Problem Boskiej Rzeki i pieniędzy, które spływają jej szlakiem. A dokładnie

to, jak powinniśmy je między nas podzielić.

Laithlin drobnym ruchem palca odprawiła niewolnice.

– Sądziłam, że doszliśmy już do obustronnie korzystnego porozumienia.

– Powiem szczerze, chciałbym, aby było ono bardziej korzystne dla mnie – oznajmił Varoslaf. – Moja minister obmyśliła wiele sposobów na osiągnięcie większych zysków.

Chwila milczenia.

– Masz teraz doradczynię, wielki książę? – zapytał Koll.

Varoslaf zatrzymał na nim chłodne spojrzenie i chłopak odniósł wrażenie, że kurczą mu się jądra.

– Władcy znad Morza Drzazg nie mogą się bez nich obejść. Dlatego pomyślałem, że kupię sobie własną.

Niemal niezauważalnie poruszył bezwłosą głową i kobieta klęcząca w półkolu z innymi niewolnikami wstała. Gdy zsunęła kaptur z głowy, Koll usłyszał gniewny pomruk Zadry.

Niewolnica miała na głowie żółty meszek. Tylko nad jednym uchem pozostawiono cienki warkoczyk. Na długiej, smukłej szyi widniała obręcz ze srebrnego drutu i druga wokół przegubu. Łączył je cienki łańcuch, trochę za krótki, aby było jej wygodnie. Na policzku miała wytatuowaną sylwetkę konia – znak, że jest własnością księcia – lecz jej nienawiści nikt jeszcze nie poskromił. Płonęła w zaczerwienionych oczach otoczonych ciemnymi kręgami.

– O bogowie – wyszeptał bezgłośnie Koll – to dopiero pech. – Znał tę twarz. Isriun, córka Odema, podstępnego brata króla Uthila. Niegdyś była przyrzeczona Ojcu Yarviemu, później została ministrem Vansterlandu. Gdy okazała zbyt wielką arogancję wobec Łamacza Mieczy, sprzedał ją w niewolę.

– Smarkuła Odema mnie prześladowuje – syknęła królowa Laithlin.

Najważniejszy z wodzów, bystrooki stary kupiec przystrojony srebrnymi łańcuchami, chrząknął znacząco.

– Czcigodny Varoslafie, którego wszyscy się lękają... – Głos zadrział mu nieznacznie, gdy książę zatrzymał na nim wzrok. – I Złota Królowo, którą wszyscy podziwiają, te sprawy dotyczą nas wszystkich. Jeśli mi wolno...

– Zazwyczaj hodowca i rzeźnik sami dzielą mięso, nie pytając świń o zdanie – oznajmił Varoslaf.

Na sali zapadła absolutna cisza. Po chwili smukła służąca księcia Kalyivu

nachyliła się ku wodzom i zakwicziała jak świnia. Ten, który siedział najbliżej, cofnął się z przerażeniem. Kilku zadrżało. Wszyscy pobledli. Na pewno zawarli niejedną umowę przy tym lśniąącym stole, lecz tym razem nie było najmniejszej nadziei, że cokolwiek zyskają.

– Czego oczekujesz, wielki książę? – spytała Laithlin.

Isriun nachyliła się nad Varoslafem i przez chwilę szeptała mu coś na ucho. Jej warkoczyk lekko muskał jego ramię, a jej błyszczące oczy spoglądały to na Laithlin, to na księcia.

Twarz jej pana pozostała nieprzeniknioną maską.

– Jedynie tego, co mi się należy.

– Zawsze jest jakiś sposób – oświadczyła królowa oschle. – Możemy odstąpić ci dodatkowo dziesiątą część dziesiątej części każdego ładunku...

Isriun ponownie nachyliła się ku władcy. Długo coś szeptała, obgryzionymi paznokciami drapiąc tatuaż na policzku.

– Cztery dziesiąte dziesiątej części – oznajmił Varoslaf obojętnym tonem.

– Cztery dziesiąte są tak odległe od sprawiedliwego podziału jak Roystock od Kalyivu.

Tym razem Isriun nie zawracała sobie głowy szeptanymi poradami. Wysyczała odpowiedź, patrząc prosto na Laithlin:

– Na placu boju nie ma mowy o sprawiedliwości.

Królowa spojrzała na nią szparkami oczu.

– Spodziewacie się bitwy?

– Jesteśmy na nią gotowi – odparła Isriun, z pogardą wykrzywiając usta.

Dopóki sączyła jad prosto do ucha księcia, każdy argument trafiał w próżnię. Koll przypomniał sobie obdarte ze skóry trupy kołyszące się na słupach w Kalyivie i z wysiłkiem przełknął ślinę. Varoslaf nie należał do ludzi, których dało się zastraszyć, doprowadzić do wściekłości lub zjednać pochlebstwami czy żartami. Mieli przed sobą mężczyznę, z którym nikt nie śmiał zadzierać. Człowieka, który swoją władzę zbudował na strachu.

Laithlin i Isriun wdały się w pojedynek na słowa, równie okrutny i wymagający takiej samej zręczności jak starcia na placu ćwiczeń. Bezlitośnie smagały się nawzajem kwotami i częściami, dźgały dziesięcinami, odbijały ciosy ułamkami. Tymczasem Varoslaf siedział wygodnie rozparty. Jego bezwłosa twarz przypominała nieruchomą maskę.

Koll widział tylko jedno wyjście. Dotknął odważników, które nosił pod koszulą, i przypomniał sobie, jak matka krzyczała na niego, aby zszedł z masztu. Na pewno byłby bezpieczniejszy na pokładzie, lecz ten, kto chce zmieniać świat, czasem musi ryzykować.

– Wielki książę! – Sam się zdziwił, że jego głos zabrzmiał tak swobodnie, jakby był w kuźni Riny. – Może udasz się do swoich komnat na odpoczynek i zostawisz wszelkie ustalenia swojej minister.

Możliwe, że tchórze lepiej radzą sobie ze strachem niż bohaterowie, ponieważ codziennie stawiają mu czoło. Koll z wysiłkiem postąpił krok naprzód, zmusił twarz do uśmiechu i lekceważąco machnął rękami.

– Widzę, że wszystkie decyzje podejmuje za ciebie bratanica króla Uthila. Żmija, która obróciła się przeciwko własnej rodzinie i nadal sący jad, choć założono jej obręcz i skuto łańcuchem. Po co marnować czas, udając, że tak nie jest? W końcu, jak sam powiedziałeś... – Koll położył dłoń na piersi – ...zazwyczaj to hodowca... – pokazał na Isriun – ...i rzeźnik dzielą mięso, nie pytając o zdanie... – wskazał rękoma królową Laithlin i księcia Varoslafa – ...świń.

Obecni słuchali go z niedowierzaniem. Po chwili wojownicy Varoslafa zjeżyli się wściekle. Jeden wywarczał przekleństwo w mowie Konioludów. Drugi zrobił krok do przodu, chwytając za zakrzywiony miecz. Rozległo się głośne plaśnięcie. Zadra wierzchem dłoni na odlew trzasnęła Kolla w twarz.

Wolał myśleć, że upadł celowo, ale prawdę mówiąc, czuł się tak, jakby trafił go młot. Z trudem podniósł się na łokciu. Twarz paliła go ogniem i kręciło mu się w głowie. Nad sobą zobaczył gniewne spojrzenie królowej.

– Każę cię za to wychłostać.

Varosław leniwie podniósł dłoń ze śladami po cięciwie, aby powstrzymać swoich wojowników. Wzrok miał tak lodowaty, że Koll poczuł, jak zamarzają mu siki w pęcherzu. Zaledwie kilka dni wcześniej powtarzał sobie, że nie jest taki mądry, jak mu się wydaje. Nie cóż, niektórzy nigdy się nie zmieniają.

Isriun znowu nachyliła się ku władcy.

– Musisz zażądać, aby obdarto go za to ze skóry...

Jej głos przeszedł w kwiczący jęk, gdy Varosław pociągnął ją do dołu za łańcuch.

– Nigdy mi nie mów, co muszę – warknął i pchnął Isriun ku drzwiom, tak że ledwie zdołała utrzymać się na nogach.

Zadra chwyciła Kolla za ramię i z przerażającą siłą pociągnęła skulonego chłopaka do wyjścia.

– Nieźle to wymyśliłeś – szepnęła do niego. – Chyba nie zrobiłam ci krzywdy, co?

– Bijesz jak dziewczyna – pisnął, zanim wypchnęła go do westybulu i zatrzasnęła za nim drzwi.

– Pewnie jesteś teraz zadowolony – warknęła do niego Isriun.

Koll powoli usiadł, ostrożnie dotknął wargi i przyjrzał się czerwonym opuszkom palców.

– Byłbym bardziej zadowolony, gdybym nie miał zakrwawionej gęby.

– Śmieję się, jeśli chcesz! – Isriun wyszczerzyła zęby, ale jej mina bardziej przypominała grymas agonii. – Bogowie wiedzą, że ja na twoim miejscu bym się śmiała. Byłam córką króla! Byłam ministrem! Towarzyszyłam samej Babce Wexen! A teraz... – Szarpnęła ręką, napinając łańcuch, tak że obroża wciągnęła się w jej szyję. Choćby wykręcała się we wszystkie strony, nie mogła do końca wyprostować ramienia. – Na twoim miejscu bym się śmiała! – powtórzyła.

Koll pokręcił głową i niezdarnie wstał.

– A ja nie. Wiem, co znaczy być niewolnikiem. – Pamiętał piwnicę, w której trzymano jego i matkę. Ciemności. Smród. Pamiętał ucisk obręczy na szyi i moment, kiedy Ojciec Yarvi nakazał zdjąć mu okowy. Takich rzeczy nie dało się łatwo zapomnieć. – Przykro mi. Domyślam się, że dla ciebie to nic nie znaczy, ale naprawdę ci współczuję.

Wytatuowany na policzku koń drgnął, gdy Isriun zacisnęła zęby.

– Robiłam jedynie to, co musiałam. Wspierałam tych, którzy byli po mojej stronie. Staralam się wypełniać obowiązki. Dotrzymywać słowa.

– Wiem. – Koll spojrział pod nogi i skrzywił się. Czuł, że daleko mu w tej chwili do ideału. – Ale ja też muszę to robić.

Sporo czasu upłynęło, zanim drzwi wreszcie się otworzyły i królowa Laithlin wyszła do westybulu.

– Osiągnęliście porozumienie, najjaśniejsza pani? – spytał.

– W końcu nam się to udało, po tym jak zdołałeś usunąć truciznę z rany. Wykazałeś się niezwyklej przenikliwością. Będzie z ciebie wspaniały minister.

Jej pochwała sprawiła, że się zarumienił i nie zdołał ukryć uśmiechu. Pokłonił się nisko.

– Jesteś dla mnie zbyt łaskawa, najjaśniejsza pani.

– Chyba nie muszę dodawać, że jeśli postąpisz tak jeszcze raz, naprawdę każę cię

wychłostać?

Koll pokłonił się jeszcze niżej.

– Twoja łaska nie zna granic.

– Tylko w jednej kwestii ja i książę nie mogliśmy dojść do porozumienia – przyznała władczyni.

Zadra wyszczerzyła zęby do Isriun.

– W kwestii twojej ceny.

– Mojej? – Doradczyni księcia wytrzeszczyła oczy.

– Zaproponowałam mu za ciebie piękny czerwony klejnot i dziewczynę, która pomaduje mi włosy. – Laithlin wzruszyła ramionami. – Ale Varosław zażądał jeszcze stu sztuk srebra.

Twarz Isriun drgnęła i zastygła między lękiem a buntem.

– Zgodziłaś się?

– Za takie pieniądze mogłabym kupić porządną łódź z żaglami. Dlaczego miałabym je wydawać, żeby zobaczyć, jak niewolnica tonie w ściekach? Twój pan na ciebie czeka i nie jest w najlepszym humorze.

– Jeszcze się na was zemszczę! – warknęła Isriun. – Na tobie i na twoim kalekim synu! Przysięgam to sobie!

Uśmiech Laithlin stał się lodowaty jak najdalsza Północ, gdzie śniegi nigdy nie topnieją. Koll zaczął się zastanawiać, kto jest bardziej bezlitosny: ona czy Varosław.

– Wrogowie są ceną sukcesu, niewolnico. Słyszałam już tysiąc takich pustych przysięg, wciąż jednak śpię spokojnie. – Królowa pstryknęła palcami. – Idziemy, Kollu.

Po raz ostatni obejrzał się na Isriun, która patrzyła na otwarte drzwi. Łańcuch owinęła wokół dłoni tak mocno, że ogniwa wpiły się w jej skórę, a palce zbieleły. Ojciec Yarvi często powtarzał, że dobry minister stawia czoło faktom i ocala to, co się da, więc Koll pospiesznie ruszył za Laithlin.

– Co zaproponowałaś księciu, najjaśniejsza pani? – spytał, idąc za nią krętym korytarzem. Z wąskich okien widać było niespokojną Matkę Wód.

– Varosław nie jest głupcem, a ta żmija Isriun dobrze mu doradza. Książę wie, że jesteśmy słabi. Chce władać ziemiami wzdłuż całego biegu Boskiej Rzeki, aż po brzeg Morza Drzazg. – Królowa ściszyła głos. – Musiałam oddać mu Roystock.

Koll nerwowo przełknął ślinę. Nie o tym mówił Brand, gdy kazał mu unikać cieni.

– To cenny dar. Ale czy należał do ciebie?

– Będzie należał do Varoslafa – odparła Laithlin. – Jeśli nie powstrzymamy go my lub Najwyższy Król.

– Na razie mamy z Najwyższym Królem własne porachunki – burknęła Zadra.

– Mądry unika wszelkich wojen, ale jedynie głupiec toczy więcej niż jedną naraz.

– Coś mi się widzi, że Varosław nie poprzestanie na Roystocku. – Zadra kiwnęła na wojowników, którzy strzegli wejścia do komnat królowej, i pchnięciem otworzyła drzwi na oścież.

Koll przypomniał sobie martwe spojrzenie księcia i zadrzał.

– A mi się widzi, że Varosław nie zatrzyma się, nawet gdy dotrze na kraniec świata – powiedział, przestępując próg.

– Zasadzka! – warknęła nagle Zadra, przyciskając królową do ściany i dobywając czekana tak błyskawicznie, że niemal przy tym ścięła brew Kollowi.

W głębi komnaty na stole siedziała jakaś postać w poszarpanej pelerynie z naciągniętym na głowę kapturem. Serce Kolla zabiło tak gwałtownie, że niemal upuścił sobie sztylet na stopę. Zwinne palce zawodzą, gdy na karku czuje się mroźny oddech Śmierci.

Na szczęście Zadra miała mocne nerwy.

– Gadaj, kim jesteś! – Przyjęła postawę bojową, ustawiając się między królową a przybyszem. – Bo jak nie, to zabiję.

– Uderzyłabyś mnie moim własnym czekanem, Zadro Bathu? – Kaptur się poruszył i błysnęło pod nim oko. – Ależ wyrosłeś, Kollu. Pamiętam, jak wisiałeś na rei *Wiatru Południa*, a matka krzyczała, żebyś złąził. Ciągle błagałeś mnie, żebym pokazała ci magię.

Zadra powoli opuściła czekan.

– Skifra?

– Nie mogłaś zwyczajnie zapukać? – Laithlin odsunęła od siebie Tarczę i doprowadziła suknię do idealnego porządku.

– Pukanie nie gwarantuje, że zostaną wpuszczona do środka, Złota Królowo. A przebyłam daleką drogę z krainy Alyuksów. Razem z księciem Varosławem przeprowiłam się szlakiem Zakazanej i Boskiej... choć oczywiście nie wiedział, kim jestem. – Skifra zupełnie zsunęła kaptur i Koll wstrzymał oddech. Pomimo słabego światła zobaczył, że lewą stronę jej twarzy znaczą plamy poparzeń. Brakowało jej połowy brwi, a w krótko przyciętych włosach widniały łyse placki.

– Co ci się stało? – spytała Zadra.

Skifra przywołała na twarz uśmiech... a raczej półuśmiech, bo połowa jej twarzy jedynie się zmarszczyła jak stara skóra.

– Babka Wexen przysłała swoich ludzi na Południe, gołąbeczko. Aby ukarać mnie za kradzież artefaktów ze Strokomu. – Zerknęła na elf-bransoletę Zadry, gdy przedmiot błysnął białoniebieskim światłem. – Spalili mi dom. Zabili syna i jego żonę. Zabili synów mojego syna. Przekonali się jednak, że mnie nie tak łatwo zabić.

– Babka Wexen długo pamięta o porachunkach – wyszeptała Laithlin.

– Nie ona jedna, o czym niedługo się przekona. – Skifra przekrzywiła głowę. Wydawało się, że dropiate oparzenia załśniły mokro. – Babka Wexen przywiodła do mnie Śmierć. Powinnam okazać dobre maniery i odwdzińczyć się tym samym. Śledziłam wszystkie znaki. Obserwowałam ptaki na niebie. Odszyfrowałam nawet zmarszczki na wodzie. Wiem, że zabierzecie mnie przez Morze Drzazg do Thorlby. Nadal chcesz zobaczyć magię, Kollu?

– Nie – odparł, ale ostatnio miał wrażenie, że ludzie zadają mu pytania, choć odpowiedzi zupełnie ich nie interesują.

– Muszę pomówić z Ojcem Yarvim. – Skifra wykrzywiła wargi i odsłoniła zęby. – Potem wyruszę na w o j n ę !

POPIOŁY



Flota Uthila szykowała się, żeby plunąć Najwyższemu Królowi w twarz. Rudowłosy Throven stał wyprężony jak struna na skale, rycząc *Balladę o Ashenleer* – niemelodyjnie, ale za to z werwą – ulubioną pieśń wiarusów, w której grono najbliższych wojowników królowej sposobi się do bitwy i chwalebnej śmierci. Wszyscy wkoło bezgłośnie mamrotali często powtarzane słowa pieśni w takt ostatnich liźnięć osełek, brzdęku cięciw i szczęku dopinanych sprzączek.

Ktoś mógłby pomyśleć, że przed walką powinni wybierać pieśni o bohaterach, którzy chwalebnie przetrwali bitwę, a śmierć zastała ich starych, grubych i bogatych, ale tacy już są wojownicy. Jeśli się nad tym zastanowić, niewiele z tego, co robią, ma sens. Właśnie dlatego Raith wołał się nie zastanawiać.

Z okrętów usunięto cały zbędny balast. Góry zapasów zostały na brzegu, aby zrobić miejsce dla ludzi. Jedni woleli włożyć kolczugi dla ochrony przed ostrzami i strzałami. Inni zrezygnowali ze zbroi w obawie, że Matka Wód wciągnie ich w chłodne objęcia. Nikt nie miał pewności, czy dobrze wybrał. To była gra, w której człowiek rzuca wszystko na jedną szalę. Bo wojna składa się z takich właśnie wyborów.

Każdy szukał w sobie odwagi tak, jak umiał. Silili się na mało zabawne dowcipy i zbyt skwapliwie nagradzali je śmiechem, zakładali się, kto położy trupem najwięcej wrogów, lub decydowali, jak ma zostać podzielona ich własność, jeśli przed nastaniem nocy przestąpią próg Ostatnich Wrót. Jedni ściskali święte amulety i ciała łaskawych kobiet, obejmowali się i klepali po plecach, ryczeli walecznie i przyrzekali sobie braterstwo. Inni stali w milczeniu, wpatrzeni w lśniącą powierzchnię Matki Wód, na której już niedługo miał zostać zapisany ich los.

Raith czekał. Był gotowy od wielu godzin. Od wielu dni. Odkąd podczas obrad Skara poparła Uthila, głosując za tym, żeby ruszyć do boju.

Stał tyłem do reszty wojowników i z pochmurnym czołem przyglądał się zgliszczom osady nad brzegiem. Głęboko wciągał powietrze pachnące solą i dymem.

Dziwne, że człowiek nie cieszy się oddechem, dopóki nie zacznie się lękać, że niedługo wyda ostatnie tchnienie.

– Nazywała się Valso.

– He? – Raith obrócił się ze zdziwieniem.

– Osada. – Siny Jenner palcami przecesał brodę najpierw na lewo, potem na prawo i wreszcie z powrotem na środek. – Był tam dobry targ. Jagnięta wiosną. Niewolnicy jesienią. Przeważnie senny, ale robiło się głośno, gdy mężczyźni wracali z wypraw. W tutejszej gospodzie spędziłem niejedną upojną noc. – Kiwnął głową w stronę pochyłego komina, który sterczał spomiędzy chaosu osmalonych belek. – Może to właśnie ona. Śpiewałem tam z towarzyszami, których większość już nie żyje.

– Dobrze śpiewasz?

Jenner prychnął.

– Po pijaku tak mi się wydaje.

– Tutaj już nikt nie zaśpiewa. – Raith zastanawiał się, ile rodzin mieszkało dawniej w domach, które spłonęły. I w zgliszcach, które widzieli wzdłuż wybrzeży Throvenlandu, żeglując na zachód. Farma za farmą, wioska za wioską, miasto za miastem. Wszędzie zostały tylko duchy i popioły.

Poruszył palcami lewej dłoni i poczuł znajomy ból w kłykciach. Bogowie wiedzieli, że sam dość razy podkładał ogień. Potem jak urzeczony patrzył na strzelające w mrok płomienie i czuł się potężny jak bóg. Chwalił się tym i puchł z dumy, czując aprobatę Gorma. Tylko o popiołach wolał nie myśleć. O nich i o ludziach, którzy tracili cały dobytek albo sami ginęli w ogniu. Niestety człowiek nie może tak samo wybierać, o czym śni. Podobno bogowie zsyłają każdemu takie sny, na jakie zasługuje.

– Yilling uwielbia puszczać wszystko z dymem – stwierdził Jenner.

– A czego się spodziewałeś? – burknął Raith. – To czciciel Śmierci.

– Najlepiej byłoby go do niej posłać.

– Trwa wojna. Lepiej nie myśleć o tym, co najlepsze.

– Ty w ogóle nie myślisz.

Uśmiechnął się, słysząc głos tak bardzo podobny do własnego. Odwrócił się i zobaczył brata, który pewnym krokiem mijał członków załogi *Czarnego Psa*.

– Proszę, proszę! Wielki Rakki, tarczowy samego Grom-gil-Gorma we własnej osobie. Kto teraz nosi miecz króla?

Na wargach Rakkiego pojawił się krzywy uśmiezek, który Raithowi nigdy nie

wychodził, choć mieli tak podobne twarze.

– Wreszcie ma mieczowego, który nie potyka się o własne nogi podczas natarcia.

– Czyli że nie ty?

– Żarty zostaw tym, którzy umieją je opowiadać – prychnął Rakki.

– A ty zostaw wojowanie odważniejszym. – Raith objął brata pół uściskiem, pół hakiem. Zawsze był silniejszy. – Uważaj, żeby Gorm cię nie zdeptał, słyszysz? Nie wyobrażam sobie świata bez ciebie.

– A ty nie pozwól, żeby Uthil cię utopił. – Rakki wywinął się z uścisku. – Coś ci przyniosłem. – Podał Raithowi piętękę chleba czerwonej barwy. – Bezbożni Throveni nie jedzą ostatniego bochna.

– Przecież wiesz, że i tak nie wierzę w fortunę. – Raith odgryzł kawałek i poczuł smak krwi w miększu.

– Ale ja wierzę – rzucił Rakki na odchodne. – Zobaczymy się po wszystkim. Będziesz mógł podziwiać moje łupy!

– Zdziwię się, jeśli cokolwiek zdobędziesz, kryjąc się za plecami innych! – Raith cisnął resztką chleba za bratem, sypiąc wkoło okruchami.

– Ci, co się kryją, najlepiej na tym wychodzą! – Rakki zrobił unik. – Ludzie uwielbiają śpiewać o bohaterach, ale nie cierpią ruszać do boju u ich boku – zawołał i po chwili już go nie było. Popędził między żałogami, aby zająć swoje miejsce obok Łamacza Mieczy. Aby walczyć wraz ze Soryornem w gronie najbliższych wojowników Gorma, ludzi, których Raith podziwiał przez połowę życia – i to tę lepszą połowę. Zacisnął pięści, żałując, że nie może pobiec za bratem. Już nie mógł nad nim czuwać. A przecież był tym silniejszym.

– Brakuje ci go? Pewnie całe życie spędziliście razem.

Liczył, że z czasem poczuje się przy Skarze swobodniej, ale widok jej drobnej twarzyczki wciąż sprawiał, że miał pustkę w głowie. Młoda królowa powiodła wzrokiem za Rakkim, który oddalał się szybko, lawirując między wojownikami.

– Niby tak. Ale znudziła mi się już jego gęba.

Skara nie wyglądała na przekonaną. Umiała przejrzeć jego myśli. Może wcale nie były taką trudną łamigłówką.

– Jeżeli dziś zwyciężymy, być może nastanie wreszcie czas Ojca Pokoju.

– Aha – przytaknął, choć Matka Wojna zwykle nie dawała tak szybko za wygraną.

– Wtedy będziesz mógł wrócić do brata i znowu napełniać puchar Gorma.

– Aha – powtórzył, choć ta perspektywa nie cieszyła go tak jak dawniej. Jako pies

Skary nie mógł liczyć na wielkie honory, ale młoda królowa była o wiele ładniejsza niż Łamacz Mieczy. Poza tym nie musiał stale udowodniać innym, że jest najokrutniejszym draniem. No i nikt nie walił go po głowie, gdy mu się to nie udawało.

Klejnoty w kolczyku Skary błysnęły blaskiem popołudniowego słońca, kiedy odwróciła się do Sinego Jennera.

– Jak długo jeszcze mamy czekać?

– Już niedługo, najjaśniejsza pani. Najwyższy Król ma zbyt wielu ludzi i za małą flotę. – Kiwnął głową w kierunku przylądka, który odznaczał się ciemną plamą na tle połyskujących fal. – Przerzucają ich stopniowo na brzeg za tamten cypel. Kiedy Gorm uzna, że już czas, zadmie w róg i zmiażdży tych, którzy tu dotarli. My tymczasem wypłyniemy, żeby w cieśninie zaskoczyć okręty pełne wrogów. Taki jest plan Uthila.

– Raczej Ojca Yarwiego – szeptem sprostowała Skara i spojrzała na morze, marszcząc czoło. – Wydaje się prosty.

– Zawsze łatwiej jest coś powiedzieć, niż zrobić, niestety.

– Podobno Ojciec Yarvi ma jakąś nową broń – wtrąciła Siostra Owd. – Dar od Cesarzowej Południa.

– On zawsze ma coś w zanadru... – Skara nagle drgnęła i dotknęła policzka. Ze zdziwieniem zobaczyła czerwień na palcach.

Modłotkacz kluczył między wojownikami z ofiarnym naczyniem pełnym krwi upuszczonej w darze dla Matki Wojny. Łamiącym się głosem zawodził błogosławieństwa, zanurzał palce w misie i ochlapywał wojowników, aby sprzyjał im oręż.

– To na pomyślność w bitwie – powiedział Raith.

– Mnie tam nie będzie. – Skara zatrzymała wzrok na ruinach Valso. Zaciśnięte usta wygięły się gniewnie. – Żałuję, że nie umiem władać mieczem.

– Będę to robił za ciebie. – Zanim Raith zdał sobie sprawę z tego, co robi, przyklęknął na skale i wyciągnął przed siebie topór, tak jak słynny Hordru w pieśni.

Skara spojrzała na niego, unosząc brwi.

– To jest miecz.

– Miecze są dla tych, co mają spryt i ładne gęby.

– Jedno z dwóch masz, więc nie jest tak źle. – Tego dnia służka zaplotła ciemne włosy Skary w gruby warkocz. Młoda królowa odrzuciła go na plecy i nachyliła się

tak jak Ashenleer w pieśni. Patrząc prosto w oczy swojego obrońcy, pocałowała ostrze. Raith poczuł ciepłe mrowienie, jak gdyby pocałowała go w usta. Ot, głupota, ale mężczyznom można ją wybaczyć, kiedy jawi się przed nimi czeluść Ostatnich Wrót. – Jeżeli zobaczysz Śmierć na wodzie, omijaj ją szerokim łukiem – poprosiła.

– Miejsce wojownika jest u boku Śmierci – odparł, wstając. – Tylko tak może ją przedstawić swoim wrogom.

Wreszcie zaczęli schodzić w dół ku Matce Wód, w stronę opadającego powoli słońca odbitego w falach. W dół, ku setce rozkołysanych okrętów, które na dziobach miały figury bestii zastygłych w niemym warkocie, syku albo wyciu. W dół, wraz z chmarą przepychających się braci, których jedynie zwinność, odwaga i furia dzieliły od Ostatnich Wrót. Fala ludzi mknąca naprzeciw fali przyboju.

Raith czuł mocną mieszankę lęku i podniecenia. Znalazł sobie miejsce na dziobie, zawsze wśród tych, którzy pierwsi rzucali się w wir walki. Bojowa euforia już łaskotała go w gardle.

– Żałujesz, że nie towarzyszysz Łamaczowi Mieczy? – spytał Jenner.

– Nie – odparł i to była prawda. – Ktoś mądry powiedział mi kiedyś, że na wojnie trzeba jak najlepiej wykorzystać to, co jest nam dane. Kiedy twardo stoisz obiema nogami na Ojcu Ziemi, nie znajdziesz groźniejszego wojownika niż Łamacz Mieczy. – Chłopak wyszczerzył zęby do Jennera. – Ale coś mi się widzi, że ty jesteś prawdziwym morskim wygą.

– Ruffy z dziobem nie pomyłę. – Jenner płaśnął go w ramię. – Cieszę się, że mam cię w załodze, młokosie.

– Postaram się cię nie zawieść, staruszk. – Próbował zabarwić te słowa pogardą, tak jak zjadliwe docinki, jakimi obrzucali się z bratem, ale jego głos zabrzmiał zupełnie zwyczajnie. Nawet lekko zadrżał.

Oblicze Jennera zmarszczyło się w uśmiechu.

– Nie zawiedziesz. A teraz ciii, król przemawia.

Uthil wspiął się na podwyższenie przy sterze swojego okrętu. Jedną ręką tulił do siebie miecz. Drugą chwycił się ruffy tuż pod wykutą z żelaza figurą wilka szczerzącego kły i oparł but o zakrzywione nadburcie. Nie miał kolczugi, tarczy ani hełmu. W siwych włosach połyskiwał królewski diadem. Ufał swoim umiejętnościom i wierzył w przychylność oręża. Jego pogarda dla Śmierci budziła lęk wrogów i podziw poddanych, a to było dla przywódcy ważniejsze niż zbroja.

– Przyjaciele! – zawołał zgrzytliwym głosem, uciszając nerwowe pomruki na łodziach wkoło. – Dzielni bracia! Wojownicy Gettlandu i Throvenlandu! Dość już

czekania. Dziś podarujemy Matce Wojnie to, na co zasłużyła. Szkarłatny dzień, krwawy dzień, święto wron. Ruszamy w bój!

Raith warknął groźnie i wkoło wszyscy zrobili to samo.

– O tym dniu ministrowie będą pisali w swoich grubych księgach – grzmiał Uthil. – O tym dniu skaldowie będą śpiewali przy ogniu. O tym dniu będziecie opowiadali dzieciom swoich wnuków, dumni, że mieliście w nim swój udział. Jesteśmy mieczem, który rozora uśmiech Yillinga Wspaniałego, dłonią, która uderzy Babkę Wexen w twarz. Grom-gil-Gorm i jego Vansterowie zmiażdżą ludzi Najwyższego Króla na Ojcu Ziemi. My pošemy wrogów w chłodne objęcia Matki Wód. – Monarcha wyprostował się dumnie. Wiatr szarpał jego siwe włosy wokół twarzy. Oczy płonęły mu gorączkowo. – Śmierć czeka wszystkich, moi bracia. Chcecie przemknąć obok niej chyłkiem przez Ostatnie Wrota? A może wolicie stawić jej czoło z wysoko podniesioną głową i zdobytą bronią?

– Z bronią! Z bronią! – W całym porcie ostrza z sykiem wysunęły się z pochw.

Uthil ponuro pokiwał głową.

– Nie jestem ministrem. Nie mam więcej słów. – Ujął rękojeść miecza, który nosił w zgięciu ramienia, i dźgnął nim w niebo. – Niech moja głównia przemówi za mnie! Niech przemówi stal!

Wkoło rozległy się wiwaty. Mężczyźni dudnili pięściami o wiosła, tępili pracowicie szlifowaną broń o okucia tarcz, kołysali lasem lśniących ostrz nad każdym okrętem, a Raith krzyczał najgłośniej ze wszystkich.

– Nie sądziłem, że usłyszę, jak wiwatujesz na cześć władcy Gettlandu – mruknął Jenner.

Raitha z wysiłku piekło gardło.

– No cóż. Najgorsi wrogowie są najlepszymi sojusznikami.

– Ha! Szybko się uczysz, młokosie.

Wszyscy zamilkli. Najcichsze dźwięki brzmiały jak grzmoty. Łagodne skrzypienie desek pod butami Raitha i syk spokojnych fal przyboju wspinających się po plaży. Szmer, gdy Siny Jenner zatarł pokryte odciskami ręce, i szept ostatniej modlitwy do Matki Wojny. Szuranie trzonów wiosel w otworach wiosłowych i chrypliwy krzyk pojedynczej mewy, która nisko zatoczyła krąg nad flotą i odleciała na południe.

– To dobry znak – oznajmił król Uthil i z zamachem opuścił miecz.

– Do wiosel! – ryknął Jenner.

Mężczyźni zacisnęli dłonie na uchwytach, czując, jak krew gotuje się w nich z lęku i nienawiści, z chęci zdobycia łupów i głodu sławy. Niczym spuszczone z uwięzi chart *Czarny Pies* pierwszy wypłynął na pełne morze, przed szarymi żaglami okrętu Uthila. Wysoki dziób ciął wodę, bryzgając pianą na boki. Słony wiatr mierzwił włosy Raitha. Drewno jęczało, a fale dudniły o burty. Nad ten cały hałas wybijały się okrzyki sterników poganiających swoje załogi, aby wyprzedzić pozostałe i w pierwszej kolejności ruszyć do boju.

Właśnie to było przeznaczeniem Raitha. Ogarnięty euforią zadarł głowę i zawył jak wilk.

Z BOKU



Skara z sercem w gardle chwyciła się korzenia drzewa i wspięła wyżej. Nie zachowywała się jak na królową przystało – co Siostra Owd natychmiast jej wytknęła – ale nie zamierzała tkwić na brzegu i obgryzać paznokci w chwili, gdy ważą się losy Throvenlandu.

Skoro nie mogła wziąć udziału w walce, chciała przynajmniej ją zobaczyć.

Zbocze pięło się coraz mniej stromo, a ona uparcie parła przed siebie, nisko pochylona. Na południu pokazało się nierówne wybrzeże Yutmarku. Niewyraźne wzgórza, potem szare brzegi i lśniąca wody cieśniny, a wreszcie, w połowie szerokości przesmyku, okręty.

– Flota Najwyższego Króla – wyszeptała Siostra Owd. Wspinaczka nadała jej twarzy jeszcze bardziej brzoskwiniovą barwę.

Dziesiątki okrętów. Miarowo poruszające się wiosła. Niskie, smukłe łodzie bojowe i grube kupieckie galeony pełne wojowników posłanych na północ przez Babkę Wexen. Ci ludzie płynęli tu w jednym celu – aby rozbić sojusz i zmiażdżyć maleńką wysepkę wolnego Throvenlandu, tak jak bezduszne dziecko miażdży żuka.

Skara zapłonęła gniewem. Z zaciśniętymi pięściami pokonała ostatni odcinek do najwyższego punktu wzniesienia i stanęła między Ojcem Yarvim i Matką Scaer. Ministrowie patrzyli w kierunku zachodu, na brzeg, który biegł tam płaskim i szerokim pasem ku opadającej kuli Matki Słońca.

– O bogowie – jęknęła cicho.

Kamienista plaża roiła się od wojowników uwijających się jak mrówki, którym ktoś zniszczył mrowisko. Ich tarcze przypominały kolorowe punkciki, stal błyskała, a barwne proporce łopotały na wietrze, wyznaczając miejsca, w których zbierały się załogi. Ludzie Najwyższego Króla. Ci, którzy już przeprawili się przez cieśniny. Dwa pełne transporty, może nawet trzy. Setki wojowników. Tysiące. To wszystko wydawało się nierzeczywiste.

– Jest ich tak wielu – wyszeptała.

– Im większej liczbie pozwolimy pokonać cieśniny, tym więcej Grom-gil-Gorm dopadnie na brzegu i tym więcej z a b i j e m y – oznajmiła Matka Scaer.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak dźwięczenie sztyletu. Skarę ogarnął niepokój. Palcami jednej dłoni objęła drugą.

– Myślicie, że... – Zachrypnięty głos odmawiał posłuszeństwa, ale zmusiła się, aby wymówić to imię – ...że jest wśród nich Yilling Wspaniały?

Przed oczami znowu stanęła jej spokojna i łagodna twarz oprawcy, a na wspomnienie jego łagodnego i dźwięcznego głosu obudziło się w niej echo przerażenia, jakie czuła tamtej nocy. Złościło ją własne tchórzostwo. Przecież była królową, do diaska. Królowa nie powinna się bać.

Ojciec Yarvi spojrział na nią.

– Prawdziwy bohater podąży na przedzie.

– On nie jest bohaterem.

– Każdy bohater jest dla kogoś złoczyńcą.

– Bohater czy złoczyńca – wtrąciła Matka Scaer, nie odrywając intensywnie niebieskich oczu od ludzi na dole – pewne jest, że nie przygotował swoich wojowników.

Miała rację. W pewnej odległości od brzegu zaczęli ustawiać na wydmach zapórę z tarcz zwróconą przodem w stronę ponurego lasu. Pośrodku sterczał wysoki drąg z siedmiopromiennym słońcem Jednobóstwa. Skara wiedziała o bitwach niewiele więcej ponad to, co widziała na placu ćwiczeń obok siedziby dziada, ale nawet ona dostrzegła, że linia biegnie krzywo i jest pełna luk.

– Babka Wexen zebrała ludzi z wielu krain – stwierdził Ojciec Yarvi. – Nie umieją razem walczyć. Nawet nie mówią jednym językiem.

Okręty króla Uthila okrążyły przylądek – wielka flota widziana z góry miała kształt grotu strzały. Morskie ptaki krążyły nad spienionymi kilwaterami, które biegły aż od czarnych ruin Valso. Żeglarze Najwyższego Króla już dojrzeli wrogów. Część okrętów zmieniła kurs, obracając się przodem do zagrożenia, inne zaczęły zawracać, a jeszcze inne niezmiennie parły w kierunku brzegu. W ogólnym zamęciu płątały się wiosła i zderzały łodzie.

– Zaskoczenie dało nam przewagę – stwierdziła Siostra Owd, gdy wreszcie zdołała zapanować nad oddechem. – To połowa drogi do zwycięstwa.

Skara spojrziała na nią z ukosa.

– W ilu bitwach brałaś udział?

– Szczerze wierzę w moc naszego sojuszu, najjaśniejsza pani – oznajmiła jej doradczyni, splatając ręce na piersi. – Wierzę w Łamacza Mieczy, w króla Uthila i w Siniego Jennera.

– I w Raitha – mimowolnie dodała Skara. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że pokładała w nim wiarę, a już na pewno nie przyznałaby się do tego głośno.

Siostra Owd uniosła brwi.

– W niego nieco mniej.

Zabrzmiał przeciągły, niski, pulsujący dźwięk rogu, tak przenikliwy, że Skara poczuła, jak przewracają się jej wnętrzności.

Matka Scaer wyciągnęła szyję.

– Łamacz Mieczy rusza na ucztę!

Spomiędzy drzew wyskoczyły chmary wojowników i pognały prosto na wydmy. Skara domyślała się, że pędzą co sił w nogach, ale z daleka odnosiło się wrażenie, że płyną powoli jak miód zimą.

Odruchowo zacisnęła zabandażowaną dłoń na ramieniu Siostry Owd. Nie czuła takiego strachu od tamtej nocy, gdy wrogowie spalili siedzibę jej dziada, ale tym razem lękowi towarzyszył niemal nieznośny dreszcz emocji. Jej los, los całego Throvenlandu, los sojuszu, a nawet los Morza Drzazg balansował na ostrzu miecza. Nie mogła na to patrzeć i zarazem nie mogła odwrócić wzroku.

Jeden z wojowników Najwyższego Króla wyskoczył przed zapórę i zaczął gorączkowo wymachiwać rękami, próbując przygotować tarcze na przyjęcie uderzenia. Do Skary docierały niesione wiatrem nikłe strzępy jego krzyków. Dla jego ludzi było już za późno.

Zbliżał się Łamacz Mieczy. Widziała jego czarny proporzec, a pod nim lśniąca stal niczym spieniony grzebień fali.

– Wasza śmierć jest blisko – wyszeptła.

Tak mocno się krzywiła, że bolała ją cała twarz. Tak szybko chwyciła powietrze, że paliła ją pierś. W duchu zmówiła modlitwę do Matki Wojny – zimną i okrutną prośbę o to, aby najeźdźcy zostali wyparci z Throvenlandu prosto w morze. Aby mogła splunąć na trupa Yillinga, nim zajdzie słońce. Pragnęła odzyskać odwagę, którą jej odebrał.

Wyglądało na to, że jej modlitwa została wysłuchana.

Czarna fala Vansterów zalała porośniętą trawą wydmy. Echa ich wojennych okrzyków wiatr niósł wysoko. Środek krzywej zapory armii Najwyższego Króla

załamał się i rozsypał, niczym mur z piasku pod naporem potężnego wału wody. Poczwała dłoń Siostry Owd na swojej ręce i mocno ją ścisnęła.

Ludzie Gorma z impetem wpadli na kruchą linię nieprzyjaciela i Matka Wojna rozpostarła skrzydła nad wybrzeżem Throvenlandu, z radością przyglądając się rzezi. Jej głosem był chór metalu. Hałas, jakiego nie narobiłoby tysiąc kuźni i sto rzeźni. Czasami, niewiadomym zrządzeniem losu, podmuchy wiatru przynosiły jakieś słowo, zdanie lub krzyk, które Skara była w stanie zrozumieć, i sprawiały, że przechodził ją dreszcz, jak gdyby ktoś, kto stał tuż za nią, wołał do niej z furją i rozpaczą w głosie.

Ojciec Yarvi zrobił krok do przodu. Dłoń zaciśnięta na lasce z elf-metalu zbieiała. Wpatrywał się w brzeg.

– Tak – syknął. – Tak!

Prawe skrzydło wojsk Najwyższego Króla powoli się uginało, aż w końcu zapora z tarcz pękła dosłownie w mgnieniu oka, a ludzie popędzili po kamienistym brzegu ku wodzie, porzucając broń. Mogli uciekać jedynie prosto w ramiona Matki Wód, a tam nie mieli szans znaleźć pocięchy.

Na wyższych wydmach garstki wojowników Najwyższego Króla wciąż stawały opór, tocząc bój godny pieśni, lecz były to zaledwie wysepki w powodzi chaosu. Skara na własne oczy ujrzała, jakie zniszczenie w wielkiej armii sieje panika. Przekonała się, że jedna chwila może zadecydować o losach całej bitwy. Pozłacany symbol Jednობства runął i został zdeptany butami wiernych wyznawców Matki Wojny.

Po przejściu fali Vansterów na brzegu zostały jedynie nieruchome, ciemne kształty, niczym kawałki drewna, które wypluło morze. Porzucone tarcze, porzucona broń. Porzucone trupy. Skara zdumionym wzrokiem ogarniała zniszczenia, próbując liczyć zabitych. Zaciśnięte gardło utrudniało przełknięcie śliny.

– To wszystko przeze mnie – wyszeptwała. – Przez moje słowa. Mój głos.

Siostra Owd krzepiąco ścisnęła jej dłoń.

– Postąpiłaś słusznie, najjaśniejsza pani. Gdybyś dziś darowała wrogom życie, później musiałabyś za to zapłacić życiem twoich poddanych. Kierowałaś się większym dobrem.

– Chyba mniejszym złem – wymamrotała Skara, przypominając sobie nauki Matki Kyre. Jej wypożyczona doradczyni źle to rozumiała. Młodej władczyni nie trapiło poczucie winy. Po prostu zdumiewała ją własna potęga. Wreszcie czuła się jak królowa.

– Trzeba dziś wnieść wiele stosów. Ludzie będą mieli pełne ręce roboty – stwierdził Ojciec Yarvi.

– A rynki Vulsgardu zapełnią się wkrótce nowymi niewolnikami. – Pierwszy raz w głosie Matki Scaer brzmiała nuta powściągliwej aprobaty. – Na razie wszystko toczy się zgodnie z twoim zamysłem.

– Na razie. – Ojciec Yarvi spojrział na morze. Mięśnie wychudłej twarzy drgnęły, gdy poruszył szczękami.

Bitwa rozegrana na Ojcu Ziemi zakończyła się zwycięstwem, ale na wodach cieśniny strzała flotyli króla Uthila dopiero docierała do bezładnej płataniny okrętów Najwyższego Króla. Na samym przedzie Skara dojrzała wybrzuszony siny żagiel. Poczwała smak krwi, gdy za mocno obgryzła paznokieć kciuka.

ZABÓJCA



Tylko nie rób nic głupiego, jasne? – rzucił Siny Jenner.

Raith myślami był właśnie na placu ćwiczeń w Vulsgardzie. Kiedyś powalił tam chłopaka dwa razy większego od siebie, tak mocno i szybko go uderzył. Potem patrzył, jak przeciwnik zwija się z bólu na ziemi. Wciąż pamiętał cień własnego buta na jego zakrwawionej gębie. I ciężką dłoń Grom-gil-Gorma na swoim ramieniu.

N a c o c z e k a s z

Utkwił wzrok we flocie Najwyższego Króla. Płatanina napiętych lin, zanurzone wiosła, smagane wiatrem żagle i grymas wysiłku na twarzach ludzi.

– W walce największą głupotą jest odwrócenie ataku – warknął i wcisnął w usta wysłużony ciesielski kołek. Zęby trafiły w wyżłobione rowki tak idealnie jak pasujące do siebie części pękniętej misy.

Kil *Czarnego Psa* rozpruł falę, opryskując skrzywionych wioślarzy i przycajonych między nimi wojowników.

Raith obejrzał się na łąd. Miał wrażenie, że wybrzeże się kołysze, w miarę jak Matka Wód to podnosi *Czarnego Psa* na fali, to go opuszcza. Zastanawiał się, czy Skara obserwuje bitwę. Przypomniawszy sobie jej oczy, te wielkie zielone oczy, które wciągały go jak morska głębia. Potem pomyślał, że Rakki walczy samotnie i nie ma nikogo, kto by nad nim czuwał. Mimowolnie zacisnął dłoń na uchwycie tarczy tak mocno, że zapiekły go poobijane kłykcie.

Okręty Najwyższego Króla zbliżały się szybko. Już widział malowane tarcze: szara brama, łeb dzika, cztery miecze w kwadratowym polu. Znad burt wyglądały napięte oblicza wioślarzy. Gdy jedna z łodzi pochyliła się na fali, dojrzał napięte łuki i nagle nad wodą pomknęły strzały.

Odruchowo skrył się za tarczę. Promień musnął mu twarz i odbił się od ramienia. Drugi wbił się w nadburcie obok niego. Raith poczuł w gardle gorący oddech, językiem poprawił kołek i mocniej zacisnął zęby.

Usłyszał za sobą brzdęk cięciw i strzały poleciały wysokim łukiem w przeciwnym kierunku. Wiatr je pochwycił i zasypał nimi okręty Najwyższego Króla. Sternik króla Uthila rykiem nakazał zwiększyć tempo. Dudnienie broni o tarcze, burty i wiosła stopniowo narastało. Wojownicy zbierali się na odwagę przed starciem. Musieli być gotowi, aby zabić lub zginąć. Raith wciągnął do płuc jeszcze jeden potężny haust powietrza i przyłączył się do nich, stukając toporem o krawędź burty w rytm bicia własnego serca.

– Odbij w lewo! – zaryczał Siny Jenner, wybierając cel.

To musiał być okręt Nizieńców – zamiast figury na dziobie widniał rzeźbiony zawijas. Załoga miotła się wściekle, aby ustawić się dziobem do *Czarnego Psa*. Ich sternik z całych sił napierał na wiosło sterowe, lecz wiatr mu nie sprzyjał.

– Żelazne serce! – ryknął ktoś. – Żelazny łeb! Żelazna pięść!

– Wasza śmierć nadchodzi! – dołączył do niego drugi głos i po chwili cała załoga podjęła okrzyk, a wraz z nimi Raith, choć przez kołek w ustach brzmiało to jak mokre warczenie. Z każdym gorącym oddechem gardło piekło go coraz bardziej. Rąbał krawędź burty toporem z taką siłą, że wkoło leciały wióry.

Kolejna chmura strzał z wściekłym świstem poszybowała w niebo. Pokład zabrzmiał chórem modlitw i wojennych okrzyków. *Czarny Pies* pruł prosto na wrogi okręt. Nizieńcy w panice cofnęli się od burt, wytrzeszczając oczy. Raith niemal czuł woń ich strachu, ich krwi. Wyprostował się i głośno zawył.

Kil wbił się w poszycie z rozdzierającym trzaskiem. Wyrwane z otworów wiosła łamały się i rozszczępiały, dżgając dziób *Czarnego Psa* niczym włócznie. Pokład drżał. Wojownicy chwyтали się wszystkiego. Uderzenie przechyliło wrogi okręt. Nizieńcy pospadali ze skrzyń. Jeden z łuczników stracił równowagę i wypuścił strzałę wysoko w niebo, ku opadającej kuli Matki Słońca.

Haki pomknęły ku wyrwie jak atakujące węże i wpiły się żelaznymi kłami w drewno. Jeden zaczepił o rękę wiosłarza i ściągnął wyjącego nieszczęśnika do wody.

– Ciągnij wraz! – zaryczał Jenner i kadłuby zbliżyły się do siebie bokami.

Motek lin i gmatwanina wiosłał między nimi. Raith wyszczerzył zęby i oparł but o krawędź burty.

Nie wiadomo skąd nadleciał kamień. Trafił wojownika obok w głowę i mężczyzna

runął na pokład z rozdziałoną gębą i sporym wgnieceniem w hełmie, którego zakrwawiona krawędź zsunęła się aż na nos.

N a c o c z e k a s z

Raith odbił się od burty, przeskoczył kipieli i wylądował między Nizieńcami. Czyjaś włócznia skrobnęła o jego tarczę, niemal wyrwijając mu imacz z ręki.

Zamachnął się toporem raz, warcząc wściekle, i drugi, prychając śliną. Pchnięciem powalił przeciwnika i w porę zauważył, że inny, rudobrody, podnosi toporzysko do ciosu. Rudy nosił na szyi amulet ze skrzydła kawki, które miało go uczynić szybszym. Niestety nie dość szybkim. Strzała utkwiała mu pod okiem i męczyzna niezdarnie próbował chwycić za promień.

Raith rąbnął go w głowę z taką siłą, że zwałił go z nóg. Fala rozbiła się o burtę, zalewając wszystkich, wrogów i sprzymierzeńców. Bryzgi piany i krwi. Zwarci w boju mężczyźni. Ścisk, szarpanina, wrzaski. Kocioł wściekłych twarzy. Spiętrzony wał wodny uniósł rufę okrętu. Raith wykorzystał okazję i naparł na przeciwników tarczą, prychając przy tym i wyjąc – wilczy głos, wilcze serce.

Burza trzasków drewna, szczęku metalu i ochrypłych głosów wdzieriała się do jego głowy. Miał wrażenie, że wypełniona nimi czaszka za moment pęknie, rozpadnie się na kawałki. Pokład stał się śliski od morskiej wody i krwi. Ludzie tracili równowagę. Okręt przechylał się coraz bardziej, z potwornym jękiem drewna szorując o *Czarnego Psa*, z którego figury dziobowej sterczało tyle strzał, że wyglądała jak jeź.

Jeden z przeciwników niemrawo próbował dźgnąć Raitha włócznią, ale ogarnięci paniką Nizieńcy tracili ducha walki. Tymczasem młody Vanster był niewiarygodnie szybki i pełen zapału. Błyskawicznie ominął grot i szarpnął topór za sobą, prowadząc go lśniącem łukiem. Grzmotnął przeciwnika w ramię z taką siłą, że męczyzna poleciał za burtę prosto we wzburzone morze.

L i t o ś ć j e s t s ł a b o ś c i ą Matka Scaer kazała braciom to powtarzać, zanim dała im chleb. L i t o ś ć p r o w a d z i d o k l ę s k i

Raith poderwał lewą rękę do góry, aż za głowę. Brzegiem tarczy trafił wioślarza w usta i męczyzna zatoczył się do tyłu, kaszląc i krztusząc się własnymi zębami.

Siny Jenner oparł but o burtę, trzymając się dziobu, i wskazał coś wysłużonym mieczem. Krzyczał do Raitha, lecz chłopak był teraz groźnym psem. Nawet jeśli znał kiedyś ludzką mowę, miał wrażenie, że było to dawno temu i w zupełnie innym świecie.

Okręt Throvenów zderzył się z drugą łodzią. Męczyzna w wodzie zdążył dobrać się siebie bulgoczący krzyk, zanim został zmiażdżony między kadłubami. Niedaleko

załśnił ogień, odbijając się w ostrzach. Przeżalone twarze gwałtownie obróciły się w stronę błysku.

Nowa broń Ojca Yarwiego. Płonący sagan przekoziołkował w powietrzu i roztrzaskał się o grube brzuszysko galeonu, zakwitając płomieniami. Poparzeni ludzie zaczęli skakać z pokładu, wyjąc przeraźliwie. Olinowanie zmieniło się w ogniste sznury. Nawet Matka Wód zapłonęła kałużą ognia.

Raith poczuł dłoń Gorma na ramieniu. **N a c o c z e k a s z**

Siekl toporem kolejnego wroga, przeszedł po nim i dosięgnął jeszcze jednego, który próbował uciec. Pokonał spory odcinek pokładu, zanim zobaczył przed sobą wysokiego wojownika z połyskującą złotem przyłbicą. Koło-monety na jego przegubach lśniły w zachodzącym słońcu. To musiał być kapitan.

Raith zbliżył się ostrożnie, na ugiętych nogach. Jego ślina kapiała na deski. Ludzie i ich cienie tańczyli wokół. Wszystko tonęło w blasku jaskrawych płomieni.

Doskoczyli do siebie, topór zgrzytnął o miecz, głownia odbiła się od tarczy. Kopniak, potknięcie i cios, który wyłobził bruzdę w pokładzie. Raith zdążył się odtoczyć.

Zaczął krążyć, zaciskając mokre, drżące wargi. Próbował wyczuć zmienną równowagę ciała i ważył w rękę topór, dopóki jego cień nie wyciągnął się w stronę kapitana. Wiedział, że Matka Słońce zesłała nisko i że ukłuje przeciwnika w oczy. Gdy tak się stało, Raith rzucił się na niego.

Zahaczył o tarczę kapitana i szarpnął ją do dołu. Przeciwnik miał większy zasięg, ale Raith błyskawicznie do niego doskoczył i uderzył go czołem tuż pod pozłocaną zasłoną.

Mężczyzna, padając, chwycił się krawędzi burty. Topór Raitha grzmotnął w drewno i palce kapitana poleciały do morza razem z jego mieczem. Młody Vanster prychnął różową śliną, zamachnął się nisko i gdy przeciwnik próbował się podnieść, dosięgnął go tuż pod luźnym brzegiem długiej kolczugi. Rozległ się trzask i kolano wygięło się w złą stronę, a kapitan z jękiem poleciał do przodu.

Raith poczuł na twarzy piekący ślad po uderzeniu Gorma. **J e s t e ś z a b ó j c ą !**

Jeszcze mocniej zacisnął zęby na kołku, po czym zaczął siec i rąbać bez umiaru, śliniąc się i prychając, dopóki nie opadł z sił. Złapał się burty. Miał krew na twarzy, krew w ustach.

Dym siał się po wodzie, wyciskał łzy z oczu i drażnił gardła.

Tutaj bitwa się skończyła. Jedni nie żyli. Inni wyli z bólu. Na powierzchni

kołysały się trupy, objijając się lekko o kil dryfującego okrętu. Pod Raithem ugięły się kolana i plasnął na tyłek pod rzeźbionym zawijaszem na dziobie.

Kolejne łodzie z floty Uthila pruły fale. Sypał się grad strzał, haki mknęły ku wrogim okrętom, wojownicy przeskakiwali z pokładu na pokład, ryczeli, walczyli i umierali – czarne cienie w gasnącym świetle dnia. Płomienie ogarnęły największe galeony. Hucząc, rozdzierały zmierzch. Beład palących się wiosł – ogromne pochodnie na wodzie.

– Nieźle się biłeś, młokosie. – Ktoś położył pozłacany hełm kapitana na kolanach Raitha i poklepał metal. – Nie masz w sobie strachu, co?

Chłopak z niemalym wysiłkiem rozwarł szczęki i obolałym językiem wypchnął obśliniony kołek z ust.

Czasem myślał, że nie ma w nim nic prócz strachu. Bał się, że straci wywalczone miejsce. Że zostanie sam. Bał się tego, co zrobił, i tego, czego jeszcze miał się dopuścić.

Jedynie walka nie budziła w nim lęku.

ZWYCIĘSTWO



Zanim kile łodzi wryły się w brzeg, ląd stał się czarną tajemnicą, a niebo granatowym gobelinem pociętym pasmami chmur i podziurawionym gwiazdami. Daleko na wodach cieśniny dogorywały szczątki floty Babki Wexen.

Powracające załogi zeskakiwały z pokładów i ze śmiechem pokonywały płyciznę. Oczy lśniły triumfem w blasku setek ognisk rozpalonych na nadbrzeżu.

Skara przyglądała się im uważnie. Bardzo chciała wiedzieć, kto przeżył, kto był ranny, a kto zginął. Najchętniej sama wbiegłaby do morza, żeby szybciej dowiedzieć się prawdy.

– Tam! – Siostra Owd wskazała kierunek.

Skara wreszcie dojrzała figurę dziobową *Czarnego Psa* i swoją załogę, która właśnie wychodziła na kamienisty brzeg. Poczowała niewypowiedzianą ulgę na widok roześmianej twarzy Siniego Jennera. Towarzyszący mu wojownik ściągnął pozłacany hełm i zobaczyła, że Raith uśmiecha się do niej. Nie dbając o to, czy Matka Kyre uznałaby to za stosowne, pobiegła im naprzeciw.

– Zwyciężyliśmy, najjaśniejsza pani! – zawołał Jenner.

Skara dopadła do niego, uściskała go serdecznie, a potem chwyciła za uszy i pociągnęła jego głowę w dół, żeby pocałować go w łysiejącą czaszkę.

– Wiedziałam, że mnie nie zawiedziecie!

Jenner się zaczerwienił i ruchem głowy wskazał towarzysza.

– Jemu podziękuj. Zabił kapitana. Jeden na jednego. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak się bił.

Jasne oczy Raitha lśniły gorączkowo. Skara objęła go, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi. Jego słodko-kwaśny zapach uderzył ją w nos, ale wcale jej nie raził. Chłopak bez wysiłku poderwał ją do góry, jak gdyby była ze słomy, i razem z nią obrócił się wokół własnej osi. Oboje się roześmiali, upojeni zwycięstwem.

– Mamy dla ciebie łupy – oznajmił i z płóciennego worka wysypał na piasek

brzęczący stosik koło-monet.

Siostra Owd przykucnęła, żeby dokładniej obejrzeć złoto i srebro. Na jej okrągłej twarzy pojawiły się dołeczki uśmiechu.

– W skarbcu Throvenlandu na pewno znajdzie się na to miejsce, najjaśniejsza pani.

Skara położyła dłoń na ramieniu swojej minister.

– Throvenland nie ma skarbcza – powiedziała. Za taki majątek mogła żywić swoich ludzi, a może nawet rozpocząć odbudowę tego, co spalił Yilling. Stałaby się prawdziwą władczynią, a nie dziewczyną, której tytuł wart jest tyle co dym. Spojrzała na Raitha i uniosła brwi. – Muszę przyznać, że gdy pierwszy raz usiadłeś obok mnie, nie wiązałam z tobą wielkich nadziei.

– Ja sam ich nie miałem.

Jenner objął chłopaka i zmierzwił jego białą czuprynę.

– Trudno się dziwić. Nie wyglądasz obiecująco!

– I kto to mówi, staruszku? – Raith odepchnął jego rękę.

– Obaj dowiedliście wielkiej odwagi. – Skara wybrała dwie złote obręcze. Jedną wręczyła Jennerowi, wyobrażając sobie, że dziad byłby dumny, gdyby mógł zobaczyć, jak jego wnuczka nagradza swoich wojowników. – I wielkiej lojalności. – Ujęła masywny nadgarstek Raitha i wsunęła nań drugą bransoletę. Pod osłoną ciemności musnęła palcami wierzch jego dłoni. Przekreślił ją i dotknęła jej wnętrza. Delikatnie przesunęła kciukiem najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że Raith wpatruje się w nią intensywnie. Jak gdyby na świecie nie było nic innego. Matka Kyre na pewno nie uznałaby tego za stosowne. Inni też. Może właśnie dlatego Skarze tak się to podobało. Aż wstrzymała oddech.

– Dosięgła ich nasza stal! – ryknął ktoś nieopodal.

Gwałtownie cofnęła rękę i się odwróciła. Król Uthil wspinał się brzegiem. Obok niego szedł uśmiechnięty Ojciec Yarvi. Wszyscy wokół podnieśli miecze, topory i włócznie, oddając cześć władcy. Wyszczerbione po pracowitym dniu ostrza zabłyśły kolorami ognisk płonących na plaży i wydawało się, że Żelazny Król i jego towarzysze kroczą przez morze ognia.

– Matka Wojna była dziś po naszej stronie! – Grom-gil-Gorm wyłonił się z mroku od strony wydm.

Świeża rana wzbogaciła kolekcję blizn na jego obliczu, a krew posklejała mu

brodę w strąki. Obok Rakki niósł ogromną tarczę władcy, na której także widniały nowe ślady. Po drugiej stronie szedł Soryorn z naręczem zdobytych mieczy. Matka Scaer kroczyła za nimi. Jej cienkie wargi bezustannie się poruszały, jak gdyby półgłosem recytowała modlitwy, dziękując patronce wron.

Dwaj wielcy królowie, słynni wojownicy i odwieczni wrogowie, zbliżyli się do siebie i spojrzeli jeden na drugiego nad migoczącymi płomieniami. Na brzegu umilkły śmiechy i wiwaty, a Ta, która śpiewa wiatrem, zanuciła rzewnie i posłała iskry z ogniska nad kamienistą plażą ku morzu.

Łamacz Mieczy wypiął wielką pierś, błyskając łańcuchem głowic pokonanych wrogów, i zagrział:

– Spojrzałem na morze i zobaczyłem okręt rączy niczym szara mewa. Flota Najwyższego Króla rozpierzchnęła się przed nim jak stado szpaków. Żelazne barwy na jego maszcie. Żelazo w rękach wojowników. Żelazo we wzroku bezlitosnego kapitana. I rzeź dokonana z żelaznym okrucieństwem. Dość trupów, aby nasycić głodną Matkę Wód.

Wśród wojowników rozszedł się żelazny pomruk aprobaty. Byli dumni z własnej siły i potęgi swoich przywódców. Dumni z pieśni, które mieli śpiewać swoim synom – cenniejszych dla nich niż złoto. Uthil szerzej otworzył oczy, w których płonęła gorączka szaleństwa, wysunął miecz z objęć i oparł go sztychem o ziemię. Jego głos zabrzmiał jak zgrzyt kamienia o ostrze.

– Spojrzałem na ląd i zobaczyłem zbierające się zastępy. Czarny był proporzec, który nad nimi powiewał. Czarna była furia, która dosięgła wrogów. Do morza zepchnięto ludzi Najwyższego Króla. Stał grzmiała, rozłupując hełmy i rozpruwając tarcze. Fala czerwieni zalała szczątki wrogiej armii. Dość trupów, aby nasycić głodną Matkę Wojnę.

Królowie podali sobie dłonie nad ogniskiem i zabrzmiały gromkie wiwaty. Zadzwonił metal, gdy wojownicy uderzyli wyszczerbioną bronią w poryte tarcze i grzotnęli pięściami w osłonięte kolczugami ramiona towarzyszy. Skara klaskała i śmiała się razem z nimi.

Siny Jenner uniósł brwi.

– Całkiem godne słowa... i to tak na oczekaniu.

– Niewątpliwie skaldowie nadadzą im później odpowiedni szlif! – Skara wreszcie wiedziała, jakie to uczucie odnieść wspaniałe zwycięstwo. Rzeczywiście warte było pieśni. Najwyższy Król został przepędzony z kraju jej przodków i po raz pierwszy, odkąd uciekła z płonącego Yaletoftu, zrobiło jej się lżej na sercu...

Po chwili jednak przypomniała sobie obojętny uśmiech, upstrzony cętkami krwi jej dziada, i zadrżała.

– Czy wśród poległych był Yilling Wspaniały? – zawołała.

Ciemne oczy Grom-gil-Gorma spoczęły na niej.

– Nie widziałem tego parszywego psa, czciciela Śmierci, ani jego Kompanów. Na brzegu wycięliśmy zwykłą hołotę, słabo uzbrojoną i słabo wyszkoloną.

– Ojciec Yarvi. – Drobnny chłopak wyminał Skarę i złapał ministra za rękaw. – Przyleciał gołąb.

Nie miała pojęcia, dlaczego poczuła w żołądku zimny ciężar lęku. Ojciec Yarvi zgiętą ręką przytrzymał laskę z elf-metalu i odwrócił skrawek papieru do ognia.

– Skąd?

– Z wybrzeża. Za Yaletoftem.

– Mam tam swoich ludzi, którzy obserwują morze... – Urwał i przebiegł wzrokiem po odręcznie nakreślonych znakach.

– Jakie wieści? – zapytał król Uthil.

Yarvi przełknął ślinę. Nagły podmuch szarpnął skrawek papieru w jego palcach.

– Armia Najwyższego Króla przepравиła się przez cieśninę na zachód stąd – wyszeptał. – Dziesięć tysięcy wojowników jest już na ziemiach Throvenlandu i zmierza ku nam.

– Jak to? – zdumiał się Raith. Jego wargi wciąż się uśmiechały, ale czoło zmarszczyła niepewność.

Nieopodal ludzie świętowali, pili i pokracznie tańczyli do melodii granej na fujarce, ale wokół monarchów twarze nagle sposepniały.

– Jesteś pewien? – W głosie Skary brzmiała błagalna nuta ulaskawionego więźnia, który właśnie się dowiedział, że zostanie zgłodzony za inną zbrodnię.

– Tak. – Yarvi zmiął papier i cisnął go w płomienie.

Matka Scaer szczerknęła ponurym śmiechem.

– To był tylko podstęp! Teatralny gest Babki Wexen odwrócił naszą uwagę, a druga ręka celnie zadała cios.

– Fortel – wyszeptał Siny Jenner.

– Poświęciła życie tylu ludzi? – nie mogła uwierzyć Skara. – D l a f o r t e l u ?

– Dla większego dobra, najjaśniejsza pani – szepnęła Siostra Owd.

Bliżej morza kilka ognisk zgasło z sykiem, gdy zimna fala wspięła się po kamienistym brzegu.

– Pozbyła się najbardziej dziurawych okrętów i najsłabszych wojowników. Już nie musi ich karmić i zbroić ani się o nich martwić. – Król Uthil z uznaniem pokijał głową. – Jej bezwzględność jest godna podziwu.

– Sądziłem, że Matka Wojna była dziś po naszej stronie. – Gorm gniewnie spojrział w granatowe niebo. – Lecz teraz widzę, że komu innemu okazała łaskę.

W miarę jak nowe wieści docierały coraz dalej, milkła muzyka i przerywano świętowanie. Matka Scaer ponuro spojrzała na Yarwiego.

– Chciałeś przechytrzyć Babkę Wexen, lecz to ona przechytrzyła ciebie, a razem z tobą nas wszystkich. Okazałeś się aroganckim głupcem!

– Dlaczego wcześniej nie miałaś dla mnie mądrych rad? – odwrknął Yarvi. Czarne cienie podkreśliły wściekły grymas na jego twarzy.

– Przestańcie! – poprosiła Skara, stając między nimi. – Musimy pozostać zjednoczeni. Teraz jeszcze bardziej potrzebna jest zgoda!

Zagłuszyły ją krzyki. Podniósł się zgiełk taki jak tamtej nocy, gdy wojownicy Najwyższego Króla napadli na Yaletoft.

– Dziesięć tysięcy? To trzy razy więcej niż dziś pokonaliśmy!

– Dwa razy tyle co nas!

– A kto wie, może przez cieśniny przepływają się kolejni!

– Widać Najwyższy Król miał więcej okrętów.

– Powinniśmy od razu wyruszyć na wroga – zawołał Uthil.

– Musimy się wycofać – warknął Gorm. – Zwabić ich na nasze ziemie.

– Przestańcie – wychrypiała Skara. Chciała krzyknąć głośniej, ale nie była w stanie zaczerpnąć tchu. Szum w uszach narastał z każdym uderzeniem serca. Jęknęła, gdy nad sobą usłyszała dziwny hałas. Raith złapał ją za rękę i pociągnął za siebie, jednocześnie wyszarpując sztylet zza pasa.

Wrona zanurkowała ku nim z czarnego nieba i wylądowała na ramieniu Matki Scaer. Złożywszy skrzydła, spojrzała na minister nieruchomymi żółtymi oczami.

– Przybył Yilling! – zaskrzeczała.

Skara nagle cofnęła się w przeszłość. Znowu kryła się w ciemnościach, a za oknami szalała pożoga. Błądą dłonią dotknęła twarzy. Żołądek podszedł jej do gardła, a kolana zaczęły drżeć. Musiała chwycić się Raitha, żeby nie upaść.

Matka Scaer w milczeniu zdjęła zwitek papieru z nogi wrony. W milczeniu odczytała znaki i tylko jej ponura mina jeszcze bardziej spochmurniała. Skara miała wrażenie, że zapada się w lęk jak w śniegową zaspę, że wielki głąz wyciska z niej

ostatnie tchnienie. W ustach poczuła kwaśny smak, a w gardle przykre łaskotanie.

Pamiętała słowa dziada. Z wycięstwo to wspaniałe uczucie
Tyle że ulotne

– Co się stało? – spytała nikłym głosem.

– Więcej mrocznych wieści – odparła Matka Scaer. – Wiem już, gdzie był Yilling Wspaniały.

CENA



Rulf zawsze uważał, że człowiek najszybciej zapomina o kłopotach, stojąc na dziobie okrętu pod pełnymi żaglami. Wtedy największym wrogiem staje się wiatr, a największym zmartwieniem kolejna fala. Kollowi te słowa wydawały się największą mądrością, gdy uśmiechnięty od ucha do ucha trzymał się galionu i z zachwytem wystawiał twarz do bryzgów fal, zlizując sól z warg.

Niestety, bogowie lubią stroić sobie żarty ze szczęśliwego człowieka.

Szybka jak wąż ręka otoczyła jego ramiona. Nie była wprawdzie tak potężna jak łapa Branda, ale jej siła przerażała go w jednakowym stopniu. Kątem oka zobaczył pokryte bliznami kłykcie. Elf-bransoleta – nagroda za pokonanie siedmiu wojowników – świeciła łagodnym oranżem.

– Do domu już niedaleko. – Zadra głęboko wciągnęła powietrze krzywym nosem i kiwnęła głową w stronę nierównej linii wybrzeża Gettlandu, którego wzgórze wyłaniały się zza horyzontu. – Pewnie znowu zaczniesz chodzić do Riny.

Koll westchnął.

– Daruj sobie groźby. Brand już się ze mną rozmówił...

– Brand za cicho gada. I wiele wybacza. Bogowie wiedzą, że inny by ze mną nie wytrzymał. A skoro jest teraz moim mężem... – Zadra trąciła klucz z czerwonego złota, który nosiła na szyi – ...to znaczy, że Rina jest moją siostrą. A ja nie zamierzam ci pobłażać. Zawsze cię lubiłam, choć właściwie nikogo nie lubię. Rozumiesz już, do czego zmierzam?

– Do tego nie trzeba wielkiego rozumu. – Koll zwiesił głowę. – Czuję się, jakbym tkwił w izbie, która stale się kurczy. Nie mam pojęcia, jak zadowolić i Rinę, i Ojca Yarwiego.

– A raczej jak od obojga dostać to, na czym ci zależy.

Zerknął na nią z miną winowajcy.

– Chcę być kochany i chcę zmieniać świat. To źle?

– Będzie, jeśli nie uda ci się ani jedno, ani drugie, a przy okazji rozwalisz

wszystko w grzy. – Zadra westchnęła i ze współczuciem klepnęła go w ramię. – Na pocieszenie ci powiem, że wiem, jak się czujesz. Złożyłam przysięgę królowej Laithlin i zostałam jej Tarczą. Złożyłam też przysięgę Brandowi i zostałam jego żoną... ale oboje zasługują na coś więcej.

Koll uniósł brwi. O dziwo, poczuł się lepiej ze świadomością, że Zadra, która zawsze sprawiała wrażenie pewnej siebie, też ma wątpliwości.

– Nie jestem pewien, czy zgodziliby się z tobą.

– A ja nie jestem pewna, czyby zaprzeczyli – prychnęła. – Mam wrażenie, że nie starcza mnie dla wszystkich, a poza tym kto zdrowy na umyśle chciałby mnie taką, jaka jestem? Nigdy nie myślałam, że będę... no, wiesz... – zacisnęła prawą dłoń w pięść i spojrzała na nią, krzywiąc twarz – ...wiecznie wściekłą bydłaczką.

– Nie?

– Nie, Kollu. Naprawdę.

– To co zrobisz?

Wydęła naznaczone bliznami policzki.

– Będę się bardziej starała. A ty co zamierzasz?

Koll zrobił podobną minę i spojrzał w kierunku lądu.

– Nie mam bladego pojęcia. – Zmarszczył czoło, gdy dojrzał szare smugi na niebie. – To dym? – Wysunął się spod ręki Zadry i wskoczył na beczkę, a z niej na maszt.

Królowa podeszła do burty. Wiatr plątał i szarpał jej złote włosy.

– Złe znaki – mruknęła Skifra spod kaptura, patrząc na ptaki, które krążyły za ich rufą. – Krwawe znaki.

Koll wciągnął się na reję i objął ją nogami, jedną ręką chwycił się masztu, a drugą osłonił oczy i spojrzał w kierunku Thorlby. Początkowo niewiele widział, bo łodzią za mocno kołysało, potem jednak Matka Wód uspokoiła się na chwilę i zobaczył brzeg wyraźniej. Port, mury, cytadela...

– O bogowie – jęknął.

Czarna szrama biegła w dół zbrocza przez samo serce miasta.

– Co widzisz? – zawołała niecierpliwie królowa.

– Ogień – odparł, czując, jak groza jeży mu włosy na głowie. – Ogień w Thorlby.

Płomienie strawiły doki. W porcie, który dawniej roił się od tłumów mieszczan, zajętych pracą rybaków i kupców, którzy wrzaskiem obwieszczali ceny, zostały

jedynie duchy wirujących popiołów między wypalonymi ruinami. Nie ocalał żaden pirs, wszystkie runęły do morza. Poczerniały maszt jakiejś zatopionej łodzi sterczał spomiędzy fal. Obok wyzierała ponura rzeźba dziobowa innej.

– Co tu się stało? – wychrypiał któryś z wiosłarzy.

W powietrzu unosił się smród zwęglonego drewna.

– Dobijemy przy plaży! – warknęła Zadra, zaciskając dłonie na krawędzi burty tak mocno, że zbieleły jej kłykcie.

Wiosłowali w ponurym milczeniu, przypatrując się miastu. Wyrwy w szeregach kamienic na stromym stoku były jak luki w uśmiechu kochanki. Każdy brak sprawiał ból. Wypalone szkielety zabudowań, okna puste jak oczodoły trupa i zwęglone żebra belek dachów, bezwstydnie nagie. Część domów jeszcze kaszłała chmurami czarnego dymu. Wrony bez końca krążyły po niebie i krakaniem dziękowały swojej żelaznoskrzydłej patronce.

– O bogowie – jęknął Koll po raz drugi.

Szósta Ulica, przy której znajdowała się kuźnia Riny, gdzie razem pracowali, żartowali i dzielili łoże, stała się szlakiem wypalonych ruin w cieniu cytadeli. Zmroziło go aż po czubki palców. Okrutna bestia strachu ścisnęła mu pierś i tak mocno wpiła w niego szpony, że prawie nie mógł zaczerpnąć tchu.

Gdy tylko kil zachrząścił o kamieniste dno, Zadra pierwsza zeskoczyła z dziobu, a Koll zaraz po niej. Nawet nie czuł zimna. Prawie na nią wpadł, kiedy niespodziewanie przystanąła.

– Nie – usłyszał jej szept. Wierzchem dłoni zakryła usta. Jej ręka drżała.

Powiódł wzrokiem w górę łagodnie wspinającego się brzegu ku kurhanom dawno zmarłych królów. Na wydmach pośród smaganych morskim wiatrem traw zobaczył spore zgromadzenie. Dziesiątki ludzi z pochylonymi głowami.

Pogrzeb. Lęk ścisnęła Kolla jeszcze mocniej.

Próbował położyć dłoń na ramieniu Zadry, żeby dodać otuchy jej albo sobie, ale wywinęła się i pognała co tchu, podrywając piach butami. Koll ruszył za nią.

Z góry dochodził monotony głos. Modłotkacz Brinyolf śpiewał pieśni ku czci Ojca Pokoju, Tej, która wszystko zapisuje, Tej, która osądza, i Śmierci, która strzeże Ostatnich Wrót.

– Nie – ponownie wyszeptała Zadra, wspinając się ku żałobnikom.

Brinyolf zająknął się i umilkł. Ciszę mąciły jedynie szeleszczące na wietrze trawy i radosne krakanie wron, które krążyły wysoko. Błede twarze zwróciły się ku

przybyszom – wykrzywione bólem, mokre od łez, napięte z gniewu.

Koll dostrzegł Rinę i odetchnął z ulgą, ale dziękczynna modlitwa zamarła mu na wargach, gdy zobaczył wygięte w podkowę usta, zastygłe na twarzy cierpienie i łzy na policzkach. Szedł za Zadra, czując, jak uginają się pod nim nogi. Chciał zobaczyć, co się stało, i zarazem się bał.

Jego oczom ukazał się wielki stos. Polana ułożone warstwami aż po pas.

Na nich ciała. O bogowie, aż tyle? Dwie dziesiątki? Trzy?

– Nie, nie, nie – powtarzała szeptem Zadra, kierując się ku najbliższemu.

Koll zauważył ciemne włosy szarpane przez wiatr, blade ręce skrzyżowane na szerokiej piersi i stare szramy biegnące wężowym szlakiem wokół przedramion. Blizny bohatera. Pamiątki wielkiego wyczynu, który ocalił Kollowi życie. Powolotku się zbliżył, stanął za Riną i spojrzął na twarz. Bładą i zimną twarz Branda. Świeże draśnięcia pod okiem nie krwawiło.

– Bogowie – wychrypiał, nie mogąc w to uwierzyć.

Brand zawsze wydawał się taki silny i spokojny. Mocny jak góra, na której zbudowano Thorlby. Przecież nie mógł zginąć. To niemożliwe.

Koll zacisnął piekące powieki i po chwili je unióśł, ale Brand wciąż leżał nieruchomo.

Przekroczył już próg Ostatnich Wrót. Historia jego życia dobiegła końca i nic nie mogło tego zmienić.

Kollowi dobył się z gardła głupi szloch, poczuł ból w nosie i łaskotanie łez na policzkach.

Zadra pochyliła się nad mężem – jej elf-bransoleta ziała martwą czernią – i jak najdelikatniej odsunęła mu z twarzy niesforne kosmyki. Potem ściągnęła swój łańcuszek i założyła go Brandowi, ostrożnie unosząc jego głowę. Złoty klucz schowała mu pod koszulę – tę najlepszą, której nigdy nie nosił, bo nie było okazji. Zaczęła gładzić materiał na jego piersi, drżącymi palcami raz po raz prostując te same załamania.

Rina wtuliła się w Kolla. Objął ją, choć miał wrażenie, że jego ręka jest bezwładna i zdrętwiała. Poczuł, jak dziewczyną szarpie bezgłośny szloch. Otworzył usta, żeby ją pocieszyć, ale nie mógł dobyć z nich żadnego dźwięku. Przecież był uczniem ministra. Powinien mieć w zanadrzu odpowiednie słowa. Ale czy one mogły teraz pomóc?

Czuł się tak samo bezradny jak podczas pogrzebu swojej matki, gdy patrzył, jak

układają ją na całopalnym stosie. Pożegnalną mowę wygłosił Ojciec Yarvi, bo Koll nie był w stanie. Stał tylko ze wzrokiem wbitym w ziemię i myślał o tym, co stracił.

Milczący tłum się rozstał, aby przepuścić królową. Włosy smagały twarz Laithlin, a przesiąknięty morską wodą brzeg sukni oblepiał jej nogi.

– Gdzie księżę Druin? – jęknęła. – Gdzie mój syn?

– Bezpieczny w królewskich komnatach, najjaśniejsza pani. – Podbródek Brinyolfa zniknął w fałdach tłuszczu, gdy modłotkacz ze smutkiem spojrzął na stos. – Dzięki Brandowi. To on zaczął bić na alarm. Gwardziści niezwłocznie opuścili Wyjącą Bramę, odcinając wjazd do cytadeli.

Laithlin szparkami oczu powiodła po trupach.

– Kto za to odpowiada?

Edni, jedna z dziewcząt szkolonych przez Zadrę, splunęła na ziemię. Głowę miała owiazaną poplamionym bandażem.

– Yilling Wspaniały i jego Kompani.

– Yilling – powtórzyła szeptem Laithlin. – Ostatnio zbyt często słyszę to imię.

Zadra wyprostowała się powoli. Na jej twarzy nie było śladów łez, ale Koll słyszał, jak z każdym oddechem dławi jęk. Rina pociągnęła ją za ramię, lecz wojowniczką się nie odwróciła. Stała nieruchomo, jak gdyby zastygła w dziwnym półśnie.

– Przyplłynął w dwa okręty – ciągnęła Edni. – Może trzy. Nocą. Miał za mało ludzi, żeby zdobyć miasto, ale dość, by je spalić. Dzień wcześniej zjawiała się u nas gromada Throvenów. Mówili, że są kupcami. Myślimy, że to oni go wpuścili. Za portowymi bramami on i jego Kompani rozdzielili się i zaczęli podkładać ogień.

– Brand ich usłyszał – wymamrotała Rina. – Pognał do dzwonu. Mówił, że musi ostrzec ludzi. Że musi zrobić to, co trzeba.

– Gdyby nie on, skończyłoby się o wiele gorzej – przyznał stary wojownik z ręką na temblaku. Kiedy mrugnął, strużki łez pociekły mu z oczu. – Ten dzwon poderwał mnie ze snu. Wkoło płonęły domy. Wszędzie chaos, a pośrodku roześmiany Yilling.

– Śmiał się w głos i zabijał wszystkich jak leci – dorzuciła Edni. – Mężczyzn, kobiety, dzieci...

– A czego można się spodziewać po kimś, kto modli się tylko do Śmierci? – Brinyolf ze wstrętem pokręcił głową.

– Wrogowie wiedzieli, gdzie zastaną strażę. – Edni zacisnęła pięści. – Którędy iść. Które domy spalić. Znali nasze mocne i słabe strony. Wiedzieli wszystko!

– Mimo to stawiliśmy im opór, najjaśniejsza pani. – Modłotkacz położył pulchną dłoń na chudym ramieniu Edni. – Byłabyś dumna z tego, jak walczyli twoi poddani! Dzięki łasce bogów zdołaliśmy odeprzeć atak, ale... patronka wron zawsze zbiera krwawe żniwo...

– To wszystko wina Babki Wexen – mruknął Koll, wycierając nos. – Tylko i wyłącznie jej.

– Zadro. – Królowa Laithlin podeszła do swojej Tarczy. – Zadro. – Ujęła ją za ramiona i mocno ścisnęła. – Zadro!

Zadra zamrugała nieprzytomnie, jak gdyby ocknęła się ze snu.

– Muszę tu zostać – oznajmiła władczyni. – Spróbować zaleczyć rany Thorlby. Wesprzeć tych, którzy przeżyli.

Jęk oddechu Zadry przeszedł w głuche nierówne warczenie. Mięśnie szczęki napięły się, wypaczając blizny na twarzy.

– Ja muszę walczyć.

– Wiem. I nie powstrzymałabym cię, nawet gdyby to było możliwe. – Królowa dumnie uniosła głowę. – Zwalniam cię z przysięgi, Zadro Bathu. Już nie jesteś moją Tarczą. – Głos Laithlin był ostry jak sztylet. – Teraz musisz się stać naszym mieczem. Ostrzem, które dosięgnie Yillinga i wyrwie okrutną zemstę!

Zadra powoli skinęła głową. Dłonie zacisnęła w drżące pięści.

– Przysięgam.

– Najjaśniejsza pani, pojaliśmy jednego – odezwała się Edni.

Laithlin zmrużyła oczy.

– Gdzie jest?

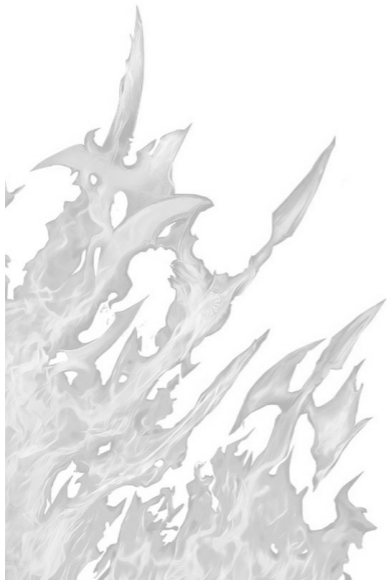
– W cytadeli. Skuty i pilnowany przez strażę. Nie powiedział jeszcze ani słowa, ale sądząc po zbroi i koło-monetach, to jeden z Kompanów Yillinga.

Zadra wściekle wykrzywiła usta. Jej bransoleta znowu zaczęła świecić – tym razem kolorem rozżarzonego węgla – barwiąc czerwienią cienie na twarzy wojowniczkii i zapalając krwawe ogniki w kącikach jej oczu.

– Mnie wszystko wyśpiewa – wyszeptała.

III

JESTEŚMY TARCZĄ



POTWORY



Sojusznicy – zaczęła Skara. – Przyjaciele. – Jak gdyby nazywając ich tak, mogła sprawić, że przestaną się wydawać jej wrogami. – Uznałam, że nasza szóstka powinna się spotkać we własnym gronie, aby omówić sytuację bez zbyt wielu... utrudnień. – Czyli bez powodzi błahych sporów, obelg i gróźb, które dławily każdą naradę.

Król Uthil i król Gorm spojrzeli po sobie ponuro. Ojciec Yarvi i Matka Scaer spojrzeli po sobie ponuro. Siostra Owd sztywno splotła ręce na piersi. Westchnienie bryzy znad morza zmierzwiło wysoką trawę na kurhanach i sprawiło, że Skara zdrząła, choć dzień był ciepły.

Poufne obrady odbywały się pod gołym niebem, pośród motyli fruujących wokół kwiatów na grobach rodziców, których ledwie znała. Dwaj królowie, troje ministrów, ona... i świadomość, że lada chwila dosięgnie ich gniew Babki Wexen.

– Nasza sytuacja jest niewesoła. – Matka Scaer bez końca obracała jedną z elf-bransolet wokół chudego nadgarstka.

– Maszeruje na nas dziesięć tysięcy wojowników Najwyższego Króla – powiedział Uthil. – Pod chorągwiami wielu bohaterów, o których śpiewają bardowie.

– I każdego dnia kolejni przeprawiają się przez cieśniny z Yutmarku – dodał Gorm. – Musimy się wycofać. Musimy opuścić Throvenland.

Skara drgnęła. Miała porzucić twierdzę Baila? Swoją ziemię i lud? Pamięć dziada? Na samą myśl o tym poczuła się źle. Naprawdę okropnie.

Uthil wysunął nagi miecz z objęć. Sztynch ostrza zanurzył się w trawie.

– Nie widzę w tym drogi do zwycięstwa.

– A gdzie ją widzisz? – spytała błagalnym tonem. Ledwie była w stanie siedzieć prosto z maską królewskiej godności na twarzy. Wolałaby się skulić pod krzesłem i rozpłakać.

Uthil lekko obrócił mieczem i spojrział na nią z obliczem tak twardym jak przybrzeżne klify.

– Zawsze jestem gotowy zaufać orężowi, lecz nie mogę myśleć wyłącznie o sobie. Mam żonę i syna. Muszę myśleć o tym, co im zostawię.

Skara poczuła mdłości, ale zdołała nad sobą zapanować. Skoro nawet Żelazny Król nie mówił, że odpowiedzią jest stal, sytuacja była naprawdę rozpaczliwa.

Matka Scaer obróciła ogoloną głowę w bok i splunęła przez ramię.

– Może czas posłać ptaka do Babki Wexen.

– Matka Adwyn wyraźnie dała do zrozumienia, że pierwsza wśród ministrów nie zawrze ze mną pokoju – prychnął Ojciec Yarvi.

– Mamy na to tylko twoje słowo.

– Twierdzisz, że kłamię? – Oczy Yarwiego zmieniły się w szparki.

Matka Scaer obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Zazwyczaj.

– Król Fynn podpisał pokój z Babką Wexen – wtrąciła Skara lekko łamiącym się głosem. – Nie wyszedł na tym dobrze!

Obaj władcy milczeli posępnie.

– Każda wojna jest jedynie preludium do pokoju. – Matka Scaer oparła wytatuowane przedramiona na kolanach. – Tyle że negocjacje toczą się na miecze, nie na słowa. Zwróćmy się do Babki Wexen, dopóki wciąż mamy szansę na układ...

– Nie będzie żadnych układów! – przerwał jej szczekliwy głos. – Nie będzie pokoju.

Zza najbliższego kurhanu wyszła Zadra Bathu. Skarę ucieszył jej widok. Właśnie taka kobieta była potrzebna komuś, kto znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Potem jednak przybyła szarpnęła za łańcuch i zebrani zobaczyli więźnia, który szedł za nią chwiejnym krokiem, ze związanymi z tyłu rękami i poplamionym krwią workiem na głowie. Za nimi Skara dostrzegła zakapturzoną postać w zniszczonej pelerynie. Wreszcie spojrzała w oczy wojowniczkii. Otoczone ciemnymi kręgami, płonęły okrutną furią, której widok sprawiał ból.

– Yilling zaatakował Thorlby – warknęła Zadra i kopniakiem powaliła więźnia na kolana przed trojgiem władców i trojgiem ich ministrów. – Spalił pół miasta. Królowa Laithlin została tam z synem, żeby zająć się rannymi. Drań zabijał wszystkich bez wyjątku: mężczyzn, kobiety i dzieci. Zabił... – Zakaszlała dziwnie, jakby coś ją dławilo, ale po chwili wściekle wyszczerzyła zęby, wysunęła ostry podbródek i spojrzała na obecnych błyszczącymi oczami. – Zabił Branda.

Gorm z ukosa spojrzał na swoją minister. Pięść Uthila zbieleła na rękojeści

miecza. Ojciec Yarvi zrobił wielkie oczy, a potem przygarbił ramiona.

– O bogowie – wyszeptał. Z jego twarzy uciekła cała krew.

– T-tak mi... przykro – wyjąkała Skara. Pamiętała, jak w Thorlby Zadra pocieszała ją i przytulała. Chętnie odwdzięczyłaby się jej teraz, ale twarz wojowniczkii wykrzywił tak potworny gniew, że Skara ledwie śmiała na nią spojrzeć, a co dopiero jej dotknąć.

Postać w zniszczonej pelerynie zsunęła kaptur i zobaczyli ciemnoskórą mieszkankę południowych krain, chudą jak rzemień, ze śladami oparzeń po lewej stronie twarzy. Dawniej ich widok przeraziłby Skarę, ale zaczynała się przyzwyczajać do blizn.

– Pozdrawiam wspaniałych królów, wspaniałe królowe i wspaniałych ministrów.

– Kobieta złożyła ukłon, pokazując łyse placki oparzelin w krótko przyciętych włosach. – W krainie Alyuksów mówią na mnie Sun-nara-Sun. W Kalyivie nazywają mnie Scaraoia, Chodząca po Ruinach.

– A jakie imię nosisz w tych stronach? – spytała ostro Matka Scaer.

– Skifra – powiedział cicho Yarvi.

– Ta wiedźma? – Matka Scaer skrzywiła się z obrzydzeniem. – Złodziejka elfich artefaktów? Publicznie potępiona przez Babkę Wexen?

– We własnej osobie. – Skifra się uśmiechnęła. – Babka Wexen spaliła mój dom i zabiła moich bliskich, więc jestem śmiertelnym wrogiem waszego śmiertelnego wroga.

– Taki sojusznik jest najlepszy. – Łamacz Mieczy przeniósł wzrok na skutego mężczyznę i zmarszczył brwi. – A jego imienia mamy się sami domyślić?

Zadra prychnęła i zdarła worek z głowy jeńca.

Skarze zrobiło się niedobrze na widok bezkształtnej, rozdętej i czarnej od sińców twarzy. Jedną powiekę miał spuchniętą i nieruchomą, a białko drugiego oka błyskało czerwono. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że go zna. Był wśród wojowników, których widziała w siedzibie dziada tamtej nocy, gdy spalono miasto. Tych, którzy się śmiali, gdy król Fynn upadł w palenisko. Wiedziała, że powinna go nienawidzić, ale patrząc na ruinę jego twarzy, czuła jedynie litość. Litość i odrazę z powodu tego, jak go potraktowano.

Jej dziad nie raz powtarzał: *W o b e c w r o g ó w b ą d ź r ó w n i w i e l k o d u s z n a j a k w o b e c p r z y j a c i ó ł . N i e r ó b t e z e w z g l ę d u n a n i c h , l e c z d l a w ł a s n e g o d o b r a*

Niestety, Zadra nie była w wielkodusznym nastroju.

– To Asborn Nieustraszony, kompan Yillinga Wspaniałego. – Złapała go za pozlepiane krwią włosy i szarpnięciem obróciła jego twarz ku sobie. – Pojmano go podczas napaści na Thorlby. Okazuje się, że strach wcale nie jest mu taki obcy. Powtórz im to, co mi powiedziałaś, robaku!

Asborn rozchylił zwiotczone wargi, ukazując bezzębne wnętrze ust, i wychrypiął okaleczone słowa:

– Yilling Wspaniały... dostał wiadomość. Żeby zaatakować Thorlby. Kiedy... gdzie... i jak uderzyć. – Skara zdrygnęła się na dźwięk świstu i dziwnego bulgotu, który towarzyszył każdemu oddechowi mężczyzny. – Jest... wśród was... zdrajca.

Ojciec Yarvi wyprostował się na krześle, jego zwiędła dłoń zacisnęła się w parodię pięści.

– Kto?

– Tylko Yilling wie. – Więzień utkwiał nabiegłe krwią oko w Skarze. – Może siedzi tu... teraz. – Ruina ust ułożyła się w czerwony uśmiech. – Może...

Zadra uderzyła go w poranioną twarz z taką siłą, że upadł na bok. Podniosła rękę do kolejnego ciosu.

– Zadro! – zawołała Skara, przyciskając dłoń do piersi. – Przestań! – Wojowniczką spojrzała na nią z miną, która wyrażała cierpienie i wściekłość zarazem. – Proszę cię, krzywdząc go, krzywdzisz siebie. Krzywdzisz nas wszystkich. Błagam, okaż mu trochę litości!

– Litości? – Zadra splunęła. Blizny na jej policzkach były mokre od łez. – A czy oni okazali litość Brandowi?

– Nie więcej niż mojemu dziadowi. – Skarę zapiekły oczy. Zdesperowana wyprostowała się jak struna. – Musimy być od nich lepsi!

– Nie. Musimy być gorsi. – Zadra okrutnie szarpnęła Asborna za łańcuch, unosząc zaciśniętą pięść, ale on tylko się uśmiechnął.

– Yilling Wspaniały już tu zmierza! – zagulgotał. – Jest niedaleko, a wraz z nim zbliża się Śmierć!

– Mylisz się, Śmierć już tu jest. – Skifra obróciła się do jeńca i podniosła rękę, w której trzymała jakiś przedmiot z ciemnego metalu.

Rozległ się ogłuszający huk. Skara podskoczyła na krześle. Czerwień bluzgnęła z tyłu głowy Asborna i więzień padł na ziemię, dziwnie wykręcony. Jego włosy płonęły.

Skara wytrzeszczyła oczy, zmrożona przerażeniem.

– Niech Matka Wojna ma nas w opiece – wyszeptał Gorm.

– Coś ty zrobiła? – wrzasnęła Matka Scaer, podrywając się z miejsca i przewracając krzesło w trawę.

– Cieszcie się, gołąbeczki, bo przywożę coś, co pomoże wam zwyciężyć. – Skifra wysoko podniosła śmiercionośny przedmiot. Z otworu na jego końcu unosiły się smużki dymu. – Wiem, gdzie znajdziecie więcej artefaktów, przy których moc tego jest mizerna. Elf-oręż wykuty jeszcze przed rozbięciem Bóstwa!

– Gdzie? – spytał Yarvi, a Skara zdumiała się na widok błysku żądzy w jego oczach.

Skifra przekrzywiła głowę.

– Na Strokomie.

– To szaleństwo! – zawyła Matka Scaer. – Ministerstwo zakazało wstępu na Strokom. Każdy, kto stamtąd wraca, zapada na dziwną chorobę i umiera!

– Ja tam byłam. – Skifra długim placem pokazała elf-bransoletę, która jarzyła się pomarańczowym światłem na przegubie Zadry. – Zabrałam stamtąd to świecidełko i nadal rzucam cień. Dla mnie nie ma zakazanych miejsc. Jestem Chodzącą po Ruinach i znam sposoby na wszystko. Wiem, co ochroni nas przed chorobą na Strokomie. Wystarczy jedno słowo, a w wasze ręce trafi broń, której nie oprze się żaden człowiek, bohater ani nawet cała armia.

– A na nas wszystkich spadnie klątwa – warknęła Matka Scaer. – Postradaliście rozum?

– Ja swój jeszcze mam. – Król Uthil bez pośpiechu wstał z miejsca, bez pośpiechu podszedł do zabitego Asborna i bez pośpiechu przykucnął. – Wielkim wojownikiem jest ten, który wciąż oddycha, gdy wrony zaczynają ucztę. Wielkim królem jest ten, który patrzy, jak płoną trupy jego wrogów. – Wsunął mały palec w okrągły otwór w czole Asborna. Gorączka, która na jakiś czas znikła z jego oczu, na nowo zapłonęła. – Musimy odpowiedzieć stałą. – Wyciągnął palec i przyjrzał się czerwonej opuszcze, marszcząc brwi. – To także jest stal.

Skara zamknęła oczy i mocno zacisnęła dłonie na poręczach krzesła. Próbowwała uspokoić falującą pierś, zdławić burzę w żołądku i zapanować nad trwogą. Trwogą, bo właśnie zobaczyła magię. Trwogą, bo na jej oczach zamordowano więźnia. Trwogą, bo nikt prócz niej się tym nie przejął. Musiała być odważna. Musiała być mądra. Musiała być silna.

– Jestem za tym, żeby nie dobywać takiej stali, bo dla wszystkich może się to źle skończyć – oznajmił Gorm.

– A ja za tym, żeby ranić nią Yillinga prosto w serce! – warknęła Zadra.

– Z żalu postradałaś zmysły – ostro rzuciła Matka Scaer. – Mamy się porwać na magię elfów? Zastanów się, co mówisz! Znowu może dojść do rozbicia Bóstwa! A jest wśród nas zdrajca!

– Przez którego spłonęło Thorlby – szczeniła Zadra. – Czy nie o tym marzyłaś od lat? Zdrajca pomaga Najwyższemu Królowi, z którym chcesz zawrzeć pokój!

– Lepiej się zastanów, zanim mnie oskarżysz, ty bestialska...

Skara z wysiłkiem rozwarła powieki.

– Każdy z nas wiele poświęcił! – wykrzyknęła. – Wszyscy straciliśmy przyjaciół, domy, bliskich. Musimy pozostać zjednoczeni, jeśli nie chcemy, aby Babka Wexen zmiążdżyła każdego z osobna!

– Podważyliśmy autorytet Najwyższego Króla – oznajmił Ojciec Yarvi – a bez niego jest nikiem. Dlatego nie może się wycofać... podobnie jak my. Już wybraliśmy drogę.

– Ty ją wybrałeś za nas, razem z tą wiedźmą – fuknęła Matka Scaer. – Krok po kroku! A wiedzie ona prosto ku zagładzie.

Skifra szczeniła śmiechem.

– I bez mojej pomocy tak byście skończyli, gołąbeczki. Zawsze jest jakieś ryzyko. Nie ma nic za darmo. No, ale sami widzicie, że Matka Słońce ciągle świeci na niebie, choć pokazałam wam zakazaną magię.

– Sprawujemy władzę, ponieważ ludzie darzą nas zaufaniem – oznajmił Gorm. – Czy nie stracimy go, kiedy to zobaczą?

– Ty rządysz, bo poddani się ciebie boją – stwierdził Ojciec Yarvi. – Gdy zdobędziesz taką broń, ich strach stanie się jeszcze większy.

– To samo zło – syknęła Matka Scaer.

– Obawiam się, że to mniejsze zło. Wspaniałe zwycięstwa są pięknym tematem pieśni, ale te mniej wspaniałe wcale nie brzmią gorzej, gdy bardowie ubiorą je w odpowiednie słowa. Tymczasem chwalebne klęski pozostają jedynie klęskami.

– Potrzebujemy czasu do namysłu. – Skara podniosła ręce, jak gdyby próbowała uspokoić zgraję agresywnych psów.

– Byle nie za długo. – Dłoń Skifry wystrzeliła spod peleryny i pochwyciła suchy liść, który niosła bryza. – Piasek nieustannie przesypuje się w szkle. Yilling z każdą chwilą jest coraz bliżej. Jesteście gotowi zrobić, co trzeba, aby go pokonać? A może pozwolicie mu zwyciężyć? – Zgniotła liść, wysoko podniosła rękę i wypuściła pył

na wiatr. – Jeśli chcecie znać moje zdanie, gołąbeczki, decyzja może być tylko jedna!

– Pokoju nie będzie! Przynajmniej dopóki nie zginiemy ja albo Yilling. Tyle mogę wam obiecać! – warknęła Zadra Bathu. Zarzuciła łańcuch na ramię i ruszyła za Skifrą, ciągnąc za sobą zamordowanego więźnia i znacząc butami trupa dwie bruzdy w trawie.

Gorm powoli wstał. Oblicze noszące liczne ślady walk marszczyło się ponuro.

– Zbierzmy się jutro o wschodzie słońca na wielką naradę. Wtedy postanowimy o losie naszego sojuszu. A być może także o przyszłości całego Morza Drzazg.

Król Uthil podniósł się jako drugi.

– Mamy wiele spraw do omówienia, Ojczy Yarvi.

– Owszem, najjaśniejszy panie, ale pozwól, że najpierw zamienię kilka słów z królową Skarą.

– Niech tak będzie. – Uthil ułożył nagi miecz z powrotem na ugiętym ramieniu. – Tymczasem ja spróbuję powstrzymać Zadrę Bathu, zanim wymorduje wszystkich Vansterów w poszukiwaniu zdrajcy. Poślij ptaka do królowej Laithlin. Poproś, aby ucałowała ode mnie mojego syna. – Władca Gettlandu zawrócił do twierdzy Baila. – I przekaz jej, że niestety spóźnię się na kolację.

Matka Scaer odeszła, z goryczą kręcąc ogoloną głową. Skara zaczekała, aż Uthil także zniknie im z oczu, i dopiero wtedy zwróciła się do ministra.

– Wiedziałaś, że ten moment w końcu nadejdzie. – W myślach ostrożnie dopasowywała ostatnie elementy układanki, dopóki nie trafiły na właściwe miejsca. – Dlatego nalegałaś, abym zaprosiła tutaj tylko naszą szóstkę. Nie chciałaś, aby wszyscy od razu się dowiedzieli o artefaktach elfów.

– Nie każdy jest tak... rozważny jak ty, królowo. – Pochlebstwa, tanie pochlebstwa. Nie zamierzała dać się zwieść. – Dlatego najrozsądniej było ograniczyć krąg wtajemniczonych. Zwłaszcza jeżeli naprawdę jest między nami zdrajca.

Jego wyjaśnienia oczywiście miały sens, lecz Skara zmarszczyła czoło.

– Nie obawiasz się, że w końcu zirytuje mnie poczucie, że tańczę tak, jak ty mi grasz, Ojczy Yarvi?

– Wszyscy tańczymy do melodii granej przez Babkę Wexen. Poprzysiągłem sobie uciszyć jej kobziarza. Czeka cię ważna decyzja, najjaśniejsza pani.

– Jedna goni drugą.

– Taka jest cena władzy. – Yarvi przyjrzał się krwawym śladom na trawie. Przez chwilę miał minę, jak gdyby próbował powstrzymać mdłości. – Proszę o wybaczenie,

najjaśniejsza pani. Właśnie się dowiedziałem, że nie żyje najlepszy człowiek, jakiego znałem. Czasami trudno jest... wybrać właściwą drogę.

– Nieraz po prostu jej nie ma. – Skara próbowała sobie wyobrazić, jak w takiej sytuacji postąpiłby jej dziad. Jakiej rady udzieliłaby jej Matka Kyre? Niestety, takiej lekcji nigdy nie przerabiała z dawną minister. Młoda królowa wypłynęła na nieznaną wody, nadciągała burza, a na niebie nie było gwiazd, które pomogłyby wyznaczyć kurs. – A co według ciebie powinnam zrobić, Ojczy Yarvi?

– Ktoś mądry powiedział mi dawno temu, że król musi zwyciężać. Reszta jest warta tyle co kurz na drodze. To samo dotyczy królowej. Przyjmij propozycję Skifry. Jeżeli nie zdobędziemy czegoś, co przechyli szalę zwycięstwa na naszą stronę, Najwyższy Król zmiecie nas z powierzchni ziemi. Babka Wexen się nad tobą nie ulituje. Nie oszczędzi twojego ludu. Yilling nie podziękuje ci za wielkoduszność. Zastanów się, jak on postąpiłby na twoim miejscu.

Skara mimowolnie zadrżała.

– Czy to znaczy, że mam się stać taka jak on?

– Niech Ojciec Pokój płacze nad metodami, Matkę Wojnę cieszą rezultaty.

– A gdy wojna się zakończy? – spytała szeptem. – Jaki pokój sobie wywalczymy?

– Pragniesz być miłosierną władczynią. Stać w pełnym blasku. Ja to rozumiem, a nawet podziwiam. Nie zapominaj jednak, najjaśniejsza pani... – minister przysunął się blisko, spojrzał jej prosto w oczy i zniżył głos do szeptu – ...że jedynie zwycięzców stać na miłosierdzie.

Skara nie miała wyboru. Wiedziała to, odkąd zobaczyła magię Skifry. Patrzyła w twarz Ojca Yarwiego, świadoma, że on również o tym wie. Przewidział to już dawno i nadał sprawom odpowiedni kurs tak niepostrzeżenie, że myślała, iż to ona stoi u steru. Niestety, czuła, że im bliżej są wojska Najwyższego Króla, tym bardziej wymyka się jej z rąk użyczona władza. To mogło być jej ostatnie głosowanie. Musiała zdobyć coś dla swojego dziada, dla ludu i dla Throvenlandu. Dla siebie.

– Mam warunek. – Spojrzała na blanki twierdzy Baila, odznaczające się czernią na tle jasnego nieba. – Musisz przekonać króla Uthila, aby walczył z Yillingiem tutaj.

Ojciec Yarvi obrzucił ją badawczym spojrzeniem, jak gdyby wzrokiem chciał przeniknąć jej zamiary. Może rzeczywiście to potrafił.

– Będzie niechętny bitwie tak daleko od domu. Gorm jeszcze bardziej.

– W takim razie porozmawiam z Matką Scaer. Zobaczymy, co ona mi zaproponuje, jeżeli zgodzę się głosować przeciwko tobie. – Skara machnęła ręką w kierunku elf-murów, które pięły się ku niebu za kurhanem jej matki. – Nigdzie nie znajdziesz

potężniejszej fortecy. Jeśli zdołamy ją utrzymać, Yilling będzie musiał w końcu się tu zjawić. Przywiedzie go duma. Nie zechce pomaszerować dalej, a nas zostawić w spokoju. Armia Najwyższego Króla zatrzyma się tutaj. Wszyscy jego wojownicy w jednym miejscu. Jesteśmy tarczą, o którą rozbije się potęga Babki Wexen. Ty wyruszysz na poszukiwanie broni... – Zerknęła na zakrwawioną trawę w miejscu, gdzie upadł Asborn, i spróbowała ukryć odrazę. – A kiedy wrócisz, zmiażdżymy wojsko Yillinga jednym ciosem.

Yarvi przez chwilę się zastanawiał.

– Przemawia przez ciebie mądrość, lecz ona rzadko interesuje wojowników.

– Wolą lśniący metal, opowieści o chwale i pieśni, w których stal jest rozwiązaniem wszystkich problemów. Zaśpiewaj zatem taką pieśń obu królom. Masz ładny głos, Ojczy Yarvi?

Zmarszczył czoło.

– Owszem.

– Nie opuszczę fortecy. Mój ojciec poległ, walcząc w jej obronie. Nie zostawię ziemi, za którą zginął mój dziad.

– W takim razie stanę do walki razem z tobą, najjaśniejsza pani. – Ojciec Yarvi zerknął na Siostrę Owd. – Czy twoja doradczyni ma coś do dodania?

– Odzywam się jedynie wtedy, gdy królowa Skara potrzebuje moich rad. – Dziewczyna uśmiechnęła się najskromniej jak potrafiła. – Uważam, że z tobą poradziła sobie doskonale bez mojej pomocy.

Minister Gettlandu prychnął i sztywnym krokiem ruszył między garbami kurhanów w stronę obozu króla Uthila.

– To wyjątkowo przebiegły człowiek. – Siostra Owd stanęła obok Skary. – Potrafi przekonać innych, że wskazany przez niego kurs jest właściwy.

Skara spojrzała na nią z ukosa.

– Nie trzeba mi znaków od bogów, aby wyczuć, że jest w twoich słowach jakieś „ale”.

– Porywa się na desperacki krok. Chce się zapuścić w zakazane rejony, mając za przewodniczkę tę wiedźmę, Skifrę. – Siostra Owd zniżyła głos. – Gotów byłby wyruszyć nawet do piekła i pozwolić, aby sam diabeł wskazał mu drogę, oczekując, że ruszymy za nim. Jeżeli nie znajdą potrzebnych artefaktów, utknijemy w twierdzy Baila, oblężeni przez dziesięć tysięcy wojowników. Jeśli natomiast je znajdą... – W szept doradczyni wkradła się nuta lęku. – Czy naprawdę jesteśmy gotowi na

ponowny rozpad świata?

Skarże stanęły przed oczami spalone osady i ruiny siedziby jej dziada.

– Świat już się rozpadł. Jeżeli nie zdobędziemy tej broni, zwycięży Najwyższy Król. Zwycięży Babka Wexen. – Znowu poczuła mdłości, ale je zdławiła. – Zwycięży Yilling Wspaniały.

Siostra Owd przygarbiła ramiona.

– Pora podjąć decyzję. Nie zazdroścę ci, najjaśniejsza pani. – Spojrzała za Ojcem Yarvim, marszcząc czoło. – Obawiam się jednak, że niszcząc jednego potwora, możesz powołać do życia innego.

Skara po raz ostatni obejrzała się na kurhan ojca.

– Kiedyś myślałam, że świat pełen jest bohaterów. Teraz już wiem, że jest pełen potworów, Siostrze Owd – przyznała, zwracając do twierdzy. – Może pozostaje nam jedynie mieć nadzieję, że najstraszniejszy z nich jest po naszej stronie.

KŁAMSTWA



Rina zawsze robiła wszystko jak należy. Koll uwielbiał to w niej. Gdy tylko dotarli do twierdzy Baila, zaczęła się rozglądać za kuźnią. Znalazła odpowiednie miejsce w labiryncie podziemnych korytarzy, poukładała swoje narzędzia w równych rzędach i natychmiast przystąpiła do pracy. W takich czasach kowale mają pełne ręce roboty – tak mu powiedziała.

Od tamtej pory tkwiła w gorących ciemnościach, otoczona zapachem węgla. Bezustannie coś kuła, ostrzyła i nitowała. Zaczynał się o nią martwić. Bardziej niż martwił się o siebie, a to nie zdarzało się często.

Delikatnie pogładził jej dłoń, aby na moment ją zatrzymać.

– Nikt nie będzie miał ci za złe, jeśli zrobisz sobie przerwę.

Umknęła spod jego ręki i wróciła do szlifowania.

– Jeżeli zrobię sobie przerwę, zacznę myśleć. Nie chcę teraz myśleć.

Ponownie jej dotknął.

– Wiem, Rino, ale...

Po raz drugi go odrzuciła.

– Nie musisz tak się mną zajmować.

– Przepraszam.

– Przestań przepraszać.

– No dobra, nie przepraszam.

Na moment przerwała pracę i rzuciła mu pochmurne spojrzenie.

– A już na pewno przestań żartować.

Uśmiechnął się nieśmiało.

– Przepraszam?

Przez jej twarz przemknął cień uśmiechu, ale szybko zniknął. Uwielbiał ją rozśmieszać, ale wątpił, czy jeszcze mu się to uda. Oparła pięści o ławę, wtuliła głowę w ramiona i utkwiała wzrok w nierównym drewnie.

– Ciągłe przychodzą mi do głowy rzeczy, które chciałabym mu powiedzieć.

Odwracam się i otwieram usta, żeby go zawołać. – Wykrzywiła wargi, jak gdyby zamierzała się rozpłakać. – Ale jego już nie ma. Nie ma go i nigdy nie wróci. Za każdym razem, gdy sobie o tym przypominam, nie mogę w to uwierzyć. – Z goryczą pokręciła głową. – Zawsze miał dla ludzi dobre słowo. Do każdego wyciągał pomocną dłoń. I co mu to dało?

– Robił to z myślą o innych – powiedział Koll. – Nie zapomną tego. Ja na pewno będę pamiętał. – Brand ocalił mu życie i prosił go tylko o jedno, żeby był dobry dla Riny. – Wiem, jak to jest... kogoś stracić... – Ochrypliły głos niemal zupełnie odmówił mu posłuszeństwa.

– A ja wiem, jak to jest kogoś pocieszać. A przynajmniej próbować. Starałam się, gdy umarła twoja matka.

Od tego wszystko się między nimi zaczęło. Uczucie nie spadło na nich jak grom z jasnego nieba, tylko rosło powoli jak drzewo, które głęboko zapuszcza korzenie. Ramię Riny, obejmujące go mocno, gdy Ojciec Yarvi przemawiał na pogrzebie jego matki. Dłoń Riny w jego dłoni, gdy sypano kopiec. Śmiech Riny, gdy zaczął przychodzić do kuźni tylko po to, żeby być blisko drugiego człowieka. Zawsze mógł na nią liczyć. Teraz powinien odwdziżyć się jej tym samym. Nawet jeżeli czuł, że brakuje mu powietrza.

– Jak mam ci pomóc? – spytał.

Zacisnęła zęby i wzięła do ręki osełkę. Bogowie, ależ była dzielna. Miała zaledwie o rok więcej od niego, ale czasem wydawało mu się, że dzieli ich cała dekada.

– Po prostu bądź przy mnie. – Znowu zabrała się do szlifowania. Jej twarz lśniła potem. – Obiecuj, że przy mnie będziesz.

– Będę – wydukał, choć rozpaczliwie pragnął wyjść na zewnątrz i odetchnąć świeżym powietrzem. Aż sam się sobą brzydził. – Obiecuję...

Usłyszał ciężkie kroki na schodach i poczuł żalostną ulgę, że ktoś im przerwał, dopóki nie zobaczył, kto pochyla głowę w niskim wejściu. Do kuźni szedł białowłosy podczaszy Grom-gil-Gorma – Raith, którego czoło tak brutalnie przywitało się z nosem Kolla pod cedrem w Thorlby.

– Ty tutaj? – Koll mimowolnie zacisnął pięści.

Raith się skrzywił.

– Aha. Ja. Tutaj. Nie gniewajcie się. Jak nos?

Może miały to być przeprosiny, ale Koll dopatrzył się w nich jedynie przytyku.

– Jeszcze trochę boli – warknął. – Ale na pewno nie tak jak twoja urażona duma.

Raith wzruszył ramionami.

– I tak zostały z niej nędzne resztki. Wiedziałem, że wspinasz się lepiej ode mnie. Inaczej nie musiałbym cię walnąć łbem. Wspiąłeś się na mury tej fortecy, nie? To dopiero wyczyn.

Koll nie doszukał się w komplemencie żadnego powodu do złości, co zirykowało go jeszcze bardziej.

– Czego ty ode mnie chcesz, do diabła? – Głos mu się załamał i przeszedł niemal w pisk, przez co poczuł się jak szczeniak, który próbuje podskoczyć dorosłemu wilkowi.

– Niczego. – Raith odwrócił się do Riny i zatrzymał wzrok na kroplach potu, które lśniły na nagich ramionach dziewczyny. Kollowi się to nie spodobało. – Ty jesteś mieczniczką z Szóstej Ulicy?

Rina wytarła czoło fartuchem i przyjrzała mu się z taką samą uwagą jak on jej. Prawdę mówiąc, to także nie spodobało się Kollowi.

– Yilling spalił moją kuźnię i większość budynków przy Szóstej Ulicy. Teraz jestem mieczniczką z podziemi twierdzy Baila.

– Twierdza Baila ma szczęście. – Na schodach dały się słyszeć lżejsze kroki i do kuźni z gracją weszła królowa Skara. Wydawała się jeszcze szczuplejsza niż ostatnim razem, gdy Koll ją widział. Tak szczupła, że sterczały jej obojczyki. Pasowała do brudnej kuźni jak łabędź do chlewa.

Koll uniósł brwi ze zdziwienia, podobnie jak Rina.

– Najjaśniejsza pani – wyszeptał.

Skara utkwiała wielkie zielone oczy w Rinie.

– Tak mi przykro z powodu śmierci twojego brata. Wszyscy mówią, że był dobrym człowiekiem.

– Aha. – Rina wlepiła wzrok w stół. – Takich Matka Wojna zabiera w pierwszej kolejności.

– Módlmy się, aby Ojciec Pokój wkrótce doszedł do głosu – powiedział Koll.

Królowa Skara spojrzała na niego z ukosa z taką pogardą, jaką Kollowi okazałaby Zadra Bathu, gdyby go teraz słyszała.

– Najpierw niech trup Yillinga zgnije w ziemi.

– Rzadko się modłę, ale o to się pomodłę – przyznała Rina.

– Słyszałam, że kujesz najlepsze miecze nad całym Morzem Drzazg.

– Wykułam miecz króla Uthila. I Zadry Bathu. – Rina odwinęła leżący na stole

pakunek, żeby pokazać królowej swoje najnowsze dzieło. Broń, nad którą pracowała razem z Kollem. – Mężczyzna, dla którego zrobiłam to ostrze, w zeszłym tygodniu zginął w Thorlby.

– Pochwę też sama rzeźbiłaś? – Raith przesunął grubymi paluchami po drewnie. – Piękna.

– Ja pracuję tylko w metalu – odparła Rina. – Od rzeźbienia jest Koll.

Raith obejrzał się na niego.

– Masz wielki talent. Szkoda, że moje ręce nie potrafią nic stworzyć. – Zacisnął pięść i skrzywił się, jak gdyby sprawiło mu to ból. – Umieją tylko niszczyć.

– Bo to nie wymaga wysiłku – mruknął Koll.

– Potrzebuję miecza – oznajmiła Skara. – I odpowiedniej dla mnie kolczugi.

Rina przyjrzała się młodej królowej z powątpiewaniem. Władczyni nie wyglądała na dość silną, aby udźwignąć ciężar zbroi, a co dopiero w niej walczyć.

– Szykujesz się do bitwy, najjaśniejsza pani?

Skara się uśmiechnęła.

– O nie. Ale chcę wyglądać, jakbym była do niej gotowa.

ZBYT WIELU MINISTRÓW



Matko Scaer, jakże nam miło.

Wystarczyło jedno spojrzenie na doradczynię Gorma, aby się domyślić, że ta wizyta dla nikogo nie będzie miła. Scaer zawsze sprawiała wrażenie kobiety, która składa się z samych kantów i kolców, a tego dnia wydawała się ostra jak żądło i równie jadowita.

– Wybacz stan moich komnat, ale musieliśmy od nowa je urządzić – wyjaśniła Skara. Meble ściągnęli z różnych miejsc, na ścianach zawiesili odebrane wrogom flagi, a co do materaca z gęsiego puchu, Siny Jenner nie chciał przyznać, skąd go wziął. Ale właśnie w tych komnatkach Skara przyszła na świat. Trzy łukowate okna wychodziły na dziedziniec jej fortecy. Nie zamierzała się stąd ruszać. – Może napijesz się wina? – Młoda królowa chciała przywołać niewolnicę, ale Matka Scaer ją powstrzymała.

– Nie jestem tu dla wina, najjaśniejsza pani. Przyszłam porozmawiać o tym, że zamierzasz poprzeć swoim głosem Ojca Yarwiego.

– Zawsze głosuję, mając na względzie interesy Throvenlandu.

– Jak Throvenland skorzysta na drugim rozbiciu Bóstwa? – W głosie Scaer brzmiała nuta gniewu. – Co się stanie, jeśli Ojciec Yarvi nie zdoła zapanować nad magią? Lub przeciwnie, jeżeli nauczy się ją kontrolować? Sądziś, że się jej wyrzeknie?

– Uważasz, że Throvenland skorzysta bardziej, jeśli armii Najwyższego Króla pozwolimy do woli plądrować nasze ziemie? – Skara zdawała sobie sprawę, że jej ton stał się nieprzyjemny. Na próżno próbowała nad sobą zapanować. – Jeśli Yilling spali to, co jeszcze zostało?

Matka Scaer utkwiała w rozmówczyni szparki oczu.

– Naprawdę nie powinnaś tego robić, najjaśniejsza pani.

– Mam wrażenie, że wszyscy oprócz mnie wiedzą, co powinnam. – Skara zerknęła na Siostrę Owd i uniosła brwi. – Jaka inna królowa dostąpiła zaszczytu

wysłuchiwania rad tyłu ministrów?

– Przynajmniej w tym mogę ulżyć twojemu brzemieniu – oznajmiła Scaer. – Jeżeli zamierzasz poprzeć szalony plan Ojca Yarwiego, będę zmuszona stać go pilnować. Mój król musi w tym czasie mieć przy sobie ministra. – Wyciągnęła przed siebie wytatuowaną rękę i kiwnęła palcem na doradczynię Skary. – Koniec zabawy, Siostrze Owd. Wracasz na swoje miejsce, doglądać moich wron.

Owd zrobiła zawiedzioną minę. Skara musiała bardzo się pilnować, żeby również nie okazać rozczarowania. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, w jakim stopniu polegała na swojej minister. Jak bardzo zaczęła jej ufać. Jak ją polubiła.

– Nie jestem skłonna z niej zrezygnować...

– Skłonna? – prychnęła Scaer. – To moja uczennica. Wypożyczona, nie darowana. Jeśli przez własną naiwność nie zdawałaś sobie z tego sprawy, królowo, wiedz, że przez cały czas o wszystkim mi donosiła. Z kim się spotykasz i o czym rozmawiacie. Jakie masz prośby i zachcianki. A nawet jakiej wielkości są twoje stolce. Podobno wyglądają tak jak ty – trochę... c i e n k o .

Owd ze zboląłą miną przypatrywała się swoim stopom, czerwieniąc się bardziej niż zwykle. Skara powinna była wiedzieć. Może nawet czegoś się domyślała, ale słowa Scaer i tak ją zraniły. Na moment zaniemówiła. Tylko na moment, bo zaraz zaczęła się zastanawiać, jak zareagowałby jej dziad, gdyby potraktowano go z taką pogardą na jego ziemi, w jego fortecy, w jego komnatach.

Siostra Owd z ociąganiem odwróciła się do drzwi, lecz powstrzymała ją wyciągnięta dłoń Skary.

– Źle mnie rozumiałaś, Matko Scaer! Nie jestem skłonna z niej zrezygnować, ponieważ dziś rano złożyła mi przysięgę jako następczyni Matki Kyre. Matka Owd została nową minister Throvenlandu i jej miejsce jest teraz przy mnie.

Zdumienie Scaer sprawiło młodej królowej niemałą satysfakcję. Jeszcze bardziej zdziwioną minę miała sama Siostra Owd.

Spoglądała to na swoją dawną panią, to na nową. Oczywiście miała okrągłe jak spodki. Na szczęście była zbyt inteligentna, aby długo się wahać.

– To prawda – oznajmiła, prostując się i dumnie podnosząc głowę. Matce Kyre bardzo spodobałaby się taka postawa. – Przysięgłam służyć królowej Skarze jako jej minister. Zamierzałam cię o tym zawiadomić...

– Ale twoja wizyta zepsuła niespodziankę – wtrąciła Skara, uśmiechając się słodko. W końcu uśmiech nic nie kosztuje.

– Ostrzegam cię, nie ma nic za darmo. – Matka Scaer powoli pokiwała głową. –

Tego możesz być pewna.

Cierpliwość Skary się wyczerpała.

– W takim razie obudź mnie, kiedy przyjdzie czas zapłaty. A teraz albo opuścisz moje komnaty dobrowolnie, albo wezwę Raitha, żeby wyrzucił cię przez okno.

Minister Gorma, wychodząc, jeszcze raz syknęła z odrazą, po czym trzasnęła drzwiami.

– No. – Skara małymi porcjami wciągnęła powietrze i położyła dłoń na piersi, próbując uspokoić oszalałe serce. – Jakoś się udało.

– Najjaśniejsza pani – wyszeptwała Owd, ze wstydem wlepiając wzrok w podłogę. – Wiem, że nie zasługuję na twoje przebaczenie...

– Nie wybaczam ci. – Skara uspokajająco położyła dłoń na jej ramieniu. – Bo nie mam czego. Nie zrobiłaś nic złego. Od początku wiedziałam, że jesteś lojalna. I od początku miałam świadomość, że czujesz się rozdarta. Matka Scaer była twoją panią. Teraz wybrałaś mnie i jestem ci za to wdzięczna. Ogromnie. – Młoda królowa mocno ścisnęła ramię swojej minister i nachyliła się ku niej. – Od tej pory twoja lojalność nie może już być podzielona.

Siostra Owd spojrzała na nią i wytarła wilgotne rzęsy.

– Przysięgam na słońce i księżyc, najjaśniejsza pani. Dochowam lojalności tobie i Throvenlandowi. Będę się troszczyła o twoje ciało bardziej niż o własne. Będę się troszczyła o twoje dobro bardziej niż o własne. Nikomu nie zdradzę twoich sekretów i nie będę miała przed tobą żadnych tajemnic. Należę do ciebie. Przysięgam.

– Dziękuję ci, Matko Owd. – Skara puściła ją i lekko poklepała po ramieniu. – Bogowie wiedzą, że nigdy nie potrzebowałam mądrych rad tak bardzo jak teraz.

LOJALNOŚĆ



Raith snuł się między ogniskami, omijał namioty i lawirował między wojownikami Vansterlandu, tak jak robił to setki razy przed każdym pojedynkiem, wyprawą i bitwą. Tu czuł się najszcześliwszy. Tu miał swój dom. Tyle że ostatnio wszystko się zmieniło.

Ludziom dokuczało zmęczenie. Byli daleko od swoich pól i rodzin, a poza tym mieli świadomość tego, co ich czeka. Raith widział niepewność na oświetlonych blaskiem ognia twarzach. Słyszał ją w głosach, śmiechu i pieśniach. W powietrzu wyczuwał woń strachu.

Nie on jeden włączył się tego wieczoru po obozie. Śmierć wędrowała między namiotami, wybierając skazańców. Każdy wojownik czuł chłód, gdy go mijała.

Raith zawrócił w stronę niewielkiego wzniesienia, na którym płonęło pojedyncze ognisko. Pewnym krokiem zmierzał na szczyt, oddalając się od zgiełku obozu. Na rozłożonym przy ogniu kocu klęczał Rakki z tarczą Gorma między kolanami. W skupieniu polerował gałganem lśniącą obręcz, marszcząc brwi. O bogowie, jak dobrze było go zobaczyć. Raith poczuł się jak ktoś, kto po długiej włóczędce wreszcie widzi dom.

– Hej, bracie – powiedział.

– Hej.

Gdy Rakki podniósł głowę, Raith odniósł wrażenie, że patrzy w lustro. W tamto magiczne zwierciadło przywieszzone z dalekich podróży przez Horalda. To, które pokazywało człowiekowi jego lepsze oblicze.

Usiadł obok brata i pomyślał, że to miejsce jest wygodne jak ulubione buty. Przez chwilę w milczeniu patrzył, jak Raith pracuje, a potem spojrzął na swoje puste ręce.

– Czegoś mi brakuje.

– Jeśli chodzi o rozum, urodę i poczucie humoru, wszystko wzięłem dla siebie.

Raith prychnął.

– Miałem raczej na myśli miecz.

– A co, pochewki królowej Skary nie trzeba wypucować?

Raith spojrzął z ukosa na brata i dostrzegł jego krzywy uśmieszek. Ponownie prychnął.

– Czekam w gotowości, ale jeszcze nie otrzymałem królewskiego zaproszenia.

– Nie spodziewaj się zbyt wiele, bracie. A skoro już tu jesteś, może być coś zjadł?

– Rakki kiwnął głową w stronę starego, poczeriałego kociołka nad ogniskiem.

– Królik? – Raith zamknął oczy i powoli wciągnął powietrze nosem. Zapach przywołał wspomnienia szczęśliwszych czasów, kiedy razem jedli, razem marzyli i razem służyli jednemu panu. – Uwielbiam królika.

– Wiem. Znamy się na wylot.

– Aha. – Raith zerknął na Rakkiego. – To gadaj, czego chcesz.

– Nie mogę tak po prostu ugotować bratu kolacji?

– Możesz, ale nigdy tego nie robiłeś. Dlatego wiem, że masz jakąś sprawę.

Rakki odłożył wielką tarczę Gorma i uważnie spojrzął na brata.

– Ciągłe cię widzę z młodą królową Throvenlandu, jej wysłużonym piratem i tą pulchną karykaturą ministra. Wydajesz się szczęśliwy. Nigdy wcześniej nie widziałem cię szczęśliwego.

– Oni nie są tacy źli. – Raith zmarszczył brwi. – A poza tym wszyscy walczyliśmy po tej samej stronie, nie?

– Tak uważasz? Ludzie zaczynają się zastanawiać, czy w ogóle chcesz do nas wrócić.

Rakki zawsze wiedział, czym najbardziej dotknie brata.

– Przecież sam sobie tego nie wybrałem! Staram się tylko jak najlepiej wykorzystać sytuację. Dałbym wszystko, żeby wrócić!

– Miło to słyszeć – odezwał się ktoś za jego plecami.

Nie był już bezradnym dzieckiem, ale na dźwięk tego głosu wciąż kulił się jak szczeniak, który spodziewa się razów. Niechętnie odwrócił głowę i zmusił się, aby spojrzeć prosto w intensywnie niebieskie oczy Matki Scaer.

– Tęskniłam za tobą. – Minister ukucnęła naprzeciwko niego, opierając kościste nadgarstki o kolana i zwieszając szczupłe dłonie. – Chyba już czas, żebyś wrócił na dawne miejsce.

Nagle poczuł suchość w gardle. Z trudem przełknął ślinę. Miał znowu napełniać puchar króla, nosić jego miecz i walczyć u boku brata? Miał być najokrutniejszym,

najtwardszym i najkrwawszym? Miał palić i zabijać, aby pewnego dnia dźwigać własny łańcuch głowic?

– Tylko tego pragnę – wychrypiał. – Zawsze tego pragnąłem.

– Wiem. – Kojący ton minister przerażał go bardziej niż surowy. – Wiem. – Scaer zmierzwiła mu czuprynę, jak gdyby drapała szczeniaka za uchem. – Najpierw jednak twój król chce ci powierzyć jeszcze jedno zadanie.

Jej dotyk sprawił, że Raith poczuł zimny dreszcz między łopatkami.

– Jakie?

– Obawiam się, że Ojciec Yarvi wodzi królową Skarę za jej śliczny nosek. Steruje nią tak, jak chce. Lękam się, że doprowadzi ją do zguby, a nas wszystkich pociągną za sobą chwiejnym korowodem.

Raith zerknął na brata, lecz nie znalazł u niego pomocy. W takich chwilach nigdy nie mógł na niego liczyć.

– Królowa sama o sobie decyduje – wymamrotał.

Matka Scaer parsknęła z pogardą.

– Ojciec Yarvi zamierza złamać najświętsze prawa Ministerstwa i sprowadzić ze Strokomu broń elfów.

– Broń elfów?

Nachyliła się ku niemu i syknęła tak, że się cofnął.

– Na własne oczy widziałam! Zaślepiony swoją arogancją chce uwolnić magię, która rozbiła Bóstwo. Wiem, że nie jesteś najbystrzejszy, ale naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa?

– Sądziłem, że nie można przeżyć wyprawy na Strokom...

– Jest tu wiedźma Skifra. Ona wie, jak tego dokonać, i pomoże Yarviemu, jeśli ta mała suka poprze go w głosowaniu.

Raith oblizał spierzchnięte wargi.

– Mógłbym z nią porozmawiać...

Ręka Scaer wystrzeliła ku niemu. Chłopak mimowolnie się skulił, ale minister delikatnie położyła chłodną dłoń na jego policzku.

– Sądzisz, że jestem aż tak okrutna, aby wystawić cię do pojedynku na słowa przeciwko Ojcu Yarviemu? Nie, tego nie musisz się obawiać. Nie nadajesz się na mówcę.

– To co mam...?

– Jesteś zabójcą. – Jej czoło przecięła zmarszczka niezadowolenia, jak gdyby

była zła, że sam się nie domyślił. – Chcę, żebyś ją zabił.

Raith spojrział na nią z niedowierzaniem. Bo co innego mógł zrobić? Patrzył w oczy Matki Scaer i czuł, jak oblewa go zimny pot.

– Nie... – wyszeptał, ale to słowo w jego ustach nie miało żadnej mocy. – Błagam...

Błaganiem nigdy nie dało się nic wyjednać u Matki Scaer. Jedynie odkrył przed nią swoją słabość.

– Nie? – Jej dłoń zacisnęła się boleśnie na jego szczęce. – Błagam? – Próbował się wykręcić, ale nie znalazł w sobie dość siły. Minister przyciągnęła go tak blisko, że ich nosy niemal się zetknęły. – To nie jest prośba, chłopcze – wyszczała. – To rozkaz twojego króla.

– Domyślą się, że to ja – jęknął, szukając wymówek jak pies zakopanej kości.

– O wszystkim pomyślałam. – W długich palcach Matki Scaer pojawiła się fiołka z odrobiną czegoś, co wyglądało jak woda. – Byłeś podczaszym króla. Dodanie tego do pucharu królowej nie powinno nastęrczyć ci trudności. Wystarczy jedna kropla. Nie będzie cierpiała. Zaśnie i już nigdy się nie obudzi. Tylko tak zdołamy przerwać ten obłęd z elf-magią. Może nawet zawrzemy pokój z Najwyższym Królem.

– Król Fynn też sądził, że to możliwe...

– Król Fynn nie wiedział, co zaoferować w zamian.

Raith z wysiłkiem przełknął ślinę.

– A ty wiesz?

– Na początek Ojca Yarwiego... w drewnianej skrzyni. – Matka Scaer przekrzywiła głowę. – A wraz z nim może południową część Gettlandu? Ziemie na północ od Thorlby powinny być nasze, nie sądzisz? Jestem pewna, że Babka Wexen da się przekonać takim argumentem...

Matka Scaer ujęła bezwładny nadgarstek Raitha, obróciła jego dłoń wnętrzem do góry i włożyła w nią fiołkę. Taki drobiazg. Przypomniał sobie, o co spytała go Skara: „Dlaczego zadanie dla sprytnego kłamcy powierzono prawdomównemu idiocie?”.

– Posłałaś mnie do niej, bo jestem zabójcą – wyszeptał.

– Nie. – Matka Scaer ponownie objęła dłonią jego twarz i obróciła ku sobie. – Wybrałam ciebie, bo jesteś l o j a l n y . A teraz idź, zasłuż na nagrodę. – Wyprostowała się i spojrziała na niego z góry. – Jutro o tej porze znowu zajmiesz swoje dawne miejsce. U boku króla. – Odwróciła się. – U boku brata – rzuciła jeszcze, zanim zniknęła w mroku.

Raith poczuł dłoń Rakkiego na ramieniu.

– Ilu ludzi zabiłeś, bracie?

– Wiesz, że nie lubię liczyć.

– Czy jedno życie więcej robi różnicę?

– Jest różnica między zabiciem człowieka, który chce cię ukatrupić, a zamordowaniem kogoś... – Kogoś, kto nigdy go nie skrzywdził. Kogoś, kto traktował go życzliwie. Kogoś, kogo...

Rakki chwycił brata za koszulę i pociągnął ku sobie.

– Jediną różnicą jest to, że teraz masz o wiele więcej do zdobycia albo do stracenia! Jeżeli tego nie zrobisz... zostaniesz sam. Obaj będziemy zdani tylko na siebie.

– A co z twoimi planami, żeby pożegłować szlakiem Boskiej Rzeki?

– Sam kazałeś mi dziękować Matce Wojnie, że jesteśmy po zwycięskiej stronie. Miałeś rację! Nie udawaj, że w życiu zabijałeś tylko wojowników. Nie pamiętasz, na ile musiałem się przez ciebie godzić? A co z tamtą kobietą na farmie, he? Co z jej dziećmi...

– Pamiętam wszystko! – Raith zakipiał z gniewu, zacisnął bolące palce wokół fiolki i potrząsnął pięścią przed twarzą brata. – Robiłem to dla nas! – Złapał go za kołnierz i szarpnął tak, że Rakki się potknął i strącił kociołek z ognia. Gulasz rozlał się po trawie.

– Proszę cię, bracie. – Rakki przytrzymał go za ramiona. Bardziej przypominało to braterski uścisk niż klincz. Im Raith stawał się twardszy, tym on bardziej miękł. W końcu znali się na wylot, czyż nie? – Jeśli nie będziemy mogli liczyć na siebie nawzajem, co się z nami stanie? Zrób to. Dla mnie. Dla nas.

Raith spojrzał w oczy brata. W tej chwili wcale nie uważał, że są podobne do jego oczu. Wciągnął powietrze i powoli je wypuścił. Wraz z nim ulotniła się cała jego złość.

– Dobrze. – Zwiesił głowę i spojrzał na maleńką fiolkę w dłoni. W końcu zabił tylu ludzi... – Szukałem powodu, aby tego nie robić, ale to ty jesteś z nas mądrzejszy. – Znowu zamknął pięść. – Ja jestem zabójcą.

Rina prawie się nie odzywała. W ustach trzymała kawałki drutu i pracowała, marszcząc czoło w skupieniu. Tymczasem Skara, czy to dlatego, że była w towarzystwie rówieśniczki, czy też z powodu emocji związanych ze zbliżającą się

naradą, paplała za nie obie. O dzieciństwie spędzonym w twierdzy Baila i o rodzicach – choć wspomnień o nich miała niewiele. O tym, że jej dziad miał w Yaletofcie salę zwaną Lasem, która doszczętnie spłonęła, ale którą chciała odbudować jeszcze wspanialszą. O Throvenlandzie i jej poddanych. O tym, jak z pomocą bogów zamierzała uwolnić ich od tyranii Najwyższego Króla, zemścić się na Yillingu Wspaniałym i sprawić, że dziedzictwo zamordowanego dziada nie przepadnie. Siostra Owd, a właściwie Matka Owd, przytakiwała młodej królowej z miną odpowiednią do jej statusu.

Raith tylko słuchał. Bardzo chciałby mieć swój udział w tej wspaniałej przyszłości, ale wiedział, jakie jest życie. Nie dorastał w forticy ani w królewskiej siedzibie, gdzie niewolnicy spełniali wszystkie jego zachcianki. Wszystko musiał sobie wywalczyć i mógł liczyć jedynie na brata.

Pod koszulą namacał fiolkę. Wiedział, kim jest. Wiedział, co musi zrobić.

Wtem Skara uśmiechnęła się do niego tak, że poczuł, jakby Matka Słońce świeciła tylko dla niego.

– Jak ty w czymś takim walczysz? – spytała i obróciła się z chrzęstem kolczugi. – Ależ to ciężar!

Determinacja Raitha stopiła się jak masło na piecu.

– Można przywyknąć, najjaśniejsza pani – wychrypiał.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Źle się czujesz?

– Ja? Niby dlaczego? – wyjąkał.

– Kiedy zdążyłeś się nauczyć manier? O bogowie, ale tu gorąco. – Szarpnęła za kolczugę przy szyi. Pod spodem miała gruby kaftan. Rzadko wyglądała tak zdrowo – rumieńce, lśniące oczy i delikatnie błyszcząca twarz. Pstryknęła palcami na służkę. – Bądź tak dobra i nalej mi wina.

– Ja to zrobię – zaproponował Raith i szybko podszedł do dzbana.

– Proszę, proszę! Usługują mi najlepsi. – Skara podziękowała mu skinieniem głowy i uśmiechnęła się promiennie do Riny. – Był królewskim podczaszym.

– Był – szeptem powtórzył za nią Raith. I znowu miał nim zostać. Musiał tylko wypełnić ostatnie zadanie.

Ledwie słyszał słowa Skary, tak mocno waliło mu serce. Powoli, ostrożnie, pilnując, aby nie zdradziło go drżenie rąk, napełnił puchar. Wino wyglądało jak krew.

Tak bardzo pragnął być wojownikiem. Tym, który stoi u boku króla i okrywa się chwałą na polu walki. A kim się stał? Łotrem, który pali domy. Zdradza. Truje kobiety.

W duchu powtarzał sobie, że musi to zrobić. Dla swojego króla. Dla brata.

Na plecach czuł wzrok Matki Owd. Przytknął wargi do brzegu pucharu i zgodnie ze zwyczajem upił łyk, aby mieć pewność, że wino nadaje się dla lepszych od niego. Usłyszał za sobą kroki minister, ale w tej samej chwili Skara spytała:

– Matko Owd, ty znałaś Ojca Yarwiego, zanim został ministrem, prawda?

– Bardzo krótko, najjaśniejsza pani. Już wtedy potrafił być bezwzględny...

Raith wiedział, że Owd odwróciła się do królowej. Niemal na bezdechu wysunął fiolkę spod koszuli, ostrożnie wyciągnął korek i wpuścił jedną kroplę do pucharu. Tyle miało wystarczyć. Przez chwilę patrzył, jak kręgi rozchodzą się i znikają. Szybko ukrył fiolkę w sakiewce. Niespodziewanie ugięły się pod nim kolana. Musiał się oprzeć pięściami o blat.

W duchu powtarzał, że nie ma innego wyjścia.

Ujął puchar w obie dłonie i się odwrócił.

Skara kręciła głową, patrząc, jak Rina dopasowuje kolczugę w pasie, wprawnymi palcami zbierając nadmiar i spinając ogniwa drutem.

– Radzisz sobie ze stałą równie łatwo jak moja dawna krawcowa z jedwabiem.

– Pobłogosławiła mnie Ta, która uderza w kowadło, najjaśniejsza pani – mruknęła Rina, cofając się i podziwiając rezultaty swojej pracy. – Tyle że ostatnio nie czuję tego błogosławieństwa.

– Z czasem będzie ci lżej. Jestem tego pewna.

– Tak samo powiedziałyby mój brat. – Rina uśmiechnęła się smutno, obchodząc Skarę dookoła. – Myślę, że więcej nie trzeba zwięzać. Teraz to zdejmę i skończę poprawki.

Skara wyprostowała się dumnie, gdy Raith podszedł do niej z pucharem. Dłoń oparła o rękojeść sztyletu zatkniętego za pas. Kolczuga lśniła w świetle lampy.

– I jak? Wyglądam na wojowniczkę?

O bogowie, nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Kolana mu drżały, gdy przyklęknął przed nią, tak jak przyklękał przed Gormem po każdym pojedynku i bitwie. I jak znowu miał to robić.

– Gdyby każda ściana tarcz tak wyglądała, wojownicy bez oporów ruszaliby do natarcia – zdołał wydukać i oburącz podał jej wino.

W duchu powtarzał sobie, że nie ma wyboru.

– Mogłabym przywyknąć, do tego, że przystojni mężczyźni przede mną kłękają. – Skara się roześmiała tym swoim głośnym, szalonym śmiechem. I wyciągnęła ręce po puchar.

UKŁADY



Gdzie ona jest? – Ojciec Yarvi ponownie zerknął na drzwi.

Koll rzadko widywał taki niepokój u swojego nauczyciela i przez to martwił się jeszcze bardziej. Jak gdyby nie był już wystarczająco zdenerwowany tym, że właśnie decydują się losy świata.

– Może tak długo się stroi – odparł szeptem. – Sprawia wrażenie osoby, która potrzebuje dużo czasu, aby się przygotować na taką okazję.

Ojciec Yarvi spojrział na niego gniewnie i Koll poczuł, że mimowolnie kuli się na krześle.

– A według mnie sprawia wrażenie osoby, która zaczyna przygotowania odpowiednio wcześniej. – Minister nachylił się ku swojemu uczniowi. – Nie sądzisz?

Koll odchrząknął i ponownie zerknął na drzwi.

– Gdzie ona się podziewa?

Matka Scaer, która stała w drugim końcu wielkiej sali Baila u boku Grom-gil-Gorma, wyglądała na coraz bardziej zadowoloną z siebie. Koll wyobraził sobie, że ona i Yarvi siedzą na szalach ogromnej wagi – gdy jedno spadało, drugie natychmiast mknęło do góry.

– Trwa wojna! – zawołała, a wojownicy Vansterlandu donośnym pomrukiem obwieścili swoje rozdrażnienie. – Yilling Wspaniały nie będzie czekał na młodą królową, to pewne. Musimy jak najszybciej wybrać kurs, w przeciwnym razie zaczniemy dryfować prosto ku katastrofie.

– Jesteśmy tego świadomi, Matko Scaer – zgrzytnął król Uthil, po czym nachylił się ku swojemu ministrowi i zniżył głos. – Gdzie ona jest?

Skrzydło podwójnych drzwi uchyliło się odrobinę i na salę wślizgnęła się Matka Owd. Zamarła, gdy wszyscy odwrócili się w jej stronę. Wydawała się niespokojna jak kaczka, która zgubiła gdzieś swoje kacząta.

– I? – warknął do niej Ojciec Yarvi.

– Królowa Skara...

– Tak? – Gorm wlepił w nią szparki oczu.

– Królowa Skara... – Matka Owd wyjrzała za drzwi, po czym cofnęła się z wyraźną ulgą. – Już tu jest.

Drzwi otworzyły się na oścież i w półmroku sali błysnęła Matka Słońce. Zebrani z głupimi minami patrzyli, jak do środka wmaszerowują Throveni.

Na czele szła królowa Skara z dumnie podniesioną głową i czarną chmurą rozpuszczonych włosów. Blask świtu krzesał ogniste błyski z czerwonego kamienia bransolety, klejnotów kolczyka i lśniącej kolczugi, bo zjawiła się w pełnym rynsztunku bojowym, ze sztyletem u pasa i pozłacanym hełmem pod pachą. Raith kroczył za nią, pochylając białą głowę. Niósł wykuty przez Rinę miecz w pochwie rzeźbionej przez Kolla – broń przecudnej roboty.

Rina przeszła samą siebie. Skara naprawdę wyglądała jak wojownicza królowa, pomimo absurdalnie drobnej postaci i burzy włosów, która w walce byłaby ogromną przeszkodą. Pobrzękując sprzączkami, wkroczyła między delegacje Vansterlandu i Gettlandu. Ani jednej, ani drugiej nie zaszczyciła nawet przelotnym spojrzeniem. Jej wojownicy szli za nią, dudniąc butami o posadzkę.

Uśmiech Matki Scaer znikł. Podkradł go Ojciec Yarvi. Grom-gil-Gorm przyglądał się młodej królowej z osłupiałą miną. Król Uthil odrobinę uniósł brwi barwy żelaza. Koll nigdy nie widział takiego zdumienia na twarzy monarchy.

Matka Owd i Siny Jenner zajęli miejsca po obu stronach władczyni, tymczasem ona, zamiast zasiąść na tronie Baila, cisnęła pozłacany hełm na stół i mocno oparła o blat zaciśnięte pięści. Jej wojownicy ustawili się za nią półpierścieniem. Raith przyklęknął i wyciągnął przed siebie miecz zwrócony rękojeścią do królowej.

Oczywiście Skara nie zamierzała dobywać broni. Liczył się wyłącznie teatr – niemal groteskowe przedstawienie. Niemal, bo nie do końca, a to dlatego, że na ścianie za nimi widniało malowidło zwycięskiej Ashenleer w kolczudze, z rozwianym włosiem i klęczącym u jej stóp giermkim. Koll przeniósł wzrok z legendarnej królowej na obecną i stwierdził, że są zadziwiająco podobne.

– Naprawdę niezwykle. – Uśmiech Ojca Yarviego stał się jeszcze szerszy.

Na Matce Scaer nie wywarło to wielkiego wrażenia.

– Widzę, że lubisz robić wokół siebie dużo szumu. – Uśmiechnęła się szyderczo.

– Wybaczcie – powiedziała Skara. – Szykowałam się do b i t w y ! – Wprawdzie była drobną kobietą, ale miała głos bohaterki. Ostatnie słowo wymówiła tak gwałtownie, jak zrobiłaby to Zadra.

Nawet Matka Scaer drgnęła.

Koll nachylił się do Ojca Yarwiego i szepnął:

– Doczekaliśmy się wreszcie.

– Drodzy sojusznicy! – zawołała Skara, mącąc ciszę dźwięcznym głosem. Mówiła spokojnie i pewnie, jak gdyby urodziła się do tej roli. – Drodzy goście. Królowie, ministrowie i wojownicy Gettlandu oraz Vansterlandu!

Raith odważył się zerknąć na tych, których dotąd uważał za przyjaciół. Łamacz Mieczy nie odrywał wzroku od Skary, ale Matka Scaer utkwiała w dawnym pod czaszym władcy tak mordercze spojrzenie, jakiego jeszcze u niej nie widział – a widywał naprawdę okrutne. Usta Soryorna wykrzywiła gorzka nienawiść, ale najgorszy był wyraz oczu Rakkiego. Nie było w nich gniewu, lecz rozczarowanie. Tak patrzył ktoś zdradzony przez najbardziej zaufanego człowieka. Raith spuścił wzrok. Oddech ledwie przeciskał mu się przez gardło.

– Dziś musimy podjąć ważną decyzję! – ciągnęła Skara. – Musimy wybrać, czy mamy użyć zakazanej broni przeciwko armii Najwyższego Króla, czy się wycofać, zanim jego wojska tutaj dotrą.

Jej słowa ledwie docierały do Raitha. Nie mógł przestać myśleć o minionym wieczorze. Ukląkł przed nią, gotowy wypełnić powierzone mu zadanie, ale wtedy usłyszał jej śmiech i palce go zdradziły. Puchar wypadł z rąk i zatrute wino rozlało się po podłodze. Skara zbyła to żartem o umiejętnościach królewskich pod czaszym, ale on potem całą noc leżał pod jej drzwiami, gapił się w mrok i czuł jak wierny pies, którym się stał.

Nie mógł zasnąć, rozmyślając o tym, że z własnej winy wszystko stracił.

– Jestem królową Throvenlandu! – zawołała Skara. – W moich żyłach płynie krew Baila. Inni być może wolą uciec przed Najwyższym Królem, lecz ja nie zrobię tego nigdy więcej. Poprzysięgam zemstę Yillingowi Wspaniałemu i nie spocznę, dopóki jego trup nie zostanie rozdarty na strzępy. Będę stawiać mu opór do ostatniego tchu! Użyję każdej broni. – Spojrzała wrogo na Matkę Scaer. – Każdej – powtórzyła z naciskiem. – I zamierzam walczyć tu. Nie porzucę Throvenlandu. Nie opuszczę twierdzy Baila.

Raith przez całe życie pragnął jedynie służyć swojemu królowi i walczyć obok brata, ale wszystko zaprzepaścił. Wiedział, że już nigdy tego nie odzyska. Został sam, tak jak mówił Rakki. Teraz musiał nosić miecz za dziewczyną, która nie miała nawet dość siły, aby dobyć broni.

– Jakie jest twoje zdanie, królu Uthilu? – zwróciła się do władcy Gettlandu.

– Nie ma tu wojownika, który nie podziwiałby twojej determinacji, królowo Skaro – odparł Żelazny Król z uśmiechem. Raith nie sądził, że kiedyś to zobaczy. – Śmierć czeka wszystkich. Będę zaszczycony, wychodząc jej naprzeciw u twojego boku.

Raith zauważył, że Skara przełknęła ślinę, zanim zwróciła się do Vansterów:

– A ty, królu Gormie?

Dusił ją ciężar kolczugi. Gorąco prażyło. Z całych sił starała się stać prosto, nie zapominać o królewskiej dumie i utrzymać na twarzy wyraz wyniosłej powagi. W końcu była królową, do diaska. Była królową, była królową, była królową...

– Mamy podziwiać twoją determinację? – warknęła Matka Scaer. – Nie ma tu wojownika, u którego ta komedia nie budzi odrazy. Nigdy nawet nie dobyłaś miecza, a już na pewno nie użyłaś go w gniewie! Tymczasem żądasz, abyśmy ryzykowali życie dla twojego pustego królestwa, twojej pustej dumy, twojej...

– Zamilcz – powiedział cicho Gorm. Wpatrywał się ciemnymi oczami w Skarę od chwili, gdy weszła do sali.

– Ależ najjaśniejszy panie...

– Siadaj – nakazał Łamacz Mieczy. Matka Scaer ze złością zgrzytnęła zębami, ale posłusznie zajęła swoje miejsce. Władca Vansterów spojrział na Skarę. – Chcesz, abym bronił twojej fortecy? – Jego dźwięczny głos zabrzmiał łagodniej. – Abym ryzykował życie własne i moich wojowników tak daleko od ojczyzny? Abym stawił czoło nieprzebranym siłom Najwyższego Króla, licząc, że szalę przeważy na naszą stronę elf-magia obiecana przez łysą wiedźmę i jednorękiego kłamcę? – Gorm uśmiechnął się szczerze. – Niech tak będzie.

– Najjaśniejszy panie... – syknęła jego minister, lecz on podniósł dłoń, aby ją uciszyć, wciąż wpatrując się w Skarę.

– Będę walczył w twoim imieniu. Na mój rozkaz wszyscy Vansterowie ruszą do boju na śmierć i życie. Będę twoją tarczą dziś, jutro i przez resztę życia, ale chcę czegoś w zamian.

Na sali zrobiło się cicho jak w grobowcu. Skara niepewnie przełknęła ślinę.

– Mów, czego żądasz, królu.

– Ciebie.

Pod pożyczoną kolczugą poczuła drażniące strużki potu. Żołądek podszedł jej do

gardła. Najchętniej zwymiotowałyby na stół, ale Matka Kyre raczej nie uznałaby tego za właściwą odpowiedź na królewskie oświadczyły.

– Od dawna szukam odpowiedniej królowej – oznajmił Łamacz Mieczy. – Kobiety, która dorówna mi sprytem i odwagą. Kobiety, która zdoła pomnożyć monety w moim skarbcu. Kobiety, która da mi wiele dzieci.

Skara mimowolnie zerknęła na Raitha. On również na nią spojrział, ze zdziwienia otwierając usta. Sam nie mógł ofiarować jej nic prócz miecza, który ledwie dała radę udźwignąć.

Ojciec Yarvi pobladł. Nie przewidział takiego obrotu spraw.

– I która wniosłaby Throvenland w posagu – warknęła.

Łańcuch głowic z mieczy zabitych wrogów szczękła cicho, gdy Gorm wzruszył potężnymi ramionami.

– Która chciałaby połączyć Throvenland z Vansterlandem i poprowadzić je ku chwale. Pragnę twojej ręki, twojej krwi i twojego rozumu, królowo Skaro, a w zamian oferuję ci moje. Uważam, że to uczciwa propozycja.

– Najjaśniejsza pani... – syknęła Matka Owd.

– Nie możesz... – wyszeptał Siny Jenner.

Skara uciszyła swoich doradców ruchem dłoni.

Władca Vansterów ją zaskoczył, lecz jako królowa nie powinna długo trwać w niepewności. Już nie była dzieckiem.

Przy wsparciu Łamacza Mieczy miała szansę utrzymać twierdzę Baila. Pomścić dziada. Zobaczyć śmierć Yillinga. Z kluczem do skarbcza Vansterlandu mogła zapewnić bezpieczeństwo swojemu ludowi, dźwignąć Yaletoft z ruin, zacząć budować przyszłość Throvenlandu.

Miała już dosyć proszenia, namawiania, podżegania jednego rywala przeciwko drugiemu. Męczył ją tytuł wiszący na włosku. Wprawdzie nie uśmiechało jej się wspólne łożo z Grom-gil-Gormem, ale wspólne sprawowanie władzy nie budziło jej sprzeciwu.

Był od niej dwa razy większy. Dwa razy starszy. Oszpecony bliznami, groźny i bezlitosny. Tak daleki od wizji męża, o jakim marzyła jako dziewczynka, jak to było możliwe. No, ale marzyciele muszą się w końcu ocknąć. Podejrzewała, że Matka Kyre uznałaby go za odpowiednią partię. Przecież świat pełen jest potworów. Może po prostu trzeba mieć najgorszego z nich po swojej stronie.

Zresztą nie miała wyboru. Zmusiła się do uśmiechu.

– Zgadzam się.

DECYZJE



Jesteś gotowy? – spytał Ojciec Yarvi, wkładając do kufra swoje ulubione książki, zakazane dzieła o elf-ruinach i artefaktach. – Musimy wyjść w morze, zanim zacznie się odpływ.

– Jestem gotowy – przytaknęła Koll. Miał na myśli to, że się spakował, bo nie liczył, że kiedykolwiek będzie naprawdę przygotowany do takiej podróży.

– Idź do Rulfa. Niech sprawdzi, czy zabraliśmy dość piwa, żeby załódze nie zabrakło odwagi. Nawet przy sprzyjającym wietrze czeka nas pięć dni żeglugi wzdłuż wybrzeża do Furfinge.

– A lepiej nie liczyć na sprzyjające wiatry – mruknęła Koll.

– Nie przeczę. Zwłaszcza podczas wyprawy na Strokom.

Koll niepewnie przełknęła ślinę. Wolałby odkładać tę sprawę w nieskończoność, ale to jedynie pogorszyłoby sytuację, a dość już napsuł.

– Ojciec Yarvi... – O bogowie, ależ był tchórzem. – Może... może powinienem zostać.

Minister spojrzał na niego.

– Słucham?

– Podczas twojej nieobecności król Uthil może potrzebować...

– Nie będzie negocjował żadnych umów, popisywał się sztuczkami z monetą ani rzeźbił krzesel. Będzie walczył. Sądzisz, że król Uthil potrzebuje twoich rad w tej mierze?

– Ale...

– Teraz rządzi tu Matka Wojna. – Yarvi pokręcił głową i ponownie pochylił się nad książkami. – Ci, którzy przemawiają w imieniu Ojca Pokoju, muszą znaleźć inne sposoby, aby mu służyć.

Koll nie zamierzał od razu się poddać.

– Prawdę mówiąc, bardzo się boję. – Dobry kłamca zawsze wplata jak najwięcej prawdy w gobelin fantazji, a to były najprawdziwsze słowa.

Ojciec Yarvi zmarszczył brwi.

– Ministrowie muszą panować nad strachem, podobnie jak wojownicy. Powinni wykorzystać go, aby tym wnikliwiej oceniać sytuację, zamiast pozwalać, aby stał się mgłą, która wszystko im przesłania. Myślisz, że ja nie czuję lęku? Jestem przerażony. Nieustannie. Muszę jednak robić to, co trzeba.

– A kto decyduje, co trzeba robić...?

– Ja. – Ojciec Yarvi zatrzasnął wieko kufra i podszedł do ucznia. – To dla nas niezwykła szansa! Każdy minister stale łaknie wiedzy, a ty prześcigasz w tej mierze innych. Nigdy wcześniej nie znałem kogoś, kto byłby tak ciekawy świata. Teraz mamy okazję nauczyć się czegoś o przeszłości!

– I powtórzyć dawne błędy? – burknął Koll i natychmiast tego pożałował, bo Ojciec Yarvi chwycił go za ramiona.

– Myślałem, że chcesz zmieniać świat. Stać u boku królów i wyznaczać bieg historii. Ja daję ci tę szansę!

O bogowie, naprawdę tego pragnął. Jako Ojciec Koll budziłyby lęk i podziw. Nikt nie traktowałby go z wyższością ani nie lekceważył, a już na pewno żaden białowłose oprych nie rąbnąłby go czołem w twarz. Nie, nie powinien teraz o tym myśleć.

– Jestem ci za to wdzięczny, Ojciec Yarvi, ale...

– Dałeś słowo Rinie.

Koll zamrugał niepewnie.

– Ja...

– Nie tak trudno cię rozgryźć, Kollu.

– Dałem słowo Brandowi! – wyrwało mu się. – Jego siostra mnie teraz potrzebuje!

– Ja również! – warknął Ojciec Yarvi, zaciskając dłonie na barkach ucznia. Wprawdzie jedna była przykurczona, ale i tak miała dość siły, aby boleśnie wpić się w ramię Kolla. – Potrzebuje cię Gettland! – Minister zapanował nad sobą i opuścił rękę. – Rozumiem cię, wierz mi, nikt nie pojmuje twojej sytuacji lepiej niż ja. Pragniesz czynić dobro, stać w pełnym blasku. Ale jesteś już mężczyzną. Wiesz, że w życiu nie ma prostych rozwiązań. – Yarvi spuścił wzrok i skrzywił się, jakby coś go zabolalo. – Kiedy uwolniłem ciebie i twoją matkę z obręczy niewolników, nie oczekiwałem niczego w zamian...

– Dlaczego więc tak często o tym wspominasz? – przerwał mu Koll.

Ojciec Yarvi spojrział na niego. Zaskoczony. Może nawet odrobinę urażony. Dość,

by Koll poczuł, jak ogarnia go znajome poczucie winy.

– Ponieważ obiecałem coś Safricie. Przynależem, że dopilnuję, abyś stał się jak najlepszym człowiekiem. Takim, z którego byłaby dumna.

Człowiekiem, który czyni dobro. Człowiekiem, który unika cieni. Koll zwiesił głowę.

– Ciągle myślę o tym, co mogłem zrobić inaczej. Nie mogę zapomnieć... o propozycji Matki Adwyn...

Oczy Yarwiego stały się okrągłe.

– Mam nadzieję, że nie wspomniałeś o niczym mojej matce!

– Nie mówiłem nikomu. Ale... gdybyśmy ją wtajemniczyli, być może znalazłaby sposób na zawarcie pokoju...

Ojciec Yarvi przygarbił ramiona.

– Cena była zbyt wysoka – wyszeptał. – Przecież wiesz.

– Tak.

– Nie mogłem ryzykować rozłamem w naszym sojuszu. Musimy pozostać zjednoczeni. Chyba to rozumiesz?

– Tak.

– Babce Wexen nie można ufać. Z tego również zdajesz sobie sprawę.

– Tak, ale...

– Ale może Brand by nie zginął... – W tej chwili Ojciec Yarvi wyglądał bardzo staro jak na swoje lata. Wydawał się wiekowy, schorowany i przygięty brzemieniem winy. – Sądzisz, że mnie takie myśli nie prześladują tysiąc razy każdego dnia? Rolą ministra jest zawsze wątpić, ale sprawiać wrażenie pewnego. Nie możesz pozwolić, aby paraliżowało cię to, co nas czeka. Ani tym bardziej to, co mogło się wydarzyć. – Zaciśnął niesprawną dłoń w kułak i skrzywił się, jak gdyby zamierzał sam siebie nim uderzyć. Po chwili jednak opuścił rękę. – Musisz starać się wybierać większe dobro. Musisz szukać mniejszego zła. A potem musisz zapomnieć o żalach i spojrzeć w przyszłość.

– Wiem. – Koll zdawał sobie sprawę, że przegrał. Spodziewał się tego, jeszcze zanim zaczęła tę rozmowę. Ostatecznie chciał, aby tak właśnie się to skończyło. – Wyruszę z wami.

Nie musiał jej nic mówić. Może to i dobrze. Wątpił, czy miał dość odwagi.

Rina spojrzała na niego – to wystarczyło – po czym zaciśnęła zęby i wróciła do

pracy.

– Widzę, że już dokonałeś wyboru.

– Żałuję, że w ogóle musiałem wybierać – wyszeptał, bo czuł się winny jak złodziej.

– Jest, jak jest. Podjąłeś decyzję.

Wolałby, żeby się rozpłakała, rzuciła na niego ze złością albo błagała, żeby jeszcze raz to przemyślał. Jak tchórz planował wykorzystać to przeciwko niej. Nie wiedział jednak, co zrobić wobec chłodnej obojętności.

– Przykro mi – wydukał. Jedyne na to było go stać. Zastanawiał się, czy matka byłaby z niego teraz dumna. Chyba wołał nie znać odpowiedzi.

– Niepotrzebnie. Zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu. Mogę winić tylko siebie. Brand mnie ostrzegał, że tak będzie. Mówił, że masz głowę pełną własnych marzeń i na marzenia innych nie ma w niej miejsca.

O bogowie, jakby dostał pięścią w jaja. Otworzył usta, gotowy wygarnąć jej, że to niesprawiedliwe, ale jak miał się bronić przed opinią kogoś, kto nie żyje? Zwłaszcza że właśnie udawał, iż była słuszna.

– Wydawało mi się, że wiem lepiej – syknęła Rina przez zęby. – Ha, tym razem to Brand miał rację.

Koll zrobił dwa kroki w jej kierunku, szurając butami po podłodze. Wprawdzie nie potrafił dać jej tego, czego chciała, ani stać się takim, jakiego potrzebowała, ale mógł przynajmniej dopilnować, aby była bezpieczna. Musiał to zrobić dla niej. I dla Branda.

– Yilling dotrze tu za kilka dni – powiedział cicho. – A wraz z nim tysiące wojowników Najwyższego Króla.

– Zawsze mówisz to, co wszyscy wiedzą, jakbyś wyjawiał jakąś tajemnicę – prychnęła Rina. – Dawniej mnie to rozbrajało, ale muszę przyznać, że straciło urok.

– Powinnaś wrócić do Thorlby...

– Po co? Mój brat nie żyje, a z mojego domu została wypalona skorupa.

– Tu nie jest bezpiecznie...

– A w Thorlby będzie bezpiecznie, jeśli tu przegramy? Wolę zostać i pomagać, na ile zdołam. Tak postąpiłby Brand. Zawsze tak robił.

O bogowie, ależ ona była odważna. O wiele bardziej niż on. Uwielbiał ją za to. Z przyzwyczajenia położył dłoń na jej ramieniu.

– Rino...

Odrzuciła jego rękę i zacisnęła pięść, jakby chciała go uderzyć. Wiedział, że na to zasłużył. Tyle że ona nie zamierzała ułatwiać rozstania. Odwróciła się z odrazą.

– Lepiej już idź. Dokonałeś wyboru, Bracie Kollu. Teraz z nim żyj.

Co miał na to powiedzieć? Niepotrzebnie się martwił, że będzie płakała. To on pociągał nosem i powstrzymywał łzy, opuszczając kuźnię. Wcale nie czuł, że jest najlepszym człowiekiem, jakim mógłby być.

Na zbudowane przez elfy nabrzeże twierdzy Baila siępił deszcz. Mżawka przesłaniała świat kurtyną tak ponurą jak nastrój Kolla. Czepiała się kroplami futra na ramionach Rulfa, który stał na platformie przy sterze, marszcząc czoło. Moczyła włosy i zacięte twarze wioślarzy, którzy ładowali na pokład zapasy. Koll żałował, że nie ma wśród nich Frora i Dosduvoia, ale załoga, z którą żeglował szerokim korytem Boskiej Rzeki, rozproszyła się po świecie. Z nowych nie znał prawie nikogo.

– Skąd ta grobowa mina, gołąbeczku? – zagadnęła go Skifra, wysuwając spod peleryny chudy palec, żeby podlubać w nosie. – Kiedyś sam chciałeś zobaczyć magię. Prosiłeś mnie, żebym ci ją pokazała, pamiętasz?

– Pamiętam. A ty powiedziałaś, że jestem młody i lekkomyślny, bo magia niesie ze sobą okropne ryzyko i trzeba za nią zapłacić straszną cenę. Kazałaś mi się modlić do wszystkich bogów, żebym nigdy nie musiał jej oglądać.

– E tam. – Skifra uniosła brwi, oglądając wynik swojej dłubaniny, po czym pstryknęła tym w stronę floty Gorma i Uthila oraz zdobycznych okrętów Yillinga, które kołysały się w porcie. – Pewnie akurat miałam zły humor. I co? Modliłeś się?

– Widać za słabo. – Zerknął na nią z ukosa. – Mówiłaś wtedy, że wiesz o magii dość, aby wyrzucić dużo zła, ale za mało, aby wyszło z tego coś dobrego.

– Trwa wojna. Jestem tu po to, aby czynić zło.

– Wcale mnie to nie cieszy.

– Wiem.

– Gdzie poznałaś magię?

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– I nie mogę, i nie chcę.

Koll westchnął. Po każdej odpowiedzi Skifry miał wrażenie, że wie coraz mniej.

– Naprawdę możesz bezpiecznie zabrać nas na Strokom?

– Na Strokom? Tak. A czy bezpiecznie? – Wzruszyła ramionami.

– To też nie dodaje mi otuchy.

– Wiem.

– Znajdziemy tam broń?

– Więcej niż potrzeba nawet samej Matce Wojnie.

– A jeśli jej użyjemy... znowu dojdzie do rozbicia Bóstwa?

– Jeżeli przy okazji uda się rozbić Babkę Wexen, będę zadowolona.

– To już w ogóle nie napawa mnie optymizmem.

Skifra spojrzała na szare morze.

– Jeżeli sądzisz, że jestem tu po to, aby poprawiać ci nastrój, grubo się mylisz.

– Dlaczego nic nigdy nie jest łatwe? – Ojciec Yarvi z ponurą miną przyglądał się długiej pochylni z szorstkiego elf-kamienia, która prowadziła na dziedzińiec fortecy. Właśnie schodziła nią szczupła postać. Wysoka kobieta z ogoloną głową i elf-bransoletami na wytatuowanych przedramionach. – Matko Scaer, cóż za niespodzianka! Sądziłem, że nie zechcesz wziąć udziału w tym szaleństwie.

Minister Vansterlandu splunęła w bok.

– Nie chcę, aby ktokolwiek brał w nim udział, to mój król wybrał tę ścieżkę. Moją rolą jest dopilnować, aby prowadziła do zwycięstwa. Dlatego płynę z wami.

– Jesteśmy zachwyceni. – Yarvi podszedł do niej. – O ile zamierzasz służyć mi pomocą. Jeżeli staniesz mi na drodze, gorzko tego pożałujesz.

– A zatem wszystko jasne. – Matka Scaer szyderczo wykrzywiła usta.

– Jak zawsze.

Koll westchnął cicho. Czyż wzajemna nienawiść i podejrzliwość nie były najlepszym fundamentem sojuszu?

– Do wiosła! Czas ruszać! – zawołał Rulf. – Zestarzę się tu przez was!

PRZYKŁAD GUDRUN



Wstał kolejny piękny dzień późnego lata. W promieniach Matki Słońca krople deszczu, który padał nocą, błyszczały w trawie jak klejnoty.

– To nasz najślabszy punkt – stwierdził Raith.

Nawet ktoś, kto nie był wojownikiem, potrafił to dostrzec. Północno-wschodni narożnik fortecy wyglądał tak, jakby podczas rozbicia Bóstwa uciął go olbrzymi nóż. Królowie w zamierzchłej przeszłości kazali w tym miejscu wznieść wieżę, aby wypełniła lukę. Budowla miała marną konstrukcję i z czasem zupełnie ją zaniedbano. Dach się zapadł i na oblepionych odchodami krokwiach cisnęły się ptaki. Dobudowany przez człowieka odcinek murów wybrzuszał się na zewnątrz. Wzmocniono go bastionami, lecz one także zaczynały się kruszyć.

– Wieża Gudrun – wyszeptała Skara.

– Skąd ta nazwa? – spytała Matka Owd.

Skara okropnie się irytowała, kiedy Matka Kyre uczyła ją tej opowieści, lecz zapamiętała ją dobrze – tak jak większość lekcji dawnej opiekunki.

– Księżniczka Gudrun była wnuczką władcy Throvenlandu.

– Kiepski początek historii – burknęła Matka Owd. Rankami zwykle była mrukliwa. – Ale znam kilka, które się dobrze skończyły.

– Niestety nie ta. Księżniczka zakochała się w stajennym.

– Cóż za brak rozważli.

– Miłość nie jest rozważna. Jak kogoś trafia, to trafia.

Matka Owd uniosła brwi.

– Zazwyczaj można w porę się zorientować i usunąć z drogi.

– Gudrun tego nie zrobiła. Throvenland miał w tamtych czasach trzech królów i jej dziad obiecał rękę wnuczki jednemu z pozostałych dwóch. Dziewczyna próbowała uciec, więc kazał powiesić jej kochanka na tej wieży, a ją samą uwięził w komnatach na szczycie. Miała tu siedzieć tak długo, aż zrozumie swoją powinność.

Matka Owd podrapała się pod luźno upiętymi włosami.

- Ciągłe nie widzę tu szans na dobre zakończenie.
- Bo go nie ma. Gudrun rzuciła się z blanków i zgineła w fosie pod murami.
- Miejmy nadzieję, że my unikniemy takiego końca – wtrącił Raith.
- Że nie zabijemy się z miłości? – spytała Skara.
- Że nie zginiemy w fosie.

Ostatnio Raith wydawał się wyjątkowo ponury, nawet jak na niego. Wprawdzie świadomość, że zmierza ku nim dziesięć tysięcy uzbrojonych wrogów, wszystkim psuła nastrój, lecz Skara podejrzewała, że jemu chodzi raczej o jej umowę z Gormem. Sama nie była nią zachwycona, ale nic nie mogła na to poradzić. Westchnęła ciężko. Miała teraz poważniejsze zmartwienia niż uczucia – nawet własne.

Jej rozmyślania przerwał tętent koni. Spojrzała w kierunku, skąd dochodził, i zobaczyła, jak kolumna jeźdźców opuszcza fortecę. Obok ludzi, którzy pogłębiali rowy, przejechało dwustu konnych, sypiąc ziemią spod kopyt, i pomknęło przez błotnistą łąkę w stronę obozów Gorma i Uthila.

Siny Jenner właśnie wspinał się łagodnym wzniesieniem w stronę Wieży Gudrun.

– A któż to nie chce zostać z nami i zobaczyć, co się tu wydarzy? – zawołała do niego Skara.

– Zadra Bathu. – Jenner obejrzał się na jeźdźców. – Ale tylko dlatego, że jej zdaniem Yilling za bardzo się ociąga. Zabrała dwustu najokrutniejszych Gettów, żeby go nękać, jak tylko zdoła.

– Może wyjść z tego mocno znękany – powiedziała cicho Skara, patrząc, jak jeźdźcy wyłaniają się z długiego cienia twierdzy Baila, mijają opustoszałą osadę i kierują się na północ.

– I tak nie mamy tu czym karmić koni, najjaśniejsza pani. – Jenner zatrzymał się przy nich i oparł ręce na biodrach. – Nawet dla ludzi brakuje jedzenia. Yilling spalił większość gospodarstw w promieniu stu mil, a te, które zostały, ogołocił ze wszystkiego. Uthil i Gorm szacują, że może tu zostać zaledwie tysiąc wojowników. Część ma rodziny, o które musi się zatroszczyć, i pola, z których trzeba zebrać plony. Oni poześlą wkrótce do Thorlby i dalej.

Skara spojrzała na niego zdumiona.

– Wrogów będzie dziesięć razy więcej niż nas.

– Im mniejsze szanse, tym większa chwała – mruknął Raith. – Tak mówią...

– Zostaną sami doborowi. – Jenner jak zwykle snuł optymistyczne plany. – Dość, aby bronić fortecy do powrotu Ojca Yarwiego. Czterystu Vansterów, czterystu

Gettów, stu kowali, kucharzy i sług. No i stu naszych.

– Mamy aż tak wielu gotowych tu zostać?

– Pięć razy tyle chętnie odda za ciebie życie, najjaśniejsza pani. Osobiście wybiorę spośród nich setkę, z której każdy zdoła najpierw ukatrupić kilku wojowników Najwyższego Króla.

– Jestem im wszystkim niezmiernie wdzięczna – przyznała Skara. – Naprawdę. Ale nie powinieneś zaliczać siebie w ich poczet. Zrobiłeś więcej niż...

– Ha – prychnął Jenner. – Zostaję, to postanowione. Obiecałem załodze bajeczną zapłatę, kiedy pokonamy Najwyższego Króla. Jeżeli ich zawiodę, wypadnę na głupca. Uważam jednak, że ty, królowo, powinnaś wyjechać.

Tym razem to ona prychnęła.

– Jak mam żądać, aby inni narażali się dla mnie, jeżeli sama ucieknę?

– Najjaśniejsza pani – wtrąciła się Matka Owd. – Twoja krew jest warta dla Throvenlandu więcej niż...

– Jestem królową w mojej fortecy. Jedyną osobą, która może mi rozkazywać, jest Najwyższy Król, a ponieważ otwarcie mu się przeciwstawiłam, nie licz, że ci pomoże. Zostaję. Koniec dyskusji.

– W takim razie ja również – westchnęła Matka Owd. – Miejsce uzdrowiciela jest pośród rannych. Miejsce ministra jest przy władcy.

Nagły przypływ wdzięczności niemal wycisnął łzy z oczu Skary. Sama nie wybrałaby sobie takich doradców, lecz teraz nie zamieniłaby ich na żadnych innych.

– Bogowie zabrali mi dziada. – Skara otoczyła jedną ręką Matkę Owd, a drugą Sinego Jennera. – Lecz dali mi dwa filary, na których mogę się wesprzeć.

Matka Owd spojrzała na siebie i zmarszczyła czoło.

– Jestem trochę zbyt przysadzista na filar.

– Mimo to stałaś się dla mnie wspaniałą podporą. – Skara pchnęła Owd i Jennera w stronę fortecy. – A teraz idźcie wybrać dla mnie stu wojowników, którzy kopną Yillinga prosto w jaja.

– Znajdziemy samych najlepszych, najjaśniejsza pani – zapewnił Siny Jenner, uśmiechając się szeroko. – I każemy im włożyć najcięższe buciory.

Młoda królowa została z Raithem na murawie w cieniu wieży. Docierały do nich trele ptaków i nawoływania ludzi, którzy w znoju pogłębiali fosę. Bryza mierzwiła żdzblał traw. Skara nie oglądała się za siebie, ale podobało jej się, że on jest tuż obok.

– Ty też możesz odejść – rzuciła przez ramię. – Jeśli chcesz.

– Powiedziałem, że jestem gotowy za ciebie zginąć, i tak właśnie jest.

Odwróciła się i dostrzegła w nim iskrę dawnej zuchwałości – śmiałość, brawurę i ani krztyny skruchy. Uśmiechnęła się.

– Na razie nie jest to konieczne. Wciąż potrzebuję obrońcy, który budzi lęk w moich gościach.

– To też mogę robić. – On również rozchylił usta w uśmiechu. Po swojemu, trochę jak głodny wilk, pokazując wszystkie zęby. Na tak długo, że nie mógł to być przypadek. Na tak długo, że poczuła na skórze ciepłe mrowienie niepewności.

Skrycie marzyła o tym, żeby wziąć przykład z Gudrun, zapomnieć o konwenansach i pójść na siano ze swoim stajennym. Chciała przynajmniej poczuć, jak to jest.

Tyle że jej rozsądek drwił z takich myśli. Przecież nie była romantyczką. Nie mogła sobie na to pozwolić. Była królową, która obiecała poślubić Grom-gil-Gorma. Jej poddani na nią liczyli. Niegdyś złorzeczyła, narzekała i buntowała się przeciwko Matce Kyre, ostatecznie jednak zawsze wypełniała swoje obowiązki.

Dlatego teraz nie uczepliła się szyi Raitha jak tonący kłody i nie pocałowała go tak, jakby w jego ustach kryła się tajemnica życia. Chrząknęła tylko i spojrzała na Wieżę Gudrun, marszcząc brwi.

– To dla mnie wiele znaczy, że jesteś gotowy walczyć w moim imieniu – przyznała.

– Nie ma w tym nic niezwykłego. – Słońce na moment przesłoniła chmura i klejnoty w trawie zmieniły się w zwykłe krople wody. – Każdy porządny zabójca musi mieć dla kogo zabijać.

TYSIĄC



Soryorn był znakomitym łucznikiem i na tle krwawej kuli zachodzącego słońca prezentował się jak bohater. Stał z jedną stopą opartą o występ w murze na szczycie Wieży Gudrun i wyginał plecy, napinając cięciwę wielkiego łuku. Blask płonącej strzały rzucał ruchome cienie na jego surowe oblicze.

– Podpalaj – rozkazał Gorm.

Tysiąc doborowych wojowników Throvenlandu, Vansterlandu i Gettlandu powiodło wzrokiem za smugą ognia. Strzała łukiem pomknęła przez bezwietrzny wieczór i wbiła się w pokład okrętu Yillinga Wspaniałego. Niebieski płomień strzelił w górę, gdy południowy olej zajął się z głuchym trzaskiem. W mgnieniu oka ogarnął całą łódź. Raith czuł buchające gorąco nawet tu, na murach.

Zerknął w bok. Ciepły blask rozjaśniał uśmiechniętą twarz Skary. To był jej pomysł. Okręt wojownika jest przecież jego sercem i domem.

Wyciągnięcie go z zatoki i przetoczenie na okrągłakach po pochylni na dziedziniec, a potem dalej, za mury fortecy, okazało się cholernie ciężkim zadaniem. Raitha bolał grzbiet i piekły ręce. Połączany wiatrowskaz królowa Skara podarowała Sinemu Jennerowi. Król Gorm ukręcił wszystkie srebrne okucia, zamierzając przetopić je na puchary, a król Uthil zabrał barwiony na czerwono żagiel, aby oszczędzić kobietom Gettlandu pracy przy krosnach. Maszt położono, żeby okręt zmieścił się pod łukiem bramy, i odłupano piękne rzeźby, gdy zaklinowały się w przejściu, ale w końcu udało się wyciągnąć kadłub na zewnątrz.

Raith miał nadzieję, że Yilling doceni wysiłek, jaki włożyli w to, aby odpowiednio go powitać pod twierdzą Baila. Obrońcom na pewno podobał się widok płonącego okrętu. Wkoło rozbrzmiewały wiwaty, śmiechy i obelgi miotane na zwiadowców, którzy siedzieli na koniach daleko poza zasięgiem strzał. Dobry nastrój nie trwał jednak długo.

Armia Babki Wexen była blisko.

Maszerowała traktem z północy zwartą kolumną – żelazny wąż ludzi ze

sztandarem Najwyższego Króla na czele. Gdzieniedzie nad głowami sterczały siedmiopromienne słońca Jednobóstwa. Proporce ponad setki bohaterów wiszały smętnie w nieruchomym powietrzu. Szli i szli przez ruiny osad. Coraz więcej i więcej, aż po mglisty horyzont.

– Kiedy wreszcie zobaczymy koniec kolumny? – Raith usłyszał szept Skary. Jedną rękę trzymała na piersi, a drugą nerwowo obracała bransoletę.

– Miałem nadzieję, że nasi zwiadowcy mylili się co do liczby – mruknął Siny Jenner.

– No bo się mylili – burknął Raith. – Nie doszacowali.

Na murach szydercze rechoty ustąpiły ponurym uśmiechom, a te z kolei jeszcze bardziej gradowym minom, gdy wielki strumień wojowników rozdzielił się i opłynął fortecą jak wody powodzi okalające wyspę. Wojska z Nizin, Inglesfoldu i Yutmarku otoczyły fortecę od klifów na wschodzie po klify na zachodzie.

Nie musiały demonstrować siły. Sama liczebność grzmiała o niej z mocą piorunów.

– Matka Wojna rozpościera skrzydła nad twierdzą Baila – wyszeptwała Owd.

Za wojownikami jechał konwój wozów uginających się od ciężaru zapasów, a za nimi nadciągał niezliczony tłum rodzin i niewolników, sług i kupców, kapłanów i spekulantów, kopaczy i poganiaczy. Takich stad ryczących i beczących krów i owiec Raith nie widział na żadnym targu.

– Jakby zmierzał tu cały wielki gród – powiedział szeptem.

Dopiero gdy zapadł zmrok, w oddali pojawiła się migocząca rzeka pochodni ariergardy. Dzicy wojownicy nieśli oświetlone płomieniami totemy z kości, a na ich nagich piersiach widniały szlaki blizn i wojenne barwy.

– Shendowie – mruknął Raith.

– Myślałam, że są zaprzysięgłymi wrogami Najwyższego Króla. – Głos Skary zabrzmiał ostrzej niż zwykle.

Usta Matki Owd przypominały cienką kreskę.

– Widać Babka Wexen zdołała ich przekonać, aby obrócili się przeciwko nam.

– Słyszałem, że żywcem pożerają jeńców – odezwał się cicho jeden z wojowników.

Siny Jenner obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– W takim razie nie daj się pojmać.

Raith objął imacz tarczy spoconą dłonią i obejrzał się na zatokę, w której czekały

odgradzone łańcuchami okręty, aby w razie potrzeby zabrać stąd tysiąc obrońców...

Mocno ugryźł się w język, żeby poczuć smak krwi, i ponownie skierował wzrok na zastępy zbierające się pod murami. Pierwszy raz czuł strach przed walką. Może dlatego, że dotąd walczył po stronie, która miała przewagę. A może doskwierała mu świadomość, że stracił dawne miejsce i rodzinę oraz jakąkolwiek nadzieję na ich odzyskanie.

Podobno trzeba się bać ludzi, którzy nie mają nic do stracenia. Tymczasem to oni żyją w ciągłym strachu.

– Tam! – Skara wskazała na szeregi armii Najwyższego Króla.

Jakiś wojownik zmierzał w stronę fortecy. Szedł swobodnie, jak ktoś, kto wybiera się do siedziby przyjaciela, a nie do warowni wroga. Jego kolczuga lśniła w blasku płonącego okrętu, jak gdyby została wykuta z ognia. Miał długie, czesane wiatrem włosy i dziwnie łagodną, urodziwą twarz. Nie niośł tarczy, a lewą dłoń swobodnie opierał na rękojeści miecza.

– Yilling Wspaniały – warknął Jenner, szczerząc nieliczne zęby.

Yilling podszedł tak blisko, że bez trudu dosięgłaby go strzała, i uśmiechnął się szeroko do tłumów na blankach.

– Być może jest tam na górze król Uthil? – krzyknął donośnie.

Głos Uthila brzmiał pocieszająco zgrzytliwie i swobodnie, bez względu na to, czy władca miał przed sobą jednego wroga czy dziesięć tysięcy.

– Jesteś tym, którego zwą Yillingiem Wspaniałym?

– Ktoś musi nim być. – Yilling z przesadą wruszył ramionami.

– Tym, który w bitwie pod Fornholt zabił pięćdziesięciu ludzi? – zawołał Gorm ze szczytu Wieży Gudrun.

– Nie mam pojęcia. Nie liczyłem. Byłem zajęty zabijaniem.

– Tym, który jednym ciosem ściał galion okrętu księcia Conmera? – spytał Uthil.

– Sekret tkwi w odpowiedniej pracy nadgarstka – odparł Yilling.

– Tym, który zamordował króla Fynna i jego bezbronną minister? – krzyknęła gniewnie Skara.

Z twarzy Yillinga nie zniknął uśmiech.

– We własnej osobie. Szkoda, że nie widzieliście, jak potraktowałem dziś moją kolację. – Z zadowoleniem poklepał się po brzuchu. – To dopiero była rzeź!

– Jesteś niższy, niż się spodziewałem – stwierdził Gorm.

– A ty wyższy, niż śmiałem marzyć. – Yilling oplótł pasmo długich włosów

wokół palca. – Dużi padają z większym hukiem, kiedy ich przewracam. Nie mogę uwierzyć, że Żelazny Król i Łamacz Mieczy tkwią tu zamknięci niczym świnie w chlewie. Byłem przekonany, że zechcecie poddać próbie moje szermiercze umiejętności, stał przeciwko stali.

– Cierpliwości. – Gorm oparł łokcie o występ muru i swobodnie zwiesił dłonie na zewnątrz. – Poznajmy się trochę lepiej, zanim cię zabiję.

Uthil przytaknął mu sztywno.

– Wzajemna wrogość, podobnie jak przyjaźń, potrzebuje czasu, aby nabrać odpowiedniej głębi. Nikt nie zaczyna opowieści od końca.

Uśmiezek Yillinga stał się jeszcze szerszy.

– W takim razie będę czekał na właściwy moment, żywiąc nadzieję, że w końcu obaj zginiecie z mojej ręki. Żal by było okradać skaldów z pięknej pieśni.

Gorm westchnął.

– Skaldowie znajdują sobie inny temat.

– A gdzie się podziewa Zadra Bathu? – Yilling rozejrzał się, jak gdyby podejrzewał, że wojowniczką kryje się w fosie. – Zabiłem sporo kobiet, ale żadna nie dorównywała jej sławą.

– Na pewno niebawem sama ci się przedstawi – oparł Uthil.

– Nie wątpię. Każdy wielki wojownik w końcu napotyka większego od siebie. To nasze błogosławieństwo i zarazem przekleństwo.

– Śmierć czeka wszystkich. – Uthil ponownie skinął głową.

– To prawda! – Yilling rozpostarł ramiona i poruszył palcami. – Od dawna pragnę trafić w objęcia mojej pani, lecz dotąd nie spotkałem zręcznego szermierza, który by nas sobie przedstawił. – Spojrzał na płonący okręt. – Spaliliście moją łódź?

– Każdy uprzejmy gospodarz dba o to, aby goście mogli zasiąść przy ogniu – zawołał Gorm i blanki ogarnął huragan szyderczego śmiechu.

Raith zdołał dobyć z siebie zdławiony chichot, a był to wyczyn godny bohatera.

Tymczasem Yilling jedynie wzruszył ramionami.

– Szkoda. Była piękna.

– Odkąd przejeżdżamy twoją flotę, okrętów mamy tyle, że nie wiemy, co z nimi robić – warknął Gorm.

– Bo brakuje wam ludzi na załogi. – Słowa Yillinga sprawiły, że śmiechy ponownie przycichły. Wojownik spojrział na płomień i westchnął. – Sam wyrzeźbiłem figurę dziobową. No cóż, co ogień strawił, tego już nie odda.

Skara zacisnęła dłonie na krawędzi muru.

– Spaliłeś połowę Throvenlandu dla kaprysu!

– Ach! Zapewne mam przyjemność z młodą Skarą, królową tego, co ocalało z pożogi. – Yilling wydał pełne wargi i zmrużył oczy, wpatrując się w blanki. – Uczyni ze mnie głównego winowajcę, jeśli takie jest twoje życzenie, najjaśniejsza pani. Oskarż mnie o wszystkie swoje niedole, lecz to nie ja zламаłem przysięgę, a przyświeca mi szlachetny cel. Pałac twoje ziemie, mam cię zmusić, abys uklękła przed Najwyższym Królem. A poza tym... ogień jest piękny.

– Wystarczy chwila, aby spłonęło coś, co człowiek budował całe życie!

– I właśnie na tym polega piękno. Tak czy inaczej, już wkrótce uklęknie przed Najwyższym Królem.

– Nigdy – warknęła.

Yilling pokiwał palcem.

– Każdy tak mówi, dopóki ma całe ścięgna w nogach. Uwierz mi, jak się je przetnie, wszyscy szybko padają na klęczki.

– To tylko puste słowa, najjaśniejsza pani. – Siny Jenner delikatnie odsunął Skarę od muru. Jeżeli słowa naprawdę były orężem, w tym starciu zwyciężył Yilling.

– Zamierzasz tak stać i pleść trzy po trzy? – Gorm przeciągnął się i ostentacyjnie ziewnął. – Czy spróbujesz zaatakować mury fortecy? Nawet mali wojownicy robią dużo hałasu, kiedy zrzucam ich z tej wysokości, a chętnie trochę rozprostuję kości.

– Ho, ho, wreszcie propozycja warta rozważenia! – Yilling spojrział na sinogranatowe niebo, a potem na swoich ludzi, którzy otaczali twierdzę Baila coraz grubszym półpierszcieniem ostrej stali. – Sam nie wiem, co mam teraz robić... Rzućmy monetę, niech Śmierć zadecyduje za nas. Co ty na to, królowo Skaro?

Policzki Skary drgnęły. Mocno zacisnęła dłonie na ramieniu Jennera.

– Awers atakujemy, rewers odpoczywamy! – Yilling podrzucił monetę wysoko, tak że błysnęła blaskiem płomieni, zanim spadła w trawę. Oparł ręce na biodrach i spojrział pod nogi.

– I? – zawołał Gorm. – Awers czy rewers?

Yilling zaśmiał się donośnie.

– Nie jestem pewien. Za daleko się odtoczyła. Tak już czasem bywa, na pewno przyznasz mi rację, Łamaczu Mieczy?

– Ha – burknął Gorm, nieco zirytowany. – Tak bywa.

– W takim razie odłóżmy to do jutra. Mam przecucie, że wciąż tu będziecie!

Rycerz Najwyższego Króla obrócił się na pięcie i nieśpiesznie oddalił w kierunku szeregów swoich wojowników. Uśmiezek nie zniknął z jego łagodnego, gładkiego oblicza.

Dwa razy dalej niż mogła dolecieć strzała, wrogowie zaczęli wbijać w ziemię pale – krąg cierni zwróconych ostrymi końcami ku fortecy.

ZAKAZANE MIASTO



Zadne gorączkowe majaki, senne zwidy ani koszmary szaleńca nie mogły się równać z widokiem Strokomu.

Wiatr Południa w ślimaczym tempie sunął przez wielki akwen nieruchomej wody. Morze średnicy wielu mil otaczały wyspy, jedne wielkości skalnych odłamków, inne tak rozległe, że ich brzegi nikły w oddali. Ze wszystkich wyrastał gąszcz budynków. Potrzaskane sześciany, rozłupane wieże i powykręcane kolumny z kruszącego się elf-kamienia i lśniącego elf-szkła. Niektóre tkwiły do połowy zanurzone w czarnych wodach. Tysiące tysięcy pustych okien groźnie łypały na przybyszów. Koll próbował sobie wyobrazić, ile elfów mieszkało w tej kolosalnej ruinie, ale doszedł do wniosku, że nie zna takich liczb.

– Co za widok – wyszeptał Ojciec Yarvi i była to najbardziej wstrzemięźliwa opinia, jaka kiedykolwiek padła z jego ust.

Otaczała ich martwota. Po niebie nie krążyły ptaki. Za *Wiatrem Południa* nie śmigały ryby. Ciszę mąciły jedynie szeptane modlitwy załogi i skrzypienie drewna. Doświadczeni wioślarze raz po raz wypadali z rytmu i zaczepiali o wiosła sąsiadów, gdy oniemiaли z przerażenia rozglądali się wokół. Koll nie wątpił, że jest najbardziej oniemiały i przerażony ze wszystkich.

Jak mu bogowie świadkami, nigdy nie twierdził, że jest odważny, ale widać tchórzostwo mogło wpędzić człowieka w większe tarapaty niż odwaga.

– Ta, która śpiewa wiatrem, dzisiaj się gniewa – wyszeptała Matka Scaer, patrząc na udręczone niebo.

Olbrzymia spirala sinich fioletoów, krwawych czerwieni i ponurych jak noc czerni przesłoniła wszystkie gwiazdy. Wydawało się, że lada chwila brzemię chmur zmiażdży świat.

– Tutaj wiatr jest tylko wiatrem. – Skifra ściągnęła z szyi płataninę świętych symboli, talizmanów, medalionów i kłów, które miały przynosić szczęście. – Tu nie ma bogów.

– Jak to? – Koll wołał myśleć, że bogowie się gniewają, niż że ich w ogóle nie ma.

Skifra stanęła wyprostowana na dziobie i rozpostarła ręce. Jej zniszczona peleryna załopotiała niczym skrzydła ogromnego ptaszyska. Wyglądała jak figura na łodzi jakiegoś szaleńca płynącego prosto ku zagładzie.

– Oto Strokom! – zawołała. – Największe ruiny elfów! Możecie przerwać modlitwy, bo tu nawet bogowie lękają się zagładać!

– Takie słowa nikogo nie uspokoją – warknął Ojciec Yarvi.

Członkowie załogi zerkali na nią nerwowo. Niektórzy się kulili, jak gdyby chcieli wtulić głowy w ramiona. Odważni wojownicy, w boju twardzi i bezwzględni, tyle że żadna bitwa, żadne przeciwności ani żadna strata nie mogły przygotować człowieka na ten widok.

– Nie powinno nas tu być – burknął stary wiosłarz z zezującym okiem.

– To przekłete miejsce – dorzucił inny. – Ci, którzy się tu zapuszczają, zapadają na dziwną chorobę i umierają.

Ojciec Yarvi wysunął się przed Skifrę, spokojny jak gospodarz przy domowym palenisku.

– Skupcie się na wiosłach! Raz za razem, przyjaciele! Rozumiem wasze obawy, lecz są one puste. Za to w Thorlby czekają już na was szkatułki pełne pieniędzy. Królowa Laithlin wręczy je wam po powrocie. Elfów nie ma tu od tysięcy lat, a poza tym Chodząca po Ruinach wskaże nam bezpieczną drogę. Nic wam nie grozi. Możecie mi wierzyć. Czy kiedykolwiek źle wam doradzałem?

Głośnie przestrogi ustąpiły cichym pomrukem, lecz nawet obietnica bogactw nie zdołała wywołać żadnego uśmiechu.

– Tam! – Skifra wskazała ukośnie biegnące stopnie wynurzające się z wody, tak wielkie, jakby zostały zrobione dla olbrzymów. – Przybijaj.

Rulf nakazał zmniejszyć tempo, napał na wiosło sterowe i gładko doprowadził łódź we wskazane miejsce. Żwir zachrzęścił pod kilem.

– Jak to możliwe, że woda jest taka spokojna? – Koll usłyszał szept sternika.

– Tutaj wszystko jest martwe – odparła Skifra. – Nawet woda – dodała i przeskoczyła z pokładu na stopnie.

Ojciec Yarvi chwycił się dłonią krawędzi burty, żeby zrobić to samo, ale Matka Scaer złapała go za przegub uwiędłej dłoni.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby zrezygnować z tej szaleńczej wyprawy. Stając choć jedną stopą na przeklętej ziemi, złamiemy najświętsze prawo Ministerstwa.

Yarvi uwolnił rękę.

– Każde prawo, które nie nagina się podczas wichury, prędzej czy później zostanie złamane – oznajmił i zeskoczył na brzeg.

Koll głęboko wciągnął powietrze, wstrzymał oddech i przeskoczył nad burtą. Kiedy butami uderzył o stopień, poczuł ogromną ulgę, że nie trafił go żaden grom. Prawdę mówiąc, ziemia wyglądała tak samo jak wszędzie. Przed nimi, w cienistych wąwozach między niebotycznymi budynkami, niemal wszystko trwało w bezruchu. Tylko gdzieś tam kołysał się jakiś luźny element albo lina, poruszane nieustającym wiatrem.

– Nie ma mchu – stwierdził, przykucając na skraju wody. – Żadnych wodorostów ani pąkli.

– W tym morzu nie rośnie nic prócz marzeń – oznajmiła Skifra. Spod zniszczonej peleryny wysupłała dziwną małą buteleczkę. Przechyliła ją i w różowe wnętrze dłoni spadło pięć ziarenek. Wyglądały jak dziwne fasolki, pół białe, a pół czerwone. Po bliższych oględzinach Koll stwierdził, że na każdej widnieje wyblakła inskrypcja zapisana maleńkimi znakami. Wiedział, że to elf-litery. Nikt nie musiał mu tego tłumaczyć. Chciał nakreślić święty symbol na piersi, ale przypomniał sobie, że bogów tu nie ma, więc tylko lekko ścisnął odważniki pod koszulą. Przynajmniej one dodawały mu otuchy.

– Każde z nas musi zjeść fasolkę – oznajmiła Skifra, po czym odchyliła głowę, wrzuciła sobie jedną do ust i przełknęła.

Matka Scaer spojrzała na nie z wyjątkową pogardą.

– A jeśli tego nie zrobię?

Skifra wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie byłam na tyle głupia, żeby nie wypełnić polecenia moich instruktorów, którzy powtarzali, że przed wyprawą w ruiny elfów zawsze trzeba zjeść fasolkę.

– To może być trucizna.

Skifra przysunęła się do niej.

– Gdybym chciała cię zabić, podciąłabym ci gardło i podarowała twoje włoski Matce Wód. Zapewniam cię, że nie raz o tym myślałam. Może trucizna jest wszędzie wkoło, a to jest odtrutka?

Ojciec Yarvi wziął fasolkę z dłoni Skifry i ją połknął.

– Przestań narzekać i zjedz swoją – powiedział, spoglądając w głąb łądu. – Sami

wybraliśmy ścieżkę, która wije się przed nami. Rulfie, dopilnuj, aby załoga spokojnie czekała na nasz powrót.

Stary sternik właśnie kończył wiązać cumę wokół wielkiego głązu. On także połknął fasolkę.

– Nie za wiele wymagasz, oczekując spokoju?

– Po prostu pilnuj, żeby się stąd nie ruszali. – Skifra podetknęła pod nos Kolla dłoń i to, co w niej trzymała. – Powinniśmy wrócić najdalej za pięć dni.

– Aż pięć? – zdumiał się Koll, zastygając z fasolką w połowie drogi do ust.

– Jeśli dopisze nam szczęście. Te ruiny ciągną się przez wiele mil i niełatwo znaleźć właściwą drogę.

– A ty skąd wiesz, którądy trzeba iść? – spytała Scaer.

Skifra przekrzywiła głowę.

– A skąd bierze się wiedza? Słuchamy tych, którzy wyznaczali szlaki przed nami. Podążamy ich śladem. A w końcu odnajdujemy własną ścieżkę.

Scaer wyduła wargi.

– Jest w tobie coś prócz dymu i zagadek, więdźmo?

– Może pokażę ci więcej, gdy przyjdzie na to pora. Ale nie masz się czego obawiać. No, chyba że Śmierci. – Nachyliła się ku Matce Scaer i zniżyła głos do szeptu. – A przecież ona stale ci towarzyszy?

Fasolka opornie przeszła przez gardło Kolla. Nie miała żadnego smaku i nie poczuł się po niej inaczej. Na pewno nie ulżyła obolałym mięśniom i nie zmniejszyła poczucia winy ani przytłaczających wizji zagłady.

– A co z resztą załogi? – spytał szeptem, oglądając się na *Wiatr Południa*.

Skifra wzruszyła ramionami.

– Mam tylko pięć fasolek – powiedziała i ruszyła w stronę ruin.

Ministrowie Gettlandu i Vansterlandu podążyli za nią.

O bogowie, Koll żałował teraz, że nie został z Riną. Nagle ogarnęła go fala tęsknoty i zaczął sobie przypominać wszystko, co w niej kochał. Wolałby stanąć oko w oko z dziesięcioma armiami Najwyższego Króla, mając ją przy sobie, niż zapuścić się w przeklętą martwotę Strokomu.

Tyle że za żal niczego się nie kupi, jak mawiał Brand.

Koll zarzucił worek na plecy i pospieszył za towarzyszami.

RANY



Mężczyźni wili się z bólu po podłodze i pluli krwią. Niejeden błagał o pomoc albo szeptem wzywał matkę. Inni klęli przez zaciśnięte zęby, warczeli, wyli i krwawili.

Bogowie, ileż człowiek ma w sobie krwi. Skara nie mogła uwierzyć, że aż tyle.

W kącie stał modłotkacz i monotonnym głosem błagał Tego, który zasklepia rany, aby go wysłuchał. Kielich z tłącą się korą rozsiewał wkoło słodkawy zapach. Mimo to powietrze przesycone było duszącym smrodem potu, moczu i wszelkich tajemnic skrywanych przez ludzkie ciało. Skara musiała zakryć dłońią usta i nos, a nawet oczy, tak że patrzyła spomiędzy palców.

Matka Owd nie należała do wysokich kobiet, lecz tutaj wydawała się dominować nad wszystkimi. Nie przypominała już brzoskwini, lecz głęboko wrośnięte w ziemię drzewo, które rodzi te owoce. Jej czoło przecinały bruzdy, a zabłąkane kosmyki włosów pot przykleił do zaciśniętych szczęk. Podwinęła rękawy, odsłaniając silne mięśnie umazanych krwią przedramion. Wojownik, którym się właśnie zajmowała, wygiął plecy w kabłąk, gdy dotknęła rany w jego udzie, a potem zaczął się miotać i kwiczeć.

– Niech ktoś go przytrzyma! – warknęła minister.

Rina wyminęła Skarę, złapała rannego za nadgarstki i bezlitośnie przycisnęła do podłogi. Tymczasem Matka Owd wydobyla kościaną igłę z luźnego koka, wsunęła ją w zęby, nawlekła i zabrała się do szycia, nie zważając na parskanie i wycie rannego.

Matka Kyre uczyła kiedyś Skarę nazw wszystkich organów, opisywała, jakie zadania wypełnia każdy z nich i jakiemu bogu podlega. „Księżniczka powinna wiedzieć, co siedzi w ludziach”, tłumaczyła. Tyle że nawet u kogoś, kto wie, że człowiek jest pełen trzewi, ich widok może wywołać szok.

– Podkradli się z drabinami – wyjaśnił Siny Jenner. – Trzeba do tego niemałej odwagi. Nie chciałbym się podjąć takiego zadania. Pewnie Yilling obiecał niemało koło-monet każdemu, kto dostanie się na mury.

– Niewielu się udało – dorzucił Raith.

Skara spojrzała na muchy bzykające wokół sterty zakrwawionych bandażów.

– Ale i tak zdołali wyrządzić tyle zła.

– Zła? – Naprawdę nie rozumiała, jak Jenner mógł się śmiać w takiej sytuacji. – Trzeba było widzieć, co myśmy im zrobili! Jeśli do powrotu Ojca Yarwiego nie spotka nas nic gorszego, uznam, że jesteśmy prawdziwymi szczęściarzami... – Skara musiała mieć naprawdę przerażoną minę, bo umilkł, gdy na nią spojrział. – No... może nie ci tutaj...

– Yilling próbuje nas podejść. – Raith miał bladą twarz i liczne zadrapania na policzku. Skara wolała nie wiedzieć, skąd się wzięły. – Szuka naszych słabych stron.

– Na szczęście daliśmy mu radę – stwierdził Jenner. – Tym razem. Ale teraz powinniśmy wracać na mury, najjaśniejsza pani. Yilling nie jest z tych, którzy się poddają przy pierwszym potknięciu.

Na stół Matki Owd właśnie dźwignięto kolejnego rannego. Minister obmyła ręce w misie z trzykrotnie poświęconą wodą, już różową od krwi, i pochyliła się nad potężnym Gettem, niewiele starszym od Skary. Ten miał jedynie ciemną plamę na koleczudze.

Na szyi uzdrowicielki brzęczały nożyki uwiązane na sznurku. Jednym z nich rozcięła rzemienie mocujące zbroję. Rina podwinęła do góry płat koleczugi i ochronny kaftan pod spodem, odsłaniając niewielkie rozcięcie w brzuchu. Minister pochyliła się nad nim, nacisnęła brzegi i przyjrzała się wypływającej krwi. Mężczyzna szarpnął się mocno i otworzył usta, ale dobył z nich jedynie bezgłośny jęk. Jego nalana twarz zadrżała. Owd powąchała ranę, zdusiła w ustach przekleństwo i wyprostowała plecy.

– Nic tu po mnie. Niech ktoś zaśpiewa mu modlitwę.

Skara zrobiła wielkie oczy. Wystarczyła chwila, aby skazać człowieka na śmierć. Z takimi decyzjami musiał sobie radzić każdy uzdrowiciel. Kogo można ocalić, a kto nie ma szans. Matka Owd już zajęła się kolejnym rannym, a Skara na uginających się nogach podeszła do umierającego. Żołądek miała w gardle, ale zmusiła się, aby wziąć go za rękę.

– Jak masz na imię? – spytała.

– Sordaf. – Jego szept brzmiał niewiele głośniejszy od oddechu.

Próbowała zaśpiewać modlitwę do Ojca Pokoju, aby wojownik szybko odnalazł ukojenie. Tę właśnie pieśń Matka Kyre śpiewała małej Skarze, gdy zginął jej ojciec. Tyle że młodej królowej słowa więzły w gardle. Nieraz słuchała opowieści

o wojownikach, których spotykała godna śmierć w boju, lecz już nie potrafiła sobie wyobrazić, co to znaczy.

Ranny utkwiał wytrzeszczone oczy w Skarze. A raczej w czymś za nią. Może widział swoich bliskich i myślał o tym, czego nie zdążył zrobić albo powiedzieć. Może jawiły się przed nim ciemności za Ostatnimi Wrotami.

– Jak mogę ci pomóc? – spytała szeptem, ściskając jego dłoń równie mocno jak on jej rękę.

Próbował coś powiedzieć, lecz słowa zabrzmiały jak bulgot, a na wargach pojawiły się cętki krwi.

– Niech ktoś przyniesie wody! – zawołała.

– Nie trzeba, najjaśniejsza pani. – Rina łagodnie rozwarła palce królowej zamknięte wokół dłoni rannego. – On już nie żyje. – Dopiero w tym momencie Skara poczuła, że ręka Sordafa zwiótczała.

Zakręciło się jej w głowie. Czuła dziwne gorąco i swędziała ją cała skóra.

Ktoś obok zaczął krzyczeć – ochryple, bulgoczące dźwięki, między którymi słyszała mamrotanie modłotkacza. Szmer modlitw, błaganie o pomoc, błaganie o łaskę.

Chwiejnym krokiem ruszyła do wyjścia, niemal przewróciła się na prog, wypadła na zewnątrz, zwymiotowała, niemal upadła w kałużę swoich wymiocin, szarpnęła suknię ku sobie, ponownie zwymiotowała, wytarła strużkę żółci z ust i rozedrgana oparła się o mur.

– Nic ci nie jest, najjaśniejsza pani? – Matka Owd podeszła do niej, wycierając ręce w fartuch.

– Zawsze miałam słaby żołądek. – Skara zaniosła się kaszlem i ponownie zgięła w pół, ale tym razem wypluła z siebie jedynie gorzką ślinę.

– Wszyscy gdzie musimy chować nasze strachy. Zwłaszcza jeśli nie możemy ich nikomu zdradzić. Myślę, że ty swoje kryjesz w żołądku, królowo. – Owd łagodnie dotknęła ramienia Skary. – To tak samo dobre miejsce jak każde inne.

Skara obejrzała się na drzwi, zza których dobiegały przytłumione jęki rannych.

– To wszystko przeze mnie? – wyszeptwała.

– Królowa musi podejmować trudne decyzje. A potem z godnością znosić ich rezultaty. Im szybciej człowiek ucieka przed przeszłością, tym szybciej ona go dopada. Można jedynie się odwrócić i stawić jej czoło. Pogodzić się z nią i próbować mądrzej wyjść przyszłości naprzeciw. – Minister odkorkowała niewielką butelkę

i podała Skarze. – Twoi wojownicy biorą z ciebie przykład. Nie musisz stawać do walki, aby pokazać im odwagę.

– Nie czuję się jak królowa – wymamrotała Skara. Upiła łyk z butelki i skrzywiła się, bo obolałe gardło zapiekło od trunku. – Czuję się jak tchórz.

– W takim razie udawaj odwagę. Nikt nigdy nie jest gotowy. Nikt nigdy nie wydaje się sobie dorosły. Postępuj jak wspaniała królowa, a będziesz nią, bez względu na to, jak się czujesz.

Skara wyprostowała się jak struna.

– Jesteś mądrą kobietą i wspaniałą doradczynią, Matko Owd.

– Nie jestem ani tym, ani tym. – Minister nachyliła się ku władczyni i jeszcze wyżej podwinęła rękawy. – Ale nauczyłam się dobrze udawać i grać obie role. Wciąż masz mdłości?

Skara pokręciła głową, napiła się jeszcze trochę palącego płynu i oddała butelkę Matce Owd, która także upiła z niej solidny łyk.

– Podobno w moich żyłach płynie krew Baila...

– Zapomnij o krwi Baila. – Owd chwyciła Skarę za rękę. – Twoja własna jest wystarczająco dobra.

Skara małymi porcjami wciągnęła do płuc powietrze, po czym ruszyła za swoją doradczynią z powrotem w mroczną czeluść twierdzy.

KIEŁKUJĄCE SUMIENIE



Raith stał na zbudowanych przez człowieka murach przy Wieży Gudrun i spoglądał ponad zrytym, zdeptanym i najeżonym strzałami pasem ziemi w kierunku pali, które wyznaczały granicę wojsk Najwyższego Króla.

Prawie nie spał. Jedyne zdrzemnął się pod drzwiami Skary. Znowu śniła mu się tamta kobieta i jej dzieci. Ocknął się zlany zimnym potem, z ręką na szyi. Wkoło panowała cisza.

Zaczął się piąty dzień oblężenia i codziennie wrogowie podchodzili pod warownię. Zjawiali się z drabinami i wiklinowymi zasłonami, które miały ich ustrzec przed deszczem strzał i gradem kamieni. Atakowali odważnie – zawzięci w uporze i zawzięci w modlitwie – ale zmuszani byli do odwrotu przez równie odważnych jak oni. Nie zabili wielu spośród tysiąca obrońców, ale dali im się we znaki. Każdy z wojowników w twierdzy Baila miał zaczerwienione z braku snu oczy i poszarzałą z lęku twarz. Bo co innego stawiać czoło Śmierci przez jedną chwilę, a co innego czuć jej zimny oddech na karku dzień w dzień. Żaden człowiek nie był w stanie tego znieść.

Tuż poza zasięgiem łuczników fortecy rosły świeże kopce. Kurhany poległych wojowników Najwyższego Króla. Sypano je bez przerwy. Raith słyszał w oddali odgłos szufli zgarniających ziemię i rzewne pieśni w języku południowców – modły do ich Jednobóstwa. Zadarł brodę i podrapał się w szyję, krzywiąc się przy tym. Wojownika powinien cieszyć widok trupów jego wrogów, lecz on nie miał siły świętować.

– Przeszkadza ci zarost? – Siny Jenner zbliżył się do niego, ziewając przeciągle. Próbował przyglądać kilka nieposłusznych kosmyków, ale osiągnął zupełnie odwrotny skutek, bo sterczały jeszcze bardziej.

– Śwędzi. Dziwne, że takie drobnostki potrafią irytować człowieka, nawet gdy wkoło tyle się dzieje.

– Życie jest pasmem małych utrapień, które ciągnie się aż po Ostatnie Wrota. Możesz się przecież ogolić.

Raith nie przestawał się drapać.

– Zawsze sobie wyobrażałem, że umrę z brodą. Tylko że jak większość rzeczy, na które trzeba długo czekać, jestem nią rozczarowany.

– Broda jak broda. – Jenner podrapał własną. – W śnieżycy grzeje człowiekowi twarz i od czasu do czasu łapie okruchy jedzenia. Ale znałem kiedyś takiego, który miał strasznie długą. Zaplątała mu się w uzdę konia i zwierzę pociągnęło go przez krzaki. Chłop skrzył kark.

– Zabiła go własna broda? To dopiero wstydy.

– Martwi nie czują wstydu.

– Martwi nic nie czują. Zza Ostatnich Wrót nie da się zawrócić, nie?

– Chyba nie. Ale zawsze zostawiamy jakąś cząstkę siebie po tej stronie.

– Niby jak? – mruknął Raith. Nie przepadał za takimi rozmowami.

– Nasze duchy trwają w pamięci tych, którzy nas znali. Ludzi, którzy nas kochali i nienawidzili.

– I tych, którzy nas zabili. – Raith przypomniał sobie oświetloną płomieniami twarz tamtej kobiety i lśniące łzy na jej policzkach. Wciąż widział je wyraźnie, a przecież minęło tyle czasu. Mimowolnie poruszył palcami i poczuł w nich znajomy ból.

– Ano. – Siny Jenner zapatrzył się przed siebie. Może też miał przed oczami tych, których uśmiercił. – Oni pamiętają najdłużej. Coś cię boli?

– Kiedyś złamałem rękę. Nie zagoiła się jak trzeba.

– Nic nigdy nie goi się do końca. – Jenner pociągnął nosem, charknął głośno, poruszył ustami i splunął za mury. – Coś mi się widzi, że zeszłej nocy Zadra Bathu przedstawiła się wrogom.

– Aha – przytaknął Raith. Przez jeden z obozów Yillinga biegła czarna szrama, a nikły zapach spalonego siana oznaczał, że puściła z dymem sporą część zapasów paszy dla zwierząt. – Podejrzewam, że to doświadczenie było jeszcze bardziej bolesne niż moje pierwsze spotkanie z nią.

– Dobrze mieć przyjaciela w takiej dziewczynie, ale wroga źle, bardzo źle. – Jenner zachichotał. – Spodobała mi się już przy naszym pierwszym spotkaniu na Zakazanej.

– Byłeś na Zakazanej? – zdziwił się Raith.

– Trzy razy.

– Jak tam jest?

– Jak na wielkiej rzece.

Raith spojrzął ponad ramieniem Jennera w kierunku kruszącego się łuku wejścia w bocznej ścianie Wieży Gudrun. Właśnie pojawił się w nim Rakki z białą czupryną zmierzwioną wiatrem. Z pochmurną miną zerknął na wielkie kurhany Yillinga.

Jenner uniósł siwe brwi.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytał Raitha.

– Niektóre rzeczy człowiek musi zrobić sam. – Chłopak poklepał starego korsarza po plecach i minął go. – Bracie.

– Wciąż nim jestem? – Rakki nie spojrzął na niego, ale wyraźnie drgnął mu mięsień na skroni.

– Jeśli nie, to skąd takie podobieństwo?

Rakki się nie uśmiechnął.

– Lepiej będzie, jeśli stąd odejdziesz.

– Dlaczego? – zdziwił się Raith i w tym samym momencie poczuł jego obecność. Z ociąganiem się obrócił i zobaczył, jak Łamacz Mieczy pochyla głowę pod łukiem wejścia. Obok szedł Soryorn.

– Patrzenie tylko, kto skoro świt wybrał się na spacer – zagaił Gorm melodyjnym głosem.

Soryorn ostrożnie poprawił wysadzaną granatami obręcz na szyi.

– Raith. – Zawsze mówił niewiele i to, co dla wszystkich było oczywiste.

Gorm przystanął i zamknął oczy, wsłuchując się w odległe pieśni kapłanów Jednobóstwa.

– Czyż można sobie wyobrazić piękniejszą muzykę o poranku niż żałobne modlitwy za poległych wrogów?

– A harfa? – odezwał się Raith. – Ja tam wolę harfę.

Gorm otworzył oczy.

– Naprawdę sądzisz, że żartami naprawisz to, co zepsułeś?

– Nie zaszkodzi spróbować, najjaśniejszy panie. Pozwól sobie pogratulować z okazji zaręczyn – powiedział, choć żadne zaręczyny nie mogłyby go wprawić w bardziej ponury nastrój. – Cały świat będzie ci zazdrościł takiej królowej jak Skara. W posagu wniesie cały Throvenland...

– Wspaniałe trofea, nie przeczę. Pozostaje jednak pewna drobnostka. – Gorm szerokim gestem wskazał wrogich wojowników, którzy otaczali twierdzę. – Zanim będę mógł się nimi cieszyć, muszę pokonać Najwyższego Króla. Twoja nielojalność

zmusiła mnie, abym zaryzykował i postawił wszystko na spryt Ojca Yarwiego, zamiast negocjować warunki pokoju z Babką Wexen, tak jak planowaliśmy z moją minister.

Raith zerknął na Rakkiego, ale brat stał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Nie myślałem...

– Nie trzymam psów po to, żeby myślały. Trzymam je, żeby posłusznie wypełniały moje polecenia. Nie potrzebuję kundla, który nie przybiega, gdy na niego zagwiżdżę. Który nie kąsa, kiedy mu każę. Na moim dworze nie ma miejsca dla parszywego psa. Ostrzegałem, że widzę w tobie ziarno litości. Uprzedzałem, że ono może cię zgubić. I tak się stało. – Gorm pokręcił głową i się odwrócił. – Tylu młodziaków było gotowych zabić i sto razy, byle znaleźć się na twoim miejscu, a ja wybrałem ciebie.

– Wielkie rozczarowanie. – Soryorn uśmiechnął się szyderczo i ruszył pomostem bojowym w ślad za swoim panem.

Raith długo stał w milczeniu. Dawniej podziwiał Grom-gil-Gorma jak nikogo na świecie. Jego siłę. Jego bezwzględność. Marzył, że kiedyś stanie się taki jak on.

– Trudno uwierzyć, że ten drań był dla mnie wzorem – mruknął w końcu.

– Właśnie to nas różni – powiedział cicho Rakki. – Ja zawsze go nienawidziłem. Ale wiem, że wciąż go potrzebuję. Jakie masz teraz plany?

– Nie miałem i nie mam żadnych. – Raith spojrzął na brata, marszcząc brwi. – Nie jest łatwo zabić kogoś, kto nie wyrządził ci krzywdy, wiesz?

– Nikt nie twierdzi, że to łatwe.

– Ha, łatwiejsze dla tego, kto nie musi nic robić. Niby zawsze uważasz, że trzeba się brać do trudnych rzeczy... – Raith starał się nie podnosić głosu ani pięści – ...ale potem wszystko spada na mnie!

– Teraz już mnie nie wyręczysz. – Rakki dziabnął palcem w kierunku siedziby Baila. – Bo wolisz tę małą sukę zamiast własnego...

– Nie mów tak o niej! – warknął Raith, zaciskając pięści. – Poza tym niczego nie wolę, tylko nie chciałem jej zabijać!

– I do czego nas to doprowadziło? Aleś wybrał porę, żeby wyhodować sobie sumienie. – Rakki obejrzał się na kurhany. – Będę się za ciebie modlił, bracie.

Raith prychnął.

– Tamci ludzie z przygranicznej osady też pewnie się modlili, kiedy zjawiliśmy się u nich w nocy. Myślę, że modlili się z całych sił.

– I co z tego?

– Modlitwy nie ocaliły ich przede mną. Dlaczego sądzisz, że twoje uratują mnie przed jakimś innym draniem? – Raith okręcił się na pięcie i sztywno ruszył z powrotem do Sinego Jennera.

– Jakiś problem? – spytał stary korsarz.

– Cały wór problemów.

– No cóż, rodzina to rodzina. Brat na pewno w końcu ci wybaczy.

– Może. Wątpię jednak, czy Łamacz Mieczy będzie dla mnie tak łaskawy.

– Nie wygląda mi na takiego.

– Już nie chcę do niego wracać. – Raith splunął za blanki. – Ani do tego, jaki byłem.

– Dawniej ci to odpowiadało?

– Aha, nawet bardzo. Ale teraz widzę, że byłem zwykłym draniem. – Wspomnienie twarzy tamtej kobiety nie dawało mu spokoju. Z wysiłkiem przełknął ślinę i spojrzął na kamienie pod nogami. – Skąd człowiek ma wiedzieć, jak powinien postąpić?

Jenner wyjął policzki.

– Sam pół życia robiłem złe rzeczy. Większość drugiej połowy starałem się wybierać te najmniej złe. Jeśli zdarzało mi się postąpić dobrze, zwykle był to przypadek.

– A jesteś najlepszym z ludzi, których znam.

Brwi Sinego Jennera wspięły się wysoko.

– Dziękuję za komplement. I przyznaję, że mi cię żal.

– Mnie też, staruszkule. Mnie też. – Raith obserwował małych ludzi uwijających się w obozowisku Yillinga. Wypełzali z namiotów, zbierali się wokół ognisk i bez apetytu jedli śniadanie. Może wśród nich też była podobna para, stary i młody, którzy patrzyli na blanki i gadali o niczym. – Pewnie dziś znowu spróbują nas podejść, co?

– Aha. I to mnie trochę niepokoi.

– Nigdy nie pokonają murów twierdzy, mając jedynie drabiny. To niemożliwe.

– Masz rację. Yilling na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Po co więc marnuje siły na kolejne próby?

– Nęka nas. Nie daje nam odetchnąć. W końcu to oblężenie, nie? Chce się jakoś dostać do warowni.

– Sposobami, które urągają jego sławie? – Jenner kiwnął głową w stronę

świeżych kurhanów. – Czy po bitwie sypiesz wielkie kopce każdemu z poległych?

– Większość trupów pali się na stosie, ale czciciele Jednobóstwa dziwnie się obchodzą ze zmarłymi.

– Tylko dlaczego robią to tak blisko naszych murów? Zwykle każda ze stron ukrywa swoje straty przed wrogiem. Nie obnosi się z nimi, nawet jeśli może sobie na nie pozwolić.

Raith mimowolnie potarł korb w płątku ucha.

– Domyślam się, że masz jakieś lepsze wytłumaczenie.

– Wreszcie zaczynasz mnie doceniać. – Jenner zadarł brodę i podrapał się w szyję.

– Przyszło mi do głowy, że Yilling nakazuje kontynuować te szaleńcze ataki tylko po to, żeby mieć kogo zakopywać w ziemi.

– Jak to?

– Jest czcicielem Śmierci, prawda? A wojowników mu nie brakuje.

– Po co miałby ich tu posyłać, a potem grzebać?

– Żebyśmy myśleli, że tylko to robi. Ale nie chce mi się wierzyć, że ktoś taki jak Yilling całymi nocami sypie kopce tuż poza zasięgiem naszych strzał, i to akurat po tej stronie, gdzie nasze mury są najsłabsze.

Raith przez chwilę przyglądał się Jennerowi, a potem spojrzął na góry ziemi. Nagle poczuł zimny dreszcz na plecach.

– Chcą się przekopać pod murami.

PYŁ



Jak na chłopaka, który dopiero niechętnie zaczynał uważać się za mężczyznę, Koll widział sporo miast. Srogi Vulsgard wiosną i rozpęchniały Kalyiv latem, majestatyczne Skeken z jego elf-murami i piękny Yaletoft, zanim doszczętnie spłonął. Odbił długą podróż krętym szlakiem Boskiej Rzeki, a potem przeprowił się przez dźwigawy i wielkie stepy, aby w końcu z rozdziawioną gębą gapić się na najwspanialsze Pierwsze z Miast.

W porównaniu z ruinami na Strokomie wszystkie wydawały się maleńkie.

Podązał za Skifrą i dwójką ministrów czarnymi szlakami dróg szerokich jak plac targowy w Thorlby, które schodziły pod ziemię tunelami lub biegły jedne nad drugimi, wsparte na mocarnych filarach i splątane w olbrzymie, chaotyczne węzły, otoczone popękаныmi szklanymi oczami smutnych ruin. Szli w milczeniu. Każdy z głową pełną własnych lęków. O świat, o bliskich, o siebie. Wkoło wszystko było martwe. Żadnych roślin, ptaków ani pełzających owadów. Tylko cisza i powolny rozkład. W promieniu wielu mil niewiarygodne osiągnięcia przeszłości rozpadały się w pył.

– Jak wyglądało to miejsce, kiedy żyły elfy? – szeptem spytał Koll.

– Trudno sobie wyobrazić tyle światła i taki hałas – powiedziała Skifra, która wyprostowana szła na przedzie. – Świat, w którym panowały uporządkowany zamęt i gorączkowa rywalizacja, od tysięcy lat trwa w milczeniu.

Pochyliła się i przesunęła palcami wzdłuż krzywej szyny, a potem uważnie obejrzała szary pył na opuszkach. Posmakowała go, potarła kciuk o palec wskazujący, a w końcu spojrzała wzdłuż spękanej i nierównej drogi, marszcząc brwi.

– Co widzisz? – chciał wiedzieć Koll.

Zerknęła na niego i uniosła przypalone brwi.

– Zwykły pył. Nie warto wypatrywać tu znaków, bo nie zobaczysz przyszłości, tylko kurz. – Olbrzymi wąż z metalu, dawniej zawieszony wysoko między dwoma budynkami, teraz leżał wykręcony na drodze. – Elfy uważały, że są wszechpotężne –

powiedziała Skifra, przechodząc nad nim. – Myślały, że są potężniejsze nawet od Bóstwa. Wydawało im się, że mogą od nowa wszystko stworzyć według własnego wielkiego planu. Patrzcie, do czego doprowadziło ich szaleństwo! Czas potrafi zniszczyć nawet najwspanialsze i najcudowniejsze dzieło. Bez względu na to, jaką moc mają słowo, myśl i prawo, wszystko i tak dąży z powrotem do chaosu. – Obróciła głowę i posłała flegmę zgrabnym łukiem prosto na zardzewiały metal. – Król Uthil uważa, że stal jest odpowiedzią na wszystko. Ja jednak twierdzę, że jest krótkowzroczny. Ostateczna odpowiedź jest jedna. Zostaje tylko pył. Teraz i zawsze.

– Ależ z ciebie dzisiaj becзка śmiechów – westchnął Koll.

Urywany rechot Skifry rozdarł ciszę i odbił się od frontów martwych budynków z taką mocą, że chłopak aż podskoczył. Co za dziwny dźwięk w takim miejscu. Nie wiadomo dlaczego zaczął się martwić, że taki śmiech jest obraźliwy. Co za absurd. Przecież od tysięcy lat nie było tu nikogo, kto mógłby się obrazić.

Stara przewodniczka plasnęła go w ramię i ruszyła za Ojcem Yarvim i Matką Scaer.

– Wszystko zależy od tego, co cię śmieszy, młokosie – rzuciła przez ramię.

Gdy dzień zaczął gasnąć, weszli między budynki tak wysokie, że ulica między nimi przypominała cienisty wąwóz. Wieże – choć były ruiną – wciąż kłuły niebo, a niezliczone tafle elf-szkła mrugały różowo, pomarańczowo i fioletowo odbitym zachodem słońca. Krzywe pręty metalu sterczały z potrzaskanych szczytów niczym kolce ostu.

Kollowi przypomniała się Zadra. Szeptem pomodlił się za nią, choć tu nie było bogów, którzy mogliby go usłyszeć. Miał wrażenie, że po śmierci Branda coś w niej umarło. Może nikt nie wraca z wojny tak samo żywy jak dawniej.

Nierówną, pooraną bruzdami drogę zaśmiecały kawałki zgniecionego metalu pokrytego łuszczącą się farbą. Wzdłuż niej wyrastały maszty wysokie jak dziesięciu ludzi ustawionych jeden na drugim, oplątane drutami, które tworzyły między budynkami sieć tak wielką, jakby usnuły ją olbrzymie pająki. Wszędzie widniały elf-litera – znaki namazane na drogach, napisy na tablicach owiniętych wokół słupów, proporce dumnie wywieszzone w potrzaskanych oknach i drzwiach.

Koll przyjrzał się szeregowi symboli na ścianie jednego z budynków. Ostatnia litera wielkości człowieka kołysała się żałośnie na jednym rogu.

– Tyle tu pisma – wyszeptał, masując szyję, która rozboleła go od ciągłego

zadzierania głowy.

– Elfy nie ograniczały dostępu do słowa – wyjaśniła Skifra. – Pozwalały, aby wiedza szerzyła się jak ogień, i jeszcze gorliwie podsycaly płomienie.

– Aż wreszcie w nich zginęły – mruknęła Matka Scaer. – Spaliły się na popiół.

Koll spojrział na wielką tablicę.

– Rozumiesz to?

– Znam poszczególne znaki – odparła Skifra. – Znam też słowa. Tyle że świat, o którym mówią, już nie istnieje. Kto by teraz potrafił pojąć ich znaczenie?

Właśnie mijali strzaskaną szybę. Kawałki szkła wciąż trzymały się framugi. W środku Koll zobaczył uśmiechniętą kobietę.

Ze zdumienia nie mógł dobyć z siebie głosu. Potknął się i wpadł na Skifrę, gorączkowo wskazując postać, która tak go przeraziła. Stara przewodniczka tylko się zaśmiała.

– Ona ci nic nie robi, młokosie.

Zorientował się, że to postać namalowana z niezwykłą dokładnością, dopiero gdy dostrzegł plamy i wyblakłe kolory. Stała z podniesioną ręką i pokazywała złotą elf-bransoletę, uśmiechając się szeroko, jak gdyby noszenie tej rzeczy sprawiało jej niewiarygodną radość. Była wysoka, chuda i dziwnie ubrana, ale nie miał wątpliwości, że to kobieta.

– Elfy były... takie jak my? – wyszeptał.

– Szalenie podobne i zarazem zupełnie inne – odparła Skifra. Yarvi i Scaer przystanęli przed obrazem i zapatrzyli się na wyblakłe oblicze z mglistej przeszłości. – Były o wiele mądrzejsze, o wiele liczniejsze i o wiele potężniejsze od nas. Tyle że, zupełnie tak jak my, im więcej miały, tym więcej pragnęły. Ich żądza władzy, tak jak u ludzi, przypominała studnię bez dna. To, co miały... – Skifra szerokim gestem wskazała wielkie ruiny. Jej peleryna wydeła się jak żagiel szarpany niespokojnym wiatrem. – To wszystko im nie wystarczało. Były równie zazdrosne, bezwzględne i ambitne jak my. I tak samo chciwe. – Wyciągnęła przed siebie chudą rękę i chudym palcem wycelowała w promienny uśmiech kobiety. – Właśnie ta chciwość je zgubiła. Rozumiesz, Ojciec Yarvi?

– Tak – potwierdził, po czym poprawił pakunek na plecach i z determinacją ruszył dalej. – Zamiast wykładów o elfach przydałaby się nam elf-broń.

– A powinno być zupełnie odwrotnie. – Matka Scaer powiodła za nim wzrokiem, mimowolnie dotykając własnej kolekcji elf-bransolet.

– I co nas czeka? – zawołał Koll za ministrem.

Ojciec Yarvi nie od razu się odwrócił.

– Użyjemy elf-broni przeciwko Yillingowi Wspaniałemu. Potem zabierzemy ją przez cieśniny do Skeken. Odszukamy Babkę Wexen i Najwyższego Króla. – W głos ministra wkradła się groźna nuta. – I wreszcie dotrzymam przysięgi złożonej na słońce i księżyc: zemszczę się na zabójcach mojego ojca.

– Ale ja pytałem o to, co nas czeka po tym wszystkim? – Koll niepewnie przełknął ślinę.

Mistrz spojrział na ucznia groźnie.

– Sforsujemy tę rzekę, kiedy do niej dotrzemy – oznajmił, po czym ruszył dalej.

Sprawa miała wrażenie, jakby wcześniej w ogóle się nad tym nie zastanawiał, lecz Koll wiedział, że Ojciec Yarvi nie jest człowiekiem, który zostawia pole przyszłości nieobsiane planami.

O bogowie, czyżby Skifra miała rację? Może naprawdę niewiele różnili się od elfów? Ich małe stopy trafiały w olbrzymie ślady poprzedników, lecz ścieżka była ta sama. Wyobraził sobie, jak Thorlby zmienia się w ruinę – olbrzymi pusty grobowiec, wypełniony ciszą i prochami Gettów. Może ocalałby jakiś fragment rzeźbionego masztu jako upiorne przesłanie, nad którego znaczeniem mieli się głowić ci, którzy go znajdą w dalekiej przyszłości.

Koll jeszcze raz obejrzał się na szczęśliwe oblicze kobiety, która nie żyła od tysięcy lat. Między okruchami szkła dostrzegł błysk. Złota bransoleta. Taka jak ta na obrazie. Błyskawicznie ją podniósł i schował do kieszeni.

Wątpił, aby elf-kobieta zauważyła jej brak.

TRZEWIA OJCA ZIEMI



To niebezpieczna misja – stwierdziła zasępiona Skara.

Doskonały moment na przechwałki bohatera. Dawniej wylewały się z Raitha nieprzerwaną strugą: „na to właśnie liczę”, „niebezpieczeństwo to dla mnie kaszka z mlekiem” albo „chyba raczej dla naszych wrogów!”. Teraz jednak nie przechodziły mu przez gardło.

– Aha – zdołał wydukać. – Ale trzeba zatrzymać kopanie tunelu, zanim dojdą pod nasze mury...

Więcej nie musiał mówić. Każdy dobrze wiedział, o co toczy się gra.

O wszystko.

Raith omiół wzrokiem ochotników, którzy popiołem wysmarowali twarze, okucia tarcz i broń, żeby nie było ich widać w ciemnościach. Dwa tuziny najszybszych Gettów, dwa tuziny najzacieklejszych Vansterów i on.

Łamacz Mieczy ciągnął losy z królem Uthilem o honor dowodzenia drużyną wybrańców i wygrał. Teraz stał uśmiechnięty, czekając na właściwy moment i rozkoszując się każdym oddechem, jak gdyby noc pachniała kwiatami. Nigdy, przenigdy nie okazywał strachu, Raith musiał mu to przyznać. Tyle że w tym, co dawniej uważał za odwagę, teraz widział szaleństwo.

– Nikt nie będzie źle o tobie myślał, jeśli zostaniesz – zapewniła swojego obrońcę Skara.

– Ja będę. – Jakby mógł myśleć jeszcze gorzej. Spojrzał bratu w oczy, ale Rakki odwrócił wzrok. Na jego twarzy, uczernionej popiołem, malowała się zaciętość. Pragnął dowieść, że umie być twardy, choć obaj wiedzieli, że taki nie jest. – Muszę mieć oko na brata.

– Mimo że on nie chce twojej pomocy?

– Właśnie dlatego.

Rakki trzymał na ramieniu jeden z wielkich glinianych słoików z południowym olejem Ojca Yarwiego. Soryorn niósł drugi. Raith pamiętał, jak to coś buchało

płomieniami na okrętach Najwyższego Króla i płonący ludzie spadali do morza. Wyobraził sobie, co będzie, gdy wysmarują tym drewniane bale głęboko pod ziemią i przytkną do nich pochodnię. Jego odwaga topniała z każdą taką myślą. Zastanawiał się, ile jeszcze zdoła wytrzymać. Kiedyś niczego się nie bał. A może udawał?

O bogowie, wołałby już wyruszyć.

– Najgorzej jest tak czekać – mruknął.

– Gorzej niż zostać dziabniętym, poparzonym żywym ogniem albo pogrzebanym w tunelu pod ziemią?

Raith przełknął ślinę.

– Nie. Nie gorzej.

– O mnie nie musisz się martwić, królowo. – Gorm podszedł do nich i zatknął kciuki za szeroki pas, aby nikt nie miał wątpliwości, że jest tu najważniejszy. Tacy już są monarchowie. Niebotyczne mniemanie o sobie zazwyczaj pozwala im się wspiąć na wyżyny, ale też pociąga ich ku zgubie. – Oddech Matki Wojny owionął mnie jeszcze w kołysce – oznajmił, powtarzając ten sam nużący refren. – Przepowiedziano, że żaden mąż nie zdoła mnie zabić.

Skara uniosła brwi.

– A ogromny ciężar piachu, który może spaść ci na głowę?

– Ha, Ojciec Ziemi uczynił mnie zbyt wielkim, abym mógł się wcisnąć do tunelu Yillinga. Pod ziemię zejdą inni, podczas gdy ja będę strzegł wyjścia. Trzeba umieć czerpać radość z niebezpieczeństw.

– Dlaczego? – Skara sprawiała wrażenie, jakby na samą myśl o ryzyku ogarniały ją mdłości.

– Bez Śmierci wojna byłaby nudna. – Gorm zdjął długi łańcuch głowic i podał młodej królowej. – Uczyni mi ten zaszczyt i przechowaj go bezpiecznie, dopóki nie uporamy się z zadaniem. Nie chciałbym grzechotaniem zwrócić na siebie uwagi Śmierci.

Władca Vansterów oddalił się zamaszystym krokiem, a Skara spojrzała na sznur głowic przewieszony przez jej ręce. Srebro, złoto i drogocenne kamienie lśniły w blasku pochodni.

– Każda z nich to martwy człowiek – wyszeptła, blednąc, jak gdyby widziała przed sobą ich oblicza. – Całe dziesiątki.

– Nie licząc tych, którzy nie mieli mieczy. Albo w ogóle żadnej broni.

Dawniej Raith patrzył na odrąbane głowice i puchł z dumy na myśl o tym, że

towarzyszy tak wspianemu wojownikowi. Marzył nawet, że kiedyś będzie miał własne trofea. Teraz wyobraził sobie, jak długi byłby już jego łańcuch, i ta myśl sprawiła, że poczuł mdlący niepokój, taki sam, jaki malował się na twarzy Skary, gdy na niego spojrzała.

– Nie prosiłam o to.

Bogowie, ależ ona była piękna. Jakby miała w sobie niezwykły blask. Im czarniejsze stawało się wszystko wkoło, tym jaśniej ona świeciła. Zaczął się zastanawiać – nie po raz pierwszy – co by się wydarzyło, gdyby byli innymi ludźmi, w innym miejscu, w innych czasach. Gdyby ona nie była królową, a on zabójcą. Niestety, każdy jest, kim jest, i nic nie może na to poradzić.

– A kto by chciał dostać coś takiego? – wychrypiał cicho.

– Już czas. – Gorm z namaszczeniem uszczknął kawałek ostatniego bochna, podał chleb dalej i skulił ramiona, aby zmieścić swoją wielką postać w wąskim przejściu.

Każdy wojownik odgryzał kęs i podążał za władcą, zastanawiając się pewnie, czy rzeczywiście miał to być jego ostatni bochen. Raith czekał na końcu. Skubnął odrobinę chleba, a resztę zgniótł w dłoni i rzucił za siebie jako podarunek dla wron, dzieci Matki Wojny. Wprawdzie nie wierzył zbyt w szczęście, ale wiedział, że tym razem bardzo go potrzebują.

Pojedynczo szli w dół przejściem przez grube elf-mury, wsłuchani w echo przyspieszonych oddechów. Kilka tygodni wcześniej Raith wbiegał po tych samych stopniach, wolny od niepewności i lęków, przepełniony bojową euforią. Teraz Siny Jenner czekał przy furcie grubości dłoni, aby zamknąć ją za nimi na trzy sztaby, i klepał po plecach każdego po kolei.

– Wróć żywy. Tylko to się liczy – syknął do Raitha i wypchnął go w chłód nocy.

Całun mgły nadciągnął od strony Matki Wód i Raith w duchu jej podziękował. Jej hojność trzykrotnie zwiększyła szanse na to, że uda mu się przetrwać noc. niewyraźne smugi ognisk w obozie Yillinga majaczyły daleko po lewej stronie. Po prawej wznosiła się czarna bryła twierdzy Baila.

Nie mieli kolczug, bo liczyła się szybkość. Biegli pochyleni, czarni jak węgiel i bezgłośni – duchy w ciemnościach. Niebezpieczeństwo wyostrzyło zmysły Raitha niczym najlepsza osełka. Każde stęknienie i stąpnięcie wydawały się głośne jak uderzenia w bęben. Nozdrza wypełniała mu wilgotna noc i woń odległych ognisk.

Jeden po drugim zsunęli się do rowu i ostrożnie ruszyli po grząskim dnie. But Raitha trafił na coś twardszego. Dopiero po chwili chłopak pojął, że to trup. Leżały wszędzie – porzucone, niespalone, niepogrzebane, zaplątane w szczątki

potrzaskanych drabin, przygniecione ciskanymi z murów głazami, przykryte tarczami.

W mroku dostrzegł błysk uśmiechu Gorma i usłyszał, jak Łamacz Mieczy szepcze do Soryorna:

– Piękne dzieło Matki Wojny.

Kęs ostatniego bochna zostawił w ustach Raitha kwaśny smak, więc splunął. Część wojowników dotarła już do końca rowu i zaczęła się wspinać. Pomagali sobie nawzajem, podawali jedni drugim ręce i syczeli przekleństwa, gdy tracili oparcie i zsuwali się w dół, buciarą mieszając lepkie błoto.

Dalej czekał na nich pas ziemi najeżonej strzałami – żniwo nieudanych ataków Yillinga. Sterczały gęsto jak smagana wiatrem turzyca na wzgórzach Vansterlandu. Od strony fortecy Raith usłyszał krzyki i szczęk stali. Nocny wypad. Król Uthil na czele grupy zbrojnych wyruszał przez główną bramę, aby odciągnąć uwagę Yillinga od drążonego tunelu.

We mgle jawiły się dziwne kształty. Wojownicy, biegnąc, zbijali je w ułudne cienie. W węże, które to się spletały, to znów rozłączały. W pyski wilków. W twarze ludzi. W oblicza ofiar Raitha, bezgłośnie wyjących o zemstę. Rozpędził je ruchem tarczy, lecz po chwili znowu się pojawiły. Powtarzał sobie, że martwi są martwi, ale wiedział, że Jenner ma rację. Duchy ludzi zostają z tymi, którzy ich znali, kochali lub nienawidzili. A przede wszystkim z tymi, którzy ich zabili.

W mroku zamajaczyły ostro zakończone pale. Raith precyzyjnie się bokiem między dwoma i przykucnął tuż za nimi w ciemnościach, wytężając wzrok.

Dojrzał garby świeżych kopców, a raczej ziemi wydobytej z podkopów Yillinga. Obok nich płonęło ognisko. Gorm dał znak mieczem i drużyna się rozdzieliła. Część pobiegła cicho wokół najbliższego usypanego pagórka. Nie padło ani jedno słowo. Nie były tu potrzebne. Każdy wiedział, co ma robić.

Przy ognisku siedzieli dwaj mężczyźni. Tak jak dawniej Raith i Rakki. Jeden z igłą pochylał się nad pasem, a drugi kulił ramiona pod kocem i spoglądał w stronę, skąd dobiegały przytłumione odgłosy dywersji Uthila. Obejrzał się w chwili, gdy Raith do niego podbiegł.

– Co za...

Umilkł, gdy strzała Soryorna trafiła go w otwarte usta. Drugi próbował wstać, ale zaplątał się we własny pas. Uczernione popiołem ostrze Gorma z sykiem przecięło powietrze i głowa wojownika poleciała w mrok.

Raith przeskoczył nad jego ciałem, zsunął się do rowu między odkładami

i przykucnął obok mrocznego wejścia, przy którym z obu stron płonęły pochodnie.

– Ruszajcie! – szeptem nakazał Gorm, gdy jego wojownicy rozstawili się półkolem.

Rakki szybko zmówił pod nosem modlitwę do Tej, która oświeciła drogę, po czym zanurzył się w trzewia Ojca Ziemi, dźwigając na ramieniu słoń z południowym olejem. Soryorn i Raith szli tuż za nim.

Ciemność. Migotliwe cienie krzywych pni, które podpierały strop. Korzenie zaczepiające o włosy Raitha. Nie był górnikiem, ale widział, że tunel kopano w pośpiechu. Piach sypał się im pod nogi, w miarę jak szli coraz głębiej. Raith utkwiał wzrok w zgiętym grzbiecie Soryorna.

– O bogowie, to się zaraz zawali bez naszej pomocy – wyszeptał.

Gorąco. Coraz goręcej. Pot spływał mu z czoła, a ubranie kleiło się do ciała. Mimo to szedł dalej. Topór wsunął w skózaną pętlę u pasa i dobył sztylet. Gdyby doszło do walki, pod ziemią nie było miejsca na porządny zamach. Musiałyby się bić, niemal czując na sobie oddech wroga.

Wcisnęli się do szerszej komory oświetlonej jedną migotliwą lampą. Na ubitej ziemi walały się kilofy i szufle. Strop podtrzymywała płatanina desek. Część leżała w stertach przy ścianach. W tym miejscu tunel się rozwił i dwie mroczne odnogi biegły dalej, niewątpliwie ku fundamentom Wieży Gudrun. Raith zajrzał do jednej z nich, próbując dojrzeć coś w ciemnościach.

Chyba usłyszał gdzieś w głębi ciche szuranie? Odgłosy kopania? Rakki zdążył już odkorkować słoń i zaczął oblewać zawartością wszystko, co było z drewna.

– Uważaj! – warknął Raith do Soryorna, który zawadził o lampę, tak że zakołysała się na haku. – Chwila nieuwagi i zostaniemy tu pogrzebani żywcem.

– Racja – wychrypiał chorąży Gorma, obejmując ugiętą ręką słoń z niebezpieczną cieczą, a drugą zasłaniając twarz.

Bogowie, ależ to coś śmierdziało. Gryzący odór drażnił gardła i wszyscy trzej zaczęli kaszleć. Pochylony Raith wszedł do drugiego tunelu, przedramieniem wycierając załzawione oczy. Gdy się wyprostował, zobaczył przed sobą dwóch mężczyzn. Jeden trzymał kilof, drugi szufłę. Obaj byli nadzy do pasa i potwornie brudni.

– Nowi kopacze? – spytał jeden z nich, zerkając na tarczę Raitha.

Najlepsi wojownicy niewiele myślą. Ani przed walką, ani po, ani nawet w trakcie. Ten, który uderza pierwszy, zwykle do końca trzyma się na nogach. Raith tarczą wytrącił kilof pierwszemu i dźgnął go sztyletem w szyję. Krew trysnęła na ścianę

tunelu.

Drugi mężczyzna zamachnął się szuflą, ale Raith z impetem wpadł na niego, odbił cios i tarczą pchnął przeciwnika na ścianę. Jego twarz znalazła się tuż przy wykrzywionej mordzie kopacza, tak blisko, że mógł wystawić język i go polizać. Zaczął dźgać wroga pod dolną krawędzią tarczy, wściekle, brutalnie. Bił pięścią zakończoną ostrą stalą. Kopacz charczał i prychał przy każdym uderzeniu. Dopiero gdy Raith się cofnął, mężczyzna osunął się na ziemię i przycisnął ręce do porytego brzucha. Jego krew błyszczała czernią na tarczy Raitha, na jego pięści, na ostrzu.

Rakki spojrział na niego i rozdziawił gębę, jak zawsze gdy brat zaczynał zabijać. Później miała przyjść pora na żale.

– Kończcie robotę! – syknął Raith i na moment cofnął się do tunelu, którym przyszedł, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Od fetoru kręciło mu się w głowie. Z zewnątrz dochodziły przytłumione odgłosy walki. – Szybko!

Rakki oblewał stemple i ściany, zanosząc się od kaszlu. Soryorn cisnął do połowy pełny słój na ziemię i przepchnął się obok Raitha. Oleista ciecz rozlała się po ziemi. Od strony wejścia docierały do nich coraz głośniejsze krzyki.

– O bogowie! – wychrypiał Rakki, okręcając się na pięcie.

Kopacz z rozprutym brzuchem chwiejnie przemierzył komorę, przytrzymując czerwoną ręką poszarpane bebechy. Drugą złapał Rakkiego, warcząc coś przez zęby i prychnąwszy krwawą śliną.

Powinien już przekroczyć próg Ostatnich Wrót, lecz Śmierć była kapryśną panią i rządziła się własnymi prawami. Jedyne ona mogłaby wyjaśnić, dlaczego postanowiła podarować temu człowiekowi jeszcze kilka chwil.

Rakki upuścił słój, mocując się z rannym kopaczem. Naczynie roztrzaskało się o drewniany stempel, ochlapując obu olejem. Cofnęli się chwiejnie.

Raith zrobił krok w ich kierunku i wytrzeszczył oczy. Był za daleko.

Walczący wpadli na jedną z podpór. Rakki odwiódł ugiętą rękę, żeby zadać cios. Łokciem zawadził o lampę i strącił ją z haka.

Spadała dziwnie powoli, kreśląc jasną smugę w poprzek pola widzenia Raitha. Nie mógł nic zrobić. Usłyszał świst własnego oddechu. Niewielki płomień lampy rozlał się ogniem po oleistej ziemi. Rakki się odwrócił i Raith przez moment widział twarz brata. Jego szeroko otwarte oczy.

Skulił się za tarczą. Bo co miał zrobić?

W tym samym momencie w wąskiej komorze zrobiło się jaśniej niż w dzień.

ODWAŻNI



Kobieta powinna ronić łzy radości, gdy jej oblubieniec wraca po bitwie, lecz Skara miała suche oczy, kiedy Łamacz Mieczy pierwszy przecisnął się przez wąską furkę.

Przy krawędzi jego wielkiej tarczy sterczał ułamany promień, ale władca Vansterów nie był ranny. Szybkim ruchem pozbył się strzały i obejrzał się za swoim tarczowym, po czym zmarszczył brwi.

– Aha! – mruknął i oparł tarczę o mur.

Skara przywołała uśmiech na usta.

– Cieszę się, że wróciłeś cały i zdrowy, królu – zwróciła się do niego, choć wolałaby najpierw przywitać innych.

– Ja również, królowo Skaro. Walka nocą nie jest przyjemna. Ale zdołaliśmy zniszczyć podkop.

– Dzięki bogom. I co teraz będzie?

Białe zęby błysnęły w umazanej popiołem twarzy, gdy się uśmiechnął.

– Zaczną kopać nowy.

Wojownicy powoli wracali do fortecy. Wszyscy wyczerpani. Wielu rannych. Matka Owd od razu pospieszyła im z pomocą. Rina przykucnęła obok jednego z parą wielkich szczypiec i zaczęła rozcinać zakrwawioną skórzaną kamizelę, żeby odsłonić ranę.

– Gdzie Raith?

– Był z bratem w tunelu, kiedy zapalił się olej – powiedział Gorm.

Niewolnik przyniósł mu wodę i władca zaczął zmywać popiół z twarzy.

Skara ledwie była w stanie dobrać głos z zaciśniętego gardła.

– Nie żyje?

Król Vansterów ponuro skinął głową.

– Nauczyłem go, jak trzeba walczyć, zabijać i umierać. Dziś dowiedział, że pojął wszystkie trzy lekcje.

– Tylko dwie – westchnęła. Z ulgi zakręciło się jej w głowie.

Raith wyłonił się z mrocznego przejścia, powłócząc nogami. Włosy miał pozlepiane brudem i zaciskał czerwone od krwi zęby. Jedną ręką przytrzymał się ramienia Sinego Jennera.

– Ha. – Gorm uniósł brwi. – Zawsze był twardy.

Skara wybiegła chłopakowi naprzeciw i złapała go za łokieć. Miał rozdarty rękaw, osmalony i dziwnie popękany. Dopiero po chwili ze zgrozą pojęła, że to jego skóra.

– O bogowie! Twoja ręka! Matko Owd!

Raith w ogóle nie zwracał na to uwagi.

– Rakki nie żyje – wyszeptał.

Niewolnica przyniosła Gormowi miche mięsiwa świeżo zdjętego z rusztu. Wyglądała zupełnie tak jak przedramię Raitha. Matka Owd zaczęła odklejać od jego skóry resztki przypalonego materiału i Skarze zrobiło się niedobrze.

Jeżeli Łamacza Mieczy trapiły jakieś lęki, na pewno nie trzymał ich w żołądku.

– Walka zawsze zaostrza mi apetyt – oznajmił z pełnymi ustami, pryskając wkoło tłustym sokiem. – Na szczęście Matka Wojna była dziś po naszej stronie.

– A Rakki? – warknął Raith.

Owd syknęła z irytacją, kiedy wyszarpnął do połowy zabandażowaną rękę.

– Będę go dobrze wspominał. W przeciwieństwie do innych dowiodł swojej lojalności.

Skara zauważyła wyraźne szlaki ścięgien na dłoni Raitha, gdy zacisnął palce wokół rękojeści topora, i szybko wysunęła się przed swojego obrońcę.

– Twój łańcuch, królu. – Grzechocząca masa głowic mieczy zabitych wojowników była tak ciężka, że z wysiłku drżały jej ręce.

Gorm się nachylił i wsunął pod nie głowę. Pierwszy raz znaleźli się tak blisko – ona z rękami za jego szyją, w niezdarnych objęciach. Pachniał mokrym futrem, jak zwierzęta w zagrodach na dworze jej dziada.

– Z każdym rokiem staje się coraz dłuższy. – Władca Vansterów wyprostował grzbiet.

Z bliska wydawał się wyjątkowo wielki. Głową ledwie sięgała mu do szyi. Czy w przyszłości miała nosić ze sobą stołek, aby pocałować męża? W innych okolicznościach ta myśl by ją rozśmieszyła. Teraz jednak nie było jej do śmiechu.

– Czułam się zaszczycona, mogąc go dla ciebie przechować. – Bardzo chciała się cofnąć, lecz wiedziała, że nie może. Opuściła ręce pod pretekstem ułożenia mu na

piersi strasznych pamiątek jego zwycięstw.

– Po ślubie odetnę kawałek dla ciebie.

Spojrzała na niego, nieruchomiejąc ze zgrozy. Miała zostać na zawsze zakuta w łańcuch śmierci.

– Nie zasłużyłam sobie na takie wyróżnienie – wychrypiąa.

– Falszywa skromność jest zbędna! Za ledwie połowa wojny toczy się na miecze, królowo, a ty drugą połowę rozegrałaś sprytnie i odważnie. – Gorm z uśmiechem spojrział za mury. – Dzięki twoim śmiałym planom zginą setki wrogów.

Skara zerwała się ze snu. Dłonie zacisnęła na futrzanym przykryciu. Próbowaa wyłowić z ciszy jakieś dźwięki.

Nic.

Ostatnio prawie nie spała. Wojownicy Yillinga każdej nocy atakowali fortecę dwa albo trzy razy.

Próbowali wpaść dostać się do zatoki, odważnie walcząc z falami w ciemnościach. Lecz wartownicy przeszywali ich z wież strzałami i trupy śmiałków zapląływały się w sieć łańcuchów, która zagradzała wejście do portu.

Próbowali atakować bramę taranem z pnia okutego żelazem, trzymając nad głowami tarcze. Łoskotem obudziliby nawet zmarłego, lecz we wrotach zostawili jedynie kilka draśnięć.

Próbowali sypać gradem płonących strzał nad murami. Nocą spadały na dziedziniec twierdzy niczym deszcz gwiazd. Większość odbijała się od łupkowych dachów i kamiennych płyt, nie robiąc żadnych szkód, ale od niektórych zajęły się strzechy. Skarę bolały płuca od kłębow dymu. Tak krzyczała, żeby polewano dachy, że zupełnie ochrypła. Z takim zapamiętaniem wyciągała wodę ze studni, że zdarła sobie skórę na dłoniach. Ze stajni, w której w dzieciństwie po raz pierwszy osiodłała kucyka, został wypalony szkielet, ale udało się zatrzymać ogień.

Umazana sadzą wspięła się na mury i triumfalnie krzyknęła do wycofujących się łuczników Najwyższego Króla:

– Dziękujemy za strzały!

Wróg nie mógł się dostać do środka żadnym sposobem – ani ogniem, ani wodą, ani nad murami, ani pod nimi. Twierdza Baila była najpotężniejszą fortecą nad całym Morzem Drzazg, a bronili jej doborowi wojownicy trzech walecznych narodów. Na każdego z zabitych obrońców Yilling tracił dwudziestu swoich ludzi.

Wciąż jednak przybywały posiłki. Corano Matka Słońce patrzyła na kolejne oddziały z Yutmarku, Inglefoldu i Nizin. Zjawiało się coraz więcej dzikookich, wymalowanych i poprzekłuwanych kościanymi ozdobami Shendów. Wciąż nowe okręty dołączały do floty, która blokowała wejście do zatoki, aby do warowni nie dotarła żadna pomoc. Małe zwycięstwa podnosiły obrońców na duchu, lecz arytmetyka była bezlitosna. Piwnice Matki Owd zapełniły się rannymi. Już dwukrotnie wypuszczali łodzie z załogami poległych na pokładach, aby spłonęły na morzu.

Skara miała wrażenie, że kopią rowy, aby powstrzymać wzbierające wody. Można się obronić przed jedną falą. Nawet przed dziesięcioma. Lecz w końcu przypływ zawsze zwycięża.

Odbiło się jej i poczuła w ustach kwaśny smak, ale zdołała zapanować nad mdłościami. Spuściła nogi z łóżka, schowała głowę w dłoniach i jęknęła przeciągle.

Była królową. Jej krew miała większą wartość od złota. Powinna ukryć lęk i dowieść swojej przebiegłości. Nie mogła posłużyć się mieczem, więc musiała toczyć drugą połowę wojny i robić to lepiej niż Yilling. Lepiej niż Ojciec Yarvi i Matka Scaer. Liczyli na nią jej poddani. Ludzie, którzy w jej ręce złożyli swój los. Zewsząd otaczały ją nadzieje, potrzeby i oczekiwania żywych i umarłych. Wydawało się jej, że brnie przez labirynt cierniowych krzewów. Głowę miała pełną dziesiątek opinii, setek lekcji, o których musiała pamiętać, i tysiący rzeczy, które powinna zrobić, nie mówiąc o tysiącach tych, o których nie mogła nawet myśleć...

Mimowolnie spojrzała na drzwi. Wiedziała, że Raith jest po drugiej stronie. Spał tam, a może tylko leżał, nie mogąc zasnąć.

Nie miała pojęcia, co do niego czuje. Wiedziała jednak, że nigdy wcześniej nie czuła tego do nikogo. Pamiętała zimny szok, który ją ogarnął, gdy myślała, że zginął. I ciepłą ulgę, gdy zobaczyła, że żyje. Pamiętała iskry w jego spojrzeniu, gdy spotkały się ich oczy. I siłę, jaką czuła, gdy jej towarzyszył. Rozum jej podpowiadał, że Raith jest nieodpowiednią partią pod każdym względem.

Ale cała jej reszta czuła zupełnie co innego.

Z drżeniem serca wstała i ruszyła do drzwi. Pod stopami czuła chłód kamiennej posadzki. Zerknęła w kierunku alkowy, w której spała niewolnica, ale dziewczyna na pewno miała dość zdrowego rozsądku, aby nie przeszkadzać swojej pani.

Sięgnęła ku drzwiom, ale zamarła, zanim ich dotknęła. Czuła mrowienie w opuszkach palców.

Zginął jego brat. Powtarzała sobie, że Raith jej teraz potrzebuje, choć wiedziała,

że to ona potrzebuje jego. Pragnęła zapomnieć o swoich powinnościach. Nie myśleć o kraju i poddanych, mieć przez chwilę coś tylko dla siebie. Chciała wiedzieć, jakie to uczucie być całowaną i tuloną przez kogoś, kogo sama wybrała – dopóki jeszcze mogła to zrobić.

Matka Kyre pewnie na samą myśl o tym zaczęłaby rwać włosy z głowy, ale była minister Throvenlandu już dawno przestąpiła próg Ostatnich Wrót. W środku nocy, gdy Śmierć próbowała się wedrzeć na mury twierdzy, powinności nie wydawały się aż takie ważne.

Skara odsunęła zasuwę drżącymi palcami i przygryzła wargi, żeby nie wydać żadnego dźwięku.

Ostrożnie uchyliła drzwi.

ŻADEN KOCHANEK



Raith nie otwierał oczu i starał się spokojnie oddychać. Pragnął jedynie kogoś przytulić, znaleźć się w czyichś ramionach. Przesunął zabandażowaną dłoń w górę jej nagich pleców i przygarnął ją do siebie.

Rakki nie żył.

Wciąż na nowo to sobie uświadamiał. Ciągłe widział twarz brata w tej ostatniej chwili, zanim wszystko ogarnął ogień i zapadła się ziemia.

Pocałowała go. Bez pośpiechu i napięcia, ale czuł, że to pocałunek na pożegnanie, i zapragnął, aby trwał jak najdłużej. Nie zdążył się w życiu nacałować. Może to była jego ostatnia szansa. Zmarnował tyle czasu. Teraz każda upływająca chwila wydawała się bolesną stratą. Ona położyła dłoń na jego piersi i lekko go odepchnęła. Z trudem się zmusił, żeby wypuścić ją z objęć.

Zduślił jęk, gdy opuścił stopy na matę z sitowia. Przycisnął dłoń do żeber. Cały bok pulsował bólem. Przez chwilę patrzył, jak ona się ubiera – ciemna sylwetka na tle zasłony. Drobnie szczegóły w bladym świetle. Ruch mięśni jej pleców, żyły na jej stopie, nikły blask, który rozjaśnił jedną stronę jej twarzy, gdy odwróciła się tyłem do Raitha. Nie miał pojęcia, czy się uśmiecha, czy marszczy brwi.

Rakki nie żył.

Spojrzał na zabandażowaną rękę. Na moment o niej zapomniał, ale teraz ból wrócił dwa razy silniejszy. Lekko dotknął przedramienia i się skrzywił. Przed oczami znów stanęła mu twarz brata, tak podobna do jego własnej i tak od niej różna. Byli jak dwie figury na tym samym okręcie, zawsze odwróceny w przeciwne strony. Teraz została tylko jedna, a okręt dryfował bez celu, bo nie miał kto wyznaczyć mu kursu.

Usiadła obok niego.

– Boli cię?

– Jakby ciągle przypiekał mnie ogień. – Poruszył palcami i poczuł palący ból aż do łokcia.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nikt nie może.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, jedno przy drugim, ona z ręką na jego ramieniu. Miała silne dłonie, ale zarazem delikatne.

– Nie możesz tu zostać. Przykro mi.

– Wiem.

Pozbierał rozrzucone rzeczy, ale gdy się ubierał, łzy same popłynęły mu z oczu. W jednej chwili mocował się z pasem, niezdarnie próbując go zapiąć poparzonymi palcami, a już w następnej wszystko stało się zamazane, a jego ramionami wstrząsnął bezgłośny szloch.

Nigdy tak nie płakał. W całym swoim życiu. Tyle razy dostał w kość, tak wiele stracił, doznał tylu zawodów, ale zawsze miał Rakkiego.

A teraz Rakki nie żył.

Raith nie był w stanie powstrzymać łez. Równie dobrze mógłby naprawiać zerwaną tamę podczas powodzi. Tak to jest, gdy człowiek za wszelką cenę stara się być twardy. Jak coś w nim pęknie, nie da się tego załatać.

Ujęła jego głowę, przytuliła jego twarz do swojego ramienia i zaczęła go powoli kołysać.

– Już dobrze – szeptała mu do ucha. – Już dobrze.

– Nie miałem nikogo bliskiego prócz brata – wychrypiał cicho.

– Wiem. Ja też.

– Czy z czasem robi się lżej?

– Może. Trochę.

Zapięła mu pas, przekładając zniszczoną skórę przez zniszczoną kłamrę, podczas gdy on stał nieruchomo, ze zwieszonymi rękami. Wcześniej nie miał pojęcia, jak by się czuł, gdyby kobieta zapięła mu pas. Podobało mu się to. Nigdy nie miał nikogo, kto by się o niego troszczył. Oprócz Rakkiego.

Ale Rakki nie żył.

Kiedy spojrzała na niego, zobaczył, że po jej policzkach również płyną łzy. Sięgnęła ku jej twarzy, aby je otrzeć. Starał się zrobić to tak delikatnie jak ona. Tyle że w obolałych, pokrzywionych i pokrytych bliznami palcach nie została ani krztyna łagodności. Jego ręce nadawały się tylko do zabijania. Brat często mu powtarzał, że żaden z niego kochanek. Mimo to się starał.

– Nawet nie wiem, jak masz na imię – powiedział.

– Rina. Powinieneś już iść. – Odciągnęła zasłonę oddzielającą niewielką alkowę.

Wyszedł z kuźni i powoli zaczął wchodzić po schodach, jedną ręką przytrzymując się ściany. Nie przystanął przy kopulastym piecu, w którym trzy kobiety piekły chleb, otoczone tłumem głodnych mężczyzn z misami. Kulejąc, przemierzył dziedziniec oświetlony blaskiem grubego Ojca Księżyca, który stał wysoko na niebie. Minął zniszczone stajnie – wypalone tak jak on.

Ktoś się zaśmiał i Raith gwałtownie się obrócił. Mimowolnie się uśmiechnął. Czy to nie Rakki?

Ale Rakki nie żył.

Oplótł tułów ramionami i powoli ruszył dalej. Nie zatrzymał się przy martwym kikucie drzewa pośrodku dziedzińca. Noc nie była zimna, lecz chłód przenikał go do kości. Jak gdyby miał za cienką koszulę. Albo skórę.

Długi ciąg schodów na górę, szuranie jego butów w ciemnościach. Długi korytarz z oknami wychodzącymi na lśniąca fale Matki Wód. W oddali błyskały jakieś światła. Okręty Yillinga pilnowały, aby żadna pomoc nie dotarła do obrońców twierdzy Baila.

Raith z przeciągłym jękiem osunął się obok drzwi Skary, powoli jak niedołężny starzec. Wszystko go bolało. Naciągnął koc na kolana i oparł głowę o zimny elf-kamień. Nigdy nie szukał wygod. To Rakki marzył o niewolnicach i pięknych gobelinach.

Ale Rakki nie żył.

– Gdzie byłeś?

Gwałtownie obrócił głowę. Skara patrzyła na niego zza uchylonych drzwi. Jej włosy przypominały burzę ciemnych loków, niesfornych i splątanych, tak jak tamtego dnia, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

– Przepraszam – wyjąkał, zrzucając z siebie koc. Stęknął z bólu, dźwignął się na nogi i przytrzymał ściany, żeby nie upaść.

Niespodziewanie wyślizgnęła się na korytarz i chwyciła go za łokieć.

– Nic ci nie jest?

Nikt nie wątpił, że jest dobrym wojownikiem. Nosił miecz Grom-gil-Gorma. Był zabójcą wyciosanym ze skał Vansterlandu. Nie znał bólu ani litości. Ale teraz nie mógł dobyć z siebie głosu. Za bardzo cierpiał. Jak potępieniec.

– Nic – wyszeptał.

Spojrzał na nią i zobaczył, że jest ubrana tylko w nocną koszulę. W świetle pochodni spod materiału przeświecała jej szczupła sylwetka.

Z trudem podniósł wzrok ku jej twarzy, ale to nie pomogło. Patrzyła na niego jakoś dziwnie, intensywnie i zachłannie jak wilk na upolowaną zdobycz. Nagle zrobiło mu się gorąco. Widział tylko te jej oczy. Prawie nie mógł oddychać przez jej zapach. Bez przekonania próbował cofnąć rękę, ale zamiast tego przyciągnął Skarę do siebie. Przywarła do niego. Zdusił jęk, gdy dłońią przesunęła po jego obolałych żebrach. Drugą położyła mu na policzku i lekko pociągnęła go ku sobie.

Jej pocałunek wcale nie był delikatny. Wpiła się w jego usta, zębami zawadziła o jego rozciętą wargę. Gdy otworzył oczy, stwierdził, że przygląda mu się uważnie, jak gdyby próbowała ocenić wrażenie, jakie na nim wywarła. Jej kciuk mocno wciskał się w policzek Raitha.

– Cholera – szepnął. – To jest... najjaśniejsza pani...

– Nie nazywaj mnie tak. Nie teraz. – Wsunęła dłoń w jego włosy, przytrzymała mocno. Nosem musnęła jego nos najpierw z jednej, a potem z drugiej strony, i pocałowała go jeszcze raz. Zakreśliło mu się w głowie, jakby za dużo wypił.

– Chodź – szepnęła, parząc gorącym oddechem jego policzek. Pociągnęła go w stronę drzwi. Prawie się przewrócił o zaplątany wokół kostek koc.

Rakki często mu mówił, że żaden z niego kochanek. Ciekawe, co by powiedział teraz...

Ale Rakki nie żył.

Raith przystanął gwałtownie.

– Muszę ci o czymś powiedzieć... – O tym, że przed chwilą płakał w łóżku innej? Że Skara obiecała poślubić Grom-gil-Gorma? Że kilka dni wcześniej miał ją zabić i wciąż nosił truciznę w kieszeni? – Prawdę mówiąc, jest kilka...

– Później.

– Później może być za późno...

Złapała go za koszulę i pociągnęła ku sobie. W jej ramionach czuł się jak szmaciana lalka. Okazała się o wiele silniejsza, niż sądził. A może to on był o wiele słabszy.

– Mam dość gadania – syknęła. – Nie chcę dłużej robić tego, co powinnam. Być może jutro wszyscy zginie my. Chodź.

Miała rację. Niewykluczone, że nazajutrz wszystkich czekała śmierć. Gdyby Rakki mógł udzielić bratu ostatniej lekcji, pewnie właśnie to by mu powiedział. Poza tym mężczyźni rzadko wygrywają, kiedy chcą przegrać. Dlatego wsunął palce w miękką chmurę ciemnych loków i pocałował Skarę, lekko przygryzł jej wargi,

poczuł jej język w swoich ustach i nagle wszystko inne przestało się liczyć. Stał tu, przy niej, teraz, w ciemnościach. Matka Scaer, Łamacz Mieczy, Rina, a nawet Rakki byli daleko, podobnie jak świt.

Skara nogą odsunęła jego koc pod ścianę, pociągnęła go do komnaty i zamknęła drzwi na zasuwę.

ARTEFAKTY



To tutaj – powiedziała Skifra.

Znajdowali się w wielkiej sali z wewnętrznym balkonem, zaśmieconej połamanymi krzesłami. Zalepione brudem okna wpuszczały do środka niewiele światła. Naprzeciwko wejścia stał łukowato wygięty stół, a nad nim widniało coś podobnego do ogromnej monety, z kręgiem elf-znaków. Odgradzała ją kiedyś ściana ze szkła, ale potłukła się na kawałki, które chrzęściły pod butami Kolla, gdy szedł do wejścia. Jedno skrzydło drzwi leżało na podłodze, drugie wisiało na połamanych zawiasach. Resztę sali spowijały ciemności. Gdzieś w głębi kapiała woda.

– Przydałoby się jakieś światło – mruknął.

– Nie ma sprawy.

Usłyszeli pstryknięcie i nagle całą wielką komnatę zalała jasność. Niemal w tej samej chwili rozległ się charakterystyczny świst stali, gdy Ojciec Yarvi wyszarpnął zakrzywiony miecz z pochwy. Koll przywarł do ściany i namacał nóż.

Skifra zachichotała.

– Tu bić się możecie jedynie z własnymi myślami, a w tej niekończącej się wojnie ostrza nie są potrzebne.

– Skąd się bierze to światło? – szeptem spytał Koll. Dziwne rury na suficie płonęły tak jasno, że nie mógł na nie spojrzeć. Jak gdyby ktoś połapał w szklane butelki promienie Matki Słońca.

Skifra wzruszyła ramionami i minęła go, wchodząc do sali.

– Czary.

Część sufitu się zapadła i wiele szklanych rur wisiało na splątanych drutach. Migoczące światło to gasło, to się zapalało, rzucając błyski na napięte twarze dwojga ministrów, którzy ostrożnie szli za Skifrą. Wszędzie walał się papier. Poprzewracane wieże arkuszy, w których przybysze brnęli po kostki – przemokłych, lecz nie przegniłych, zapisanych niekończącymi się rzędami słów.

– Elfy wierzyły, że mogą zamknąć świat w piśmie – stwierdziła Skifra. – Że dzięki wiedzy staną się ważniejsze od Bóstwa.

– Mamy przed sobą dowody, do czego doprowadziła ich arogancja – mruknęła Matka Scaer.

Czwórka śmiazków przeszła przez wielką salę pełną stołów. Na każdym stała dziwna skrzynka ze szkła i metalu. Szuflady i półki poprzewracanych szafek wymiotowały stosami papierów.

– Złodzieje trafili tu przed nami – zauważył Koll.

– Złodzieje uprzedzili złodziei – stwierdziła Scaer.

– Nie ma na świecie takiego niebezpieczeństwa, żeby nie znalazł się ktoś, kto narazi się na nie dla zysku.

– Taki młody, a już taki mądry – pochwaliła chłopaka Skifra. – Ale coś mi się widzi, że stąd złodzieje skradli tylko śmierć. Chodźcie tam.

Prowadzące na dół schody tonęły w czerwonej poświacie. Skądś dochodziło dziwne buczenie. Koll poczuł na twarzy chłodny powiew, gdy przechylił się przez barierkę i spojrzął na kanciastą spiralę stopni prowadzących w czeluść.

– Głęboko – wychrypiął.

– No to ruszajmy. – Ojciec Yarvi zaczął schodzić, biorąc po dwa stopnie naraz. Jego zwiędła dłoń z suchym szelestem sunęła po poręczy.

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Każdego dusił ogrom własnych lęków i nie miał miejsca na obawy innych. Im niżej schodzili, tym donośniej brzmiało echo ich kroków i tym głośniejsze stawało się dziwne buczenie, które zdawało się dobywać ze ścian i z samego wnętrza ziemi – tak mocne, że Kollowi zaczęły dzwonić zęby. W dół, ciągle w dół, prosto w trzewia Strokomu. Po drodze mijali ostrzeżenia wymalowane czerwonymi elf-literami na gładkim elf-kamieniu. Koll nie potrafił ich odczytać, ale domyślał się, co znaczą.

Z a w r ó ć . P r z e r w i j t ę s z a l e Ń c z ą w y p r a w ę . J e s z c i e n i e j e s t z a p ó ź n o

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało, ale wreszcie schody się skończyły, bo wszystko kiedyś musi. Na dole czekał na nich kolejny półmroczny korytarz, chłodny i nagi. Jedyne na podłodze widniała czerwona strzała. Wskazywała drzwi w głębi – wąski prostokąt matowego metalu – i najeżony wypukłościami panel w ścianie obok.

– Co to za miejsce? – szeptem spytała Matka Scaer.

W surowej solidności tych drzwi było coś, co przypominało Kollowi wejście do

kancelarii królowej Laithlin, gdzie podobno trzymała niezmierzone bogactwa.

– Skarbiec – mruknął.

– Zbrojownia – sprostowała Skifra i zaczęła nucić coś w języku elfów, początkowo cicho i nisko, a potem coraz wyżej i szybciej, tak jak na stepie nad Zakazaną Rzeką, kiedy musieli się bronić przed żądnymi krwi Konioludami.

W oczach Ojca Yarviego zapłonęła gorączka chciwości. Matka Scaer splunęła z obrzydzeniem. Skifra lewą dłonią nakreśliła jakiś znak nad panelem, a prawą zaczęła przyciskać wypukłości według wzoru, za którym nawet bystre oczy Kolla nie mogły nadążyć.

Zielony klejnot nad wejściem nagle mrugnął jasno. Usłyszeli szcęk zwalnianych zasuw. Koll cofnął się o krok i niemal wpadł na Matkę Scaer, gdy drzwi uchyliły się z sykiem oddechu, niczym zalakowana butla. Skifra uśmiechnęła się znacząco i otworzyła je na oścież.

Za nimi znajdował się korytarz z rzędami dziwnych uchwytych na ścianach. Przypominały trochę imaki na włącznie, które Koll zrobił w cytadeli w Thorlby. Na nich ciemno majaczyły w półmroku artefakty elfów. Całe dziesiątki. Setki. Setki setek. W miarę jak rozbłyskiwały kolejne światła, oczom przybyszów ukazywało się coraz więcej rzędów.

– Elf-broń – oznajmiła Skifra. – Tak jak obiecywałam.

– Jest tego dość dla całej armii – szepnął Ojciec Yarvi.

– Owszem. Wykuto je przed wojną z Bóstwem.

Przy nich kunsztowne dzieła Kolla i Riny, z których byli tacy dumni, przypominały nędzne wypociny zwykłych majstrów. Tu każda sztuka wyglądała jak bliźniacza siostra tej obok – piękna w swojej czystej prostocie. Miały tysiące lat, ale wydawały się tak idealne jak w dniu, kiedy powstały.

Koll chyłkiem prześlizgnął się przez drzwi, przypatrując się dziełom elfów z zachwytem i zdumieniem... choć nie bez lęku.

– Są tak samo potężne jak ta, której użyłaś na Zakazanej?

Skifra prychnęła.

– Tamta w porównaniu z tymi to dziecięca igiełka przy włączni bohatera.

Na smaganym wiatrem stepie wystarczyło jej kilka chwil, aby przeszyć ogniem sześcioro wrogów, a kilka tuzinów zmusić do ucieczki.

– To co one potrafią? – szeptem spytał Koll, z wahaniem gładząc najbliższą opuszkami palców. Idealnie gładka powierzchnia przywodziła na myśl coś, co samo

wyrosło, a nie zostało wykute. Nie była ani szorstka, ani gładka, ani zimna, ani ciepła.

– Za ich pomocą kilku wybrańców może pokonać armię Babki Wexen – powiedziała Skifra. – A nawet dziesięć takich armii. Są tu rzeczy, które sprawią, że laska, na której wspiera się Ojciec Yarvi, będzie siała Śmierć. – Rzuciła ministrowi płaskie pudełko. Gdy je złapał, zagrzechotało jak szkatułka pełna pieniędzy.

– Laska ministra Gettlandu? – zdumiał się Koll. – To broń?

– Co za ironia! – Skifra zachichotała ponuro i wzięła artefakt z imaka. – Jakie to dziwne, że nawet wyjątkowo przebiegłi nie zauważają tego, co mają pod nosem.

– Teraz też są niebezpieczne? – Koll gwałtownie cofnął rękę.

– Najpierw trzeba je przygotować. Nauczę cię odpowiednich rytuałów, tak jak kiedyś nauczono ich mnie, a wcześniej mojego nauczyciela. Wystarczy jeden dzień, żeby przysposobić całą załogę *Wiatru Południa*. Opanowanie sztuki władania mieczem trwa lata, podczas których adepta uczy się szacunku do broni i umiaru w jej używaniu, tymczasem to... – Skifra przytknęła tępy koniec do ramienia i spojrzała wzdłuż artefaktu. Dopiero teraz Koll zdał sobie sprawę, że otwory to uchwyty tak sprytnie pomyślane, że dłoń wpasowywała się w nie jak w rękojeść miecza. – Człowiek, który bierze to w ręce, nawet jeśli nie zalicza się do mocnych, w jednej chwili staje się wspanialszym wojownikiem niż król Uthil, Grom-gil-Gorm czy Yilling Wspaniały.

– To już połowa drogi do boskości – wyszeptła Matka Scaer, z goryczą kręcąc głową. – Elfy nie potrafiły zapanować nad taką mocą. Czy powinniśmy użyczyć jej człowiekowi?

– Jesteśmy zmuszeni ją wykorzystać. – Ojciec Yarvi ostrożnie zdjął jeden z artefaktów z taką miną, jakby nie zamierzał go już odłożyć.

Skifra oparła swoją broń o biodro.

– Ponieważ imię Bóstwa ma siedem liter, powinniśmy zabrać tylko siedem artefaktów.

Ojciec Yarvi wskazał niekończące się rzędy imaków.

– Sama mówiłaś, że tutaj nie ma bogów. – Jego przykurczona dłoń nie pasowała do uchwyty tak dobrze jak Skifry, ale i tak trzymała pradawną broń z żelazną pewnością. – Weźmiemy tyle, ile zdołamy unieść.

ZABÓJCA



Ojciec Ziemi zadrżał i Raith poczuł ukłucie strachu. Zerwał się na równe nogi, potrącając misę i rozlewając zupę na bruk dziedzińca.

Yilling zawałał podkop.

Spodziewali się tego. Odkąd Rakki został pogrzebany w poprzednim tunelu, ludzie Najwyższego Króla nie robili tajemnicy z tego, że drążą nowy.

Król Uthil pilnował, aby obrońcy również nie próżnowali. Wewnątrz fortecy kazał wznieść dodatkową zaporę. Ściągnięto do niej przeżarte przez korniki belki wyrwane z niskich zabudowań, poszycie i maszty potrzaskanych łodzi, pokryte pąklami deski ze zniszczonych pirsów, krokwie i koła wozów, beczki i tarcze poległych wojowników. Drewniany półksiężyc niewiele wyższy od człowieka biegł od elf-muru po jednej stronie do elf-muru po przeciwnej. Powstał nawet mizerny pomost bojowy, na którym ludzie mieli walczyć i ginąć. Nie był to mur zdolny powstrzymać dziesięcioletnią armię.

Ale lepsza taka zapora niż żadna, gdyby wróg zdołał zawalić Wieżę Gudrun.

Gdy nastąpiło tąpnięcie, obrońcy, którzy jeszcze byli w stanie biegać, rzucili się ku niej, wpadając jedni na drugich, przekrzykując się nawzajem i dobywając broni. Raitha poniosła ich fala. Siny Jenner wyciągnął do niego rękę i pomógł się wspiąć na pomost bojowy. Kiedy chłopak stanął na szczycie zapory, ziemia ponownie zadrżała. Mocniej niż za pierwszym razem.

Wszyscy spojrzeli na brzydką bryłę Wieży Gudrun i zniszczony fragment murów warowni wzniesiony przez człowieka. Jak gdyby mogli podeprzeć je siłą woli. Modlili się, aby nie runęły. Raith nie wiedział, których bogów błagać o pomoc, więc tylko zacisnął bolącą pięść i ucpepił się nadziei. Kilka ptaków z łopotem skrzydeł poderwało się z połamanego dachu. Nic więcej. Raith nigdy dotąd nie czuł takiego

napięcia. Cisza zdawała się trwać w nieskończoność.

– Wytrzymały! – zawołał ktoś w końcu.

– Cicho! – ryknął Gorm i podniósł miecz, który dawniej nosił za nim Raith.

Jak na dany sygnał rozległ się potężny trzask. Wojownicy mimowolnie pochylili głowy, gdy pył i kamienie posypały się z tylnej ściany wieży. Kawał skały wielkości ludzkiej głowy potoczył się po bruku dziedzińca i uderzył w drewnianą zapórę blisko Raitha.

Rozległ się rozdzierający jęk i bluszcz obrastający wieżę wyrzucił się dziwnie. W murze pokazały się rysy, a dach się przekrzywił. Stado ptaków wystrzeliło w niebo.

– O bogowie – wyszeptał Raith, rozdziawiając usta.

Wieża zaczęła się okropnie powoli osuwać.

– Padnij! – zawołał Siny Jenner i pociągnął chłopaka na pomost obok siebie.

Huk był taki, jak gdyby pękał cały świat. Raith zacisnął powieki, gdy kamienie posypały się na jego grzbiet niczym grad. Był gotowy zginąć. Żałował jedynie, że nie umrze przy Skarze.

W końcu otworzył oczy, ale wokół unosiły się kłęby pyłu. Jakby płynął okrętem przez mgłę.

Poczuł szarpnięcie i niezdarnie odtrącił czyjąś rękę.

Tuż obok zobaczył pobrużdżoną twarz Jennera, bladą jak u ducha. Stary korsarz coś krzyczał, ale Raith go nie słyszał. Dzwoniło mu w uszach.

Złapał się parapetu drewnianej zapory i dźwignął na nogi, pokasłując. Wytężył wzrok, aby dojrzeć coś w nienaturalnej mgle. Po lewej stronie majaczyła bryła elfiej wieży, a po prawej fragment elfiego muru, ale między nimi, tam gdzie dawniej znajdowała się Wieża Gudrun, ziała wielka wyrwa. Została góra kamieni i potrzaskanych belek. Dziedziniec usiany był gruzem.

– Przynajmniej runęła na zewnątrz – burknął i stwierdził, że nie słyszy nawet własnego głosu.

Uświadomił sobie, że piękny hełm odebrany kapitanowi zdobytego okrętu został pod drzwiami komnaty Skary. Teraz nie mógł po niego wrócić. Ha. Pozostało mu ładnie prosić wrogów, żeby nie bili go po głowie. Prawie się roześmiał z tak niedorzecznego pomysłu.

I wtedy w gęstym pyłe dojrzał jakieś kształty. Cienie ludzi. Wojownicy Najwyższego Króla wspinali się po gruzach zwałonej wieży i przez wyłom wdzierali

do warowni. Dziesiątki. Malowane tarcze pokryte szarym pyłem, miecze i topory bez połysku, usta rozdziawione w bezgłośnych okrzykach. Setki.

Strzały pomknęły ku nim od strony półkolistej zapory obrońców i ze szczytów elf-murów wysoko nad nimi. Sywały się zewsząd, a brnący przez ruiny wrogowie nie byli w stanie uformować porządnej ściany tarcz. Ginęli na dziedzińcu i padali między skalne bryły. Niektórzy próbowali się czołgać lub przysiadali na ziemi, tępo patrząc przed siebie. Raith patrzył, jak rosły stary wojownik resztkami sił brnie naprzód, choć z kolczugi sterczy mu kilka promieni. Inny, rudowłosy, z wściekłością zerwał hełm i cisnął go o ziemię, gdy but utkwiał mu między dwoma kamieniami. Jakiś weteran ze złotymi obręczami na ramionach kuśtykał, podpierając się mieczem.

Masa ludzi. Ich bojowe okrzyki brzmiały w uszach Raitha jak szmer. Masa ludzi. Obrońcy zrzucali z góry kamienie, dźgali włóczniami i wychylali się, aby osiągnąć wrogów toporami. Masa ludzi. Część przykłękała z tarczami nad głową, a inni wspinali się po nich na prowizoryczną zaporę, czepiając się drewnianej konstrukcji. Pewnie podziwiałby ich odwagę, gdyby nie szli tu, aby go zabić.

Zacisnął powieki i wsunął wysłużony ciesielski kołek między zęby, lecz tym razem nie ogarnęła go bojowa euforia. Dawniej pragnienie przemocy nie dawało mu spokoju. Nigdy nie miał dość. Teraz wreszcie się nasycił, ale Matka Wojna wciąż dokładała mu nowe porcje. Wyobraził sobie, że Skara patrzy z murów. Przypomnił sobie jej śmiech. Chciał jeszcze raz go usłyszeć. Za to był gotowy walczyć. Z wysiłkiem rozwarł powieki.

Wojownicy Najwyższego Króla wdzierali się na zaporę. Na pomoście bojowym już kłębili się walczący. Jeden zamachnął się mieczem na Jennera, ale Raith potężnym uderzeniem topora mocno wgniół bok jego hełmu i powalił śmiałka. Czyjaś dłoń sięgnęła nad parapet. Chłopak rozrębał ją na pół i okuciem tarczy uderzył wroga w twarz, spychając go z powrotem. Wojownik poleciał w dół, gubiąc sztylet.

Raith zobaczył wytrzeszczone oczy Jennera i zdążył się okręcić na pięcie, zanim dopadł do niego olbrzymi mieszkaniec Nizin z wielkim toporzyskiem w rękach i symbolem siedmiopromiennego słońca na szyi. Czasami w obliczu niebezpieczeństwa można zrobić tylko jedno – popędzić mu naprzeciw. Raith rzucił się na wroga. Poczul, że trzon zahacza o jego ramię, a ostrze muska grzbiet. Wyszarpnął broń z rąk Nizieńca i cisnął ją na dziedziniec. Z łoskotem uderzyła o bruk.

Zaczęli się mocować, szarpać i opluwać. Raith odrzucił własny topór i z trudem

namacał poparzoną ręką rękojeść noża. Nizieniec rąbnął go głową w szczękę i odepchnął, żeby mieć miejsce na zamach pięścią. Raith wykorzystał szansę i wyszarpnął nóż.

Wprawdzie nie czuł bojowej euforii, ale nie zamierzał się nikomu podkładać.

Pochylił głowę, aby kułak przeciwnika trafił w czoło, a nie w nos – nauczył się tej sztuczki, walcząc z chłopakami większymi od siebie. Kołek wyleciał mu z ust, a dzwonienie w uszach stało się jeszcze głośniejsze, ale poczuł, jak w dłoni wroga coś pęka. Dźgnął go w bok. Ostrze skrobnęło o kolczugę. Nie przebiło jej, ale mocny cios sprawił, że Nizieniec zgiął się w pół i ze świstem wciągnął powietrze. Połamana dłoń próbował złapać Raitha za rękę, ale chłopak się wywinął i wbił nóż pod krawędź hełmu przeciwnika, poniżej ucha.

Nizieniec zrobił zdumioną minę, gdy krew zalała święty symbol na jego piersi. Pewnie uważał, że słusznie wybrał boga, króla i sprawę. Każdy przecież dostrzega racje swojej strony. Może dopiero teraz, gdy cofnął się chwiejnie, przyciskając dłoń do rozciętej szyi, pojął, że zwycięża nie ten, kto ma słuszość, lecz ten, kto atakuje pierwszy i uderza najmocniej.

Raith chwycił go między nogami i przerzucił przez parapet zapory. Przy okazji strącił innego między trupy. Pewnie oni wszyscy myśleli, że walczą po właściwej stronie.

Przez chwilę stał, łapiąc oddech. Ogarnął wzrokiem plac boju. Matka Owd odciągała jakiegoś rannego ku twierdzy. Siny Jenner próbował wyplątać miecz z zakrwawionych włosów trupa. Grom-gil-Gorm właśnie powalił przeciwnika potężnym zamachem tarczy. Obrońcy zdołali odeprzeć wojowników Najwyższego Króla od zapory, ale przez wyrwę do warowni wdzierало się ich coraz więcej.

Nagle Raith zobaczył, że coś spada z wysokich elf-murów. Mimowolnie się skulił, gdy płynny ogień zalał wrogów stłoczonych na niewielkiej przestrzeni. Na twarzy poczuł gorąco i przypomniał sobie żar pod ziemią. Tym razem nawet nieustające dzwonienie w uszach nie zagłuszyło wrzasków.

Po chwili z góry poleciał kolejny słów i ponownie buchnęły płomienie. Ludzie Najwyższego Króla rzucili się do ucieczki. Odwaga nie jest wieczna. Czasem opuszcza nawet tych, którym się wydaje, że słuszość jest po ich stronie. Gettowie wiwatowali, Vansterowie śmiali się szyderczo, a Throveni piali z zachwytem. Wkoło skandowano na cześć króla Uthila i króla Gorma, a nawet królowej Skary. Raith milczał. Wiedział, że wrogowie wrócą.

– Nic ci nie jest? – usłyszał Sinego Jennera.

– Nie – mruknął, choć nie mógł już tego dłużej znieść. Miał dosyć walki. Chciał wrócić do łoża Skary.

Wkoło widział pełno trupów. W powietrzu unosił się smród olejistej cieczy i swąd przypalonego mięsa. Ranni na próżno wyli o pomoc. Kurz powoli osiadał, ale zastępował go dym. Zza jego gęstej zasłony rozległ się donośny głos.

– Ależ początek dnia! Aż w człowieku krew żwawiej krąży!

Coś poruszyło się w wyłomie. Drzwi z odłupanym rogiem i luźno wiszącymi zawiasami. Zabrzmiało trzykrotne pukanie i zza zasłony wysunęła się łagodna twarz Yillinga.

– Chciałbym wejść i porozmawiać. Wolę jednak nie wystawiać się na cel waszym łucznikom. – Jego usta wykrzywił obojętny uśmiech. – Z tego nie byłoby pięknej pieśni niestety.

– Skara chętnie by taką zaśpiewała – mruknął Raith. Sam również nuciłby ją bez żalu.

Gormowi jednak zależało na chwale.

– Podejdź bliżej, Yillingu Wspaniały! Chętnie cię wysłuchamy.

– Czynisz mi wielki zaszczyt! – Rycerz Najwyższego Króla puścił drzwi, które zsunęły się po dymiącym stosie kamieni, a sam zwinnie zeskoczył na zawalony gruzem, zasypany strzałami i poplamiony krwią bruk dziedzińca.

– Co cię tu sprowadza? – zawołał do niego Uthil. – Chcesz się poddać? – Obecni zawtórowali królowi śmiechem, ale Yilling tylko zadarł głowę i uśmiechnął się do półksiężycy groźnych twarzy. Ludzie mówili, że czcił Śmierć. Na pewno nie bał się jej spotkać.

– Chcę tego samego, co podczas naszej pierwszej rozmowy. Chcę walczyć. – Yilling dobył miecza, ujmując go za jelec, i delikatnie musnął głowicą górną wargę. – Czy któryś z was, monarchowie, zechce się sprawdzić w pojedynku ze mną?

Nie od razu usłyszał odpowiedź. Na całej zaporze obrońcy zaczęli szeptać gorączkowo. Uthil uniósł brwi i spojrzał na Gorma, nie zważając na siwe kosmyki, którymi wiatr smagał jego pobrużdżoną twarz. Gorm również uniósł brwi i odwzajemnił jego spojrzenie, powoli obracając w palcach jedną z głowic na swoim łańcuchu. Po chwili ziewnął ostentacyjnie i zbył Yillinga lekceważącym machnięciem ręki.

– Mam ważniejsze sprawy. Poranny balas sam się nie wycisnie.

Uśmiech Yillinga stał się szerszy.

– W takim razie zaczekamy ze sprawdzeniem słynnej przepowiedni... przynajmniej do czasu, gdy moi ludzie przewrócą tę waszą zaporę z patyczków. A ty, Żelazny Królu? Wolisz balasy czy fechtunek?

Uthil utkwiał w Yillingu surowe spojrzenie na długą chwilę. Tak długą, że szepty przeszły w ożywiony gwar. Pojedynek dwóch tak słynnych wojowników można było zobaczyć najwyżej raz w życiu. Lecz władca Gettlandu nie zamierzał się spieszyć z decyzją. Spojrzał na swój miecz, polizał palec i delikatnie starł niewielką plamkę z głowni.

– Już dawno nikt nie wystawił moich umiejętności na próbę – przyznał Yilling. – Udałem się aż do Thorlby, licząc na porządną walkę, ale tam zabijać mogłem jedynie kobiety i chłopców.

Uthil uśmiechnął się smutno, jak gdyby wołał udzielić innej odpowiedzi, lecz wiedział, że możliwa jest tylko jedna.

– Ten klejnocik w twojej głowicy świetnie się nada na zabawkę dla mojego syna. Będę z tobą walczył. – Podał miecz mistrzowi Hunnanowi, trochę sztywno wspiął się na parapet i zsunął po przeciwnej stronie zapory na dziedziniec.

– Najlepsza wieść od miesiąca! – Yilling podskoczył jak uradowane dziecko. – Mam z tobą walczyć prawą ręką czy lewą?

– Tą, która sprawi, że szybciej zginiesz – odparł Uthil i w locie chwycił miecz rzucony przez Hunnana. – Twój atak przerwał mi śniadanie. Śpieszno mi do mojej misy z kiełbasą.

Yilling obrócił mieczem w lewej ręce z taką zręcznością jak szwaczka igłą.

– Słyszałem, że starsi ludzie przykładają wielką wagę do pory posiłków.

Stanęli naprzeciwko siebie, jak gdyby wszystko było od dawna ustalone, i zaczęli krążyć.

– To będzie walka godna pieśni – wyszeptał Jenner.

– Pieśni nie obchodzą mnie już tak jak kiedyś. – Raith poruszył bolącą dłońią.

Yilling zaatakował z szybkością węża. Głownia mignęła jasną smugą. Ręka Raitha drgnęła mimowolnie. Wyobraził sobie, jak odparłby cios i jak odpowiedział. Po chwili jednak pojął, że już by nie żył.

Yilling Wspaniałały z nieludzką prędkością obrócił się wokół własnej osi. Jego miecz śmignął nisko. Ale Uthil mu nie ustępował. Ze zgrzytem stali parował cięcie, bez wysiłku ominął ostrze wroga i zaatakował. Odskoczyli od siebie równie szybko, jak wcześniej się zwarli. Yilling z promiennym uśmiechem rozpostarł ramiona,

a Uthil zmarszczył brwi, trzymając miecz luźno przy boku.

– Bez względu na to, kto zwycięży, wojna się nie skończy – wychrypiął Raith, nie odrywając oczu od pojedynku.

– Ano – przytaknął mu Jenner, odruchowo napinając mięśnie przy każdym ruchu walczących. – Nie ma innej możliwości.

Kolejna wymiana ciosów. Stał błyskała tak szybko, że Raith nie mógł za nią nadążyć. Pchnięcie, pchnięcie, cięcie, blokada, szybki obrót i znowu przeciwnicy oddalili się od siebie, ostrożnie stąpając między trupami i gruzem.

– To wszystko dla sławy?

– Ona ma dla niektórych największą wartość.

Chwila pozornego spokoju, nieśpieszny ruch, nieśpiesznie zataczane koła. Yilling trzymał się nisko na nogach. Zmieniał pozycje i kształty płynnie jak Matka Wód. Po każdej wymianie ciosów chichotał, jak gdyby była świetnym żartem. Uthil był sztywny i wyprostowany, solidny jak sam Ojciec Ziemi. Minę miał ponurą, jakby krążył wokół stosu pogrzebowego. Przyglądali się sobie nawzajem, czekając na właściwy moment, próbując rozgryźć przeciwnika. Cisza ciągnęła się w nieskończoność i wydawało się, że lada chwila pęknie. Wtem szcęk, dzwonienie, zgrzyt i Śmierć czająca się za plecami obu mężczyzn, czepiająca się sztychów ich mieczy. Stalowe pytanie, stalowa odpowiedź, szybki krok w tył i znowu powolne krążenie, czujność i pozorny spokój.

– Ogromna szkoda, że jeden z nas musi przegrać. – Yilling sprytnie się odgiął przed wysoko prowadzonym mieczem i zrobił lekkiego zeza, gdy sztych Uthila śmignął mu przed nosem. – Mógłbym się od ciebie wiele nauczyć.

– Obawiam się, że mamy czas tylko na jedną lekcję. Śmierć czeka każdego.

Yilling zaatakował, zanim król skończył mówić, lecz Uthil był na to gotowy. Odbił pchnięcie i obrócił nadgarstek, tak że jego miecz rozorał rękaw kolczugi przeciwnika i zahaczył o wierzch jego dłoni.

Yilling gwałtownie odskoczył. Świeża krew zaczęła kapać na poplamiony bruk. Chichocząc beztrosko, przerzucił miecz do prawej ręki.

– Wykrwaw się, bękarcie! – zawołał ktoś z murów i nagle wszyscy zaczęli ryczeć, pohukiwać, wykrzykiwać obelgi i głośno demonstrować swoją niechęć. Zwęszyli zwycięstwo. Poczuli zapach krwi.

Uthil zaatakował. Jego miecz błysnął odbitym słońcem. Tak okrutnych pchnięć nie zatrzymałaby żadna kolczuga. Yilling uchylał się i wykręcał. Stał zarzęziła, gdy odbił głownię przeciwnika, tak że minęła go ledwie o włos, po czym błyskawicznie

się odwrócił, kiedy miecz Uthila świsnął po drugiej stronie. Rycerz Najwyższego Króla cofnął się chwiejnie, na moment tracąc równowagę.

Władca Gettów skoczył naprzód, aby zadać ostateczny cios. Jego stopa wykręciła się lekko na kamieniu. Drobne potknięcie, zanim miecz z sykiem ciął powietrze. Drobne potknięcie, ale przeciwnik zdążył paść na kolana i mocno odgiąć się do tyłu, tak że sztych zostawił jedynie lekkie draśnięcie na jego gładkim policzku i z brzdękiem uderzył o bruk obok niego.

Wysunięty miecz Yillinga przeszył tułów Uthila i zakrwawiony koniec głowni sterczał z pleców monarchy.

Wiwaty zamarły w gardłach osłupiałych widzów.

– Kamień. – Uthil ze zdziwieniem spojrział na rękojeść miecza wystającą z jego piersi. – Oręż mi dziś nie sprzyja – jęknął i nagle się pochylił.

Yilling szarpnięciem uwolnił głownię i doskoczył do niego, aby go podtrzymać.

– Nie – wyszeptał Jenner i plasnął otwartą dłońią o parapet.

Drewniany półksiężyc zapory zabrzmiał przekleństwami, sykami i jękami przerażenia. Yilling powoli opuścił Uthila na pokryty pyłem bruk i tak ułożył jego rękę, aby Żelazny Król Gettlandu przyciskał do piersi własny miecz. Stał była jego odpowiedzią w chwili śmierci, tak jak za życia.

– Piękna śmierć – szepnęła Siny Jenner.

Raith z łoskotem cisnął tarczę na pomost bojowy.

– Śmierć jak śmierć.

Matka Słońce przedarła się przez chmury, w chwili gdy Yilling wycierał swoją broń. Diamentowa głowica błysnęła, a krew na policzku rycerza zalśniła mokro. Rzeczywiście wyglądał jak wybraniec Śmierci, kiedy tak stał uśmiechnięty, pośród żniwa trupów, z martwym Uthilem u stóp.

– Niedługo wrócę po resztę! – zawołał i skierował się do wyłomu.

Taki był koniec rzezi tego dnia.

MARZENIA



S kara lubiła dzielić z nim łożę.

Nie była pewna, czy podoba jej się sam akt zespolenia, choć wszyscy robili z tego taką wielką sprawę. Wydawał jej się chaotyczny, dziwny i niezręczny. Nawet trochę komiczny. Pewnie wybuchłaby śmiechem za pierwszym razem, gdyby on nie traktował tego tak poważnie. Lepkie niezdarne palce. Niezrozumiałe pojękiwanie. Skóra ocierająca się o skórę bez cienia wdzięku ani romantyczności. W jej marzeniach oboje wiedzieli, co trzeba robić. W rzeczywistości nie miała nawet pojęcia, czego sama pragnie ani – tym bardziej – czego chce on.

Lubiła jednak później czuć go przy sobie. Podobały jej się jego siła i szorstkość, i ciepło. I to, jak jej pierś przywierała do jego szerokich pleców, i jej nogi splecione z jego nogami, i sposób, w jaki poruszały się jego żebra przy każdym oddechu. Lubiła patrzeć, jak przez sen drgają mu mięśnie – zupełnie jak psom, które spały przy palenisku w siedzibie jej dziada. Lubiła nawet jego kwaśno-słodki zapach, który nie powinien wydawać się przyjemny, ale z jakiegoś powodu nie mogła się nim nasycić.

Lubiła nie być sama.

Dotknęła jego ramienia. Pod opuszkami palców poczuła szorstką szramę. Powędrowała jej szlakiem do miejsca, gdzie przecinała się z inną, a potem z drugą i trzecią.

– Tyle blizn – wyszeptwała.

– W Vansterlandzie nazywamy je „nagrodami wojownika” – usłyszała jego głos.

A zatem jeszcze nie zasnął. Podejrzewała, że w całej twierdzy Baila nikt nie śpi. Jak? Mieli przespać ostatnią noc swojego życia?

– Przypominają ślady po biczu.

Milczał. Pomyślała, że może nie powinna była tego mówić. Zatraciła poczucie granic między nimi, ale zaczynała rozumieć, że obnażenie przed kimś ciała wcale nie ułatwia obnażenia także duszy. Może nawet było jeszcze trudniej.

Ramiona Raitha drgnęły, gdy nimi wzruszył.

– Zanim trafiłem do Gorma, mówili, że jestem zły. Potem nigdy nie byłem dostatecznie zły.

– Żal mi cię – wyszeptwała. Żałowała, że był bicowany. I że nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć. Tak bardzo się różnili pod każdym względem. Nie rozumiała, jak w ogóle mogą do siebie pasować. Kiedy jednak otoczyła go ramieniem, a on splótł swoje palce z jej palcami, pasowały do siebie całkiem dobrze. Może żywe dłonie zawsze do siebie pasują, gdy Śmierć wyciąga do człowieka swoją rękę.

– Co my robimy? – spytał.

– Trzymamy się za ręce.

– Dziś tak. A jutro?

– Myślałam, że nie martwisz się, co będzie jutro. To jedna z rzeczy, które mi się w tobie spodobały.

– Bo zawsze wydawało się strasznie odległe. A teraz nagle jest tak blisko.

Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, co robią. Ani teraz, ani jutro. Tak długo marzyła o tym, aby mieć go tylko dla siebie. Nie zastanawiała się, co będzie potem. Przypomniała jej się tajemnicza szkatułka, którą poseł z Catalii przywiózł w darze dla jej dziada. Cztery dni zabrało jej otwarcie wieka, a gdy wreszcie rozszyfrowała łamigłówkę, w środku zobaczyła kolejne pudełko.

Pomimo ciepła, jakie promieniowało od Raitha, zadrżała.

– Myślisz, że Yilling zaatakuje dziś w nocy? – spytała szeptem, z wargami przy jego zabliźnionym uchu.

– Nie spieszy mu się. Pewnie zaczeka do świtu.

Przypomniała sobie krew skapującą ze sztychu miecza Yillinga i mocniej przytuliła się do pleców Raitha.

– Król Uthil nie żyje – wyszeptwała. Sprawiał wrażenie wykutego z żelaza, niezniszczalnego. A teraz przed tronem Baila złożono jego blade i zimne ciało.

– Śmierć czeka wszystkich – powiedział Raith. – Wystarczy nierówny kamień, a zrzeczność, imię ani sława nie ustrzegą przed nią człowieka.

Skara obejrzała się na drzwi. Światło pochodni w korytarzu wyławiało z ciemności ich kontur. Tam, na zewnątrz, musiała być silna. Musiała ukrywać strach i zwątpienie. Tyle że każdego czasem opuszcza siła.

– Jesteśmy zgubieni – szepnęła.

Odwrócił się do niej przodem, ale w mroku nie mogła wyczytać z jego twarzy

więcej niż z pleców. Dostrzegła jedynie nikły błysk wpatrzonych w nią oczu i ostry zarys policzka. Nic nie powiedział. Nie zaprzeczył.

Westchnęła głęboko.

– Nie mogę już rzucić się z Wieży Gudrun.

– Aha. Jest teraz sporo niższa.

Dotknęła jego piersi i przesunęła palcami po rzadkich, jasnych włosach.

– Powinnam chyba pogodzić się z myślą, że będę musiała skoczyć z innej.

Zabandażowaną ręką ujął jej dłoń.

– Może Siny Jenner zdoła cię stąd wywieźć. Tak jak wcześniej z Yaletoftu.

– Żebym stała się tą, która zawsze ucieka? Królową bez kraju? Obiektem pogardy?

– Nie dla mnie. Jesteś największym szczęściem, jakie mnie spotkało.

Niewiele o tym mówił, ale domyślała się, że miał okropne życie.

– A co jest na drugim miejscu? – spytała.

– Chyba gulasz z królika. – Ledwie dostrzegła w ciemnościach jego uśmiech.

– Pochlebca.

Uśmiech powoli znikł.

– Może Siny Jenner wydobędzie nas oboje.

– Gudrun i stajenny? Mamy żyć, pasąc kozy przy jakimś górskim strumieniu?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze lubiłem kozy.

– Bo masz z nimi wiele wspólnego. – Niespodziewanie ścisnęła jego rękę i spojrzała mu w oczy. Musiała mu to wyjaśnić. Musiała wytłumaczyć to samej sobie. – Jestem królową, czy mi się to podoba czy nie. Nie mogę zostać, kim zechcę. Muszę bronić Throvenlandu. W moich żyłach płynie krew Baila.

– Często to powtarzasz. – Kciukiem potarł niewielką bliznę we wnętrzu jej dłoni.

– I wołałbym, żeby w twoich żyłach została.

– Ja również. Ale mój ojciec zginął, broniąc tej twierdzy. – Cofnęła rękę. – Nie zamierzam uciekać.

– Wiem. Mimo to miło jest pomarzyć. – Zaczął się podnosić i zdusił jęk. – Powinienem już iść.

Objęła go od tyłu i przyciągnęła do siebie. Usłyszała westchnienie i poczuła, jak jego opór słabnie. Podobała jej się władza, jaką nad nim miała. Nie władza królowej. Jej własna.

– Nie chcesz zostać? – szepnęła mu do ucha.

– Nie przychodzi mi do głowy żadna inna królowa, z którą chciałbym spędzić noc. Obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. – Choć przyznaję, że Laithlin jest całkiem urodziwa... au!

Złapała go za ramię i popchnęła z powrotem na łóżko. Przełożyła nogę nad jego biodrami i usiadła na nim. Pocałowała go. Powoli, dopóki jeszcze mieli czas, dopóki starczało im oddechu. Czuła, jak z każdym pocałunkiem coraz bardziej się jej poddaje, i uśmiechnęła się, gdy wreszcie przyciągnął ją do siebie...

– Najjaśniejsza pani!

Wyskoczyła z łóżka, jakby się paliło. Spojrzała na drzwi, które zadrżały od gwałtownego stukania.

– Co się stało? – zawołała. W takim pośpiechu wciągała koszulę, że mało nie rozdarła jej łokciem.

– Najjaśniejsza pani! – Rozpoznała głos Sinego Jennera. – Płyną do nas okręty!

– Gdzie, do diabła, jest Raith? – burknął Jenner, idąc wzdłuż murów za Skarą, która dla ochrony przed mżawką założyła kaptur.

Raczej nie mogła powiedzieć: „W moim łóżu”, ale dobry kłamca wplata prawdę, gdzie się tylko da, a ona z każdym dniem kłamała coraz lepiej.

– Ostatnio nie zawsze czuwa nocami pod moją komnatą – oznajmiła obojętnym tonem. – Mam wrażenie, że pociesza się w ramionach jakiejś panny.

– Nic dziwnego – skwitował Jenner.

– Aha. – Skara zaczęła szybko wspinać się po stopniach jednej z wież od strony morza. – Każdy szuka pociechy, gdzie może.

Mistrz Hunnan stał na blankach i wpatrywał się w mrok.

– To Gettowie – powiedział. – Sześć łodzi.

– Gdzie? – Skara przystanęła obok niego i spojrzała na Matkę Wód, starając się nie myśleć o tym, jak ogromna odległość dzieli ją od fal. Na północy zobaczyła światła na wodzie. Kimkolwiek byli, ich latarnie powoli oddalały się w mrok. Mimowolnie przygarbiła ramiona.

– Próbowaliśmy się dostać do fortecy, ale nie mogły się przedrzeć – warknął Hunnan. – Teraz co sił wiosłują z powrotem na północ, ścigane przez tuzin okrętów Najwyższego Króla jak lis przez ogary.

Nadzieja zgasła jak rozżarzone węgle zasypane lodem. Skara oparła pięści o mur i ponuro spojrzała na czarne morze, w którego falach błyskał nikiły sierp księżyca.

– To chyba łódzie królowej Laithlin. – Siny Jenner w zamyśleniu szarpnął brodę.
– Ale jeśli chciały się tu dostać niepostrzeżenie, po co obwieszono je latarniami?

Skara dojrzała cień mknący po czarnej wodzie i nadzieja rozżarzyła się w niej jaśniej niż kiedykolwiek.

– Bo miały jedynie odwrócić uwagę. Patrzcie tam! – Jedną ręką objęła Jennera, a drugą pokazała przed siebie. Już widziała wiosła zanurzające się w falach. Łódź płynęła prosto do zatoki.

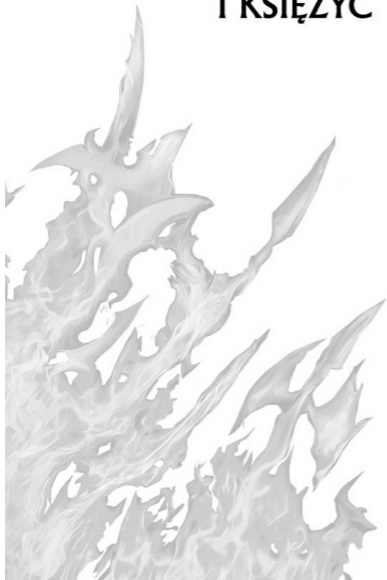
– Chyba ma na dziobie rzeźbione gołębice – mruknął Hunnan.

– *Wiatr Południa!* – Skara mocno uściskała Siniego Jennera. – Każ opuścić łańcuchy!

– Opuścić łańcuchy! – ryknął stary żeglarz i uściskał ją równie mocno. – Wraca Ojciec Yarvi!

IV

PRZYSIĘGA NA SŁOŃCE I KSIĘŻYC



ŚWIT



Zawiasy jęknęły. Jasna szpara pojawiła się między skrzydłami bramy i stopniowo zaczęła się powiększać. Blask świtu padł na ponure twarze zebranych. Blizny Gorma. Ogorzałe policzki Rulfa i Jennera. Ściągnięte brwi Ojca Yarwiego. Błysnął też w kącikach oczu Skary i podkreślił ruch ścięgien na jej szyi, gdy przełknęła ślinę.

– Powinnaś tu zostać – powiedział Raith, wiedząc, że ona nigdy się na to nie zgodzi.

Nie pomylił się.

– Skoro mamy się poddać, muszę przy tym być.

Raith zerknął na Matkę Scaer, która zgarbiona stała w cieniu bramy, ukrywając coś pod peleryną. Kiedy przestąpiła z nogi na nogę, dostrzegł nikły błysk matowego metalu.

– Nie zamierzamy się poddać – powiedział.

– Ale chcemy stwarzać takie pozory. A poza tym... – Skara wyprostowała szczupłe ramiona pod ciężką kolczugą i przymrużyła oczy. – Chcę widzieć twarz Yillinga, kiedy będzie umierał.

Mógł jej powiedzieć, że z oblicza umierającego człowieka – nawet śmiertelnego wroga – nie da się wyczytać żadnych ważnych tajemnic. Tylko ból i strach. Zapowiedź tych, jakie czekają każdego, gdy przyjdzie jego pora. A w końcu miała przyjść. Rzecz w tym, że ludzie, którzy zdają sobie z tego sprawę, nie chcą o tym słuchać, a ci, którzy trwają w nieświadomości, sami muszą się o tym przekonać. Dlatego Raith milczał.

Bramę otwarto na oścież i za nią zobaczyli zoraną butami, zawaloną gruzem i nieszpikowaną strzałami ziemię, zimną i martwą. W trawie skrzyły się krople rosy. W oddali, ledwie widoczne w porannej mgle, majaczyły zaostrome pale, które wyznaczały granicę wojsk Najwyższego Króla.

Siny Jenner odchrząknął.

– To na pewno dobry plan?

– Za późno na wymyślanie innego – stwierdził Rulf.

– Wleźliśmy w bagno po szyję – warknęła Matka Scaer przez zęby i obróciła głową, tak że kości jej karku chrupnęły cicho. – Teraz pozostaje nam jedynie przebrnąć przez nie na drugą stronę.

– Plan jest dobry. – Ojciec Yarvi sprawiał wrażenie, jak gdyby w ogóle się nie wahał. Stukanie jego laski zabrzmiało echem między murami z elf-kamienia, gdy pewnie ruszył do końca przejścia. Śmiało zmierzał ku Ostatnim Wrotom, całą nadzieję pokładając w elf-magii. Wszystko postawił na ostatni szalony układ run, licząc, że przyniesie mu zwycięstwo. Raith nie miał serca do modlitw, ale nawet on zwrócił się do bogów z bezgłośną prośbą.

– Trzymaj się blisko mnie – rzucił przez ramię do Skary.

– Wiem, gdzie jest moje miejsce. – Młoda królowa patrzyła przed siebie.

Kiedy wyszli z cienia fortecy, cała grupa uformowała coś na kształt grotu strzały. Na samym przedzie, z wysoko podniesioną głową szedł Ojciec Yarvi. Raith, Jenner i Rulf rozstawili się po lewej stronie, a Gorm, Soryorn i Hunnan po prawej. Cała szóstka niosła największe tarcze, jakie zdołali znaleźć, i żałowała, że nie są jeszcze większe. Skara i Matka Scaer szły za nimi, a Dosduvoi zamykał pochód, niosąc osadzoną wysoko na drągu figurę dziobową rzeźbioną w gołębie – na znak, że przybywają w pokoju.

Choć było to największe kłamstwo na świecie.

Koll stał na murach nad furtą i odwracał do wiatru pochmurne oblicze. Posepnie patrzył na dziesięć maleńkich postaci, które przemierzały pas ziemi niczyjej. Posepnie przyglądał się nielicznym członkom załogi *Wiatru Południa* rozstawionym na murach i ściskającym w rękach artefakty przywiezione ze Strokomu. Posepnie zerkał na armię Najwyższego Króla, otaczającą twierdzę Baila niczym szczęki pożerającego świat wilka, które lada chwila miały się zewrzeć.

Metal lśnił pierwszymi promieniami świtu. Wiatr szarpał proporce bohaterów. Najwspanialszych wojów z Yutmarku, Inglefoldu i Nizin. Najstraszniejszych Shendów. Najbardziej bezwzględnych najemników zwabionych z różnych zakątków świata obietnicą łupów. Warownię otaczała cała niezrównana potęga Najwyższego Króla, zgromadzona przez Babkę Wexen w jednym celu. Największa armia od czasów, gdy elfy wypowiedziały wojnę Bóstwu, przybyła tu po to, aby unicestwić Kolla.

Oczywiście nie tylko jego, ale gdyby plan Ojca Yarwiego się nie powiódł, przyszłość jego ucznia malowała się w czarnych barwach.

Zdał sobie sprawę, że kurczowo trzyma się krawędzi muru, i z wysiłkiem rozwarł bolące palce. Nie bał się tak od czasu, gdy... tak się bał. Po chwili zastanowienia przyznał, że nie było to tak dawno. Na Strokomie. A wcześniej podczas spotkania z księciem Varoslafem i jeszcze wtedy, gdy wspinał się na mury fortecy niedaleko miejsca, w którym teraz stał.

– O bogowie – mruknął pod nosem, patrząc, jak dziesiątka miniaturowych wysłanników zatrzymuje się na niewielkim garbie ziemi, aby zaczekać tam na to, co musiało się stać. – Powinienem się nauczyć odwagi.

– Lepiej naucz się unikać niebezpieczeństw – poradziła cicho Skifra.

Zerknął na starą wojowniczkę, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami przy blankach, opierając głowę o chłodny kamień. Twarz kryła głęboko pod kapturem połatanej peleryny, tak że widział jedynie jej usta wykrzywione lekkim uśmiechem.

– Naprawdę możemy pokonać tylu ludzi? – spytał szeptem, nerwowo zaciskając w dłoni palce drugiej ręki.

Skifra rozplotła długie nogi, wstała i szybkim ruchem głowy zrzuciła kaptur.

– Tych tam? Ha! – Palcem podłubała w nosie, a potem sprytnie pstryknęła tym, co stamtąd wydobyła, w stronę wojsk Najwyższego Króla. – Szkoda, że nie ma ich więcej. – Wyciągnęła do niego rękę i Koll ostrożnie podał jej pierwszy dziwny bęben, jak gdyby lękał się, że to coś za chwilę buchnie płomieniami. – Żadna armia nie zdoła pokonać potęgi elfów. – Skifra lekko stuknęła bębniem w bok głowy, a potem wsunęła go w tępo zakończony artefakt. Gdy rozległ się cichy trzask, który oznaczał, że trafił na właściwe miejsce, obróciła nim tak, że zaterkotał, a zapisane na nim litery zlały się w smugę. – Sam zobaczysz.

– Myślisz, że chcę to widzieć?

– Wszyscy zobaczą, czy tego chcą czy nie. – Nogę oparła o występ w blankach, a łokieć o kolano, i wycelowała elf-broń w szare niebo. Wysoko nad twierdzą ptaki zataczały łagodne kręgi. Może czuły, że wkrótce czeka je ucztą. – Ciesz się, młokosie, jeśli wiesz jak. – Skifra głęboko wciągnęła powietrze przez nos, uśmiechnęła się i wypuściła je ustami. – Znaki są wielce pomysłne.

Po chwili zaczęła nucić coś cicho w języku elfów.

Skara już ich widziała i jej serce zaczęło bić jeszcze szybciej. Grupa ludzi

Najwyższego Króla, ustawionych podobnie jak wysłannicy z twierdzy, szła ku nim przez otwarte pole. Wydawało jej się, że czas pełźnie. Miała chęć pobiec ku nim, żeby walczyć, krzyczeć, robić cokolwiek, byle nie stać w miejscu i nie czekać.

Nie byli to zwyczajni wojownicy. Na przegubach i palcach nosili lśniące kołomonety, które całemu światu pokazywały, jak są sławni. Złoto na rękojeściach mieczy, jantar w okuciach tarcz i zdobione grawerunkami wysokie hełmy świadczyły o licznych zwycięstwach.

– Piękni dranie – warknął Raith i zacisnął usta.

– Nawet na królewskim ślubie nie zobaczysz tyłu klejnotów – burknął Siny Jenner.

Wszyscy uśmiechali się tak jak wtedy, gdy zabijali ludzi, których Skara kochała. Tak jak wtedy, gdy palili siedzibę jej dziada, miasta i ziemie, na których dorastała. Poczula, jak jej żołądek zaciska się boleśnie, a skóra poci pod ciężką kolczugą.

– Ilu ich jest? – usłyszała cichy głos Gorma.

– Naliczyłem dwudziestu pięciu – odparł Rulf. – A do tego minister.

– Matka Adwyn – warknęła Scaer. – Służy Babce Wexen na posyłki.

Od strony fortecy wiatr przyniósł echo monotonnego śpiewu.

– Dwudziestu czy dwadzieścia tysięcy – Ojciec Yarvi mocniej chwycił swoją elf-laskę – koniec będzie taki sam.

Patrząc na Yillinga, który swobodnie kroczył na czele swoich Kompanów, Skara zastanawiała się jaki.

Poza świeżą raną na policzku – pamiętce po pojedynku z Uthilem – wyglądał tak samo jak wtedy, gdy mordował jej dziada. Z tym samym obojętnym uśmiechem ścinał głowę Matce Kyre. Tak samo martwymi oczami patrzył na Skarę w mrocznym Lesie. Poczula mdłości, więc zwarła pięści, zęby, a nawet pośladki. Tymczasem Yilling bezceremonialnie zatrzymał się kilka kroków przed Ojcem Yarvim.

– Jaka szkoda, miałem nadzieję pójść po was do twierdzy – odezwał się.

– Oszczędziliśmy ci trudu – warknęła Skara.

– To żaden trud, królowo Skaro. – Wstrzymała oddech, gdy Yilling spojrział prosto na nią. Na jego czole pojawiła się lekka zmarszczka zdziwienia. – Chwileczkę... mam wrażenie, że gdzieś się już spotkaliśmy. – Podskoczył jak podekscytowany chłopiec. – Ależ tak! Pamiętam! Niewolnica w siedzibie króla Fynna! – Z zadowoleniem plasnął się po udzie. – Tamtej nocy udało ci się mnie przechytrzyć!

– I zrobię to znowu – odparła.

– Obawiam się, że już ci się nie uda. – Wzrok Yillinga powędrował dalej. – Łamaczu Mieczy, przybyłeś tu, aby ze mną walczyć, tak jak Uthil?

Gorm pokręcił głową i ogarnął wzrokiem Kompanów Yillinga. Wszyscy luźno trzymali dłonie na rękojeściach mieczy, trzonach toporów i drzewcach włóczni, groźni i pewni siebie.

– Nie pora teraz na to – oznajmił.

– Żałuję niezmiernie. Miałem nadzieję posłać Śmierci kolejnego słynnego wojownika i dodać twoją pieśń do mojej, aby brzmiała jeszcze wspanialej. – Yilling zerknął przez ramię na Matkę Słońce i westchnął obłokiem pary. – Być może Zadra Bathu wreszcie przestanie się kryć. Podczas jednego z rajdów zabiła mojego ulubionego konia. – Zmarszczył czoło i spojrział w bok na wysokiego wojownika z zatkniętym za pas rogiem. – Co za bezczelność z jej strony, nie sądzisz, Vordenholdzie?

W brodzie Vordenholda błysnęły białą zębą.

– Z tego właśnie słynie.

– Wojownicy. – Yilling Wspaniały wydał gładkie policzki. – Opętani żądzą sławy. A to zapewne Ojciec Yarvi.

– Zgadza się. – Poplamione fioletem wargi Adwyn skrzywiły się pogardliwie. – I dziwię się, że go tu widzę. Byłam pewna, że po cichu się wymknął, gdy rozpoczęło się oblężenie.

Minister Gettlandu wzruszył ramionami.

– Wemknąłem się z powrotem.

Skara miała wrażenie, że za chwilę krew uderzy jej do głowy. Ramiona Matki Scaer lekko drgnęły i pod jej peleryną coś się poruszyło.

Uśmiech nie schodził z twarzy Yillinga.

– Cieszę się, że wreszcie mogę poznać cię osobiście. Trudno uwierzyć, że tak młody człowiek narobił tyle zamieszania.

– To samo można powiedzieć o tobie – przyznał Yarvi. Monotonna pieśń stawała się coraz głośniejsza. Jeden z Kompanów spojrział na wieżę warowni i zmarszczył brwi. – Czy to prawda, że zamordowałeś króla Brattę i zrobiłeś sobie z jego czaszki puchar?

– Prawda. – Yilling beztrzesko wzruszył ramionami. – Ale wino wycieka z niego otworami nosa.

– Może jest w tym jakaś lekcja – stwierdził Yarvi i ścisnął swoją laskę tak mocno, że Skara zobaczyła na bladym wierzchu jego dłoni wyraźne powrozy żył. – Nie wszystko układa się po naszej myśli.

– Sam powinienes pojąć tę lekcję – warknęła Matka Adwyn. – Niedawno Babka Wexen dała ci jeszcze jedną szansę, lecz ty odtrąciłeś hojną rękę.

Skara, słysząc to, zacisnęła zęby. Zamiast hojności pamiętała trupy w siedzibie dziada i lunę nad Yaletofem na tle czarnego horyzontu.

– Teraz nic ci już nie pomoże. Zakuci w łańcuchy traficie do Skeken, aby wysłuchać wyroku Jednobóstwa.

– Wyrok zabrzmi! – Skara miała przed oczami obraz dziada leżącego w palenisku i krwi kapiącej ze sztychu miecza Yillinga. Serce biło jej tak mocno, że niemal zagłuszało słowa. – Lecz nie wygłosi go Jednobóstwo i nie my go wysłuchamy.

Uśmiechy Kompanów gasły powoli, a dłonie zaciskały się na broni. Yilling założył zabłąkany kosmyk włosów za ucho.

– Jest piękna, ale za dużo mówi – oznajmił i zerknął na mury fortecy.

Dziwne zawrośnięcie brzmiało teraz tak głośno, że nie dało się go ignorować.

Matka Adwyn gniewnie spojrzała na Yarwiego.

– Razem z królową Laithlin zostaniecie oskarżeni o używanie magii elfów i będziecie musieli odpowiedzieć za swoje zbrodnie!

– Doprawdy? – Ojciec Yarvi szczerknął śmiechem. – Pozwól, że najpierw pokażę ci tę magię.

Szarpnął do góry laskę, oparł ją na przykurczonej dłoni, a koniec wycelował w pierś Yillinga.

Oblicze rycerza Najwyższego Króla zastygło między zdziwieniem a znudzeniem. Uniósł rękę w kierunku Yarwiego, jak gdyby chciał ukrócić głędzenie ministra.

– Pozdrów swoją panią! – zawołała Skara.

Rozległ się rozdzierający trzask. Coś wyleciało z końca laski Yarwiego. Palce Yillinga znikły i krew obryzgała mu twarz.

Cofnął się jak pijany i spojrzał w dół. Okaleczoną dłoń przycisnął do piersi. W lśniącej kolczudze Skara dostrzegła niewielki otwór. Wokół już było widać ciemną krew.

– O – stęknął, ze zdumienia unosząc brwi, po czym runął na ziemię.

– Na bogów – sapnął ktoś.

Czyjs miecz z sykiem wysunął się z pochwy.

Słońce odbiło się w okuciu tarczy i błysnęło Skarze w oczy.

Matka Scaer odepchnęła ją na bok, odrzucając połę peleryny.

Gdzieś obok załopotwały skrzydła. Ptak poderwał się z trawy i poszybował w niebo.

Vorenhold uniósł włócznię i wściekle zmarszczył nos.

– Zdrajcy...

Matka Scaer stanęła między Gormem i Soryornem, którzy wysunęli tarcze przed siebie. Ściągną na jej wytatuowanych ramionach napięły się, gdy podniosła wielki artefakt elfów na wysokość ramienia.

– Nie! – wrzasnęła Matka Adwyn.

INNA STAL



Raith podniósł rękę, żeby zablokować pchnięcie pozłacanej włóczni, ale w tym samym momencie coś roztrzaskało tarczę przeciwnika i wykrzywiło żelazną obręcz. Wojownik poleciał do tyłu jak uderzony potężnym młotem. Jego piękna, barwiona na zielono peleryna zajęła się ogniem, a połamana włócznia odskoczyła w bok, koziołkując.

Chwilę później rozległ się przeciągły łoskot.

Grzmoty jak podczas rozbicia Bóstwa. Brzęczące dudnienie, szybkie niczym uderzenia dzięcioła. Broń elfów szarpała się w rękach Matki Scaer niby żywa i okrutnie trzęsła całym jej ciałem. Krzyk minister przeszedł w urywany bulgot. Z góry sypały się odłamki metalu, a gardziel artefaktu pluła ogniem.

W chwili krótszej niż urwany oddech, nim Raith zdążył mrugnąć piekącymi powiekami, Kompani Yillinga – sami wysławiani w pieśniach wojownicy – padli jak zmiażdżone na kowadle żuki, jak ścięte kosą zboże. Wkoło tryskała krew, leciały drzazgi i pierścienie kolczug, roztrzaskana broń wypadała z rąk, a urwane kończyny fruwały jak źdźbła słomy podczas wichury.

Raith rozdziawił gębę. Daleko za sobą usłyszał kolejne trzaski. Lance płomieni pomknęły z murów fortecy. Odruchowo się skulił, gdy w obozie armii Najwyższego Króla coś błysnęło i zakwitło monstrualnym ogniem. Potrzaskane pale, ziemia, zbroje, ludzie i strzepy ludzi wyleciały wysoko w powietrze. Grunt zadrżał – Ojciec Ziemi zadygotał przerażony straszną mocą elfów.

Topór wydawał się bezużyteczną zabawką, więc Raith upuścił go na ziemię, złapał Skarę za rękę i pociągnął za swoją tarczę. Siny Jenner dołączył do niego z jednej strony, a Rulf z drugiej, tworząc mizerną zasłonę. Kulili się z przerażenia, podczas gdy ministrowie siali Śmierć na zniszczonej ziemi pod fortecą Baila.

Rozległ się huk. Broń szarpnęła się w rękach Skifry i smuga dymu zakreśliła w powietrzu łuk, mknąc ku szeregom armii Najwyższego Króla. Dotknęła ziemi

pośrodku prowizorycznej zagrody dla koni. Koll wstrzymał oddech, gdy ogień wystrzelił w górę szponami płomieni. Łoskot był tak straszliwy, że zakrył dłońmi uszy.

Część koni wyleciała w powietrze jak zabawki rozrzucone przez niegrzeczne dziecko. Inne stawały dęba w ogniu albo uciekały, ciągnąc za sobą płonące wozy. Z gardła Kolla dobył się zduszony jęk przerażenia. Nie miał pojęcia, do czego są zdolne elf-maszyny, ale nawet mu się nie śniło, że potrafią coś takiego.

Bogowie wiedzieli, że nie kochał walki, ale rozumiał, dlaczego bardowie śpiewają o bitwach. O pojedynkach wielkich wojowników. O próbach odwagi i umiejętności. Tyle że w tym nie było ani odwagi, ani umiejętności. Jedyne ślepa siła zniszczenia bez krzty honoru i wzniosłości.

Skifry nie obchodził honor. Pragnęła tylko zemsty. Uderzyła dłonią w bok broni i bęben wypadł za mury. Kilka razy odbił się od ziemi, zanim zatrzymał się w rowie. Stara wojowniczką wyciągnęła rękę.

– Następny.

Wkoło nich artefakty elfów trzaskały i huczały, atakując uszy Kolla takim hałasem, że nie był w stanie myśleć.

– A-ale... – wyjąkał. – Ja...

– Phi! – Skifra zanurzyła rękę w jego worku i znalazła to, czego potrzebowała. – Kiedyś mówiłeś, że chcesz zobaczyć czary! – Załadowała nowy bęben w dymiący otwór, z którego wypadł poprzedni.

– Zmieniłem zdanie. – To potrafił najlepiej, czyż nie? Hałas wyjącej broni, wyjących ludzi i wyjących zwierząt zagłuszył jego słowa. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Wyjrzał znad blanków. Z nosem przy murze próbował dopatrzeć się w chaosie jakiegoś sensu. Po północnej stronie dojrzał walczących. Błyski stali pośród dymu. W kipiącej masie wojowników kiwały się totemy z kości i skóry.

Koll wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej.

– Shendowie atakują ludzi Najwyższego Króla!

– Tak jak kazał im Ojciec Yarvi – oznajmiła Skifra.

– Nic mi o tym nie wspomniał. – Koll spojrział na nią zdziwiony.

– Skoro jeszcze nie wiesz, że Ojciec Yarvi nigdy nie mówi więcej, niż musi, nie ma dla ciebie nadziei.

Na wschód od twierdzy oddziały Najwyższego Króla próbowały uformować

zaporę z tarcz. Koll zobaczył, jak jeden z wojowników rzuca się naprzód z podniesionym mieczem. Wielka odwaga – lecz ich zasłona równie dobrze mogła być z pajęczych sieci. Od strony grupy otaczającej rzeźbę dziobową z *Wiatru Południa* dobiegł szczekliwy zgrzyt i niedoszły bohater runął na ziemię, a tarcze w szeregu za nim przewróciły się jak monety, które ktoś pstryknął palcem.

– To za mało. – Skifra podniosła elf-broń na wysokość policzka.

Koll wcisnął palce w uszy. Miał chęć wyć. Kolejny grzmot. Nowa smuga dymu. Jeszcze jeden huk, od którego zadrżała ziemia, i wielka wyrwa w linii wroga. Ilu ludzi zginęło w okamgnieniu? Znikło w ogniu, jak gdyby nigdy nie istnieli, lub wyleciało w powietrze, jak iskry w kuźni Riny?

Obrona się załamała. Zwykli ludzie nie mogli się przeciwstawić mocy, która zniszczyła Bóstwo. Miecze i łuki były bezużyteczne. Podobnie jak zbroje i tarcze. Odwaga i sława nic tu nie znaczą. Niezwyciężone zastępy Najwyższego Króla rzuciły się do ucieczki, zalewając trakt i okoliczne pola. Nikt nie dbał o to, dokąd biegnie, byle znaleźć się jak najdalej od twierdzy Baila. Tratowali namioty i pozbywali się rynsztunku, gnani strachem przed wyjąłymi Shendami i bezlitosną bronią elfów. Z armii, która miała tylko jeden cel, zmienili się w ogarniętą paniką zwierzęta, które nie miały żadnego.

Koll zmrużył oczy. Za uciekinierami dojrzał we mgle poranka jakiś ruch. Z lasu nieopodal opuszczonej osady wypadły konie.

– Jeźdźcy – powiedział, pokazując tam.

Skifra opuściła elf-broń i wybuchła śmiechem.

– Ha! O ile mnie oczy nie mylą, moja najlepsza uczennica właśnie wkroczyła do akcji. Zadra nigdy nie przepuści okazji do walki.

– To nie walka – wyszeptał Koll. – To zwykła jatka.

– Okazji do jatki też nie przepuści.

Ślady po oparzeniach na szyi Skifry zmarszczyły się nienaturalnie, gdy wyprostowała się i rozejrzała wkoło. Potężna armia Babki Wexen rozsypała się jak plewy na wietrze. Jeźdźcy Zadry śmigali między uciekającymi, dosięgając kolejnych lśniąca stają i gnając resztę na północ przez czarne zgliszcza osady.

– Ha! – Skifra wyciągnęła bęben z elf-broni i rzuciła go do Kolla, który w panice kilka razy podbił go rękami, zanim go chwycił i rozpaczliwie przycisnął do piersi. – I po robocie.

Niepewnie, z wysiłkiem, powoli niczym ćma wydostająca się z kokonu, Skara odsunęła rękę Raitha i przytrzymując się brzegu tarczy, chwiejnie wstała.

Wkoło brzmiały dziwne dźwięki. Wycie, wrzaski, krzyki ptaków. Od czasu do czasu szarpany szczek elf-broni. Wydawały się odległe, jakby dochodziły z innego miejsca i czasu.

Matka Scaer masowała posiniaczone ramię. Z obrzydzeniem cisnęła dymiący jeszcze artefakt na ziemię.

– Nic ci nie jest, najjaśniejsza pani? – Głos Sinego Jennera.

Chwilę trwało, zanim Skara pojęła, że pytanie było skierowane do niej. Półprzytomnie spojrzała po sobie. Jej kolczuga zupełnie się przekręciła, więc zaczęła ją poprawiać i wycierać bok z błota.

– Jestem brudna – wyjąkała, jak gdyby miało to jakieś znaczenie. Język poruszał się za wolno w wyschniętych ustach. Mrugając, spojrzała na pole bitwy. Jeśli to, co się stało, można było nazwać bitwą.

Palisada była krzywa i połamana. W wielu miejscach widniały wielkie wyrwy. Wszędzie leżały tłące się stosy ziemi, rynsztunku i ciał. Armia Najwyższego Króla – która kilka chwil wcześniej budziła przerażenie – rozpierzchła się jak mgła przed Matką Słońcem.

Ojciec Yarvi przyglądał się porozrywany trupom Kompanów Yillinga. Pod pachą wciąż trzymał swoją elf-laskę – elf-broń. Nie uśmiechał się ani nie krzywił. Nie cieszył się ani nie smucił. Na twarzy miał wystudiowaną maskę spokoju. Wyglądał jak artysta zadowolony ze swojego dzieła.

– Wstawaj, Matko Adwyn – powiedział.

Minister uniosła głowę spomiędzy ciał. Krzepnąca krew przykleiła czerwone włosy do jej czaszki.

– Coś ty zrobił? – Spojrzała na Yarwiego z niedowierzaniem i rezygnacją. Ubrudzoną błotem twarz znaczyły szlaki łez. – Coś ty zrobił?

Yarvi wsunął przykurczoną dłoń pod połę jej kurty i szarpnięciem postawił służkę Babki Wexen na nogi.

– Dokładnie to, o co mnie oskarżaliście! – warknął. – Gdzie jest teraz wasz sąd? Gdzie ławnicy? Kto wyda na mnie wyrok? – Potrząsnął przed nią swoją laską-bronią i pchnął skuloną kobietę z powrotem między trupy.

Jeden z Kompanów dźwignął się z ziemi jak wyrwany ze snu. Skara ledwo go rozpoznała. Vordenhold. Strzępy jego kolczugi przypominały nędzne okrycie

żebraka, kawałki tarczy zwisały z pogiętej obręczy, bezucha strona twarzy cała była podrapana i zakrwawiona, a ręka, w której wcześniej trzymał włócznię, kończyła się w łokciu.

Nieporadnie wyciągnął zza pasa róg i podniósł go do ust, jakby chciał zadąć. Ze zdziwieniem spojrzął na ułamany koniec.

– Co to było? – wybełkotał.

– Twoja śmierć. – Gorm położył mu dłoń na ramieniu i lekko pchnął go na kolana, po czym machnął mieczem i głowa wojownika potoczyła się po ziemi.

– Gdzie jest Yilling? – spytała cicho Skara, chwiejnie podchodząc do ciała. O bogowie. Ledwie mogła rozróżnić zabitych. Kompani, którzy przed kilkoma chwilami stali dumnie wyprostowani, przypominali teraz odpadki z rzeźni. Może powinna triumfować, ale czuła jedynie przerażenie. – To koniec świata – wyszeptła. Na pewno koniec tego, jaki знаła. To, co dotychczas uważano za potęgę, już nią nie było. To, co wydawało się pewne, spowiła mgła wątpliwości.

– Ostrożnie, królowo – powiedział Raith, ale nie zwróciła na niego uwagi. Prawdę mówiąc, nawet go nie usłyszała.

Zauważyła Yillinga. Leżał wciśnięty między trupy innych, z rozrzuconymi rękami i podwinętą nogą. Kolczugę miał ciemną od krwi.

Powoli podeszła bliżej. Zobaczyła gładki policzek z długim śladem draśnięcia, którym naznaczył go Uthil.

Jeszcze bliżej. Patrzyła zafascynowana i zarazem przerażona. Nawet w chwili śmierci jego pełne wargi wykrzywał obojętny uśmiezek.

Pochyliła się nad nim. To samo spojrzenie bez wyrazu, które prześladowało ją w koszmarach od tamtej nocy w siedzibie dziada. Odkąd poprzysięgła się zemścić.

Czyżby drgnął mu policzek?

Zduśliła jęk, gdy skierował na nią wzrok. Pисnęła cicho, gdy chwycił ją za kolczugę i pociągnął ku sobie. Jej ucho znalazło się tuż przy jego twarzy. Tak blisko, że usłyszała jego rzeźący oddech. I słowa. A one mogą być orężem.

Dłoń zacisnęła na rękojeści sztyletu. Mogła bez trudu go dobyć. Wystarczył jeden ruch nadgarstka, aby posłać Yillinga za Ostatnie Wrota. Tak często o tym marzyła. Teraz jednak przypomniała sobie, co powtarzał jej dziad: **W o b e c w r o g ó w b ą d ź r ó w n i e w i e l k o d u s z n a j a k w o b p r z y j a c i ó ł . N i e r ó b t e g o z e w z g l ę d u n a n i c h , l d l a w ł a s n e g o d o b r a**

Usłyszała warknięcie Raitha i zobaczyła jego cień. Gwałtownie sięgnęła za siebie,

aby go powstrzymać. Ręka Yillinga opadła bezwładnie. Skara odsunęła się i spojrzała w upstrzoną cętkami krwi twarz rycerza.

Wsunął coś w jej dłoń. Skórzaną sakiewkę. W środku dostrzegła zwiłki papieru. Takie jak te, które Matka Kyre zdejmowała ze szponów orłów Babki Wexen.

Ponownie pochyliła się nad Yillingiem – już bez lęku. Ulotniła się także jej nienawiść. Ujęła jego dłoń, a drugą rękę wsunęła mu pod głowę i łagodnie uniosła ją ku sobie.

– Zdradź mi imię – wyszeptła, po czym przysunęła ucho do jego warg. Tak blisko, że usłyszała jego ostatnie tchnienie. Ostatnie słowo.

MARTWI



To było wielkie wydarzenie.

Wielu znakomitych Gettów, którzy nie wyruszyli na wojnę, zapewne z oburzeniem przyjęło wieść, że król Uthil spoczął w kurhanie pod twierdzą Baila. Pozbawiono ich szansy na pokazanie się wśród najważniejszych osobistości podczas ceremonii, które miały jeszcze długo żyć w pamięci ludzi.

– Ich gniew jest dla mnie wart tyle co kurz na drodze – wycodziła Laithlin przez zęby. Śmierć jej męża uczyniła z niej królową regentką, a mały król Druin trzymał się jej spódnicy – i jej władzy – bardziej kurczowo niż zwykle.

Zadra Bathu czuwała u boku monarchini i obrzucała wszystkich wzrokiem tak złym i mściwym, że jedynie największym śmiałkom starczało odwagi, aby na moment spojrzeć jej w oczy. Gdy Laithlin coś postanowiła, nikt nie śmiał się jej sprzeciwić.

Na pogrzebie Żelaznego Króla i tak nie zabrakło największych sław.

Obecna była Skara, młoda władczyni Throvenlandu, wcześniej żałosna królowa na wygnaniu, teraz podziwiana za odwagę i miłosierdzie, a przede wszystkim za spryt. Towarzyszył jej białowłosy obrońca, który milczał i łypał groźnie zza jej siedziska.

Obecny był także narzeczony Skary, Grom-gil-Gorm, Łamacz Mieczy i Twórca Sierot, z jeszcze dłuższym łańcuchem głowic na szyi i posępnie zamyśloną Matką Scaer u boku.

Obecna była okryta złą sławą wiedźma Skifra, która w kilka chwil zabiła więcej wojowników niż król Uthil przez całe krwawe życie. Siedziała ciasno opatulona połami połatanej peleryny, szukając znaków w piachu między skrzyżowanymi nogami.

Obecna była również Svidura, najwyższa kapłanka Shendów, z zawieszoną na rzemieniu zieloną elf-tabliczką na piersi. Podobno Ojciec Yarvi niegdyś wyblągał sobie prawo gościa przy jej ognisku po burzy i przekonał ją, aby zawarła sojusz

z Babką Wexen, a wreszcie, by go złała, kiedy jemu było to po myśli.

Oczywiście nie zabrakło również wyjątkowo przebiegłego ministra Gettlandu, który sprowadził elf-broń z zakazanego Strokomu i dzięki niej rozgromił armię Najwyższego Króla, na zawsze zmieniając Morze Drzazg.

Towarzyszył mu jego uczeń, Koll, w za cienkiej na tę porę roku kurcie. Siedział smagany morskim wiatrem, zmarznięty, żaloszny i święcie przekonany, że nie powinien w ogóle tu być.

Królewski okręt, najwspanialszy w zatłoczonym porcie twierdzy Baila – dwadzieścia cztery wiosła w każdej burcie – ze zgrzytem kila sunął po bruku dziedzińca, gdy najgodniejsi wojownicy ciągnęli go na wybrane miejsce. Ten sam, na którym król Uthil przepłynął Morze Drzazg podczas słynnego najazdu na Wyspy. Ten sam, który wracał obciążony niewolnikami i łupami po zwycięskiej wyprawie.

Na pokładzie spoczęło ciało monarchy owinięte w zdobyczny sztandar Yillinga. Wokół ułożono ofiary w porządku, który według modłotkacza Brinyolfa miał najbardziej zadowolić bogów.

– Z nicości w nicość – wychrypiał Rulf, kładąc przy królu jedną strzałę.

Koll miał wrażenie, że weteran z trudem powstrzymuje łzy.

– Tak, ale ile przygód po drodze. – Ojciec Yarvi dotknął ramienia starego sternika.

Królowa Laithlin przykryła ramiona martwego króla czarną futrzaną peleryną i pomogła synkowi umieścić wysadzany klejnotami puchar między pięściami ojca. Na koniec położyła dłoń na piersi męża. Długo na niego patrzyła, zaciskając szczęki. W końcu Ojciec Yarvi podszedł do niej i Koll usłyszał jego szept:

– Matko?

Bez słowa odwróciła się i poprowadziła żałobników na miejsca. Wiatr znad morza poruszał zdeptanymi trawami na polu, gdzie rozegrała się bitwa – a raczej rzeź – i smagał żdźbłami buty obecnych.

Kopyta trzech tuzinów zdobycznych koni zadudniły o deski. Zwierzęta wprowadzono na okręt i zarżnięto, aby ich krew zmyła pokład. Wszyscy byli zdania, że Śmierć z szacunkiem przeprowadzi króla Uthila przez Ostatnie Wrota.

– Martwi zadrzą na wieść, że on się zbliża – wyszeptał Łamacz Mieczy i potężnie pociągnął nosem.

Koll zobaczył lśniące łzy na jego zarośniętych policzkach.

– Dlaczego płaczesz? – spytała Skara.

– Gdy wspaniały wróg odchodzi za Ostatnie Wrota, smutek jest tak wielki jak wtedy, gdy odchodzi wspaniały przyjaciel. Uthil był dla mnie i jednym, i drugim.

Ojciec Yarvi pomógł młodemu królowi Druinowi przytknąć pochodnię do smolnego łuczywa. W mgnieniu oka cały okręt ogarnęły płomienie, a z piersi wojowników stojących nieopodal wielkim półkolem dobył się zbiorowy jęk. Wszyscy powtarzali smutne opowieści o męstwie Uthila, śpiewali smutne pieśni o jego szczęściu do oręża i zapewniali, że takiego fechtmistrza już nigdy nie zobaczą.

Jego następca, który dopiero miał świętować trzecie urodziny, siedział na za wielkim dla niego krześle, machając nogami. Wykuty przez Rinę miecz, który jego ojciec zawsze nosił przy sobie, leżał teraz obnażony na kolanach małego króla, a on sam uśmiechał się promiennie do procesji wojowników, którzy kolejno przyrzekali mu wierność i składali wyrazy współczucia oraz dary świeżo zrabowane poległym członkom armii Najwyższego Króla. Malec witał się z każdym i jadł ciastka, którymi karmiła go matka. Całą buzię miał umorusaną miodem.

Ojciec Yarvi spojrział na niego.

– Ma niecałe trzy lata, a radzi sobie z tym lepiej niż ja, gdy byłem na jego miejscu.

– Być może. – Królowa Laithlin zmierzwiła jasne włosy Druina. – Rzeczywiście trzyma się bardziej prosto, ale nie złożył tak wspaniałej przysięgi jak ty.

– Bo nie musi. – Yarvi poruszył szczękami, spoglądając na ogień. – Moja wciąż wiąże nas wszystkich.

Siedzieli, marząc i milcząc. Ojciec Księżyc wspiął się na niebo i pokazały się także jego dzieci-gwiazdy. Blask płonącego okrętu, płonących darów i płonącego monarchy padał na twarze setek żałobników. Siedzieli, dopóki nie przeszła przed nimi cała procesja wojowników. Mały król w końcu zasnął w objęciach królowej Skary. Siedzieli, aż przygasły płomienie i z kila zostały rozżarzone węgle. Pierwsze smugi świtu barwy błota dotknęły chmur i obudziły błyski w niespokojnym morzu, a w trawie rozszczebiały się ptaki.

Królowa Skara łagodnie dotknęła dłoni królowej Laithlin i Koll usłyszał jej szept:

– Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie. Zginął tak, jak chciał. Ze stałą w rękę. Żelazny Król! Choć... miał w sobie nie tylko żelazo. Żałuję jedynie... że nie było mnie przy nim w jego ostatnich chwilach. – Laithlin potrząsnęła głową i cofnęła dłoń spod ręki Skary, po czym szybko otarła oczy. – Wierz mi, dobrze wiem, co jest ile warte. Za żal niczego

się nie kupi.

Królowa regentka klasnęła w dłonie i niewolnicy w metalowych obręczach na szyjach zaczęli sypać ziemię wokół tłącego się jeszcze stosu. Nowy kopiec powoli rósł obok kurhanów zabitego w bitwie ojca królowej Skary, jej pradziada Horrenhoda zwanego Czerwonym oraz innych królów i królowych Throvenlandu, potomków samego Baila Budowniczego. Ich grobowce biegły szeregiem pagórków, ginąc we mgle historii.

Laithlin wstała i poprawiła na piersi klucz do skarbcza Gettlandu.

– Każ zebrać ludzi. – W jej głosie nie słyhać było wątpliwości ani żalu. – Jeszcze dziś wypływamy do Skeken.

W oddali pojmani wojownicy Najwyższego Króla wciąż układali poległych towarzyszy na znacznie mniej okazałych stosach. Po dziesięciu. Po stu. Smugi dymu kreśliły niebo na wiele mil wokoło.

Koll został ministrem, aby się uczyć, nie zabijać. Aby zmieniać świat, nie go niszczyć.

– Kiedy to się wreszcie skończy? – spytał szeptem.

– Gdy dotrzymam przysięgi. – Oczy Ojca Yarwiego były zupełnie suche, gdy spojrział na szarą Matkę Wód. – Ani chwili wcześniej.

Do ostatniego stopnia Koll walczył sam ze sobą. Nie wiedział, czy powinien schodzić na dół.

Słyszał dzwonienie młota Riny. I melodię, którą fałszywie nuciła przy pracy. Dawniej, gdy zjawiał się w progu kuźni, słyszał w niej powitanie. Jak gdyby śpiewała tylko dla niego. Teraz czuł się jak intruz, który podsłuchuje prywatną rozmowę między nią a kowadłem.

Ogień rzucał ciepły blask na jej twarz. W skupieniu marszczyła brwi i zaciskała usta w cienką kreskę. Klucz odrzuciła na plecy, tak że łańcuszek ciasno oplatał jej spoconą szyję. Zawsze starała się robić wszystko jak najlepiej. Uwielbiał to w niej.

– Wzięłaś się teraz do złota? – spytał.

Podniosła głowę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, poczuł, że brakuje mu tchu. Tak bardzo za nią tęsknił. Tak bardzo chciał ją przytulić. I poczuć, jak ona go obejmuje. Nieraz myślał – nienawidząc się za to – że może nie jest dość ładna. Że a nuż jakaś ładniejsza wpadnie mu kiedyś w ramiona. Teraz nie mógł uwierzyć, że tak uważał.

Bogowie, ależ był głupcem.

– Król Druin ma mniejszą głowę niż jego ojciec. – Rina szczypcami podniosła zmniejszony królewski diadem, po czym położyła go z powrotem na kowadle i wróciła do pracy.

– Sądziłem, że interesuje cię tylko stal. – Zamierzał wejść do kuźni swobodnie jak dawniej, ale każdy krok był wyzwaniem dla jego nerwów. – Miecze dla królów i kolczugi dla królowych.

– Podejrzewam, że miecze i kolczugi nie będą już tak popularne po tym, co zrobiła broń elfów. Trzeba się zmieniać. Jak najlepiej wykorzystywać to, co daje nam życie. Z uśmiechem stawiać czoło nieszczęściom, prawda? – prychnęła. – Tak powiedziała by Brand. – Koll drgnął na dźwięk tego imienia. Na myśl, że zawiódł człowieka, który traktował go jak brata. – Po co tu przyszedłeś?

Niepewnie przełknął ślinę. Ludzie często powtarzali, że miał dar do słów. Tyle że tak naprawdę miał dar jedynie do takich, które nic nie znaczyły. Zupełnie nie umiał mówić o tym, co czuje. Wepchnął rękę do kieszeni i poczuł chłodny dotyk złotej elf-bransolety, którą zabrał ze Strokomu. Prezent na zgodę, jeśli zgodziłaby się go przyjąć.

– Tak sobie myślę, że... że może... – Odchrząknął. Zaschło mu w ustach. Spojrzał na nią z poczuciem winy. – ...źle wybrałem? – Chciał, aby zabrzmiało to pewnie. Jak szczerze wyznanie. Tymczasem wyszło piskliwie, jakby szukał dla siebie usprawiedliwienia.

Na Rinie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Powiedziałeś już Ojcu Yarviemu?

Skrzywił się i spuścił wzrok, ale w swoich butach nie dopatrzył się żadnej odpowiedzi. Buty zwykle ich nie miały.

– Jeszcze nie... – Nie starczyło mu oddechu, aby wyznać, że zamierza to zrobić, jeśli ona go o to poprosi.

Nie poprosiła.

– Naprawdę nie chcę sprawiać ci przykrości, Kollu – powiedziała, a on skrzywił się jeszcze mocniej, bo ludzie mówili tak wtedy, gdy zamierzali to zrobić. – Mam jednak wrażenie, że wszystko jedno, co postanawiasz, zaraz zaczynasz myśleć, że podjąłeś złą decyzję.

Pragnął jej powiedzieć, że to niesprawiedliwe. Wyjaśnić, że sam już nie wie, na czym mu zależy, bo utknął między tym, czego chce Ojciec Yarvi, czego chce Rina, czego chciałby Brand i czego życzyłaby sobie jego matka.

Ale zdołał jedynie wykrztusić:

– Aha. I nie jestem z siebie dumny.

– Ja też nie. – Odłożyła młot, a kiedy ich oczy znów się spotkały, nie wydawała się zagniewana. Raczej smutna. Może nawet trochę skruszona. Obudziła się w nim nadzieja, że Rina mu wybaczy, ale wtedy ona powiedziała: – Dzieliłam łóżę z innym.

Nie od razu pojął jej słowa, a kiedy wreszcie je zrozumiał, natychmiast pożałował. Jego dłoń zacisnęła się boleśnie wokół elf-bransolety w kieszeni.

– Ty... z kim?

– A jakie to ma znaczenie? Nie o niego tu chodzi.

Spojrzał na nią, ogarnięty nagłą furią. Poczłł się zdradzony. Skrzywdzony. Wiedział, że nie ma do tego prawa, ale przez to czuł się jeszcze gorzej.

– Sądzisz, że chciałem to wiedzieć?

Spojrzała na niego z taką miną, jakby poczucie winy mieszało się w niej z gniewem.

– Mam nadzieję, że jest ci przykro.

– Dlatego to zrobiłaś?

Gniew ostatecznie wziął górę.

– Zrobiłam to, bo tego potrzebowałam, ty samolubny kutasie! – warknęła. – Nie wszystko musi się kręcić wokół ciebie, twoich wielkich talentów, twoich ważnych decyzji i twojej cholernie wspaniałej przyszłości. – Dźgnęła się palcem w pierś. – Tym razem to ja czegoś potrzebowałam, a ty wolałeś się ulotnić! – Odwróciła się do niego plecami. – Nie usłyszysz najmniejszej skargi, jeśli znów postanowisz to zrobić.

Dzwonienie młota przepędziło go z kuźni z powrotem na górę. Na dziedziniec twierdzy Baila, do wojny i dymu palonych ciał.

KOPANIE



Raith nie mógł wyprostować grzbietu, czuł klucie w piersi, a ręce – ta dawno złamana i ta niedawno poparzona – bolały każda na swój sposób od takiej roboty. Wykopał już dość ziemi na dziesięć grobów, ale wciąż nie natrafił na Rakkiego. Nie zamierzał jednak rezygnować.

Zawsze się martwił, co brat robi bez niego. Nigdy się nie zastanawiał, co on zrobi bez brata. Może wcale nie był tym silniejszym.

Szufla w dół, szufla w górę. Rytmiczny głuchy odgłos blachy wbijanej w ziemię i kopczyki piachu rosnące po obu stronach. Przynajmniej nie musiał przy tym myśleć.

– Szukasz skarbów?

Wysoka postać przystanęła na skraju dołu i oparła ręce na biodrach. Matka Słońce za jej plecami błyskała w złocie i srebrze po nieogolonej stronie jej głowy. Miał nadzieję, że akurat ona się tu nie zjawi. Tyle że tak to już bywa z nadziejami.

– Chcę wykopać ciało brata.

– To ma jakiś sens?

– Dla mnie tak. – Zrzucił ziemię z łopaty tak, że sypnęła jej na buty, ale Zadra Bathu nie była z tych, co się boją ubrudzić.

– Nigdy go nie znajdziesz, a nawet jeśli, to co wtedy?

– Wzniosę bratu porządną stos pogrzebowy i pochowam go jak należy.

– Królowa Skara chciała Yillingowi urządzić odpowiedni pochówek. Mówi, że trzeba okazać wrogom wspaniałomyślność.

– I?

– Zgięłam i zakopałam jego miecz. A trupa pocięłam na kawałki i zostawiłam wronom. Według mnie na większą wspaniałomyślność nie zasłużył.

Raith przełknął ślinę.

– Wolę nie myśleć o tym, na co każdy zasługuje.

– Martwym już nic nie pomoże, chłopie. – Zadra zatkała palcem jedno nozdrze,

a drugim wydmuchała smarki na usypany przez Raitha kopczyk. – Tylko żywi mogą wynagrodzić nam krzywdy. Rano ruszam do Skeken. Najwyższy Król musi mi zapłacić za śmierć męża.

– Jakiej ceny zażądasz?

– Na początek jego głowy! – warknęła tak, że krople śliny prysnęły z wściekle wykrzywionych warg.

Prawdę mówiąc, jej gniew trochę go przerażał. I zarazem budził w nim gorączkę.

Przypominał mu o jego dawnej furii. O prostszych czasach, kiedy wiedział, kim jest. Kiedy wiedział, kim są jego wrogowie, i pragnął tylko jednego – ich śmierci.

– Może się z nami zabierzesz? – rzuciła Zadra.

– Myślałem, że za mną nie przepadasz.

– Bo jesteś cholernym draniem. – Trąciła butem kamiyk, który zsunął się do jamy.

– Ale właśnie kogoś takiego potrzebuję.

Raith oblizał wargi. Zatlił się w nim dawny ogień, jak gdyby Zadra uderzyła krzesiwem w krzemień, a on zajął się od iskier niczym gotowa hubka.

Miała rację. Rakki nie żył i żadne kopanie nie mogło mu pomóc.

Mocno wbił łopatę w ziemię.

– W takim razie ruszam z tobą.

Skara się zmieniła. Zresztą może zmieniała się stopniowo, tylko on dopiero teraz to dostrzegł.

Zrezygnowała z kolczugi i nie przypominała już tak bardzo Ashenleer z malowidła na ścianie. Wciąż jednak przypinała do pasa długi sztylet i nosiła bransoletę z czerwonym kamieniem, którą Bail Budowniczy wkładał, zanim ruszał do boju. Nadal miała także wykuty przez Rinę miecz, tyle że zamiast Raitha klękał teraz przy niej jakiś chłopak, którego rodzinie Yilling spalił gospodarstwo.

Wyglądała jak prawdziwa królowa otoczona mądrymi doradcami. Siny Jenner wciąż się garbił jak stary korsarz, ale obciął niesforne kosmyki i przyszytył brodę. Poza tym nosił teraz piękną futrzaną pelerynę, a na niej złoty łańcuch. Owd sporo schudła i nabrała godności, odkąd przestała być uczennicą Matki Scaer. Wyostrome rysy jej twarzy przybrały wyraz dezaprobaty, gdy Raith niepewnie wszedł na salę audiencyjną ze skradzionym hełmem pod pachą.

Skara spojrzała na niego z góry. Uniesiony podbródek i ściągnięte łopatki sprawiały, że jej szyja wydawała się nieprawdopodobnie długa. Czuła się zupełnie

swobodnie na wielkim tronie Baila i sprawiała wrażenie równie wyniosłej jak Laithlin. Czy naprawdę była tą samą dziewczyną, z którą kilka nocy wcześniej dzieliła łożo? Której palce wędrowały szlakami blizn na jego plecach? Której szept łaskotał go w ucho? Tamte chwile wydawały mu się snem. Może nim były.

Złożył chybotliwy ukłon. Czuł się jak zupełny głupiec, ale co miał zrobić?

– Tak sobie myślałem...

– Powinieneś zacząć od słów „najjaśniejsza pani” – pouczyła go Matka Owd, a Skara jej nie powstrzymała.

Raith skrzywił się niepewnie.

– Najjaśniejsza pani... Zadra Bathu planuje poprowadzić atak na Skeken i zaproponowała mi miejsce w załodze.

– Zamierzasz je przyjąć? – spytał Siny Jenner, unosząc krzaczaste brwi.

Raith zmusił się, aby spojrzeć prosto w oczy Skarze. Jak gdyby byli tu sami. Mężczyzna i kobieta, a nie zabójca i królowa.

– Jeśli poradzicie sobie beze mnie...

Czyżby po jej twarzy przemknął cień rozczarowania? Może tylko chciał go tam zobaczyć. Tak czy inaczej, jej ton był gładki jak szkło.

– Jesteś Vansterem. Nie składałeś mi przysięgi. Jesteś wolny i możesz odejść.

– Muszę to zrobić – powiedział Raith. – Dla brata.

W piersi poczuł bolesne ukłucie. Naprawdę miał nadzieję, że ona powie: „Zostań, proszę. Jesteś mi potrzebny. Kocham cię”.

Tymczasem Skara jedynie skinęła głową.

– W takim razie dziękuję ci za lojalną służbę. – Raith nie zdołał zapanować nad drżeniem policzka. Lojalna służba? Czy naprawdę tylko taką rolę odgrywał? Jak zwykły pies. – Będzie nam ciebie brakowało.

Próbował się doszukać w jej twarzy jakiegoś znaku, że naprawdę będzie za nim tęskniła, lecz jej oblicze przypominało maskę. Zerknął przez ramię i zobaczył za sobą wysłanniczkę księcia Kalyivu, która ścisnęła w rękach futrzaną czapkę, niecierpliwie czekając na swoją kolej.

Matka Owd obrzuciła go wyjątkowo surowym spojrzeniem.

– Jeśli to wszystko... – Na pewno po części domyślała się, co się działo, i nie mogła się doczekać, aż on zniknie.

Nie miał do niej pretensji.

Przygarbił ramiona i zawrócił do wyjścia. Czuł się tak, jakby sam siebie

przechytrzył. Dawniej ożywiał się tylko wtedy, gdy nadarzała się okazja, żeby trzasnąć kogoś w łeb. Skara uchyliła przed nim rąbek lepszego świata, a on wymienił go na zemstę, na której wcale mu nie zależało.

Siny Jenner dogonił go w drzwiach.

– Rób, co musisz. Tutaj zawsze będzie dla ciebie miejsce.

Raith nie był tego taki pewien.

– Powiedz mi, staruszkule... Jeśli człowiek robił złe rzeczy, to znaczy, że jest zły?

Jenner spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Chciałbym znać odpowiedź, młokosie. Wiem tylko, że wczorajszego dnia nie da się odmienić. Możesz jedynie starać się postępować lepiej jutro.

– Pewnie masz rację. – Raith miał chęć uściskać starego korsarza na pożegnanie, ale przez ten złoty łańcuch wydawał się zbyt poważny. Dlatego tylko uśmiechnął się niezręcznie do własnych butów, brudnych od kopania, i szybko się oddalił.

ROZUM I SERCE



Świt był rzeński i bezchmurny. Oddechy Skary, Laithlin, Druina, a także straży, niewolników i świty unosiły się obłokami pary, gdy patrzyli z pochylni na zatokę portową.

Z króla Uthila zostały jedynie popioły, a król Druin był jeszcze za mały, dlatego Ojcu Yarviemu przypadło zadanie wyruszenia na czele floty do Skeken, aby rozprawić się z Najwyższym Królem. Młody minister Gettlandu trzymał wprawdzie stronę Ojca Pokoju, lecz nie przeszkadzało mu to kontynuować dzieła Matki Wojny – i to z wprawą doświadczonego wojownika.

Jasna Matka Słońce ukazała się nad potężnymi murami twierdzy Baila i przyczepiła długie cienie do dziesiątek dziobowych figur, które stały w równym szeregu niczym konie podczas parady. Wioślarze czekali spokojni i gotowi. Ojciec Yarvi po raz ostatni smutno pozdrowił królową Laithlin. Po chwili jego przenikliwy głos zmącił ciszę w porcie i łodzie ruszyły z miejsca, jak gdyby setki ludzi na pokładach miały jeden umysł i ciało.

– Wygląda na to, że Ojciec Yarvi stał się naszym przywódcą – powiedziała Skara.

– Wojna ma to do siebie, że ujawnia w człowieku różne cechy. – W głosie Laithlin brzmiała wyraźna nuta dumy, gdy patrzyła, jak łodzie Gettlandu dwójkami wypływają w morze. – Jedni rozkwitają, inni się załamują. Zawsze wiedziałam, że Yarvi ma w sobie niezłomność. U ciebie natomiast była ona dla mnie zaskoczeniem.

– U mnie?

– Nie ulękałaś się niezliczonej armii Najwyższego Króla. Bardzo się zmieniłaś, kuzynko. Już nie jesteś wystraszoną dziewczynką o załamanych oczach, którą przyprowadzono do moich komnat.

– Wszyscy się zmieniliśmy – wyszeptała Skara.

Zobaczyła Zadrę Bathu, która z zaciętą miną opierała but o krawędź burty, jak gdyby nie mogła się doczekać, kiedy dotrą do Skeken. Jej okręt dawniej należał do jednego z Kompanów Yillinga i na dziobie niósł figurę złotego barana, ale

wojowniczką przyczerzyła złoto węglem, aby rzeźba bardziej pasowała do jej mrocznego nastroju i – według tych, którzy wspierali Najwyższego Króla – do jej mrocznej reputacji. Skara przebiegła wzrokiem po załodze groźnych i żądnych zemsty wioślarzy usadowionych na skrzyniach. Gdy dotarła do białej głowy kiwającej się w takt pociągnięć wiosła, z wysiłkiem odwróciła oczy.

Poprzedniego dnia w sali audiencyjnej chciała go poprosić, żeby został. Wydać mu rozkaz. Nawet otworzyła usta, gotowa to zrobić, lecz w ostatniej chwili pozwoliła mu odejść. Wręcz go do tego zmusiła. Nie zdobyła się nawet na prawdziwe pożegnanie. Nie mogła tego zrobić jako królowa.

Nie miała pewności, czy to, co ich łączy, można nazwać miłością. W niczym nie przypominało tego, o czym śpiewają bardowie. Wiedziała jedynie, że to, co czuje, ma nad nią zbyt wielką władzę, dlatego nie mogła pozwolić, aby on czuwał pod jej drzwiami za dnia i w nocy. Musiałaby stać się silna, a wiedziała, że prędzej czy później ulegnie. Pozwalając mu odejść, musiała być silna tylko raz.

Odrzucenie go sprawiło jej ból. Tym większy, że widziała, jak bardzo przez nią cierpi. Matka Kyre nieraz jej powtarzała, że cierpienia są częścią życia. Człowiek musi brać je na barki i iść dalej. Skara miała teraz swój kraj i lud, i obowiązki. Zapraszając go do swojej alkowy, postąpiła nierozważnie. Samolubnie. Lekkomyślnie popełniła błąd i nie mogła sobie pozwolić na kolejny.

Siny Jenner pozdrowił ją skinieniem głowy z podwyższenia przy sterze *Czarnego Psa*. W odpowiedzi podniosła rękę i załogi Throvenlandu huknęły gromkim wiwatem. Od zwycięskiej bitwy do fortecy tłumnie ściągali ludzie, aby przed nią uklęknąć i przyrzec jej lojalność. Wprawdzie flota została odebrana Najwyższemu Królowi, ale wojownicy byli jej.

– Co najmniej dwadzieścia załóg wiwatuje na twoją cześć – zauważyła Laithlin.

– Dwadzieścia dwie. – Skara patrzyła, jak jej okręty opuszczają port w ślad za Gettami.

– To nie byle jaka siła.

– Kiedy do ciebie przybyłam, nie miałam nic. Nigdy nie zapomnę, jak wiele ci zawdzięczam. – Pragnąc dowieść swojej wdzięczności jakimś gestem, Skara kiwnęła na służącą. – Mogę ci już oddać niewolnicę...

– Jesteś z niej niezadowolona?

Skara zobaczyła strach w oczach dziewczyny.

– Nie. Nie, tylko myślałam...

– Zatrzymaj ją. – Laithlin machnęła ręką. – Niech to będzie dar. Pierwszy z wielu.

Wkrótce przecież zostaniesz Najwyższą Królową całego Morza Drzazg.

– Jak to? – Skara spojrzała na nią zdumiona.

– Jeśli wiatry będą nam przychylne, Babkę Wexen uda się niedługo strącić z jej wysokiej grzędy w Wieży Ministerstwa. Kapłani Jednobóstwa zostaną przepędzeni z powrotem na południe. Najwyższy Król straci władzę. Nie zastanawiałaś się, kto go zastąpi?

– Prawdę mówiąc, myślałam jedynie o tym, aby przeżyć następny dzień.

Laithlin parsknęła, jak gdyby przez taką błahostkę nie można było ignorować trybów maszyny władzy, które bezustannie się obracały.

– Łamacz Mieczy jest najsłynniejszym z żyjących wojowników. Jedynym królem, który nie został pokonany ani w bitwie, ani w pojedynku. – Królowa skinęła głową w kierunku portu i Skara zobaczyła władcę Vansterów dumnie kroczącego po pochylni w ich stronę. Ludzie uskakiwali mu z drogi jak płochliwe gołębie. – Gromgil-Gorm zostanie Najwyższym Królem. A ty będziesz jego żoną.

Skara poczuła mdłości i przycisnęła dłoń do brzucha.

– Nie czuję się gotowa nawet do roli królowej Throvenlandu.

– A czy ktoś jest kiedyś gotowy, aby objąć władzę? Ja zostałam królową w wieku piętnastu lat. Mój dwuletni syn już jest królem.

– Boli – pisnął Druin, ściągając królewski diadem z głowy.

– Już czuje to brzemie – wyszeptła Laithlin, delikatnie wkładając ozdobę z powrotem na żółte włosy syna. – Pochowałam dwóch mężów. Oba małżeństwa podyktowane były przede wszystkim dobrem Gettlandu, ale dały mi moich dwóch synów. Poza tym z czasem, niemal niezauważalnie, pojawia się wzajemny szacunek. Sympatia. Nawet miłość. – Jej głos niespodziewanie się załamał. – Niemal... niezauważalnie – powtórzyła.

Skara milczała. Miała zostać Najwyższą Królową i nosić klucz do skarbcza całego Morza Drzazg? Już nigdy przed nikim nie klękać? Stać się wzorem dla całych narodów? Ona? Osiemnastolatka, która nie potrafiła zapanować nad własnym żołądkiem? Z całych sił próbowała uspokoić zbuntowane trzewia, patrząc, jak Łamacz Mieczy zatrzymuje się przed nią. Obrzyganie butów przyszlęmu mężowi nie byłoby chyba dobrą wróżbą.

– Królowo Laithlin. – Gorm ukłonił się sztywno. – Królowo Skaro... chciałbym zamienić z tobą kilka słów, zanim wyruszę do Skeken. Mamy... – Skrzywił się i zerknął na wypływające z zatoki okręty. Dłonią przesunął po rękojeściach sztyletów sterczących mu zza pasa.

– ...się pobrać? – dokończyła za niego Skara. Zawsze wiedziała, że nie wybierze sobie męża sama, lecz jako dziewczynka marzyła, że zjawi się idealny książę, który pogodzi rozum i serce. Dopiero teraz pojmowała, jaka była naiwna. Jej rozum wiedział, że Gorm jest dobrą partią. Jej serce musiało się z tym pogodzić.

– Wybacz, jeśli słowa kochanka brzmią w moich ustach... ciężko. Zawsze byłem przede wszystkim wojownikiem – powiedział.

– To żadna tajemnica. – Dziwne, jego nerwowość sprawiała, że czuła się spokojniejsza. – W końcu nie nosisz na szyi łańcucha z pamiątkami podbojów miłosnych.

– Nie. I moja żona również nie będzie. – Łamacz Mieczy trzymał w rękach nowy łańcuch. Nisko zawieszona słońce błysnęło w złocie, srebrze i lśniących klejnotach. – To główce mieczy Yillinga i jego Kompanów – oznajmił i przełożył je przez głowę Skary. – Odniosłaś wspaniałe zwycięstwo i pomściłaś swojego dziada. – Ułożył ozdobę na futrzanej pelerynie, która okrywała jej ramiona. – Powinnaś nosić je z taką dumą jak ja moje.

Skara spojrzała na skrzyć się kamień pośrodku łańcucha. Diament wielkości żołędzia osadzony w pazurach ze złota. Dobrze go pamiętała. Co noc widywała go w sennych koszmarach. Lśnił blaskiem płomieni na końcu rękojeści miecza, gdy Yilling zabijał Matkę Kyre i króla Fynna.

Zadrzała z obrzydzenia. Miała chęć zerwać łańcuch i utopić go w morzu razem ze wspomnieniami wydarzeń tamtej nocy. Tyle że one już na zawsze wryły się głęboko w jej pamięć, a podarunku nie mogła odrzucić. Powoli wyprostowała ramiona. Zdziwiona poczuła, że ciężar łańcucha nie jest jej aż tak niemiły.

Cichy brzęk głowic dodawał jej pewności siebie. Przeszła przez ogień i jak najlepsza stal wyłoniła się z niego mocniejsza.

Dla innych były przestrogą. Jeśli ktoś robi sobie wroga z kobiety, która je nosi, nawet największa sława go nie ochroni i wkrótce zostanie po nim jedynie kolejna bryłka metalu na jej łańcuchu.

– Dar odpowiedni dla Najwyższej Królowej Morza Drzazg – przyznała, przyciskając go do piersi.

– Pragnę cię uspokoić. Wiem, że... być może nie jestem mężczyzną, jakiego sama byś wybrała, ale zapewniam cię, że będę dobrym mężem. Zdam się na ciebie w sprawach skarbcza i klucza. Dam ci synów.

Przełknęła ślinę, choć powiedział dokładnie to, co powinien. Matka Kyre nigdy nie wybaczyłaby swojej podopiecznej, gdyby Skara nie odpowiedziała tak, jak

nakazywał zwyczaj.

– Ja również zamierzam być dla ciebie dobrą żoną. Zdam się na ciebie w sprawach pług i miecza. Dam ci córki.

Na pobrużdżonej twarzy Gorma pojawił się niepewny uśmiech.

– Taką mam nadzieję. – Zerknął na Druina, który przyglądał mu się, mocno zadzierając głowę. – Małe istotki, którym można dać przyszłość. To brzmi pięknie.

Skara starła się nie pokazać po sobie wątpliwości. Próbowwała uśmiechać się serdecznie i zachęcająco.

– Wspólnie wybierzemy drogę i ruszymy nią, trzymając się za ręce. – Wyciągnęła do niego dłoń.

Wydawała się taka drobna, blada i gładka w jego wielkiej, pokrytej bliznami łapie. Jak rączka dziecka. Mimo to ścisnęła go mocno. Za to jego ręka drżała.

– Jestem pewna, że będziesz równie wspaniałym mężem jak wojownikiem – powiedziała i drugą dłonią podtrzymała jego rękę.

– Razem staniemy się potężni jak Matka Wód i Ojciec Ziemi. – Uśmiechnął się swobodniej, gdy poczuł, że wkracza na pewniejszy grunt. – A na początek przywiozę ci w prezencie ślubnym głowę Najwyższego Króla!

Skara się skrzywiła.

– Wolalabym pokój.

– Pokój nastaje, gdy uda się zabić wszystkich wrogów, moja królowo. – Gorm cofnął dłoń, ponownie złożył ukłon i zawrócił w kierunku okrętu.

– Ten łańcuch na jego szyi powinien być wystarczającym dowodem, że zawsze znajdą się kolejni wrogowie – wyszeptła Laithlin.

PLAC BOJU MINISTRÓW



Człowiekowi zawsze się wydaje, że ma jeszcze dużo czasu. – Skifra spojrzała w płomienie. – Że przed nim tyle nagród do zdobycia, tyle plonów do zebrania. Ale uwierz mi na słowo, gołąbeczku, zanim się obejrzyysz, twoja wspaniała przyszłość zamieni się w garstkę starych opowieści, a przed sobą będziesz miał już tylko kurz.

Koll wydał policzki. Blask ognia na twarzy Skifry przypomniał mu kuźnię Riny i nieszczęsną ostatnią rozmowę. Wprawdzie Rina w niczym nie przypominała Skifry, ale jak człowiek jest w smętnym nastroju, to wszystko wywołuje smętne wspomnienia.

– Lepiej napij się herbaty – zaproponował towarzysze, ściągając kociołek z ognia. Starał się nadać głosowi wesołe brzmienie, ale zupełnie mu to nie wyszło. – Może przestaniez widzieć wszystko w czarnych barwach po...

– Chwytaj życie obiema rękami! – wykrzyknęła tak nagle, że podskoczył i niemal wylał na siebie zawartość naczynia. – Ciesz się tym, co masz. Władza, bogactwo, sława, to wszystko jedynie ułuda! Są jak wiatr, nie sposób ich zatrzymać. Nie ma żadnych wzniosłych celów. Każda droga kończy się przy Ostatnich Wrotach. Ciesz się, jeśli jest ktoś, kto umie rozniecić w tobie gasnące iskry. – Skuliła się pod połataną peleryną. – Tylko one rozjaśniają mrok czasu.

Koll zbyt energicznie odstawił garnek na kratę. Napar przelał się przez brzegi naczynia i płomienie zasyczały.

– Napij się herbaty – powtórzył, po czym zostawił Skifrę z jej mrocznymi myślami, a sam z kubkiem wyszedł na zewnątrz i ze zбочa spojrział na Skeken, siedzibę Najwyższego Króla.

Wieża Ministerstwa wyrastała pośrodku – idealnie gładki elf-kamień i elf-szkło pięły się w górę i nagle urywały, jakby podczas rozbicia Bóstwa coś je ucięło. Dobudowane przez człowieka mury, iglice, kopuły i dachy przykrywały ranę niczym szpetny strup. Nad najwyższą z wieżyczek krążyły jakieś punkciki. Może gołąbie – takie jak te, których dawniej doglądał Koll – niosły wieści od przerażonych

ministrów z dalekich krajów. Albo orły, które Babka Wexen wysyłała z ostatnimi rozpaczliwymi rozkazami.

Wielka nowa świątynia Jednobóstwa przycupnęła w cieniu wieży elfów – okrutnie brzydka, choć nie żałowano na nią pieniędzy. Po dziesięciu latach wciąż otaczały ją rusztowania. Połowa belek sterczała odsłonięta, niczym żebra gnijącego trupa. Najwyższy Król nakazał ją zbudować, aby dowieść, że ludzie również potrafią dokonać rzeczy wielkich. Ale dowiódł jedynie, jak marne były ich wysiłki w porównaniu z tym, co zostawiły po sobie elfy.

Wieżę i świątynię ze wszystkich stron otaczały dachy. Labirynt wąskich uliczek biegł między budynkami z kamienia, chatami z drewna i szałasami z wikliny i skór. Wszystko otaczały słynne elf-mury. Całe mile murów. Tam, gdzie się kruszyły, ludzie umocnili je kamiennymi bastionami, a szczyty zwieńczyli blankami. Wciąż jednak były mocne. Bardzo mocne.

– Musimy jakoś dostać się do środka – warknęła Zadra, łypiąc na miasto jak wilk na kurnik. Elf-bransoleta na jej ręce płonęła czerwienią.

Koll nie zdziwiłby się, gdyby wojownicza zaczęła się ślinić jak bestia, tak wielki był jej głód zemsty.

– To oczywiste – stwierdziła Matka Scaer, jak zwykle przypatrując się wszystkiemu szparkami oczu. – Pytanie tylko jak?

– Wciąż mamy broń elfów. Może rozłupiemy skorupę Babki Wexen i wydłubiemy ją z ruin?

– Nawet z elf-bronią potrzeba czasu na sforsowanie takich murów – wtrącił Ojciec Yarvi. – A kto wie, jakie intrygi zdąży tymczasem uknuć pierwsza wśród ministrów.

– Moglibyśmy zasypać ich płonącymi strzałami – stwierdził Rulf, poklepując swój czarny łuk. – Do tego wystarczy zwykła ludzka broń. Raz-dwa wywołamy pożar.

– To teraz moje miasto – oznajmił Ojciec Yarvi. – Nie chcę, żeby doszczętnie spłonęło.

– Twoje miasto? – szyderczo spytała Matka Scaer.

– Owszem. – Yarvi oderwał wzrok od Skeken i spojrzał na nią spokojnie. – Zostanę Dziadem Ministerstwa.

– Doprawdy? – Scaer prychnęła z niedowierzaniem.

– Skoro Vansterlandowi przypadnie tron Najwyższego Króla, a Throvenlandowi klucz Najwyższej Królowej, Gettland powinien dostać Wieżę Ministerstwa.

Matka Scaer jeszcze bardziej zwęziła oczy, targana podejrzliwością z powodu

takiego awansu Yarwiego i ambicją, jaką obudziła w niej wizja intronizacji Gorma.

– Powinniśmy zwołać naradę – oznajmiła.

– Czy ludzie naszej mądrości naprawdę muszą omawiać to, co jest oczywiste? Przecież nikt nie debatuje o tym, czy Matka Słońce podąży szlakiem Ojca Księżyca po nieboskłonie.

– Jedynie głupcy kłócą się o coś, czego nie mają – wyszeptał Koll. Jako jedyny z ministrów próbował utorować drogę Ojcu Pokojowi, a przecież jeszcze nawet nie złożył przysięgi.

Rulf zatknął kciuki za wysłużony pas.

– Wrogowie przez wiele tygodni tkwili pod naszą twierdzą. Teraz my tkwimy pod ich warownią.

– Yilling Wspaniały popełnił błąd, próbując sforsować mury górą albo przekopać się pod nimi – stwierdził Yarvi.

– A co miał robić? – warknęła Zadra.

Koll znał odpowiedź i wcale mu się ona nie podobała.

– Utorować sobie drogę słowami.

– Właśnie tak. – Ojciec Yarvi podniósł swoją łaskę i zaczął schodzić w dół zbocza. – Wojownicy mogą dziś odpocząć. To plac boju ministrów.

– Byleśmy tylko mogli się w końcu zemścić! – rzuciła za nim Zadra.

Yarvi obejrzał się za siebie, pokazując zęby w uśmiechu.

– Możesz na to liczyć, Zadro Bathu. Wszyscy nasycą się zemstą. Złożyłem przysięgę.

Pod bramami Skeken trakt wyglądał jak grząskie bagno z mnóstwem wdeptanych w nie śmieci. Wszędzie wały się porwane namioty, połamane meble i trupy zwierząt – majątek ludzi, którzy tłumnie ścignęli do Skeken, szukając w mieście schronienia. Albo tych, którzy je tłumnie opuścili. I jedno, i drugie było zwykłą głupotą. Gdy Matka Wojna rozpościera skrzydła, nigdzie nie jest bezpiecznie.

Koll miał wrażenie, jakby w gardle utkwiał mu kamień. Nie bał się tak bardzo nawet podczas wyprawy na Stokom. Mimowolnie przysuwał się do Rulfa i jego tarczy i skulony zerkał na potężne mury, na których wisały mokre od deszczu proporce Najwyższego Króla i jego Jednobóstwa.

– Trudno uwierzyć, że wspiąłeś się do twierdzy Baila podczas sztormu – burknął sternik przez zaciśnięte wargi.

– Wtedy też byłem przerażony.

– Tylko szaleńcy i głupcy nie czują strachu. Bohaterowie stają twarzą w twarz z niebezpieczeństwem pomimo lęku.

– Wolałbym nie być ani pierwszym, ani drugim, ani trzecim i spokojnie wrócić do domu – mruknął Koll.

– Teraz już nie możesz zawrócić – rzuciła Matka Scaer przez ramię, wygodniej chwytając artefakt pod peleryną.

– Nic się nie bój, przyjacielu. – Dosduvoi nieco wyżej podniósł drąg, na którym zamocowano figurę dziobową *Wiatru Południa*. – Gołąb ministra ochroni nas przed strzałami.

– To całkiem ładna rzeźba. – Koll drgnął, gdy na blankach dostrzegł jakiś ruch. – Tyle że trochę za smukła, żeby nas zasłonić.

– Gołąb ministra ma za zadanie powstrzymać łuczника przed wypuszczeniem strzały – syknął Ojciec Yarvi, obracając głowę do tyłu. – A teraz bądź cicho!

– Stać! – zabrzmiała ostra komenda i ich niewielka gromadka zatrzymała się z hałasem. – Celują w was trzy tuziny łuków!

Minister Gettlandu wypiął pierś, jak gdyby wystawiał się na cel, ale Koll zauważył, że zdrową rękę mocniej zacisnął na lasce z elf-metalu.

– Broń nie jest tu potrzebna! – Głos Ojca Yarwiego brzmiał tak spokojnie, jakby to on znajdował się na szczycie murów. – Jesteśmy ministrami! Przybywamy, niosąc słowa Ojca Pokoju!

– Ale towarzyszą wam zbrojni!

– Jeżeli będzie trzeba, mamy też słowa Matki Wojny, a brzmiały one jak grzmoty. – Minister wskazał uzbrojonych ludzi, którzy zajmowali pozycje na błotnistych polach wokół miasta. – Wojownicy Gettlandu i Throvenlandu otaczają wasze mury. Sam Łamacz Mieczy zbliża się od strony morza. Na szczycie wzgórza czeka wiedźma Skifra. To jej czary ścięły armię Najwyższego Króla. Teraz czeka na mój sygnał. Albo zgodzicie się na nasze warunki i zapewnicie sobie pokój... – Yarvi opuścił ręce – ... albo ich nie przyjmiecie i podzielicie los Yillinga Wspaniałego.

Głos odezwał się ponownie, lecz nuta wyzwania znikła:

– To ciebie zwą Ojcem Yarvim?

– Tak. Towarzyszy mi Matka Scaer z Vansterlandu.

– Nazywam się Utnir. Wybrano mnie, abym przemawiał w imieniu mieszkańców Skeken.

– Pozdrawiam cię, Utnirze. Mam nadzieję, że razem nie dopuścimy dziś do rozlewu krwi. Gdzie jest Babka Wexen?

– Zamknęła się w Wieży Ministerstwa.

– A Najwyższy Król?

– Nie widziano go, odkąd otrzymaliśmy wieści o klęsce pod twierdzą Baila.

– Każde zwycięstwo jest czyjąś klęską – mruknął Koll.

– Podobnie jak każdy bohater jest dla kogoś zbrodniarzem – stwierdził Rulf.

– Wasi przywódcy was opuścili! – zawołała Matka Scaer.

– Powinniście odplacić im tym samym – zawtórował jej Ojciec Yarvi – zanim całe Skeken pociągną za sobą pod Ostatnie Wrota.

Długo nikt im nie odpowiadał. Z murów dobiegał jedynie przyciszony gwar głosów. Gwałtowny podmuch zimnego wiatru załopotał długimi chorągwiami na elf-murach.

– Doszły nas pogłoski, że zawarliście sojusz z Shendami – odezwał się w końcu Utnir.

– To prawda. Od dawna przyjaźnię się z ich najwyższą kapłanką Svidurą. Jeżeli nie przystaniecie na nasze warunki, oddam jej miasto, a kiedy upadnie, jego mieszkańców będzie czekała rzeź lub niewola.

– Nie toczy my z wami wojny! Nie jesteście waszymi wrogami!

– Dowiedźcie zatem, że jesteście przyjaciółmi, i pomóżcie nam przywrócić pokój.

– Podobno Yillinga Wspaniałego mamieś równie pięknymi słowami. Dlaczego mamy ci zaufać?

– Yilling był szalonym psem, który czcił Śmierć. Zamordował króla Fynna i jego doradczynię. W Thorlby żywcem palił kobiety i dzieci. Nie płaczę nad tym, że spotkał go koniec, ani tego nie żałuję. – Ojciec Yarvi podniósł przykurczoną dłoń. Jego głos brzmiał stanowczo. Twarz miał szczerą. – Ale jestem ministrem i stoję po stronie Ojca Pokoju. Jeżeli postanowicie wybrać jego ścieżkę, chętnie będę wam towarzyszył. Otwórzcie bramy, a przysięgam na słońce i księżyc, że zrobię, co w mojej nocy, aby ochronić życie i własność mieszkańców Skeken.

W tej wojnie przelano już tak wiele krwi. Koll z dumą patrzył, jak jego mistrz otwiera zaciśniętą pięść. Na górze znowu rozgorzała dyskusja, ale w końcu Utnir uznał, że to dla niego wystarczający argument – albo doszedł do wniosku, że nie ma wyboru.

– Niech tak będzie! Przekażemy klucze do miasta w ręce twoich ludzi!

– Historia będzie wam za to wdzięczna! – odrzyknął Ojciec Yarvi.

Koll zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, i z westchnieniem wypuścił powietrze. Matka Scaer burknęła gardłowo i szczerzej zwarła poły peleryny. Dosduvoi pochylił się nad uczniem ministra.

– Mówiłem ci, że gołąb ochroni nas przed strzałami.

– Myślę, że dziś naszą tarczą były słowa Ojca Yarviego – stwierdził Koll.

Tymczasem minister Gettlandu serdecznie uściskał Rulfa.

– Zbierz swoich najlepszych ludzi i przejmij dowództwo straży.

– Niewielu ich już zostało – przyznał Rulf. – Część załogi *Wiatru Południa* zachorowała.

– Po wyprawie na Strokom? – cicho spytał Koll.

Ojciec Yarvi nie zwrócił na niego uwagi.

– Weź tyłu, ilu masz. Niech obrońcy złożą broń. Masz dopilnować dyscypliny i tego, by wszyscy byli dobrze traktowani.

– Dobrze, Ojczye Yarvi – przytaknął stary sternik i gestem szerokiej dłoni przywołał swoich ludzi.

– Potem przekaż miasto Shendom.

Rulf zrobił wielkie oczy.

– Naprawdę?

– Domagają się zemsty za najazdy, jakimi gnębił ich Najwyższy Król. Dałem Svidurze słowo, że pierwsza dostanie miasto. Niech Zadra Bathu i Grom-gil-Gorm też się nasycą zemstą. To mniejsze zło.

– Złożyłeś przysięgę – wyszeptał Koll do ministra, gdy Rulf, kręcąc łysą głową, oddalił się, aby wydać rozkazy.

– Przysięgłem zrobić wszystko, co w mojej mocy. Tu nic nie wskóram.

– Ale ci wszyscy ludzie...

Yarvi złapał Kolla za koszulę zwiędłą ręką.

– A czy oni protestowali, kiedy Yaletoft ogarnęła pożoga? – warknął wściekle. – Gdy płonęło Thorlby? Gdy mordowano króla Fynna? I Branda? Nie! Jedynie wznosili wiwaty na cześć Yillinga Wspaniałego. Teraz za to zapłacą. – Minister puścił ucznia i wygładził pognieciony materiał. – Zapamiętaj to sobie. Władza oznacza, że jedno ramię zawsze pozostaje w cieniu.

KONIEC LINY



Ojciec Yarvi zakazał wprawdzie podkładać ogień, ale coś się gdzieś paliło. Dym tworzył na ulicach Skeken zasłonę, która zamieniała dzień w mętny zmierzch. Drapał Raitha w gardle. Sprawiał, że każdy oddech wymagał wysiłku. W dziwnym półmroku przemykały sylwetki. Dokądś biegły. Szabrownicy albo okradani.

Jak to się dzieje, że zapachy potrafią przywoływać tak wyraźne wspomnienia? Wystarczył smród spalenizny, aby Raith znowu znalazł się w tamtej wiosce na granicy między Vansterlandem i Gettlandem. Jak ona się nazywała? Halleby? Bez powodu puścili ją z dymem. Utopił wtedy mężczyznę w świńskim korycie. Wydawało mu się, że to taki wielki wyczyn. Przechwalał się tym później, a Grom-gil-Gorm żartował z wojownikami, nazywając go zajadłym draniem i ciesząc się, że ma na smyczy tak wściekłego psa.

Teraz ze strachu czuł w ustach kwaśny smak, waliło mu serce, szumiało w głowie, a dłoń pociła się wokół rękojeści topora. Obrócił się gwałtownie, gdy za sobą usłyszał głośny trzask i przeciągłe wycie – bardziej zwierzęce niż ludzkie. Próbował dojrzeć coś w mroku.

Może powinien dziękować Matce Wojnie, że walczy w zwycięskiej armii. Często tak mówił bratu, kiedy Rakki kręcił głową nad zgliszczami. Ale jeśli w ogóle któraś strona miała rację, nie sądził, aby stała po niej Zadra Bathu ze swoją drużyną zabójców.

Przyłączył się do wyjątkowo krwawej watahy. Oczy świeciły im się jak u lisów, skradali się jak wilki, o siebie nie dbali, za to broń mieli wypieszczoną i lśniącą. Wielu pochodziło z Gettlandu, ale Zadra chętnie przyjmowała każdego, kto chciał wyrównać rachunki i nie miał skrupułów. Raith nie znał nawet imion większości tych ludzi. Byli sobie obcy. Łączyła ich tylko nienawiść. Stracili rodziny albo przyjaciół, zagubili się i nie zostało im już nic, więc odbierali innym to, co kiedyś im zabrano.

Kilku wyciągało ludzi z domów, podczas gdy reszta przetrząsała wnętrza,

rozbijając kufry, rozpruwając sienniki i przewracając meble pod pozorem szukania ukrytych skarbów, ale tak naprawdę dla zwykłej uciechy niszczenia. Ich ofiary opierały się nie bardziej niż owce ciągnięte na rzeź. Kiedyś Raith się dziwił, że nie walczą. Brzydził się tym. Teraz jednak rozumiał tych ludzi aż za dobrze. W nim też zostało niewiele woli walki.

Nikt nie jest tylko tchórzem lub tylko bohaterem. Człowiek postępuje i tak, i tak, albo nie jest ani jednym, ani drugim – zależnie od sytuacji. Zależnie od tego, kto jest z nim, a kto przeciwko niemu. Zależnie od tego, jak mu się ułożyło życie. I jaka śmierć na niego czeka.

Mieszkańców zmuszano, aby klękali rzędem na ulicy. Niektórych wystarczyło lekko popchnąć, innych trzeba było cisnąć za bryki. Większość z własnej woli szła na koniec i potulnie osuwała się na kolana. Czasem wystarczyło bardziej opornego lekko trzepnąć albo kopnąć, aby zmusić go do posłuchu, ale poza tym unikano przemocy. Pobici niewolnicy mają mniejszą wartość niż zdrowi, a jeśli nie opłaca się ich sprzedawać, to po co marnować czas i wysiłek?

Raith zamknął oczy. Bogowie, ależ czuł się zmęczony. Ledwie trzymał się na nogach. Próbował wyobrazić sobie brata, potem Skarę, ale ich twarze się zamazywały. Jedyńą, jaką wciąż widział wyraźnie, była twarz kobiety w palącym się domu – tej, która wołała swoje dzieci zachrypniętym głosem, oszalała z rozpacz. Pod powiekami poczuł łzy i powoli otworzył oczy.

Vanster ze srebrnym kółkiem w nosie ciągnął jakąś kobietę za rękę, śmiejąc się głośno, tyle że ten śmiech wydawał się wymuszony, jakby mężczyzna sam siebie chciał przekonać, że jest w tym coś zabawnego.

Zadra Bathu nawet się nie uśmiechała. Po ogolonej stronie głowy poruszały się mięśnie, na białych policzkach odznaczały się sine blizny, a ręka bezlitośnie zaciskała się na broni.

– Większości nawet nie warto zabierać – ocenił jeden z wojowników, olbrzymi Gett z krzywą szczęką, który właśnie pchnął starca z końca szeregu na kolana.

– To co z nimi zrobimy? – spytał inny.

– Mam ochotę wszystkich pozabijać. – Głos Zadry brzmiał obojętnie.

Jedna z kobiet zaczęła się modlić, szlochając głośno. Ktoś uderzył ją w twarz, żeby się zamknęła.

Marzenie wielu – spłądować wielkie miasto. Wziąć co dusza zapagnie. Paradować dumnie ulicami, na których w czasach pokoju takich jak oni spotykają jedynie szyderstwa. Rządzić niepodzielnie tylko dlatego, że mają w ręku broń i są

draniami, którzy używają jej bez skrpułów.

Oczy Raitha zaszyły łzami. Może przez dym, a może po prostu płakał. Nie mógł przestać myśleć o tamtej płonącej farmie. Miał wrażenie, że przygniata go potworny ciężar. Jakby został pogrzebany razem z bratem. Ledwie mógł zaczerpnąć tchu. Wydawało mu się, że wszystko, co miało w nim jakąś wartość, umarło razem z Rakkim albo zostało przy Skarze.

Przez chwilę mocował się z zapięciem hełmu, po czym ściągnął go, cisnął o ziemię i patrzył, jak z głuchym brzękiem toczy się po kamieniach. Mocno podrapał oblepioną włosami głowę, ale prawie tego nie poczuł.

Spojrzał na rząd klęczących ludzi. Zobaczył zaciśniętą pięść jakiegoś chłopca, a w niej garść śmieci z rynsztoka. Zobaczył łzę skapującą z nosa jakiejś kobiety. Usłyszał, jak staruszek na końcu sapie z przerażenia.

Buty Zadry zachrzęściły o kamienie, gdy ruszyła w jego stronę.

Nie spieszyła się. Może zbierała się na odwagę. Albo chciała, aby przyjemność trwała dłużej. Drzewce czekana powoli przesuwano się przez jej palce, aż w końcu zacisnęła dłoń wokół wypolerowanego uchwytu.

Starzec się skulił, gdy stanęła za nim w lekkim rozkroku jak drwał, który szykuje się do ścięcia drzewa.

Poruszyła ramionami, chrząknęła i splunęła w bok.

Uniosła czekan.

Raith głośno wypuścił powietrze i stanął przed starcem odwrócony przodem do Zadry.

Nie powiedział ani słowa. Nie miał nawet pewności, czy jakiś dźwięk przeszedłby mu przez ściśnięte gardło. Jego serce waliło jak oszalałe, a on po prostu stał.

Cisza.

Wojownik z krzywą szczęką zrobił krok w jego stronę.

– Rusz dupsko, idioto, zanim...

Nie odrywając oczu od Raitha, Zadra pokiwała na olbrzyma palcem.

– Pst – mruknęła. Tylko tyle, ale wystarczyło, aby Gett się zatrzymał. Zapadnięte oczy wojowniczkę krył cień. Tylko w ich kącikach odbijała się wściekła czerwień jej bransolety. – Zejźdź mi z drogi – powiedziała.

– Nie mogę. – Raith zsunął tarczę z ramienia i upuścił ją na ziemię. Na nią rzucił swój topór. – To już nie jest zemsta, tylko zwykłe morderstwo.

Blizna na policzku Zadry drgnęła. Raith słyszał w jej głosie furie. Widział, jak

cała się od niej trzęsie.

– Nie zamierzam prosić dwa razy, szczeniaku.

Raith wyciągnął przed siebie ręce, wnętrzami dłoni w jej stronę. Czuł łyżę na policzkach, ale już się nie przejmował.

– Jeśli tak bardzo chcesz zabijać, zacznij ode mnie. Ja zasługuję na to bardziej niż oni.

Zamknął oczy i czekał. Nie był aż tak głupi, żeby myśleć, że choć w setnej części odkupi tym całe zło, jakiego się dopuścił. Po prostu nie mógł beczynnienie na to patrzeć.

Rozległ się chrzęst i twarz zapłonęła potwornym bólem.

Przewrócił się i uderzył głową o kamień.

Świat zawirował. W ustach poczuł słony smak.

Przez chwilę leżał, zastanawiając się, czy krew cieknie mu z nosa na bruk. Chyba było mu wszystko jedno.

Wciąż jednak oddychał, bo z każdym wydechem puszczał jednym nozdrzem bańki. Nieporadnie sięgnął ręką do nosa. Wydawał się dwa razy większy. Na pewno złamany, bo zrobiło mu się niedobrze, gdy go dotknął. Z jękiem przetoczył się na bok i oparł na łokciu.

Zacięte, pokryte bliznami mordy kołysały się dookoła, pochylały nad nim. Starzec nadal klęczał, poruszając wargami w bezgłośnej modlitwie. Zadra stała nad nim z czekaniem w dłoni. Jej elf-bransoletka żarzyła się czerwienią jak węgle. Po krwawej smudze na jej czole Raith poznał, że rąbnęła go głową.

– Uf! – stęknął.

Ledwie dał radę się przekręcić i podeprzeć rękami. Krew kapiała mu teraz z nosa na wierzch dłoni. Uniósł się na jedno kolano, kiwnął się i dla równowagi wyciągnął w bok rękę. Nie upadł. Zawroty głowy powoli mijały. Chwiał się niepewnie, ale w końcu zdołał się wyprostować. Znowu stanął między Zadram i starcem.

– I co teraz? – Obliznął zęby i splunął krwią, a potem rozpostarł ręce i ponownie zamknął oczy. Stał tak, kiwając się lekko.

– A żeby cię... – Usłyszał syk Zadry.

– Czy on zupełnie zwariował? – spytał ktoś obok.

– Zabij go i będzie po kłopotach – warknął olbrzym z krzywą szczęką.

Znowu chwila ciszy. Raith miał wrażenie, że ciągnie się w nieskończoność. Skrzywił się i mocniej zacisnął powieki. Złamany nos świszczał dziwnie przy

każdym oddechu, ale nie mógł nic na to poradzić.

Usłyszał charakterystyczny szmer i odważył się otworzyć jedno oko. Zadra wsunęła czekan w skórzaną pętlę u pasa i oparła ręce na biodrach. Zamrugał nieprzytomnie.

Nie zabiła go.

– To co robimy? – burknął wojownik z kółkiem w nosie.

– Puśćcie wszystkich – nakazała.

– I tyle? – wywarczał ten z krzywą szczęką, tryskając wkoło śliną. – Niby czemu miałbym to zrobić? Mojej żony nie puścili wolno.

Zadra spojrzała na niego.

– Jeszcze jedno słowo, a za chwilę sam będziesz klęczał na ulicy. Macie ich puścić. – Szarpnęła starca do góry za kołnierz i popchnęła go w kierunku zabudowań.

Raith powoli opuścił ręce. Twarz pulsowała mu bólem.

Na policzku poczuł coś mokrego. Obrócił lekko głowę i zorientował się, że olbrzymi wojownik napluł mu w twarz.

– Skarlały draniu. To ty powinienes zginąć.

Raith ze znużeniem kiwnął głową i wytarł płwocinę.

– Aha, pewnie masz rację. Ale nie za to.

ŁZY OJCA POKOJU



Ojciec Yarvi kroczył na samym przedzie. Stukanie elf-laski, która zabiła Yillinga Wspaniałego, rozbrzmiewało echem w holu. Szedł tak szybko, że Koll musiał co chwilę podbiegać, aby dotrzymać mu kroku. Peleryna Skifry łopotała wokół elf-broni, którą niosła przy boku, a rysz tunek Rulfa i jego wojowników pobrzękiwał w rytm marszu. Matka Adwyn wlokła się na samym końcu. Rude włosy, które dawniej strzygła w kształt płetwy, odrosły w bezkształtną czuprynę. Jedną ręką przytrzymywała powróż owiązany wokół obtartej szyi, aby nie napinał się tak mocno.

Na ścianach wisiał pogięty i pokryty rdzą oręż – broń armii pokonanych przez Najwyższych Królów w ostatnich kilku stuleciach. Tym razem obecnie panujący nie odniósł zwycięstwa. Przez wąskie okna Koll słyszał skargi plądrowanego miasta. Czuł swąd spalenizny i woń strachu, który szerzył się jak zaraza.

Spuścił głowę. Starał się nie myśleć, co się tam dzieje. Starał się nie myśleć, co czeka ich tutaj, gdy Ojciec Yarvi stanie twarzą w twarz z Babką Wexen.

– A jeśli uciekła? – warknęła Skifra.

– Na pewno tu jest – odparł Yarvi. – Babka Wexen nie zalicza się do ludzi, którzy uciekają.

Na końcu holu widniały wysokie drzwi z ciemnego drewna, rzeźbione w sceny z życia Baila Budowniczego. Jak zdobywał Throvenland. Jak podbijał Yutmark. Jak wspiął się na górę martwych wrogów i zawojował całe Morze Drzazg. Przy innej okazji Koll na pewno podziwiałby rzeźbiarski kunszt, jeśli nie historię, ale dziś nikt nie miał na to nastroju.

Drogę zagroził im tuzin strażników w kolczugach, z zaciętymi minami i wycelowanymi w przybyszów włóczniami.

– Przepuście nas – zwrócił się do nich Ojciec Yarvi, a Rulf i jego wojownicy rozstawili się na całą szerokość holu. – Powiedz im, Matko Adwyn.

– Przepuście ich, błagam! – Adwyn miała minę, jak gdyby te słowa sprawiały jej

większy ból niż powróż, lecz mimo to nie zamilkła. – Miasto zostało zdobyte. Dalszy przelew krwi nie ma sensu!

Koll miał nadzieję, że posłuchają. Ale z nadziejami różnie bywa.

– Nie mogę tego zrobić. – Kapitan straży był wojownikiem niemałej sławy. Na okutej srebrnym tarczy widniał malunek orła pierwszej wśród ministrów. – Z rozkazu Babki Wexen drzwi muszą pozostać zamknięte. Złożyłem jej przysięgę.

– Ech, te przysięgi – mruknął Koll. – Same z nimi kłopoty.

Skifra trąciła go łokciem i wysunęła się naprzód, podnosząc artefakt na wysokość ramion.

– W takim razie złam ją lub ruszaj na spotkanie ze Śmiercią – powiedziała.

– Błagam, nie! – Matka Adwyn próbowała zagrozić Skifrze drogę, ale wojownik, który trzymał koniec powrozu, szarpnął ją do tyłu.

Kapitan przesunął tarczę przed siebie i dumnie spojrzął znad jej krawędzi.

– Nie boję się ciebie, wiedźmo! Jestem...

Broń Skifry szczerknęła raz. Moc grzmotu przetoczyła się przez hol. Połowa tarczy kapitana rozpadła się na kawałki. Urwana ręka wraz z kulą ognia uderzyła w jego towarzysza. Kapitan odbił się od drzwi i padł na twarz. Jego noga jeszcze przez moment drgała, zanim znieruchomiała. Wokół tłącego się trupa pojawiła się kałuża krwi. Krwawe smugi widniały także na pięknie rzeźbionych drzwiach. Odłamek metalu spadł na posadzkę i z brzękiem potoczył się w kąt.

– Któryś jeszcze pragnie pozostać lojalny Babce Wexen? – spytał Yarvi.

Strażnicy jak na komendę rzucili broń.

– Niech bóstwo ma go w opiece – wyszeptała Matka Adwyn, gdy Rulf przeszedł nad ciałem dowódcy straży i szarpnął żelazne uchwyty drzwi. Ani drgnęły.

– Zamknięte – warknął.

– Na szczęście mam klucz. – Skifra ponownie wycelowała artefakt elfów.

Rulf przypadł do podłogi, a Koll zasłonił dłońmi uszy, gdy broń plunęła ogniem, odłupując kawałki pięknych rzeźb na styku obu skrzydeł. Drzazgi rozprysły się wkoło kłującą chmurą. Zanim echo grzmotu umilkło, Skifra podeszła do strzaskanych drzwi i otworzyła je kopniakiem.

Nawet człowieka, który widział dziwy Strokomu, Komnata Szeptów przyprawiała o zawroty głowy. Ściany z elf-kamienia i elf-szkła pięły się w nieskończoność. Galeria biegła pierścieniem tak wysoko, że trzeba by ustawić dziesięciu mężczyzn jednego na drugim, aby jej dosięgnąć. Nad nią znajdowała się kolejna, a dalej jeszcze

jedna. Wszystko spowijał koszmarny, migotliwy blask, bo pośrodku okrągłej posadzki płonął stos książ, papierów i zwojów wysoki jak królewski kurhan. Gorąco trzaskających płomieni wywabiło pot na czoło Kolla.

Ogromne posągi sześciu Wielkich Bogów budziły respekt. Płomienie błyskały w granatach ich oczu. Jeszcze wyższa od nich figura Jednobóstwa – ani mężczyzny, ani kobiety – przyglądała się obojętnie dziełu zniszczenia. Na tle ognia widać było drobne sylwetki. Odziane w szare suknie Siostry Ministerstwa. Jedne z przerażeniem oglądały się w stronę drzwi, inne gorączkowo karmiły płomienie. Nadpalone skrawki papieru unosiły się wysoko i opadały jak liście jesienią.

– Powstrzymajcie je! – ryknął Ojciec Yarvi, przekrzykując huk ognia. – Zakućcie w kajdany! Spętajcie łańcuchami! Później zadecydujemy, kogo oszczędzić, a kogo obarczyć winą!

Wojownicy Rulfa wpadli do sali. Ich kolczugi, ostrza i ożywione oczy zalśniły barwami płomieni. Któryś minął Kolla, ciągnąc za sobą dziewczynę z ogoloną głową. Pojmana nie przestawała wierzczać nogami. Na zębach miała krew. Była uczennicą tak jak on. Robiła tylko to, co jej polecono. Odruchowo pomasaował ślady dawnych otarć po obręczy na szyi.

Komuś mogło się wydać dziwne, że człowiek, który sam tyle wycierpiał jako niewolnik, bez wahania każe brać w niewolę innych, ale Koll to rozumiał. Wszyscy dajemy innym lekcje, jakich nam udzielono.

– Gdzie jest Babka Wexen? – warknęła Skifra, tryskając śliną przez wargi oznaczone śladami poparzeń.

– Na górze! – pisnęła jedna z dziewcząt, kuląc się ze strachu. – Na drugim balkonie!

W Skeken już nie było lojalności. Jedyne ogień i chaos.

Błyskawicznie przemierzyli wielką komnatę, kierując się do wąskiego przejścia. Wkoło popiół wirował niczym czarne płatki śniegu. Krętymi schodami wspinali się coraz wyżej. Echo powtarzało ich oddechy, a cienie tańczyły w mroku. Minęli jedne drzwi, otworzyli drugie i znowu otoczył ich jaskrawy blask.

Stara kobieta stała przy balustradzie z elf-metalu w prostej sukni do ziemi. Miała krótko przystrzyżone białe włosy. Obok niej piętrzyły się księgi z grzbietami zdobionymi złotem i klejnotami. Chwyciła kilka i cisnęła je w dół – lata pracy, dekady nauk, wieki gromadzonej wiedzy poleciały prosto w płomienie. Tak to już bywa, gdy Matka Wojna rozpościera skrzydła. W jednej chwili triumfalnie niszczy to, co jej zasmucony mąż, Ojciec Pokój, tworzył przez niejedno ludzkie życie.

– Babko Wexen! – zawołał Yarvi.

Znieruchomiała, przygarbiła ramiona, a potem powoli się odwróciła.

Ta kobieta rządziła Morzem Drzazg i decydowała o losach niezliczonych tysięcy ludzi. Najwięksi wojownicy truchleli przed nią, a królów traktowała jak marionetki. Koll inaczej ją sobie wyobrażał. W niczym nie przypominała rechoczącego złoczyńcy. Nie wyglądała jak wcielenie najgorszego zła. Miała troskliwą twarz matki, okrągłą i oznaczoną głębokimi zmarszczkami. Wydawała się mądra. Serdeczna. Nie podkreślała swojej pozycji żadnymi ozdobami. Na szyi nosiła jedynie cienki łańcuszek, a na nim skrawki papieru pokryte pismem. Rozkazy, osądy, długi czekające na spłatę i zasady, których należało przestrzegać.

Uśmiechała się. Nie wyglądała jak zrozpaczona ofiara, która tym razem nie zdołała uciec. Przeciwnie, miała minę, jakby wreszcie doczekała się wizyty krnąbrnego ucznia.

– Ojczy Yarvi. – Jej głęboki głos brzmiał spokojnie i równo. – Witaj w Skeken.

– Palisz księgi? – Yarvi powoli zrobił krok w stronę dawnej mistrzyni. – Sądziłem, że rolą ministra jest zachowywanie wiedzy.

Babka Wexen cmoknęła cicho, jak doświadczona nauczycielka rozczarowana głupotą lekkomyślnego ucznia.

– Ty mnie pouczasz o roli ministra? – Przerzuciła ostatnie naręcze tomów przez balustradę. – Nie skorzystasz ze zgromadzonej przeze mnie mądrości.

– Nie potrzebuję jej. – Yarvi podniósł elf-laskę. – Mam to.

– Elfy również to miały i wiemy, jak skończyły.

– Ich przykład wiele mnie nauczył. Podobnie jak twój.

– Obawiam się, że niczego nie zdołałeś pojąć.

– Dość gadania o naukach – warknęła Skifra do starej minister. – Zapłacisz własną krwią za krew moich dzieci i ich dzieci. – Wycelowwała elf-broń. – Żałuję jedynie, że wykrwawić się możesz tylko raz.

Babka Wexen nawet nie drgnęła, choć patrzyła Śmierci prosto w oczy.

– Mylisz się, sądząc, że mam na rękach krew twoich dzieci, wiedźmo. Kiedy mi doniesiono, że widziano cię w Kalyivie, ucieszyłam się, że opuściłaś Morze Drzazg. Liczyłam, że nigdy nie wrócisz.

– Nie ma w tobie nic prócz kłamstw – prychnęła Skifra. Jej zmarszczone czoło lśniło potem. – Nasłałaś na mnie złodziei i zabójców!

Babka Wexen westchnęła z żalem.

– I mówi to złodziejka i zabójczyni, która całuje stopy księcia kłamców. – Powiodła wzrokiem po Kollu, potem po Skifrze i wreszcie zatrzymała oczy na Yarvim. – Już w chwili, gdy pocałowałeś mnie w policzek po zdany egzaminie, wiedziałam, że jesteś prawdziwą zmiłą. Powinnam była od razu cię zmiażdżyć, lecz postanowiłam okazać ci litość.

– Litość? – Yarvi szczerknął śmiechem. – Liczyłaś, że mnie zmusisz, abym kąsał w twoim imieniu, a nie przeciwko tobie.

– Być może. – Babka Wexen z obrzydzeniem spojrzała na elf-broń, którą ścisnęła Skifra. – Lecz nawet mi się nie śniło, że uciekniesz się do t e g o . Że złamiesz najważniejsze prawa naszego Ministerstwa. Że zaryzykujesz losy świata, aby zaspokoić własne ambicje.

– Na pewno znasz to powiedzenie: niech Ojciec Pokój płacze nad metodami, Matkę Wojnę cieszą rezultaty.

– Owszem, znam, lecz używają go mordercy, nie ministrowie. Jesteś t r u c i z n ą .

– Nie udawajmy, że tylko jedno z nas trzyma się cienia. – Oczy Ojca Yarwiego błysnęły odbitym blaskiem płomieni, gdy zrobił kolejny krok naprzód. – Jestem trucizną, którą mieszałaś według własnego przepisu. Którą uwarzyłaś, gdy nakazałaś zabić mojego ojca i brata. Pewnie nie spodziewałaś się, że kiedyś sama będziesz musiała ją wypić.

Babka Wexen przygarbiła ramiona.

– Przyznaję, że niejednego żałuję. W ostatecznym rozrachunku władza zostawia nam same żale. Arogancja Laithlin prędzej czy później pchnęłaby nas w objęcia Matki Wojny. Ja próbowałam jedynie tak pokierować okrętem, aby nie wpadł na skały. Starałam się wybierać mniejsze zło i większe dobro. To ty pogrążyłaś nas w chaosie.

Pierwsza wśród ministrów zerwała jeden ze zwitków papieru z łańcuszka na szyi i cisnęła go w stronę Yarwiego. Opadł między nimi.

– Przeklinam cię, zdrajco. – Podniosła dłoń i w jej wnętrzu Koll zobaczył liczne kręgi małych znaków. – Przeklinam cię w imieniu Jednobóstwa i wielu bogów. – Jej głos poniósł się echem w olbrzymiej Komnacie Szeptów. – Wszystko, co kochasz, w końcu cię zdradzi! Wszystko, co stworzysz, zgnije! Wszystko, co zbudujesz, runie!

Ojciec Yarvi wrzucił ramionami.

– Klątwy pokonanego nie mają żadnej mocy. Zrozumiałabyś to, gdybyś stanęła na zakazanej ziemi Strokomu. Wszystko w końcu prowadzi do upadku.

Niespodziewanie zrobił krok do przodu i zwiędłą dłonią pchnął Babkę Wexen.

Jej oczy stały się okrągłe z przerażenia. Bo mądrość niczego nie ułatwia, gdy Ostatnie Wrota szeroko otwierają się przed człowiekiem. Moment przekroczenia ich progu zawsze nas zaskakuje.

Z gardła Babki Wexen dobył się niezrozumiały skrzek, kiedy przeleciała nad balustradą. Usłyszeli rozdzierający krzyk i łoskot.

Koll ostrożnie zbliżył się do krawędzi balkonu i spojrział w dół. Ogień wciąż płonął, posyłając w górę kłęby dymu. Rozedrgane gorąco uderzyło go w twarz. Wszepochętą pierwsza wśród ministrów leżała obok stosu. Z wysoka jej wykręcone ciało wydawało się drobne. Wszystko prowadzi do upadku. Matka Adwyn powoli uklękła obok niej, przyciskając dłonie do poplamionych fioletem warg.

– Dotrzymałem przysięgi. – Ojciec Yarvi spojrział na swoją przykurczoną dłoń i zmarszczył brwi, jak gdyby nie mógł uwierzyć, czego dokonała.

– Tak. – Skifra zrzuciła z balkonu elf-broń. – Oboje się zemściliśmy. I jak się teraz czujesz?

– Spodziewałem się czegoś więcej.

– Zemsta to sposób na zatrzymanie tego, co straciliśmy. – Skifra oparła się o ścianę i osunęła na podłogę, a potem skrzyżowała nogi. – Jest jak klin wsunięty pod skrzydło Ostatnich Wrót. Przez szparę wciąż widzimy twarze tych, którzy odeszli. Zapamiętani w rozpaczyszukamy odwetu, łamiemy wszystkie zasady, byle się zemścić, ale gdy wreszcie nam się to udaje, nie czeka nas żadna nagroda. Jedynie żal.

– Musimy sobie poszukać nowych celów. – Ojciec Yarvi położył przykurczoną dłoń na balustradzie i spojrział w dół. – Matko Adwyn!

Rudowłosa minister powoli podniosła się z klęczek i zadarła głowę. Łzy na jej policzkach lśniły w blasku płomieni.

– Poślij orły do ministrów Yutmarku i Nizin – zawołał Yarvi. – Poślij orły do ministrów Inglefoldu oraz Wysp. Poślij orły do wszystkich ministrów, którzy klękali przed Babką Wexen.

Matka Adwyn zerknęła na ciało dawnej przełożonej, a potem ponownie spojrzała w górę. Koll odniósł wrażenie, że szybko pogodziła się z nową rzeczywistością. Bo czy miała wybór? Czy ktokolwiek z nich go miał?

– Z jaką wiadomością? – spytała, kłaniając się sztywno.

– Przekaż im, że teraz mają klękać przed Dziadem Yarvim.

ZABÓJCA



Pod drzwiami leżały stopy zabitych. Raith domyślał się, że to kapłani Jednobóstwa, bo ubrani byli w szaty z haftowanym siedmiopromiennym słońcem. Każdy miał rozłupaną czaszkę. Krew zbierała się pod ciałami i ściekała po stopniach z białego marmuru ciemnymi strużkami, które przelotna mżawka rozmywała w różowe smugi.

Może liczyli na łaskę. Nie było tajemnicą, że Łamacz Mieczy woli jeńców niż trupy. Po co zabijać, jeśli można sprzedać? Niestety, tego dnia Gorm pragnął jedynie niszczyć.

Raith pociągnął złamanym nosem. Pod jego butami zachrzęściły drzazgi, gdy minął roztrzaskane drzwi i wszedł do olbrzymiej świątyni Najwyższego Króla.

Dach ukończono zaledwie w połowie. Gołe krokwie przecinały ciemnymi liniami biel nieba. Deszcz kapał na mozaikową podłogę, również ukończoną dopiero w połowie. W poprzek stały długie ławy. Może wierni modlili się na siedząco, lecz teraz nie było tu wiernych, a jedynie wojownicy Vansterlandu, którzy pili, rechotali i niszczyli.

Jeden rozsiadł się na ławie, a buciory oparł o drugą. Ramiona przykrył połączoną materią jak peleryną, zadarł głowę i wystawił język, łapiąc deszcz. Raith minął go i przeszedł między dwiema kolumnami, wysokimi i smukłymi jak pnie drzew. Szyja go zaboląła od oglądania pięknie rzeźbionych zwieńczeń.

Pośrodku wielkiej sali na stole ułożono ciało w czerwono-złoty szatach, które spływały na podłogę. Wsadzany klejnotami miecz tkwił w dłoniach, które wiek zmienił w blade szpony. Soryorn stał obok z pochmurnym obliczem.

– Wydaje się taki mały – stwierdził chorąży, który gdzieś zapodział swój sztandar. – Jak na Najwyższego Króla.

– To on? – wyszeptał Raith, z niedowierzaniem patrząc na wychudłą twarz umarłego. – Najwspanialszy z ludzi? Ten, który zasiadał między bogami i królami? – Bardziej przypominał starego handlarza żywym towarem niż władcę Morza Drzazg.

– Nie żyje od kilku dni. – Soryorn wyszarpnął miecz z martwych rąk Najwyższego Króla. Jedna zsunęła się ze stołu i zwisała bezwładnie. Chorąży ułożył broń na podłodze i wziął dłuto, żeby odłupać zdobioną drogimi kamieniami głowicę. Spojrzał na Raitha pytająco. – Masz młot?

– Nie mam nic – odparł chłopak i taka była prawda.

Na wysokich ścianach w drugim końcu sali zobaczył róż, błękit i złoto – niezrozumiałe dla niego malowidła ze skrzydlatymi kobietami. Na pewno powstawały przez wiele godzin, dni, a nawet tygodni. Wojownicy Gorma ćwiczyli celność, ze śmiechem rzucając w mur toporami i odłupując kawały tynku na podłogę. Raith kiedyś śmiał się razem z nimi, patrząc, jak płoną wioski przy granicy. Teraz nie zwracali na niego uwagi.

W głębi świątyni znajdowało się marmurowe podwyższenie, a na nim wielka prosta bryła z czarnego kamienia. Grom-gil-Gorm opierał o nią pięści i marszczył brwi, przyglądając się wysokiemu oknu wypełnionemu kawałkami barwnego szkła, które układały się w obraz – postać na tle słońca, podającą coś brodatemu mężczyźnie.

– Piękne – wyszeptał Raith, gdy Matka Słońce zajrzała przez szkło i rzuciła barwne refleksy na podłogę, na kamienny blok, na świece, na złoty puchar i na dzban wina, który stał obok.

Gorm zerknął na niego z ukosa.

– Dawniej doceniałeś jedynie krew i chwałę.

Raith nie mógł zaprzeczyć.

– Człowiek może się zmienić, najjaśniejszy panie.

– Ale rzadko na lepsze. Co ci się stało w twarz?

– Powiedziałem nie to, co trzeba, pewnej kobiecie.

– Jej odpowiedź robi wrażenie.

– Aha. – Raith ostrożnie dotknął palcem bolącego nosa i się skrzywił. – Zadra Bathu ma niezbite argumenty.

– Ha! Nie mów, że cię przed nią nie ostrzegałem.

– Niestety, mam skłonność do zbytnej brawury, najjaśniejszy panie.

– Nawet mędracy mają trudność z wyznaczeniem granicy między śmiałością i szaleństwem. – Gorm w zamyśleniu obracał jedną z głowic na swoim łańcuchu. Raith zaczął się zastanawiać, czyj miecz dawniej równoważyła. – Głowię się i głowię nad tym oknem, lecz nijak nie mogę dociec, jaką historię przedstawia.

– Może taką, że Najwyższy Król otrzymał tron od Jednobóstwa.

– Masz rację! – Gorm pstryknął palcami. – Tyle że to wszystko jest jedynie pięknym kłamstwem. Spotkałem kiedyś człowieka, który go wyrzeźbił. Nie był bogiem, tylko niewolnikiem z Sagenmarku i miał cuchnący oddech. Prawdę mówiąc, nigdy nie uważałem, że to dzieło wyjątkowego kunsztu, i moja opinia w tej mierze nie uległa zmianie. Zbyt wymyślny. Każę chyba zrobić nowy.

Raith uniósł brwi.

– Nowy, najjaśniejszy panie?

– Wkrótce zasiądę na tronie w Komnacie Szeptów jako Najwyższy Król, władca całego Morza Drzazg. – Gorm spojrział na niego, zaciskając wargi w triumfalnym uśmiechu. – Nikt nie miał tak wspaniałych wrogów jak ja. Trzech braci: Uthrik, Odem i Uthil. Mądra i przebiegła królowa Laithlin. Yilling Wspaniały. Babka Wexen. Sam Najwyższy Król. Pokonałem wszystkich. Dzięki sile, sprytowi i orężowi. Dzięki łasce Matki Wojny i zdradzieckim knowaniom Ojca Yarwiego.

– Największym z wojowników jest ten, który wciąż oddycha, gdy wrony zaczynają ucztę. Największym z królów zaś jest ten, który patrzy, jak płoną trupy jego wrogów. – Jakże pusto brzmiały w uszach Raitha te słowa, lecz Gorm się uśmiechnął, gdy je usłyszał. Mężczyźni zawsze byli zadowoleni, gdy ktoś powtarzał to, czego się od nich nauczyły.

– Właśnie tak! Twój brat częściej się odzywał, ale to ty zawsze byłeś sprytniejszy. Rozumiałeś, o co naprawdę toczy się gra! Tak jak mówisz, cały świat będzie podziwiał Skarę w roli królowej. Dobrze się zajmie moim skarbcem i urodzi mi zdrowe dzieci, a sprawiedliwie brzmiącymi słowami zjedna mi przyjaciół ze wszystkich krain wokół morza. Miałeś rację, że jej nie zabiłeś.

Raith zacisnął pięść tak mocno, że zaboląły go kłykcie.

– Tak uważasz, najjaśniejszy panie? – Głos mu się załamał. Dławiły go zazdrość i niesprawiedliwość losu.

Lecz Gorm wziął to za wzruszenie i wdzięczność.

– Owszem i... wybaczam ci. – Łamacz Mieczy uśmiechnął się, jak gdyby jego wielkoduszność była najwspanialszym darem dla każdego, zwłaszcza dla dawnego giermka. – Matka Scaer lubi, gdy wszystko będzie zgodnie z planem. Ja jednak wolę otaczać się ludźmi, a nie niewolnikami, którzy we wszystkim przyznają mi rację. Prawdziwie lojalny sługa musi czasem chronić swojego pana przed rezultatami pochopnych decyzji.

– Naprawdę jesteś faworytem bogów, najjaśniejszy panie. Otrzymałeś od nich

więcej, niż człowiek mógłby zapragnąć.

Nikt na tyle nie zasługiwał. Zwłaszcza ktoś taki jak Gorm. Raith spojrział w uśmiechnięte oblicze noszące ślady setek walk i oświetlone intensywnymi kolorami okiennego obrazu. Oblicze wojownika, którego dawniej podziwiał. Człowieka, który uczynił go tym, kim był.

Zabójcą.

Wziął z ołtarza złoty puchar.

– Powinieneś wznieść toast za swoje zwycięstwo, najjaśniejszy panie! – Raith zbyt mocno przechylił dzban i ciemne wino chlapnęło krwawymi kroplami na marmurowe podwyższenie. Upił pierwszy łyk zwyczajem podczaszego, który próbuje, czy może bezpiecznie podać trunek lepszemu od siebie.

Za nimi rozległ się łoskot i ktoś bluzgnął obelgami. Gorm się odwrócił. To wystarczyło, aby Raith wsunął dwa palce do sakiewki i namacał chłodną szklaną fiolkę.

Chude zwłoki Najwyższego Króla rzucono na posadzkę, a dwaj wojownicy Gorma kłócili się o purpurowy całun. Piękna materia się rozdarła, gdy zaczęli szarpać ją między sobą jak psy kość.

– Oto temat na pieśń – mruknął Gorm, patrząc na nagie ciało człowieka, który rządził całym Morzem Drzazg, leżące na nieukończonyj posadzce, odarte z godności. – O tym dniu bardowie ułożą ich wiele.

– Pieśni o upadku miast i śmierci królów – powiedział Raith i ukląkł, podając złoty puchar swojemu władcy. Tak jak to robił po każdym pojedynku i po każdej bitwie. Po każdym zwycięstwie. Po każdej spalonej wsi. Po każdym morderstwie. – Toast na cześć nowego Najwyższego Króla! – zawołał. – Wzniesiony pucharem jego poprzednika!

– Brakowało mi cię, chłopcze. – Gorm z uśmiechem sięgnął po kielich, tak jak Skara w kuźni, gdy przymierała kolczugę. Lecz tym razem ręce Raitha nie zdrząły. – Byłem małoduszny, a właśnie jesteśmy świadkami losu, jaki spotyka małodusznych władców. Wrócisz do mnie jako mój mieczowy i podczaszy. – Łamacz Mieczy podniósł puchar do ust.

Raith głęboko wciągnął powietrze i wypuścił je z westchnieniem.

– Tylko tego pragnąłem.

– Fu! – Gorm zmarszczył nos. – To wino ma okropny smak.

– Wszystko tu smakuje okropnie.

– Co prawda, to prawda. – Szparki oczu władcy spojrzały na Raitha znad kielicha, gdy wypił kolejny łyk. – Bardzo się zmieniłeś. Czas, który spędziłeś przy mojej przyszłej królowej, nauczył cię spostrzegawczości i cierpliwości.

– Dzięki królowej Skarze na wszystko patrzę inaczej, najjaśniejszy panie. Powiniennem ją powiadomić, że rezygnuję ze służby u niej, aby wrócić na dawne miejsce. Tak nakazuje obyczaj.

– Obyczaj? Ha! Jeszcze trochę i zacznę cię uważać za zupełnie oswojonego! – Gorm wypił wino do dna i z brzękiem odstawił puchar na ołtarz, po czym wytarł kilka zabłąkanych kropli z brody. – Ruszaj zatem. Odszukaj królową. Jej łódź już chyba przybiła do brzegu. Jutro rano mają się odbyć nasze zaślubiny. Zapewne ze smutkiem przyjmie wiadomość, że straci swojego ulubionego psa. – Łamacz Mieczy niedbale poklepał Raitha po głowie. – Za to ja jestem zadowolony, że go odzyskuję.

– Nie tak zadowolony jak sam pies, najjaśniejszy panie. – Raith ukłonił się nisko i zszedł z podwyższenia z odrobiną dawnej dumy. Skinął głową do Soryorna, który właśnie niósł głowicę z miecza Najwyższego Króla, naznaczoną śladami zadrapań.

– Mamy spalić to miejsce, najjaśniejszy panie? – usłyszał pytanie chorążego.

– Po co palić coś, co można wykorzystać? – odparł Gorm. – Kilka uderzeń dłuta zamieni te żałosne posągi w figury Matki Wojny. Będzie tak, jakbyśmy w okamgnieniu wzniesli świątynię ku jej czci! Piękne podziękowanie w zamian za to, że ofiarowała swojemu ulubionemu synowi całe Morze Drzazg...

Raith z uśmiechem wyszedł na zewnątrz. Po raz pierwszy niczego nie żałował.

NAJSZCZĘŚLIWSZY DZIEŃ



Skara oglądała swoje odbicie w lustrze.

Tak jak wtedy, gdy pierwszy raz trafiła do Thorlby po ucieczce z płonących ruin siedziby jej dziada. Miała wrażenie, że od tamtego czasu upłynęło sto lat. Ledwie rozpoznawała wówczas wątłą dziewczynę w tafli szkła. Kobieta o ostrych rysach, na którą teraz patrzyła, wydawała jej się równie obca. Błysk dumy w oczach, bezwzględnie zaciśnięte usta i sztylet zatknięty za wysadzany klejnotami pas. Wyglądała na osobę, która nie zawaha się go użyć.

Przekręciła bransoletę, którą dawno temu nosił Bail Budowniczy. Czerwony kamień błysnął. Dostała ją od dziada. Jaki byłby dumny, gdyby mógł teraz zobaczyć wnuczkę. Wyobraziła sobie jego uśmiechniętą twarz, a potem zadrżała, gdy przypomniała sobie, jak martwy osunął się w palenisko. Znowu musiała powstrzymać nieodłączne mdłości. Zamknęła oczy, próbując uspokoić kołatanie serca.

Wcześniej powtarzała sobie, że gdy zobaczy Yillinga martwego, wreszcie poczuje się wolna. Służąca delikatnie założyła na szyję władczyni łańcuch z głowicami – ten, na którym wkrótce miał zawisnąć klucz Najwyższej Królowej – i Skara poczuła na nagich ramionach jego chłodny ciężar, brzemie swoich wyborów i czynów.

Zamiast pozbyć się duchów Matki Kyre i króla Fynna, dodała do nich duchy Yillinga i jego Kompanów. Zamiast uwolnić się od wspomnienia chłodnego dotyku jego palców i tamtej strasznej nocy w mrocznej siedzibie dziada, jeszcze bardziej spętała ją pamięć jego śmiertelnie bladej pięści, gdy chwycił ją za kolczugę na polu bitwy pod fortecą Bailsa.

Matka Owd miała rację. Im szybciej człowiek ucieka przed przeszłością, tym szybciej ona go dopada. Można jedynie się odwrócić i stawić jej czoło. Pogodzić się z nią. I mądrzej wyjść naprzeciw przyszłości.

Ktoś mocno zapukał do drzwi. Skara odetchnęła głęboko i otworzyła oczy.

– Wejść.

Siny Jenner miał zająć miejsce jej ojca podczas ceremonii. Uważała, że to właściwa decyzja, bo nikt nie był jej bliższy. Zastępował jej teraz rodzinę. Ogarnęła ją nowa fala mdłości, gdy na jego ramieniu zobaczyła świętą szarfę. Tę, która miała opleść dłonie jej i Gorma, aby połączyć ich na całe życie.

Stary korsarz stanął obok niej. Jego zniszczona twarz w lustrze wydawała się dwa razy bardziej pobrużdżona. Powoli pokręcił głową.

- Wyglądasz jak prawdziwa Najwyższa Królowa. A jak się czujesz?
- Jakbym miała za chwilę zymiotować.
- Podobno dziewczyna właśnie tak powinna się czuć w dzień swojego wesela.
- Wszystko gotowe?

Jeśli liczyła, że wielka powódź zmyła gości daleko w morze, czekało ją rozczarowanie.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem! Królowa Laithlin przywiozła ze sobą całe mile białej materii. Komnatę Szeptów przybrano girlandami jesiennych kwiatów, a na posadzce usypano dywan z liści. Posąg Jednobóstwa już jest bez głowy i wkrótce zniknie reszta. Wielcy Bogowie znowu objęli panowanie, tak jak być powinno. Cokolwiek by mówić, Dziad Yarvi jest człowiekiem, który doprowadza sprawę do końca.

Skara wydeła policzki.

- Dziad Yarvi?
- Ostatnio sporo ludzi wspięło się wyżej.
- Po górach trupów. – Skara poprawiła łańcuch głowic na szyi. Diament Yillinga błysnął na wysokości jej mostka. – A moja góra wydaje się największa.

Jenner zdawał się jej nie słuchać.

– Przybyli ludzie z całego Morza Drzazg. Z Gettlandu i Throvenlandu, i Vansterlandu. Z Inglefoldu, z Nizin i z Wysp. Shendowie i Banyowie. Jedynie bogowie wiedzą, kto jeszcze tu ściągnął, bo ja na pewno nie. Widziałem nawet posłów z Catalii. Podobno przybyli prosić Najwyższego Króla o audiencję i dowiedzieli się, że mamy nowego władcę.

– Jakie są nastroje?

– Rany jeszcze się nie zablizniły. Poza tym wszędzie znajdują się wiecznie skwaszeni, ale większość ludzi się cieszy, że Matka Wojna złożyła skrzydła, a na obliczu Ojca Pokoju znowu gości uśmiech. Wielu gardzi Gormem, wielu nie ufa Yarviemu, ale ciebie kochają nieskończenie.

– Mnie?

– Twoja sława dotarła daleko! Wojownicza królowa, która stanęła w obronie swojej ziemi, gdy została sama! Kobieta, która pokonała Yillinga Wspaniałego, ale przyszła mu w sukurs, kiedy umierał. Uosobienie majestatu i łaski. Tak słyszałem. Prawdziwa nowa Ashenleer.

Zdziwiona Skara spojrzała na swoje odbicie. Przecież w niczym nie pomogła Yillingowi. Wzięła jedynie od niego tamtą sakiewkę ze zwitkami papieru. Poczowała kwaśny smak w ustach i przycisnęła dłoń do brzucha, zastanawiając się, czy Ashenleer również z nerwów dokuczał żołądek.

– Prawda i pieśni rzadko zasiadają obok siebie – wyszeptała.

– Nawet nie w jednej sali. No, ale skaldom nie płaci się za opowiadanie prawdy. – Siny Jenner na moment umilkł i przyjrzał się władczyni uważnie spod krzaczastych brwi. – Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytał w końcu.

Daleko jej było do pewności, ale nie chciała dokładać jego wątpliwości do własnych.

– Dałam słowo. Nie mogę się wycofać, nawet gdybym chciała.

– Ale chcesz? Może i są gorsi mężczyźni niż Łamacz Mieczy, ale wydaje mi się, że cię znam, królowo. Gdybyś mogła wybierać, wątpię, czy właśnie jego chciałabyś za męża...

Skara przełknęła ślinę. Dziewczyna, jaką była, zanim płomienie strawiły siedzibę jej dziada, być może dokonałaby innego wyboru. Podobnie jak ta, która przytulała się w ciemnościach do Raitha. Lecz ona już nie była dziewczyną.

Dumnie uniosła głowę i spojrzała na swojego doradcę szparkami oczu. Świadomie starała się wglądać na zdecydowaną.

– W takim razie nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje, Siny Jennerze. Grom-gil-Gorm zostanie dziś ogłoszony Najwyższym Królem. Jest najsłynniejszym wojownikiem nad całym Morzem Drzazg. Przymierze między Vansterlandem i Throvenlandem uczyni z nas i naszego ludu potęgę. Już nigdy obcy nie podpalą nocą Yaletoftu! – Zdała sobie sprawę, że niemal krzyczy, i świadomie zniżyła głos. Zmusiła serce, aby zamilkło, i oddała pole rozumowi. – Gorm jest mężem, jakiego bym wybrała. Mężem, jakiego wybrałam.

Siny Jenner spojrział na swoje buty.

– Nie zamierzałem podawać w wątpliwość twoich decyzji...

– Wiem. – Skara łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu, a on powoli podniósł

lekkko załzawione oczy. – Wspierałeś mnie, gdy nie miałam nikogo, i czuję, że nadal mnie wspierasz. Modlę się, aby zawsze tak było. Lecz muszę wypełnić moją powinność. Nie ucieknę przed tym. – Nie mogła, nawet gdyby musiała z tego powodu cierpieć.

Siny Jenner uśmiechnął się po swojemu, pokazując braki w uzębieniu. Tak bardzo pokochała ten jego uśmiech i ogorzałą twarz pełną zmarszczek.

– W takim razie czas wydać cię za mąż.

Oboje się obejrżeli, gdy ktoś nagle z hukiem otworzył drzwi. Matka Owd stanęła w progu. Jej nowa szata, nieco dla niej za długa, zaplątała się wokół jej kostek. Pierś minister falowała gwałtownie, a na jej blade czoło wystąpił pot. Nie trzeba było wielkiej wnikliwości, aby się domyślić, że przyniosła złe wieści.

– Mów wreszcie – ponagliła ją Skara, czując w gardle przykre łaskotanie.

– Najjaśniejsza pani... – Matka Owd niepewnie przełknęła ślinę i spojrzała na władczynię okrągłymi oczami. – Grom-gil-Gorm nie żyje.

ZMIENIANIE ŚWIATA



Wiem, że to twoja sprawa! – warknęła Matka Scaer. Jej wściekłość wypełniła Komnatę Szeptów aż po sklepienie i rozeszła się echem tak okrutnym, że Koll skulił ramiona. – Albo tej twojej suki...

– Jeśli masz na myśli królową Skarę, to nie jest ona suką ani nie jest moja. – Uśmiech Dziada Yarwiego był tak odporny na furję Scaer jak elf-kamień na strzały. – Gdybyś naprawdę uważała, że za to odpowiadam, miałabyś dowody. Wiem jednak, że nie masz żadnych, ponieważ nie miałem z tym nic wspólnego. – Minister Vansterlandu otworzyła usta, ale Yarvi nie dopuścił jej do głosu. – Mówimy przecież o Grom-gil-Gormie, Łamaczu Mieczy i Twórcy Sierot! Tym, który stale się przechwalał, że nikt nie ma więcej wrogów od niego! Każda głowica na jego łańcuchu to czyjaś chęć odwetu.

– Poza tym... – Koll rozłożył ręce, starając się mówić jak najszczerzej. – Czasami ludzie po prostu u m i e r a j ą .

Matka Scaer obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

– Za to umrze niejeden, tyle mogę ci przyrzec!

Strażnicy Yarwiego kryli twarze za połączanymi zasłonami hełmów, ale broń elfów trzymali tak, aby wszyscy ją widzieli. Słowa Scaer sprawiły, że niepewnie przestąpili z nogi na nogę. Załoga *Wiatru Południa* chorowała. Trzech już nie żyło. Bez magicznych fasolek Skifry ruiny były tak niebezpieczne, jak opowiadano. Na razie nikt nie mógł sprowadzić nowych artefaktów, lecz Dziadowi Yarwiemu nie brakowało ludzi gotowych nosić te, które już zdobył. W końcu każdy, kto brał taką broń w ręce, stawał się silniejszy niż bohaterowie pieśni.

– Naprawdę nie masz nic lepszego do roboty niż straszenie mojego ucznia czczymi pogroźkami? – Yarvi obojętnie wzruszył ramionami. – Gorm nie zostawił po sobie następcy. Vansterland pograży się w chaosie, jeśli każdy wojownik zapagnie dowieść, że jest najsilniejszy. Powinnaś czuwać nad porządkiem i pilnować, aby nie przelano zbyt wiele krwi, zanim zostanie wybrany nowy władca.

– O to się nie martw, znajduję nowego króla. – Scaer cedziła słowa, piorunując Yarwiego wzrokiem. – Potem dotrę do prawdy i winni będą musieli zapłacić. – Zagiętym szponem wskazała posągi. – Bogowie widzą wszystko! W końcu każdego dosięgnie ich sprawiedliwość!

Yarvi zmarszczył czoło.

– Z doświadczenia wiem, że się z tym nie spieszą. Szukaj prawdy, jeśli ci na tym zależy, lecz na razie nie będzie Najwyższego Króla. Ostatni utoczył zbyt wiele krwi. Morze Drzazg potrzebuje czasu, aby rany się zabiły. – Z ociąganiem położył na piersi przykurzoną dłoń. – Tymczasem władzę sprawować będzie Ministerstwo. Niech nastanie czas Ojca Pokoju.

Matka Scaer syknęła z obrzydzeniem.

– Nawet Babka Wexen nie śmiała tak się wywyższać.

– Robię to dla większego dobra, nie dla siebie.

– Tak mówią wszyscy tyrani!

– Jeśli aż tak bardzo gardzisz moimi metodami, powinnaś oddać elf-broń, którą nadal nosisz. A może nie wydaje ci się już takim złem jak na początku?

– Czasami jedno zło trzeba zwalczać innym. – Scaer zerknęła na strażników Yarwiego i nieznacznie przesunęła artefakt, który nosiła pod peleryną. – Sam udzieliłeś światu tej lekcji.

Oblicze Yarwiego spochmurniało.

– Powinnaś zwracać się do mnie z należnym szacunkiem, Matko Scaer. Dla urzędu Dziada Ministerstwa, jeśli nie dla człowieka, który go piastuje.

– Oto, jakim szacunkiem cię darzę. – Minister Vansterlandu splunęła mu pod nogi. – Jeszcze o mnie usłyszysz – oznajmiła.

Echo jej kroków wypełniło Komnatę Szeptów, gdy sztywno pomaszerowała do wyjścia.

– Jaka szkoda. – Yarvi starł plwociną butem. – Zwłaszcza że byliśmy dobrymi przyjaciółmi. No cóż. – Spojrzał na Kolla z cieniem uśmiechu na wargach. – Wrogowie są ceną sukcesu, nieprawdaż?

– Tak słyszałem, Ojczy Yarvi... to jest D z i a d z i e Yarvi – szybko poprawił się Koll.

– Bo tak jest. Chodź ze mną.

Matka Słońce świeciła wysoko na niebie, ale rankiem padał deszcz i wybrukowane szarymi kamieniami ulice Skeken upstrzone były kałużami. Ognie

zagaszono, lecz w powietrzu ciągle unosiła się nikła woń spalenizny. Rzeź się skończyła, jednak w mieście wciąż słychać było echa przemocy. Krzyki sprzedawców brzmiały niemrawo. Ludzie chodzili ze spuszczoneym wzrokiem. Nawet w odległym szczekaniu psa słyszało się nutę lęku. Matka Wojna złożyła skrzydła, lecz Ojciec Pokój jeszcze nie zasiadł wygodnie przy swoich krosnach.

W długim cieniu Wieży Ministerstwa zebrał się tłum petentów. Przyszli błagać o uwolnienie tego czy innego więźnia lub o łaskę. Klękali na mokrych kamieniach i kulili się, gdy surowy Dziad Yarvi mijał ich szybkim krokiem. Wołali za nim, dziękując, że ocalił miasto przed Shendami.

Nikt nie miał odwagi wspomnieć, że właśnie on je Shendom oddał. Przynajmniej nikt nie oskarżał go prosto w twarz.

– Dawniej ludzie chylili przed tobą głowy – wyszeptał Koll. – Albo nisko się kłaniali, jeśli bardzo czegoś chcieli. Dziś przed tobą klękają.

– Obyczaj nakazuje klękać przed Dziadem Ministerstwa – odparł cicho Yarvi, nagradzając najgorliwszych służalców hojnym gestem przykurczonej dłoni.

– To prawda. Pytanie tylko, czy klękają przed nim czy może ze strachu przed elf-bronią jego strażników?

– Liczy się to, że klękają.

– Czyżby strach i szacunek były jednym i tym samym?

– Oczywiście, że nie. – Yarvi zostawił część swojej licznej straży, aby uporała się z tłumem, a sam ruszył dalej. – Szacunek potrafi się ulotnić po najmniejszej burzy. Korzenie strachu sięgają głębiej.

Pośród ruin uwijali się niewolnicy ponaglani batami gorliwych nadzorców. Pracowali w znoju, aby przywrócić miastu wygląd sprzed najazdu. Koll miał pewność, że są wśród nich ludzie, którzy cieszyli się łaskami Babki Wexen. Na własnej skórze doświadczyli tego, że im wyżej człowiek się wspina, z tym większej wysokości spada.

Patrząc na nich, zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście świat się zmienił aż tak bardzo, choć przelano tyle krwi. Inni ludzie mieli teraz na szyjach obręcze i inni trzymali końce łańcuchów, ale życie wyglądało tak samo. Te same pytania. Te same odpowiedzi.

– Jesteś dziś wyjątkowo milczący – stwierdził Dziad Yarvi, kierując się do portu.

– Czasami człowiek ciężko na coś pracuje, a gdy to zdobędzie, zupełnie nie wie, co z tym zrobić.

– W ostatecznym rozrachunku zwycięstwo rzadko niesie ze sobą poczucie triumfu. – Yarvi spojrział na swojego ucznia z ukosa i Koll jak zwykle odniósł wrażenie, że mistrz potrafi przejrzeć jego myśli. – Czy na pewno tylko to cię trapi?

– Rzeczywiście od jakiegoś czasu coś... hm... n i e d a j e m i s p o k o j u –
Prawdę mówiąc, gnębiło go to okrutnie od chwili, gdy się o tym dowiedział.

– Nigdy nie kryłeś przede mną swoich zmartwień.

Koll poruszył szyję. Brzęk ciężarków pod koszulą dodał mu otuchy.

– Moja matka nie raz powtarzała, że prawda najlepiej chroni człowieka.

– Twoja matka zawsze udzielała dobrych rad. Słucham więc prawdy.

– Babka Wexen... – Koll zaczął dłubać przy paznokciu. – Babka Wexen powiedziała, że to nie ona nasłała ludzi, którzy spalili bliskich Skifry.

Yarvi spojrział na niego z góry. Odkąd został Dziadem Ministerstwa, zdawał się patrzeć na wszystko z bardzo wysoka.

– Zwykle kłamstwo. Podobnie jak to, że w naszym sojuszu jest zdrajca. Babka Wexen umiała siać niezgodę wśród swoich wrogów. Nadal to robi zza Ostatnich Wrót.

– Być może... – Koll złączył opuszki palców wskazujących i przycisnął jeden do drugiego tak, że zbieleły. Każde słowo wymagało ogromnego wysiłku. – Ale zastanówmy się, kto na tym najbardziej skorzystał... Sam to zawsze doradzasz.

Dziad Yarvi przystanął gwałtownie. Koll usłyszał, jak strażnicy z hałasem zatrzymują się za jego plecami. Ich długie cienie wyciągały się ku niemu po bruku... razem z cieniami elf-broni, którą nieśli.

– A kto na tym skorzystał?

– Ty – wychrypiał chłopak, przypatrując się swoim palcom. – A raczej my – dodał pośpiesznie. – Gettland. My wszyscy. Gdyby nie to, Skifra nie wróciłaby na północ. Bez niej nie wyruszylibyśmy na Strokom. Bez Strokomu nie byłoby elf-broni. Bez elf-broni nie zwyciężylibyśmy pod twierdzą Baila. Bez tego zwycięstwa...

Ciężar dłoni Yarviego na ramieniu Kolla sprawił, że chłopak zamilkł.

– Przyszłość spowija mgła. Naprawdę sądzisz, że mógłbym to wszystko zaplanować?

– Być może...

– Pochlebiasz mi i zarazem mnie obrażasz. Nie raz powtarzałem, że ci, którzy sprawują władzę, mają jedno ramię w cieniu. Ale nie oba, Kollu. Skifra jest naszą przyjaciółką. Uważasz, że mógłbym nasłać na nią zabójców? Żeby spalili jej dzieci?

Patrząc w bładoniebieskie oczy mistrza, Koll nie miał pewności, czy było coś, przed czym pierwszy wśród ministrów by się powstrzymał. Tyle że tak jak Matka Scaer nie miał dowodów – a zdobycie ich nie dałoby mu żadnej satysfakcji. Pospiesznie przywołał uśmiech na twarz i pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Po prostu... nie dawało mi to spokoju.

Yarvi się odwrócił.

– Nie możesz się tak wszystkim przejmować, jeśli masz mnie zastąpić w roli ministra Gettlandu. – Rzucił tę myśl jak treser, który rzuca kość, a Koll oczywiście pognał za nią jak podekscytowany szczeniak.

– Ja? – Jego głos zabrzmiał cienko jak u dziewczynki. – Ministrem Gettlandu?

– Masz tyle lat co ja, gdy przejąłem laskę po Matce Gundring. Wiem, że jeszcze w siebie nie wierzysz, ale ja w ciebie wierzę. Najwyższy czas, abyś przystąpił do egzaminu, złożył przysięgę i został ministrem. Będziesz zasiadał obok Czarnego Tronu jako Ojciec Koll, a twoim królestwem staną się zioła i księgi, i mądre słowa.

Wszystko, czego pragnął. Szacunek, autorytet i cel dla swoich talentów. Ojciec Koll. Lepszym człowiekiem nie mógł się stać. Dlaczego więc ta myśl przepełniała go strachem?

W porcie roił się tłum. Ludzie targowali się i wykrzykiwali pogrożki w sześciu językach, które Koll znał, i co najmniej sześciu, które były mu obce. Okręty tłoczyły się przy nabrzeżu i na wodach zatoki. Jedne wracały z morza, inne wypływały. Wiosła szczepiały się i skrobały o burty.

Wiele załóg opuszczało Skeken w związku z niejasnymi okolicznościami śmierci Łamacza Mieczy. Shendowie już się ulotnili z łupami, narzekając, że dostali jedynie część tego, co im obiecano. Throveni popłynęli odbudowywać zniszczone domy, zniszczone miasta i zniszczony kraj. Bez łańcucha sławy Gorma Vansterowie od razu zaczęli toczyć wewnętrzne spory i woleli jak najszybciej wrócić na swoje ziemie, aby pilnować tego, co do nich należało, lub zagarnąć własność innych, zanim zima ściśnie Północ.

– Dużo ludzi wyjeżdża – zauważył Koll.

– To prawda. – Yarvi westchnął z zadowoleniem, przyglądając się tłumom. – Ale jednocześnie sporo przyjeżdża.

Bystrookie znawczynie kupiectwa, służące Złotej Królowej, przybyły, aby ścigać podatki z każdego okrętu, który przeprował się przez cieśniny. Żarliwi modłotkacze zapamiętali tępił wszelkie przejawy kultu Jednobóstwa i śpiewali pieśni na cześć wielu bogów na wszystkich skrzyżowaniach w Skeken. Z każdym

dniem coraz liczniej napływali wojownicy bez ziemi, werbowani przez Dziada Yarwiego znad całego Morza Drzazg. Na ich tarczach widniał świeżo malowany biały orzeł Ministerstwa.

– Ściąga tu sporo mieczy – wyszeptał Koll.

– W rzeczy samej. Musimy pilnować, aby Ojciec Pokój uśmiechał się jak najdłużej.

– A od kiedy Ojciec Pokój uśmiecha się do mieczy?

– Tylko połowa wojny toczy się na miecze, Kollu, ale pokój jedynie w połowie można utrzymać pługiem. – Yarvi oparł przykurczoną dłoń na rękojeści zakrzywionego miecza, który nadal nosił. – We właściwych rękach ostrze jest szlachetnym narzędziem.

Koll obejrzał się na grupę wojowników, którzy minęli go, prezentując broń z taką dumą, z jaką młoda żona nosi klucz.

– Kto decyduje, czyje ręce są właściwe?

– My. To nasz obowiązek. Ci, którzy sprawują władzę, muszą zapomnieć o dziecinnych niesnaskach i nauczyć się wybierać mniejsze zło. W przeciwnym razie świat pograży się w chaosie. Chyba już nie trapią cię wcześniejsze wątpliwości, Kollu?

– Wątpliwości? – O bogowie, cały się z nich składał. – Nie. Nie, nie. – Koll odchrząknął. – Może trochę. Wiem, jak wiele ci zawdzięczam. Po prostu... nie chcę sprawić ci zawodu.

– Jesteś mi potrzebny. Obiecałem twojemu ojcu, że wyrwę cię z niewoli, i to zrobiłem. Obiecałem twojej matce, że się tobą zaopiekuję, i również dotrzymałem słowa. – Głos Yarwiego zabrzmiał łagodniej. – Mnie również trapią wątpliwości, a ty... pomagasz mi dokonywać właściwych wyborów. – Koll po raz pierwszy usłyszał w tonie pierwszego wśród ministrów nutę słabości, jakiej zupełnie się nie spodziewał. Niemal desperacji. – Rulf wrócił do Thorlby, do żony. Potrzebuję kogoś, komu mogę ufać. Kogoś, kto mi będzie przypominał, że potrafię czynić dobro. I nie chodzi mi o to większe dobro wybierane przez ministrów, lecz o zwyczajne. Proszę. Pomóż mi stać w pełnym blasku.

– Ale ja jeszcze tyle muszę się nauczyć – wyjąkał chłopak, choć widział, że nie uda mu się tym razem wykręcić.

– Będziesz się uczył, pełniąc swoją funkcję. Tak jak ja to robiłem. Tak jak musi to robić każdy. – Yarvi pstryknął palcami. – Zapomnijmy na razie o egzaminie.

Koll spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Jak to?

– Jestem zwierzchnikiem Ministerstwa, kto będzie śmiał mi się sprzeciwić? Od razu możesz złożyć przysięgę. Ukłęknieś przede mną jako Koll snycerz, a powstaniesz jako Ojciec Koll, Minister Gettlandu!

Wprawdzie nie wyobrażał sobie, że będzie klękał na nabrzeżu, ale wiedział, że w końcu przyjdzie ta chwila. Marzył o niej, szczycił się nią, gorliwie uczył słów na pamięć.

Koll snycerz chwiejnie przyklęknął i poczuł, jak wilgoć przesiąka mu przez spodnie na kolanie. Dziad Yarvi stanął nad nim, uśmiechając się szeroko. Nie musiał sprawiać wrażenia srogiego. Bezimienni strażnicy, którzy mu towarzyszyli, byli wystarczająco groźni.

Lada moment Koll miał wypowiedzieć słowa przysięgi i zostać ministrem. Nie Bratem Kollem, lecz od razu Ojcem. Doradzać królom i zmieniać świat. Stać się jak najlepszym człowiekiem, tak jak pragnęła jego matka. Nigdy nie czuć się obco. Nigdy nie być słabym. Nie mieć żony ani rodziny oprócz Ministerstwa. Zostawić blask innym i już zawsze mieć jedno ramię w cieniu. Co najmniej jedno.

Musiał jedynie wypowiedzieć słowa przysięgi i wstać.

JEDEN GŁOS



W samym sercu domu, który zajęła Skara, znajdował się zarośnięty wewnętrzny ogród. Dławiły go chwasty i dusiły pędy bluszczu, ale ktoś kiedyś musiał o to miejsce dbać, bo późne kwiaty kwitły słodko pachnącym bogactwem przy nasłonecznionej ścianie.

Choć liście już opadały i robiło się coraz chłodniej, Skara lubiła tu przesiadywać na kamiennej ławie nakrapianej porostami. To miejsce przypominało jej otoczony murami ogród za siedzibą dziada, gdzie Matka Kyre uczyła ją rozpoznawać zioła. Tyle że tu nie było ziół. A Matka Kyre nie żyła.

– Atmosfera w Skeken jest...

– Trująca – dokończyła za nią Matka Owd.

Jej minister jak zawsze znalazła trafne słowo. Mieszkańców paraliżowały urazy i strach. Niedawni sojusznicy skakali sobie do gardeł. Wojownicy Dziada Yarwiego byli wszędzie. Na pelerynach mieli znak białego gołębia Ojca Pokoju, lecz narzędzia Matki Wojny trzymali w pogotowiu.

– Czas wracać do Throvenlandu – powiedziała Skara. – Czeka nas tam wiele pracy.

– Flota jest już gotowa, najjaśniejsza pani – poinformował Siny Jenner. – Pomyślałem, że może powinienem zaproponować Raithowi miejsce przy wiośle...

Skara gwałtownie podniosła głowę.

– Prosił o to?

– On nie z tych, co proszą. Ale słyszałem, że sprawy między nim i Zadrą Bathu nie ułożyły się dla niego zbyt dobrze, a miecza za Gormem już nie może nosić...

– Raith dokonał wyboru – ucięła, ale jej głos lekko się załamał. – Nie może wrócić z nami.

Jenner spojrział na nią zdziwiony.

– Przecież walczył w twoim imieniu nad cieśninami. Ocalił mi życie w twierdzy Baila. Obiecałem mu, że zawsze znajdziemy dla niego miejsce...

– Nie powinienesz był tego robić. Nie do mnie należy spełnianie twoich obietnic.

Poczuła się okropnie, bo tymi słowami bardzo go zraniła.

– Oczywiście, najjaśniejsza pani – wymamrotał i sztywno wycofał się do domu.

Skara została sama z Matką Owd.

Wiatr wpadł do ogrodu chłodnym podmuchem. Liście urządziły sobie gonitwę po starych kamieniach. Jakiś ptak zaświergotał w suchych pędach bluszczu. Minister odchrząknęła.

– Najjaśniejsza pani, muszę o coś zapytać. Czy nadal regularnie krwawisz?

Serce Skary zabiło gwałtowniej. Zacerwieniła się i wlepiła wzrok w ziemię.

– Najjaśniejsza pani?

– Nie.

– I... może... właśnie dlatego nie chcesz dać miejsca przy wiośle mieczowemu króla Gorma? – Siny Jenner niczego się nie domyślił, ale Matka Owd najwyraźniej odgadła prawdę. Kłopot w tym, że mądry doradca potrafi przejrzeć twoje kłamstwa równie łatwo jak kłamstwa twoich wrogów.

– On ma na imię Raith – wyszeptwała Skara. – Możesz przynajmniej używać jego imienia.

– Pobłogosławił cię Ten, dzięki któremu nasiono kiełkuje – powiedziała cicho minister.

– Chyba mnie przeklął. – Skara wiedziała, że winić może tylko siebie. – Kiedy nie masz pewności, czy dożyjesz jutra, raczej nie zastanawiasz się, co zrobisz pojutrze.

– Nikt nie postępuje mądrze przez cały czas, królowo. Co teraz zamierzasz?

Skara ukryła twarz w dłoniach.

– Niech mi bogowie pomogą, bo nie mam pojęcia.

Matka Owd przyklękła przed nią.

– Mogłabyś urodzić dziecko. Może nawet utrzymać wszystko w tajemnicy. Ale to znaczne ryzyko. Dla ciebie i twojej pozycji.

– Albo? – Skara spojrzała w oczy doradczyni.

– Mogłybyśmy wywołać krew. Znam sposoby.

Skara miała wrażenie, że język odmawia jej posłuszeństwa.

– Czy z tym także wiąże się ryzyko?

– Tak. – Matka Owd spokojnie odwzajemniła jej spojrzenie. – Ale uważam, że mniejsze.

Skara położyła dłoń na brzuchu. Wcale nie wydawał się inny. Nie czuła większych mdłości niż zwykle. Nie widziała żadnych oznak, że coś w niej rośnie.

Kiedy pomyślała, że to coś mogłoby zniknąć, ogarnęła ją ulga... i cień poczucia winy, że nie czuje nic więcej.

Nabierała coraz większej wprawy w odsuwaniu od siebie żalów.

– Chcę, żeby tego nie było – wyszeptwała.

Matka Owd łagodnie ujęła ją za rękę.

– Kiedy wrócimy do Throvenlandu, poczynię przygotowania. Teraz nie zaprzataj tym sobie głowy. Dźwigasz już wystarczająco wielkie brzemie. Pozwól, że ten ciężar wezmę na siebie.

Skara przełknęła łzy. Odważnie stawiała czoło pogrożkom, wściekłości, a nawet samej Śmierci, tymczasem wystarczyła odrobina życzliwości, a miała chęć się rozplakać.

– Dziękuję – wyszeptwała.

– Cóż za wzruszająca scena!

Matka Owd błyskawicznie wstała i się odwróciła. Do niewielkiego ogrodu wszedł Dziad Yarvi.

Wciąż miał tę samą prostą pelerynę. Nosił ten sam wysłużony miecz. I podpierał się tą samą laską z elf-metalu – choć budziła o wiele większy respekt, odkąd zabił nią Yillinga Wspaniałego. Jediną różnicą był łańcuch, który niegdyś nosiła Babka Wexen. Yarvi już nawłókł nań szeleszczący bezlik własnych zwitków. Zmieniło się także jego oblicze. W oczach miał gorzką zaciętość, której Skara wcześniej nie widziała. Być może musiał przywdziać maskę bezwzględności, odkąd zamieszkał w Wieży Ministerstwa. A może zrzucił maskę łagodności – już niepotrzebną.

Zbyt często, gdy uda się obalić znieawidzony system, zamiast zupełnie go rozbić i zacząć od nowa, wynosimy siebie na to samo miejsce.

– Nawet mały kamień mojego serca mięknie na widok takiej zażyłości między władczynią i jej doradczynią – oznajmił Yarvi, ale uśmiech nie zmiękczył rysów jego twarzy. – Jesteś kobietą, która bez trudu zaskarbia sobie lojalność ludzi, królowo Skaro.

– Nie jest to zasługa żadnych czarów. – Podniosła się z ławy, dokładnie wygładzając przód sukni i twarz, aby z niczym się nie zdradzić, tak jak uczyła ją Matka Kyre. Miała przecucie, że teraz przydadzą się jej wszystkie nauki dawnej minister Throvenlandu, a i one mogły nie wystarczyć. – Staram się traktować innych tak, jak sama chciałabym być traktowana. Władza nie może oznaczać wyłącznie bezwzględności, Dziadzie Yarvi. Trzeba też okazywać wspaniałomyślność. Znaleźć w sobie źródło miłosierdzia.

Pierwszy wśród ministrów uśmiechnął się, jak gdyby miał przed sobą naiwne dziecko.

– To urocze sentymenty, królowo. Podobno wkrótce wyruszasz do Throvenlandu. Zanim nas opuścisz, chciałbym z tobą porozmawiać.

– Pragniesz życzyć nam sprzyjającej aury, o najczcigodniejszy z ministrów? – Matka Owd odwróciła się przodem do niego i skrzyżowała ręce na piersi. – Czy może chodzi o sprawy wagi państwowej?

– Najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z królową w cztery oczy. Zostaw nas.

Owd zerknęła na władczynię pytająco, a Skara odpowiedziała jej niemal niezauważalnym skinieniem głowy. Niektórym problemom musiała stawić czoło sama.

– Będę obok – powiedziała Matka Owd, wycofując się za drzwi. – Na wypadek gdybyście mnie potrzebowali w jakiegokolwiek sprawie.

– Nie będziemy! – Jasne oczy pierwszego wśród ministrów, zimne jak świeży śnieg, spoczęły na Skarze. Miał minę człowieka, który jeszcze przed rozegraniem partii wie, że zwyciężył. – Jak otrułaś Grom-gil-Gorma?

Skara uniosła brwi.

– Dlaczego miałabym to robić? Był mi bardziej potrzebny po tej stronie Ostatnich Wrót. To ty najwięcej zyskałaś na jego śmierci.

– Nie wszystkie plany są moje. Choć przyznaję, że tym razem układ kości okazał się dla mnie bardzo korzystny.

– Człowiek, któremu sprzyja szczęście, jest bardziej niebezpieczny od tego, kto używa sprytu, nieprawdaż?

– Drżij więc, gdy spotkasz kogoś, kto może liczyć na jedno i drugie! – Ponownie się uśmiechnął, lecz był w tym uśmiechu cień wilczej zachłanności, która sprawiła, że Skara poczuła ciarki na plecach. – Prawdą jest, że sytuacja się zmieniła od naszych ostatnich negocjacji pośród kurhanów pod twierdzą Baila. Jest teraz o wiele... p r o s t s z a . Już nie musimy rozmawiać o sojuszach, kompromisach ani głosowaniu.

„Staw czoło lękom, jeśli chcesz je pokonać”, mawiał jej dziad. „Kryj się przed nimi, a one pokonają ciebie”. Skara z dumą się wyprostowała, tak jak król Fynn, gdy patrzył Śmierci w twarz.

– Uthil i Gorm przeszli już przez Ostatnie Wrota – powiedziała. – Pozostał tylko jeden głos...

– Mój! – warknął Yarvi, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. – Jakże miłą odmianą jest rozmowa z kimś, kto potrafi dostrzec istotę problemów. Nie zamierzam obrażać twojej inteligencji, krążąc wokół tematu. Poślubisz króla Druina.

Skara spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego. Nie zdołała w porę stłumić okrzyku zdumienia.

– Król Druin ma dopiero trzy lata.

– Dlatego będzie o wiele mniej wymagającym mężem niż Łamacz Mieczy. Świat się zmienił, królowo. I mam wrażenie, że Throvenland... – Yarvi podniósł zwiędłą dłoń i zaczął nią obracać w powietrzu. – Nie jest już nikomu potrzebny. – Jakimś cudem zdołał głośno pstryknąć jednym palcem o kciuk. – Odtąd powinien się stać częścią Gettlandu i najlepiej będzie, jeżeli klucz do skarbcza pozostanie na szyi mojej matki.

– A ja? – Skara z trudem panowała nad głosem, tak mocno waliło jej serce.

– Ty, królowo, wyglądasz pięknie bez względu na to, jakie ozdoby nosisz – oznajmił Dziad Yarvi i odwrócił się do drzwi.

– Nie. – Skąd się wziął ten pewny ton? Nagle ogarnął ją dziwny spokój. Być może podobny do tego, jaki czuł Bail Budowniczy przed bitwą. Wprawdzie nie była wojowniczką, lecz to był jej plac boju i wiedziała, że jest gotowa.

– Nie? – Yarvi obejrzał się na nią. Jego uśmiech zgasł. – Przybyłem, aby cię zawiadomić, jak sprawy się potoczą, a nie pytać o zdanie. Być może jednak miałem o tobie zbyt wysokie mniemanie...

– Nie – powtórzyła. Wreszcie słowa miały się stać jej orężem. – Mój ojciec zginął za Throvenland. Mój dziad zginął za Throvenland. Ja zrezygnowałam ze wszystkiego, aby walczyć za Throvenland. Dopóki żyję, nie pozwolę, aby wilki rozdarły moje królestwo jak martwą zdobycz.

Pierwszy wśród ministrów zbliżył się do niej. Jego wychudłą twarz wykrzywił gniew.

– Niech ci się nie wydaje, że możesz mi się sprzeciwiać, wiecznie rzygająca sieroto! – warknął, dźgając w jej kierunku palcem przykurczonej ręki. – Nie masz pojęcia, co ja poświęciłem, ile wycierpiałem! Nie wiesz, jakie ognie mnie zahartowały! Nie masz złota ani ludzi, ani mieczy...

– Wojnę jedynie w połowie można zwyciężyć mieczem. – Matka Kyre nie raz mówiła, że uśmiech nic nie kosztuje, więc Skara przywołała na usta jak najśłodszy i wyciągnęła zza pleców dłoń. Między palcami trzymała złożony zwitek papieru. Wyciągnęła go do Dziada Yarwiego. – Prezent dla ciebie – powiedziała. – Od Yillinga

Wspaniałego.

Być może nad całym Morzem Drzazg nikt nie dorównywał mu przebiegłością, lecz Skarę nauczono czytać w ludzkich twarzach. Dostrzegła lekkie drgnienie jego powieki i zrozumiała, że ostatnie słowa wyszeptane przez Yillinga pod twierdzą Baila były prawdą.

– Przyznaję, że jestem rzygającą sierotą – oznajmiła, gdy Yarvi wyrwał zwitek z jej palców. – Podobno wszystkie lęki trzymam w żołądku. Lecz ja również zahartowałam się przez ostatnie miesiące. Poznajesz to pismo?

Spojrzał na nią, mocno zaciskając szczęki.

– Tak przypuszczałam. Teraz widzę, że Matka Kyre okazała się wielce przewidująca, gdyż nauczyła mnie czytać.

Twarz ministra drgnęła ponownie.

– Cóż za niestosowność. Zdradziła tajemnice pisma osobie spoza Ministerstwa.

– Och, Matka Kyre potrafiła postępować bardzo niestosownie, gdy chodziło o przyszłość Throvenlandu. – Skara świadomie nadała głosowi żelazne brzmienie. Musiała dowieść swojej siły. – I ja również jestem do tego zdolna.

Yarvi zgniótł zwitek i zamknął go w drżącej pięści, a Skara uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

– Proszę bardzo, ten możesz sobie zatrzymać – powiedziała. – Yilling dał mi ich całą sakiewkę. Podzieliłam je między siedem zaufanych osób, które rozjechały się po Throvenlandzie. Nigdy się nie domyślisz, kim są. Jeśli jednak spotka mnie jakieś nieszczęście, na przykład potknę się i spadnę ze schodów prosto za Ostatnie Wrota, tam gdzie trafił mój niedoszły mąż, wieści obiegną świat i ludzie wokół Morza Drzazg poznają prawdę... – Pochyliła się ku niemu i dokończyła szeptem: – ...że to Ojciec Yarvi był zdrajcą w naszym sojuszu.

– Nikt w to nie uwierzy – rzucił, ale pobladł okrutnie.

– Wiadomość trafi także do mistrza Hunnana i wojowników Gettlandu. Dowiedzą się, że to ty zdradziłeś ich ukochanego króla Uthila.

– Nie lękam się Hunnana – zapewnił, lecz ręka, w której trzymał laskę, zdrząła.

– Trafi także do twojej matki, Złotej Królowej Gettlandu, a wtedy Laithlin pojmie, że jej własny syn zaprzedał miasto wrogom.

– Moja matka nigdy nie obróci się przeciwko mnie – powiedział, lecz jego oczy załśniły mokro.

– Prawdy dowie się również Zadra Bathu. Jej mąż Brand zginął podczas najazdu,

za który ty ponosisz winę. – Skara cedziła słowa lodowatym tonem, powoli, ale z siłą niepowstrzymanego przypływu. – Lecz może jest bardziej wielkoduszna, niż się zdaje. Znasz ją lepiej ode mnie.

Zginany patyk pęka nagle. Dziad Yarvi dobył z gardła zduszony jęk i nogi niespodziewanie ugięły się pod nim, jakby w jednej chwili opuściły go wszystkie siły. Zatoczył się i ciężko opadł na kamienną ławę. Elf-laska z hałasem upadła na ziemię, gdy zdrową ręką próbował się czegoś złapać dla równowagi. Przez chwilę siedział i patrzył przed siebie wytrzeszczonymi, lśniącościami oczami. Na Skarę lub gdzieś poza nią, jak gdyby w oddali widział jakieś duchy.

– Sądziłem... że uda mi się przeciągnąć Yillinga na naszą stronę – wyszeptał. – Myślałem, że zachęcę go drobnymi sekretami, a potem złapię na hak wielkiego kłamstwa. Tymczasem to on mnie przechytrzył przy cieśninach. – Łza wymknęła się z oka i spłynęła po zapadniętym policzku. – Sojusz stawał się coraz mniej pewny. Determinacja króla Uthila malała. Moja matka widziała większe profity w zawarciu pokoju. Gormowi i Scaer nie mogłem ufać. – Zaciśnął lewą dłoń w krzywą pięść. – Lecz złożyłem przysięgę. Na słońce i księżyc. Obiecałem zemścić się na zabójcach ojca. Nie mogłem dopuścić do zawarcia pokoju. – Zamrugał nieprzytomnie i więcej łez potoczyło się po jego bladej twarzy. Skara po raz pierwszy uświadomiła sobie, jaki jest młody. Zaledwie kilka lat starszy od niej. – Dlatego kazałem Yillingowi zaatakować Thorlby – wyszeptał. – Po takim akcie przemocy już nikt nie mógł się wycofać. Powiadomiłem go, kiedy i gdzie ma uderzyć. Nie chciałem śmierci Branda. Bogów mam za świadków, że nie chciałem, ale... – Przełknął ślinę i oddech dziwnie zaświszczał mu w gardle. Przygarbił ramiona i pochylił głowę, jak gdyby miażdżyło go brzemień tego, co zrobił. – Setki decyzji, za każdą stało większe dobro, mniejsze zło. Tysiące kroków, z których żadnego nie dało się uniknąć. – Utkwił wzrok w leżącej na ziemi lasce i jego usta wykrzywiło obrzydzenie. – Jak to możliwe, że doprowadziły mnie tu?

Skara nie czuła do niego nienawiści, jedynie litość. Tkwiła po szyję we własnych żalach i wiedziała, że nie wymyśli dla ministra gorszej kary niż on sam. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mogła go ukarać. Za bardzo go potrzebowała.

Uklękła przed nim. Łańcuch głowic z cichym brzękiem przesunął się na jej piersi. Objęła dłońmi jego zapłakaną twarz. Musiała okazać mu współczucie. Wielkoduszność. Łaskę.

– Posłuchaj mnie. – Potrząsnęła jego głowę i zaczęła, aż spojrzy na nią zażawionymi oczami. – Jeszcze nic nie jest stracone. Nic nie przepadło. Rozumiem

cię. Znam ciężar odpowiedzialności i nie zamierzam cię osądzać. Musimy jednak działać razem.

– Ja jako niewolnik przykuty łańcuchem do swojej pani? – wyszeptał.

– Jako sojusznicy połączeni wspólną sprawą. – Opuszkami kciuków otarła mu łzy. Musiała wykazać się sprytem i zawrzeć układ, z jakiego sama Złota Królowa byłaby dumna. – Będę władczynią Throvenlandu nie tylko z nazwy. Nie zamierzam przed nikim klękać, a Ministerstwo w pełni mnie poprze. Sama będę podejmowała decyzje dotyczące mojego ludu. Sama wybiorę sobie męża, gdy przyjdzie na to pora. Cieśniny należą w równej mierze do Throvenlandu i Yutmarku. Połowa myta ściąganego przez twoją matkę z łodzi, które się tędy przeprawiają, trafi do mojego skarbcza.

– Ona nie zechce...

Skara ponownie potrząsnęła jego głową.

– Jedno właściwe słowo zdoła przeciąć cały sznur sprzeciwów, przecież wiesz. Throvenland najbardziej ucierpiał w twojej wojnie. Potrzebne mi złoto, aby odbudować to, co spalił Yilling Wspaniały. Srebro, aby opłacić własną armię i sojuszników. Ty pozostaniesz Dziadem Ministerstwa, a twoje tajemnice będą bezpieczne w moich rękach, tak jak w twoich. – Skara podniosła z ziemi laskę i podała mu ją. – Jesteś ministrem, ale otworzyłeś drzwi Matce Wojnie. Przelano już dość krwi. Ktoś musi dopilnować, aby nastał czas Ojca Pokoju.

Yarvi objął palcami elf-metal, z pogardą krzywiąc usta.

– Mamy więc tanecznym krokiem ruszyć w przyszłość, trzymając się za ręce, i wspólnie dbać o równowagę sił na Morzu Drzazg.

– Zamiast tego moglibyśmy się niszczyć, tylko po co? Jeśli Babka Wexen czegoś mnie nauczyła, to tego, że lepiej nie mieć w tobie wroga. Wolałabym raczej zostać twoim przyjacielem. – Skara podniosła się z klęczek i spojrzała na niego z góry. – Kiedyś możesz potrzebować sprzymierzeńca. Tak jak ja.

Jasne oczy pierwszego wśród ministrów wyschły.

– Nie mam wyboru, prawda?

– Nawet nie potrafię wyrazić, jak przyjemnie rozmawia się z kimś, kto potrafi dojrzeć sedno spraw. – Skara otrzepała kilka liści z sukni, myśląc, że dziad byłby z niej w tej chwili dumny. – Rzeczywiście pozostał już tylko jeden głos. Należy do mnie.

NOWE PĘDY



Raith usłyszał śmiech. Donośny, szalony śmiech Skary, który sprawił, że sam również się uśmiechnął.

Wyrzał przez drzwi na zewnątrz pod okapem, z którego kapał deszcz, i zobaczył, jak Skara idzie ulicą w pięknej pelerynie z kapturem na głowie. Obok niej szła Matka Owd, a wokół nich gwardziści i niewolnicy – świta godna królowej.

Zaczeekał, aż podejną bliżej, i dopiero wtedy wyszedł na zewnątrz, odgarniając mokre włosy z twarzy.

– Najjaśniejsza pani. – Chciał, aby zabrzmiało to beztrosko, ale wypadło jak żaloszny bek.

Gwałtownie obróciła głowę, a jego zatkało tak jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy – a nawet bardziej. Po chwili do szoku dołączyła gorycz. Nie uśmiechnęła się na jego widok. Przez jej twarz nie przemknął najmniejszy cień poczucia winy, tylko zrobiła zbolaną minę. Jak gdyby przypominał jej o czymś, czego wołała nie pamiętać.

– Chwileczkę – zwróciła się do Matki Owd, która patrzyła na Raitha jak na stos ofiar zarazy. Królowa odeszła nieco od swojej świty i rozejrzała się po mokrej ulicy. – Nie mogę tu z tobą rozmawiać.

– Może później...

– Nie. Nigdy. – Kiedyś powiedziała mu, że słowa potrafią ranić głębiej niż ostrza. Roześmiał się wtedy, ale to „nigdy” było jak pchnięcie sztyletem. – Przykro mi, ale nie mogę pozwolić, abyś mi dłużej towarzyszył.

Poczuł się tak, jakby krew broczyła z jego rozprutego brzucha na ulicę.

– Bo królowej nie wypada? – wychrypiął.

– Do diabła z tym, co wypada! – syknęła. – To nie byłoby dobre. Ani dla mojego królestwa. Ani dla moich poddanych.

Jego chrypienie zmieniło się w rozpaczliwy szept.

– A dla ciebie?

Skrzywiła się. Grymas smutku. A może tylko poczucie winy.

– Dla mnie też. – Nachyliła się ku niemu i spojrzała na niego uważnie, ale jej słowa były jak żelazo. Bardzo chciał znaleźć w nich choć cień nadziei, lecz nie pozostawiały żadnych złudzeń. – Najlepiej będzie, jeżeli uznamy wspólnie spędzone chwile za sen. Przyjemny sen, ale już czas się obudzić.

Chciałby jej mądrze odpowiedzieć. Z dumą. Może ironicznie. Jakkolwiek. Lecz na tym placu boju nigdy nie czuł się swobodnie. Nie miał pojęcia, jak w kilku słowach wyrazić wszystko, co czuje. Dlatego milczał bezradnie, patrząc, jak ona się odwraca. I milczał bezradnie, patrząc, jak odchodzi do swoich niewolników, gwardzistów i surowej minister.

Teraz już wiedział, jak to jest. Powinien od początku zdawać sobie z tego sprawę. Dopóki trwała zima, podobało jej się jego ciepło, ale teraz nadeszło lato, więc odrzuciła go jak stare okrycie. Wcale się jej nie dziwił. Przecież była królową, a on zwykłym zabójcą. To nie było dobre dla nikogo prócz niego. Być może byłby wdzięczny za tę odrobinę szczęścia, jaką dostał, gdyby tak nie cierpiał. Nie miał pojęcia, czy ten ból kiedyś minie.

Może powinien z zemsty urządzić jakąś okropną scenę. Albo bezceremonialnie odejść, jak gdyby setka lepszych od niej ubiegała się o jego względy. Tyle że za bardzo ją kochał, aby tak postąpić. Za bardzo ją kochał, aby cokolwiek zrobić. Mógł tylko stać ze swoją bolącą ręką i złamanym nosem, patrząc za nią tęsknie jak pies, którego zostawiono na deszczu. Wciąż miał nadzieję, że ona się zatrzyma. Że zmieni zdanie. Że chociaż się obejrzy.

Na próżno.

– Co się między wami wydarzyło? – Raith się obrócił i zobaczył Siniego Jennera. – Tylko mi nie mów, że nic, młokosie.

– Nic, staruszk. – Próbował się uśmiechnąć, ale nie dał rady. – Powinienem ci podziękować.

– Za co?

– Za to, że dałeś mi szansę, abym stał się lepszy. Myślę, że nawet na to sobie nie zasłużyłem.

Przygarbił ramiona i ruszył przed siebie, nie zważając na deszcz.

Długo stał naprzeciwko kuźni, po drugiej stronie ulicy. Patrzył na blask sączący się zza okiennic, słuchał melodii kowadła i zastanawiał się, czy to Rina macha młotem.

Wyglądało na to, że ta dziewczyna wszędzie umie znaleźć sobie miejsce. Takiego kogoś dobrze było mieć blisko. Osobę, która wiedziała, czego chce, i była gotowa na to zapracować. Osobę, która robiła coś z niczego i naprawiała to, co się zepsuło. Była dokładnym przeciwieństwem Raitha.

Zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa o nic jej prosić, ale znalazł u niej pociechę po śmierci brata. Bogowie wiedzieli, jak bardzo wtedy tego potrzebował. Nie wiedział, gdzie jeszcze ma szukać pokrzepienia.

Żałośnie pociągnął złamanym nosem, wytarł smarki zabandażowanym przedramieniem, po czym przeszedł przez ulicę. Podniósł dłoń, żeby zapukać.

– Co cię tu sprowadza?

Koll, uczeń ministra, wyłonił się z gęstniejącego mroku z krzywym uśmiechem na twarzy. Ten uśmiech na krótką chwilę przypomniał Raithowi brata. Koll wciąż nie umiał ustać w miejscu, ale jednocześnie miał teraz w sobie jakiś spokój. Jak człowiek, który pogodził się z własnym sumieniem. Raith bardzo chciał wiedzieć, jak to zrobić.

– No... – musiał wymyślić coś na poczekaniu – ...tak mi się widzi, że czas już na nowy miecz. Tu teraz kuje ta słynna kowalka, nie?

– Ma na imię Rina. Owszem, tu teraz pracuje. – Koll przystawił ucho do drzwi i uśmiechnął się, jak gdyby w środku ktoś słodko śpiewał. – Nikt nie kuje lepszych mieczy niż Rina. Nikt na całym świecie.

– A ty co tu robisz? – spytał Raith. – Nie wyglądasz na takiego, co używa broni.

– Nie. – Koll uśmiechnął się szerzej. – Przeszedłem ją spytać, czy mnie poślubi.

– He? – Brwi Raitha uniosły się tak wysoko, że nie można było tego nie zauważyć.

– Powinienem dawno to zrobić, ale nigdy nie umiałem podejmować decyzji. Popełniłem sporo błędów. Długo się wahałem. Byłem samolubny. Byłem słaby. Nie chciałem nikogo zawieść, więc zawiodłem wszystkich. – Koll odetchnął głęboko. – Ale każdego czeka Śmierć. W życiu trzeba sobie radzić jak najlepiej z tym, co napotkamy po drodze. Człowiek, który nie cieszy się z tego, co ma, pewnie nie będzie umiał się cieszyć z tego, czego nie ma.

– Mądre rady.

– Nie da się ukryć. Dlatego przyszedłem błagać ją o wybaczenie... na kolanach, jeśli będzie trzeba, a podejrzewam, że tak, bo ją znam. Potem zapytam ją, czy zechce nosić mój klucz. Mam wielką nadzieję, że się zgodzi.

– Sądziłem, że masz zostać ministrem.

Koll wyciągnął szyję i podrapał się mocno w kark.

– Sam długo tak myślałem, ale człowiek może zmieniać świat na wiele sposobów, teraz już to wiem. Matka mówiła mi... żebym był jak najlepszym człowiekiem. – Jego oczy nagle zaszczyły łzami. Roześmiał się i pociągnął za ramię, który miał na szyi. Pod koszulą coś brzęknęło. – Szkoda, że tyle czasu potrzebowałem, żeby zrozumieć, o co jej chodziło. Ale w końcu to pojąłem. Mam nadzieję, że nie za późno. To jak, wchodzisz do środka?

Raith zerknął z ukosa na okno i chrząknął.

– Nie. – Dawniej czuł do tego chłopaka wyłącznie pogardę. Teraz zaczął mu zazdrościć. – Twoja sprawa powinna mieć pierwszeństwo.

– I nie rąbniesz mnie znowu czołem?

Raith pokazał na swój złamany nos.

– Już się do tego nie palę tak jak dawniej. Życzę ci szczęścia. – Płasnął Kolla w ramię. – Wrócę jutro – rzucił, odchodząc.

Wiedział jednak, że nie wróci.

Wieczorna pora wydłużała cienie w porcie. Matka Słońce powoli kryła się za Skeken. Ostatnie smugi dziennego blasku wyławiały nikiłe błyski ze szkła w dłoni Raitha. Fiolka, którą dostał od Matki Scaer. Pusta. Przepowiedziano, że żaden mąż nie zdoła zabić Grom-gil-Gorma, ale dokonało tego kilka kropel w kielichu wina. Koll miał rację. Śmierć czeka każdego.

Raith westchnął ciężko, zacisnął dłoń w pięść i skrzywił się, gdy w kłykciach odezwał się znajomy ból. Liczył, że z czasem zelżeje, ale im dłużej człowieka coś boli, tym bardziej mu to przeszkadza. Jenner też miał rację. Nic nie goi się zupełnie.

Nosił miecz za królem i strzegł królowej, jako pierwszy rzucał się w wir walki i wiosłował w załodze bohaterki. Ale teraz nie wiedział, kim jest. Nie miał nawet pewności, kim chce być.

Umiał tylko walczyć. Wierzył, że Matka Wojna da mu chwałę, lśniący stosik koło-monet i druhów, z którymi będzie stawał tarcza w tarczę. Tymczasem ona odebrała mu brata i nie zostawiła nic prócz ran. Otoczył ręką obolałe zebra, podrapał brudne bandaże na poparzone przedramieniu, zmarszczył złamany nos i poczuł, jak tępy ból rozchodzi się po całej twarzy. Ot i cały pożytek z walki, o ile udało się ująć z życiem. Człowiek zostawał głodny, zboleły i samotny, z kupą smutków, w której

tonął po uszy.

– Nie wyszło ci, co? – Zadra Bathu przyglądała mu się, z rękami na biodrach i pomarańczową poświatą Matki Słońca za plecami.

Widział jedynie czarny kontur jej sylwetki.

– Skąd wiesz?

– Co by to było, nie wyglądasz na człowieka, któremu się powiodło.

Raith westchnął tak, że szarpnęło go aż gdzieś w trzewiach.

– Przyszedłeś tu, żeby ze mnie szydzić, czy mnie zabić? Zresztą wszystko mi jedno. Nie zamierzam cię powstrzymywać.

– Tak się składa, że ani po to, ani po to. – Zadra powoli usiadła obok niego na skraju kamiennego pirsu i zaczęła machać długimi nogami. Przez jakiś czas milczała, marszcząc pokrytą bliznami twarz. Skądś napłynął silniejszy podmuch wiatru i Raith zaczął wodzić wzrokiem za dwoma suchymi liśćmi, które urządziły sobie gonitwę po nabrzeżu. W końcu Zadra przerwała ciszę: – Życie nie jest łatwe dla takich jak my.

– Nie jest.

– Naznaczeni przez Matkę Wojnę... – Spojrzała na lśniący horyzont. – Nie wiemy, co ze sobą zrobić, gdy przychodzi kolej Ojca Pokoju. – Całe życie się bijemy, więc kiedy nie ma więcej wrogów...

– Walczymy sami ze sobą – dokończył Raith.

– Królowa Laithlin zaproponowała, abym znowu została jej Tarczą.

– Powinnaś się cieszyć.

– Nie mogę przyjąć jej propozycji.

– Nie?

– Jeśli tu zostanę, przez cały czas będę widziała tylko to, co straciłam. – Zapatrzyła się przed siebie ze smutnym półuśmiechem. – Brand by nie chciał, żebym usychała z tęsknoty. Nie miał w sobie ani krztyny zazdrości. Chciałby zaraz zobaczyć w popiele nowe pędy. – Płasnęła dłonią w kamienne nabrzeże. – Dlatego Ojciec Yarvi dał mi *Wiatr Południa*.

– Piękny podarunek.

– Sam na razie donikąd się nie wybiera, a ja mam ochotę pożeglować szlakiem Boskiej i Zakazanej aż do Pierwszego z Miast, a może jeszcze dalej. Jeśli wyruszę w ciągu kilku dni, powinnam zdążyć przed lodem. Właśnie zbieram załogę. Fror zgodził się stanąć przy sterze, Dosduvoi popłynie z nami jako kwatermistrz, a Skifra będzie wyznaczała kurs. To moi dobrzy przyjaciele.

– Jak na tak nieprzyjazną kobietę, masz szczęście do przyjaciół. – Raith patrzył na połyskujące złotem wody, za którymi schowała się Matka Słońce. – Popłyniesz w dal i zostawisz żale i smutki za sobą, co? Życzę ci szczęścia.

– Nie za bardzo wierzę w szczęście. – Zadra potężnie pociągnęła nosem i splunęła do wody. Nie wstała jednak. – Tamtego dnia nauczyłam się czegoś ważnego – powiedziała.

– Że mój nos łamie się tak samo łatwo jak u innych?

– Jestem z tych, którym czasem trzeba mówić nie. – Spojrzała na niego z ukosa. – A to znaczy, że muszę mieć przy sobie kogoś, kto ma dość odwagi, aby mi się sprzeciwić. Niewielu jest takich.

Raith uniósł brwi.

– Domyślam się, że coraz mniej.

– Przydałby mi się taki okrutny mały drań i akurat mam wolne miejsce w ostatniej parze wiosel. – Zadra Bathu wstała i wyciągnęła do niego rękę. – Popłyniesz ze mną?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Mam dołączyć do załogi kogoś, kogo zawsze nienawidziłem? Kilka dni temu niemal mnie zabiłaś, a teraz chcesz, żebym pożegłował z tobą pół świata od wszystkiego, co dotąd znałem i czego pragnąłem, w zamian za obietnicę ciężkiej pracy i złej pogody?

– Aha. – Uśmiechnęła się do niego. – A co, przebierasz w lepszych ofertach?

Raith otworzył pięść i spojrzał na pustą fiolkę. Obrócił dłoń i upuścił naczynie do wody.

– Niezupełnie.

Ujął rękę Zadry i pozwolił, aby pomogła mu wstać.

ROZKWIT



Dość! – ryknął Koll, wyciągając otwartą dłoń w stronę poganiacza, aby zatrzymał sześć wołów napinających potężny łańcuch, który szczekał i drgał. Rozległ się przenikliwy zgrzyt, a potem donośny stuk, gdy słupy, na których opierał się ogromny wiąz, trafiły w wyłobione w kamieniu zagłębienia.

– Mocować! – zawołała Rina i cieśle, którzy jeszcze niedawno byli wojownikami, a wcześniej rolnikami, zaczęli wbijać w ziemię paliki i naciągać sieć lin, która miała zabezpieczyć konstrukcję przed upadkiem.

Skarę bolała szyja od zadzierania głowy. Nowy dach stawiano nad zniszczonymi schodkami, których każdy stopień był z marmuru innej barwy. Tutaj Matka Kyre witała kiedyś przybywających do Yaletoftu. W tym miejscu znajdowała się sala audiencyjna króla Fynna. Skara wciąż pamiętała, jak runęła tamtej nocy, gdy zjawił się Yilling Wspaniały. Czy naprawdę upłynęło zaledwie kilka miesięcy? Wydawało jej się, że co najmniej sto lat albo więcej. Miała wrażenie, że świadkiem tamtych wydarzeń była zupełnie inna dziewczyna w zupełnie innym świecie, a ona jedynie słyszała opowieści.

Siny Jenner spojrzał do góry i zaprezentował dziurawy uśmiech.

– Stoi dokładnie w miejscu dawnej siedziby.

– Ale będzie wyższa, większa i o wiele piękniejsza – stwierdziła Skara. Każdy filar i każda klockowa powstały z prostych jak włócznie pni sosen, które spławiono rzeką z wysokich wzgórz Throvenlandu, gdzie rosły najstarsze i najwyższe drzewa. Oczyszczono je z kory do jasnego drewna i nadano im piękny kształt. – Przecudna robota. – Skara położyła dłoń w rękawiczce na ramieniu Riny. – Nad całym Morzem Drzazg nie znalazłabym lepszej kowalki i lepszego cieśli, przysięgam.

Rina obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła szeroko.

– To żadna tajemnica, najjaśniejsza pani. Masz szczęście, że znudziło nam się robienie mieczy.

– Taka zdolna, a do tego taka skromna – mruknęła Matka Owd.

– Skromność jest dla ludzi, którzy nie mają się czym chwalić. – Rina poprawiła fartuch.

– Przytrzymajcie bestie w miejscu! – zawołał Koll do poganiaczy. Złapał za długi łańcuch, który łączył jarzmo ze szczytem więzara, i zaczął się huścić na rękach.

Rina obróciła się do niego.

– A ty dokąd, wariacie?

– Na górę! – zawołał, krzyżując stopy nad łańcuchem i czepiając się go zwinnie jak wiewiórka. Bez lęku zaczął się piąć do góry i już po chwili wisiał wysoko, kołysany wiatrem.

Rina wsunęła palce we włosy, obejmując głowę rękami. Na jej piersi zabrzczały dwa klucze.

– Złaż mi stamtąd, zanim się zabijesz!

– Łańcuch jest doskonały! – zawołał, wspinając się jeszcze wyżej. – Możesz być z siebie dumna!

– Och, na bogów! – wrzasnęła do niego i niemal podskoczyła, grożąc mu pięścią. Po chwili błagalnie spojrzała na Skarę. – Może rozkażesz mu zejść na dół, najjaśniejsza pani?

– Mogłabym. – Skara patrzyła, jak Koll wdrapuje się na szczyt więzara, w którym łączyły się dwie ogromne belki. Dobrze pamiętała, co w tej mierze doradzała jej Matka Kyre. – Lecz sekret autorytetu polega na tym, aby wydawać jedynie takie rozkazy, które zostaną wypełnione.

– Złącza wyglądają dobrze! – Koll z zadowoleniem plasnął dłonią w idealne połączenie dwóch krokwi. – Twoje nowe bolce trzymają znakomicie, Rino!

– Przytwierdź cię nimi do ziemi, kiedy wreszcie stamtąd zleziesz!

– Jaki dać fryz? – zawołał, przesuując palcami po jasnym drewnie. – Co wyrzeźbić, najjaśniejsza pani? Smoki?

– Czarne psy! – odkrzyknęła, kładąc rękę na ramieniu Siniego Jennera. – Takie jak na dziobie łodzi, która zabrała mnie w bezpieczne miejsce, pomogła przetrwać sztorm, a potem przyniosła z powrotem do domu!

Siny Jenner nakrył jej dłoń swoją ręką i lekko poklepał. Pod podporą pierwszego więzara zebrała się grupka modłotkaczy i zaczęła monotonicznie odśpiewywać modlitwy na cześć Tej, która nadaje kształt drewnu, i Tego, który udziela schronienia, i Tej, która dźwiga kamienie, aby nowa siedziba nigdy nie upadła.

– Niech będą czarne psy. – Koll złapał się jednej z luźnych lin i zaczął się po niej

zsuwać na dół.

– Dlaczego nie wyszłam za zwykłego rolnika? – mruknęła Rina, drapiąc się w głowę.

Koll zeskoczył z wysokości kilku kroków na ziemię i swobodnie podszedł do żony.

– Bo nie znalazłaś żadnego, który by cię chciał?

– Ile musi ich stanąć? – spytała Matka Owd, patrząc na pierwszy z postawionych wiązarów.

– Piętnaście na szkielet. – Koll wykonał w powietrzu kilka ruchów palcami.

Bogowie tylko wiedzieli, jak mu się to udało, ale zdołał nakreślić zarys budynku, wielkie krokwie nad ich głowami i ogromną salę. Skara mimowolnie się uśmiechnęła, wyobrażając sobie ciepły półmrok wypełniony echem głosów skaldów, kobiety z wypomadowanymi włosami i mężczyzn z wypolerowanymi klamrami peleryn lśniącymi w blasku wielkiego paleniska – jak za czasów jej dziada.

Matka Owd zagwizdała cicho, patrząc na puste niebo nad głową.

– Nieprędko się z tym uwiniemy.

– Pierwszy Las budowano dwadzieścia osiem lat – powiedziała Skara.

– Mam nadzieję, że nam uda się to zrobić krzytnę szybciej, najjaśniejsza pani. – Koll westchnął obłokiem pary i z dumą spojrział na to, co już udało im się osiągnąć. – Ale nic, co warto budować, nie powstaje szybko.

– Matka Wojna uderza jak błyskawica – dodała Owd. – Ojciec Pokój rośnie jak młode drzewo i potrzebuje tyle samo troski.

– Yaletoft wyrasta raczej jak grzyby. – Siny Jenner spojrział ze szczytu schodów na miasto. – Człowiek budzi się rankiem po deszczowej nocy i patrzy, a one już są.

Rzeczywiście, nowe miasto kiełkowało na popiołach starego. Szkielety nowych pięknych domów wyrastały przy szerokich i prostych ulicach, które Matka Owd wytyczyła między odbudowywaną królewską siedzibą a morzem. Piły, młoty i pokrzykiwania kamieniarzy brzmiały chórem od świtu do zmroku.

Codziennie napływało coraz więcej ludzi. Wracali dawni mieszkańcy, którzy zdołali uciec przed pożogą, ale nie brakowało też przybyszów z Gettlandu i Yutmardu, a nawet Inglingów i Nizieńców. Znad całego Morza Drzazg ściągały do miasta tłumy tych, którym wojna zniszczyła dawne życie. Chcieli zacząć od nowa i słyszeli, że królowa Skara uczciwie płaci srebrem za uczciwą pracę.

– Nie wszystko z tego, co Yilling spalił, da się zastąpić – wyszeptwała Matka Owd.

– Musimy więc zachować to w pamięci, a cieszyć się nowymi wspaniałościami. Straty zawsze są bolesne. – Skara spojrzała na wysoki wiąz. – Lecz w zamian dostajemy szansę stworzenia czegoś lepszego.

Koll zamaszystymi gestami wykladał swoje plany, a Rina przyglądała mu się z założonymi rękami, sceptycznie unosząc brwi.

– Jeszcze przed nadejściem zimy mam nadzieję postawić pięć i solidnie je podeprzeć. Reszta będzie musiała poczekać do wiosny. Czeka mnie wyprawa na wzgórze. Trzeba wybrać odpowiednie drzewa. – Z niewinną miną podrapał się w tył głowy i przysunął do Riny. – Może moja żona pojedzie ze mną, żebym nie zmarł, kiedy spadną śniegi?

– Tam tak sypie, że trzech ludzi jeden na drugim schowa się pod śniegiem! Utkniemy aż do wiosny.

– Właśnie. – Otoczył dłonią złotą bransoletę, którą nosiła na nadgarstku, i delikatnie rozplótł jej ręce.

– Zupełnie oszalałeś.

– Ja tylko staram się być jak najlepszym człowiekiem. – Podniósł jej łańcuszek i zanurkował pod nim tak, że ozdoba otoczyła szyję ich obojga. – I stać w pełnym blasku.

Roześmiała się, gdy ją objął i mocno przytulił, kołysząc się na boki. Po chwili zaczęli się bezwstydnie całować. On wsunął palce w jej włosy, a ona objęła dłonią jego twarz i oboje zamknęli oczy. Na samym widoku się nie kończyło, bo słychać ich było na kilka kroków wkoło. Kilku pomocników cisnęło narzędzia na ziemię i odeszło, kręcąc głowami.

Matka Owd przewróciła oczami.

– Jedyna wada tej kowalsko-ciesielskiej pary.

– Wszyscy mamy jakieś słabości. – Skara cieszyła się ich szczęściem, ale jednocześnie zrobiło jej się żal siebie. Odwróciła się i spojrzała na morze. Mimowolnie pomyślała o Raicie.

Wiatr Południa zapewne uporał się już z lodem na Boskiej Rzece i przemierzał właśnie Zakazaną. Miała nadzieję, że Raith jest szczęśliwy, choć nie wyglądał na człowieka, któremu szczęście łatwo przychodzi. Przynajmniej to ich zawsze łączyło – jeśli nie coś więcej. Skara wyobraziła sobie jego twarz, czoło poprzecinane głębokimi bruzdami i zaciśnięte usta. Pamiętała ciepło, jakie czuła, gdy leżeli przytuleni. Może on też czasem o niej myślał. Może...

– Przyleciał orzeł od Dziada Yarwiego – powiedziała Matka Owd.

Skara otrząsnęła się z zamyślenia. Nie powinna marnować czasu na fantazje.

– Dobre wieści?

– Vansterowie mają nowego króla. Matka Scaer urządziła turniej i znalazł się wojownik, który pokonał wszystkich. Nazywa się Yurn-gil-Tryk.

– Nic mi nie mówi. – Jenner podrapał się w czaszkę porośniętą rzadkimi włosami.

– To wódz jednego z plemion zamieszkujących daleką Północ, a zwą go Trykiem, bo powala przeciwników głową.

– Urocze. – Skara wyduła policzki.

– Ogłosił się największym wojownikiem, jakiego widziało Morze Drzazg, i gotów jest zabić każdego, kto śmie rzucić mu wyzwanie.

– Mam dopiero osiemnaście lat, ale dość się nasłuchałam przechwałek wojowników.

– Podobno pije piwo zmieszane z krwią i nawleka na łańcuch kości palców swoich wrogów.

– Doskonały materiał na męża, najjaśniejsza pani. – Siny Jenner puścił oko do Skary.

Parsknęła.

– Poślijcie do niego ptaka z wieścią, że Siny Jenner zgadza się nosić jego klucz.

– Na razie w ogóle nie myśli o małżeństwie – oznajmiła Matka Owd, ciasno splatając ręce na piersi. – Dziad Yarvi żywi obawy, że nowy władca Vansterów już planuje najazdy na przygraniczne ziemie Gettów.

Jenner z odrazą pokręcił głową.

– Czyżby Vansterowie stęsknili się za wojowaniem? Nie boją się elf-czarów?

– Okazuje się, że broń elfów może siać śmierć tylko do czasu – wyjaśniła minister. – Tak jak łuk, do którego potrzeba strzał. A ponieważ wiedźma Skifra wróciła na Południe, Strokom znowu jest niedostępny.

Siny Jenner objął twarz sękatymi dłońmi i jęknął przeciągle.

– Wygląda na to, że świat nie zmienił się tak bardzo, jak nam się wydawało.

– Na popiołach każdej wojny kiełkują nasiona kolejnej – wyszeptwała Skara. Żołądek podszedł jej do gardła tak jak dawniej. Przycisnęła dłoń do brzucha, aby zapanować nad nerwami. – Poślij ptaka do Matki Scaer z gratulacjami i drugiego do królowej Laithlin z wyrazami współczucia.

– A potem? – spytała Matka Owd.

– Pozostaniemy czujni, będziemy mówili cicho, uśmiechali się słodko i otaczali przyjaciółmi. Nie przestaniemy gorąco się modlić do Ojca Pokoju ani trzymać oręża w pogotowiu.

– Rady odpowiednie w każdej sytuacji.

– Może powinniśmy odbudować mury fortecy Baila – zasugerował Jenner. – Niech będą mocne jak nigdy.

– Najjaśniejsza pani! – Od strony morza biegł ku nim jakiś chłopak. Buty grzęzły mu w marznącym błocie. – Płyną do nas trzy okręty! Na żaglach mają białego konia Kalyivu!

– Posłowie księcia Varoslafa – powiedział Jenner. – Przyjmiesz ich w porcie?

Skara przez moment rozważała implikacje takiej decyzji.

– Nie powinniśmy sprawiać wrażenia zbyt przejętych ich wizytą. Ustawcie krzesło tu, pod pierwszym więzarem. Obyczaj nakazuje, aby wysłannicy przyszli do mnie.

Matka Owd się uśmiechnęła.

– Zawsze powinniśmy mieć na względzie ogólnie przyjęte zwyczaje.

– Oczywiście. I ignorować je, gdy zachodzi taka potrzeba.

– Wyrzeźbię ci piękniejsze siedzisko, najjaśniejsza pani. – Koll z hukiem ustawił na ziemi jedno z prostych krzesel, na których cieśle zasiadali do posiłków. – Ale na razie to musi wystarczyć. – Dłonią zmiotł paprochy.

Krzesło było stare i trochę rozchwiane. Gdzieś w drewnie widniały ciemne smugi przypaleń.

– Nie tron czyni królową – oświadczyła Matka Owd. – Tylko na odwrót.

– To krzesło pewnie było tu tamtej nocy, gdy zjawił się Yilling, i jakimś cudem przetrwało pożogę – wyszeptał Jenner.

– Tak. – Skara z uśmiechem pogładziła go po rękę. – Podobnie jak cały Throvenland. I ja.

Usiadła przodem do morza. Matka Owd zajęła miejsce po jej lewej stronie, a Siny Jenner po prawej. Młoda królowa wypięła pierś i wysoko uniosła brodę, tak jak uczyła ją Matka Kyre. Dziwne, że to, co dawniej wydawało jej się takie niewygodne, teraz przychodziło jej zupełnie naturalnie.

– Uprzedźcie posłów, że w mojej siedzibie panuje spory przeciąg – powiedziała – i powiadomcie ich, że królowa Throvenlandu gotowa jest udzielić im audiencji.

PODZIĘKOWANIA



Jak zawsze, czterem osobom, bez których...

Bren Abercrombie, którą bolą oczy od czytania tego.

Nickowi Abercrombiemu, którego bolą uszy od słuchania o tym.

Robowi Abercrombiemu, którego bolą palce od przewracania kartek.

Lou Abercrombie, którą bolą ręce od podtrzymywania mnie.

Oczywiście żaden człowiek nie jest samotną wyspą – zwłaszcza ja – dlatego z całego serca dziękuję:

Za zasianie we mnie tego pomysłu – Nickowi Lake’owi.

Za dopilnowanie, aby z siewki wyrosło drzewo – Robertowi Kirby’emu.

Za przypilnowanie, aby to drzewo wydało złote owoce – Jane Johnson.

Hm, metafory z drzewem nie da się dalej ciągnąć, więc dziękuję wszystkim, którzy pomagali przy tworzeniu, promowaniu, publikacji, ilustrowaniu, tłumaczeniu i przede wszystkim sprzedaży moich książek, bez względu na to, w jakim miejscu na świecie się znajdują – a szczególnie: Natashy Bardon, Emmie Coode, Benowi Northowi, Jaimiemu Frostowi, Tricii Narwani, Jonathanowi Lyonsowi oraz Ginger Clark.

Artystom, którzy sprostali niełatwemu wyzwaniu i sprawili, że książka tak dobrze się prezentuje: Nicolette i Terence’owi Cavenom, Mike’owi Bryanowi i Dominicowi Forbesowi.

Za niewyczerpany entuzjazm i wsparcie bez względu na pogodę – Gillian Redfearn.

Oraz wszystkim pisarzom, których ścieżki skrzyżowały się z moją w sieci, w barze, a w kilku przypadkach również na drukowanym papierze, i którzy pomagali mi, doradzali, żartowali i podsuwali pomysły warte podkradnięcia.

Już oni wiedzą, o kogo chodzi...

Tytuł oryginału: *Half a War*

Copyright © 2015 by Joe Abercrombie Ltd

Map copyright © Nicolette Caven, 2015

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań
2015

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt okładki

© HarperCollins *Publishers* Ltd 2015

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Jacek Pietrzyński

Ilustracja na okładce: Mike Bryan

Fotografie na okładce

© Shutterstock

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

Pół wojny, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-7818-975-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com